

Piękno jeszcze nigdy nie było tak przerażające...



# KOLEKCJONER MOTYLI

**DOT HUTCHISON**

FILIA

**DOT HUTCHISON**

**KOLEKCJONER  
MOTYLI**

Przełożyła  
Joanna Dziubińska

**FILIA**

*Mamie i Deb.*

*Bo odpowiadałyście na pytania, zanim zdałyście sobie sprawę,*

*jakie to wszystko jest głęboko wstrząsające.*

*I z wielu innych powodów.*

## I

Technicy mówią mu, że dziewczyna za szybą nie powiedziała ani słowa, odkąd ją tutaj wprowadzili. Na początku go to nie zaskakuje, nie przy traumie, jakiej doznała, ale teraz, obserwując ją przez weneckie lustro, zaczyna wątpić w tę diagnozę. Siedzi zgarbiona na twardym, metalowym krześle, opierając podbródek o zabandażowaną dłoń, a drugą kreśląc bezsensowne kształty na blacie stołu z nierdzewnej stali. Oczy ma na wpół przymknięte, podkrążone sinymi cieniami, a jej ciemne włosy, matowe i brudne, związane są w niechlujny supeł. Widać po niej, że jest wyczerpana.

Nie określiłby jej jednak jako dotkniętej traumą.

Popijając kawę, agent specjalny FBI Victor Hanoverian przygląda się dziewczynie i czeka na pozostałych członków zespołu. A przynajmniej na swojego partnera. Trzecia agentka została w szpitalu z pozostałymi dziewczynami, by uzyskać informacje o ich aktualnym stanie zdrowia oraz – kiedy będzie to możliwe – ich nazwiska i odciski palców. Pozostali agenci i technicy znajdują się na miejscu zdarzenia, a nieliczne informacje, jakie od nich usłyszał, sprawiają, że ma ochotę zadzwonić do domu, do własnych córek, by się upewnić, że nic im nie jest. Umie się jednak obchodzić z ludźmi, zwłaszcza z dziećmi po przejściach, to więc rozsądny wybór, że tu jest i czeka, by porozmawiać z jedną z ofiar.

Widzi blade, różowe ślady wokół nosa i ust dziewczyny zostawione przez

maskę tlenową, smugi brudu i sadzy na twarzy i pożyczonych ubraniach. Dłonie oraz lewe ramię ma obwiązane bandażem. Widzi też wydatne linie kolejnych opatrunków, przebijające spod cienkiej koszulki, którą dał jej ktoś w szpitalu. Trzęsie się z zimna w spodniach od kompletu chirurgicznego w kolorze szpitalnej zieleni, a nagie stopy podciąga znad zimnej podłogi, ale nie narzeka.

Nie zna nawet jej imienia.

Nie zna imion większości dziewczyn, które uratowali, ani tych, na ratunek którym było już zdecydowanie za późno. Ta nie rozmawiała z nikim prócz pozostałych dziewczyn, ale nawet wtedy nie pojawiły się żadne nazwiska, żadne informacje. Tylko... cóż, trudno mu nazwać to słowami pocieszenia.

– Umrzesz albo nie, ale teraz się rozluźnij, żeby lekarze mogli pracować. – Nie brzmiało szczególnie uspokajająco, ale tak właśnie przyjęły to pozostałe dziewczyny.

Siada prosto na krześle i powoli wyciąga ręce nad głowę, aż jej całe ciało jest wygięte w łuk. Mikrofony wyłapują nieprzyjemny trzask kręgosłupa. Kręcąc głową, dziewczyna znów kładzie się na stole i przyciska policzki do metalowego blatu, z dłońmi płasko na jego powierzchni. Twarz ma odwróconą od szyby i od niego, ale ta pozycja daje mu coś innego, czemu warto się przyjrzeć: linie.

W szpitalu dostał ich zdjęcie. Widzi teraz tylko krawędzie jaskrawych kolorów, które przebijają się na łopatkach. Resztę wzoru trudniej zauważyć, ale podkoszulek nie jest na tyle gruby, aby całkowicie go zasłonić. Wyciąga zdjęcie z kieszeni i trzyma je przed sobą na szybie, zerkając to na błyszczący papier, to na plecy dziewczyny i elementy wzoru, jakie jest w stanie na nich dostrzec. Nie byłoby to istotne, gdyby nie fakt, że mają go wszystkie ocalone z wyjątkiem jednej. Różne kolory, różne wzory, ale ten sam koncept.

– Myśli pan, że to on im je zrobił? – pyta jeden z techników, obserwując dziewczynę na monitorze. Kamera, z której pochodzi rzut, znajduje się po przeciwnej stronie pokoju przesłuchań i pokazuje jej twarz w powiększeniu. Oczy ma zamknięte, a jej oddech jest powolny i głęboki.

– Wkrótce się przekonamy. – Nie lubi snuć domysłów, zwłaszcza kiedy tak niewiele wiadomo. To jeden z nielicznych przypadków w jego karierze, kiedy to, co zastali, przeszło jego wszelkie wyobrażenia. Przyzwyczał się już, by zawsze spodziewać się najgorszego. Kiedy ginie dziecko, trzeba pracować do upadłego, ale nie spodziewać się, że na końcu znajdzie się je całe i zdrowe. Można mieć nadzieję. Nie wolno się spodziewać. Widział ciała tak małe, że aż dziw, że istnieją odpowiednie dla nich trumny, widział dzieci, które zostały zgwałcone, zanim jeszcze dowiedziały się, co znaczy to słowo, ale w jakiś sposób ta sprawa jest tak nietypowa, że właściwie nie wie, na czym stoi.

Nie wie nawet, ile ona ma lat. Lekarze oszacowali, że od szesnastu do dwudziestu dwóch, ale nie bardzo mu to pomaga. Jeśli ma szesnaście lat, powinna

pewnie mieć ze sobą kogoś z wydziału opieki nad dziećmi, ale ci zdążyli już najechać szpital i wszystko skomplikować. Wykonują ważną i konieczną pracę – ale najlepiej, żeby zeszli mu z drogi. Myśli o swoich córkach, co by zrobiły, gdyby zostały zamknięte w pomieszczeniu tak jak ta, ale żadna z nich nie jest tak opanowana. Czy to znaczy, że jest starsza? Czy ma może tylko większą wprawę w zgrywaniu obojętnej?

– Odzywali się Eddison albo Ramirez? – pyta techników, nie spuszczać oka z dziewczyny.

– Eddison już tu jedzie. Ramirez nadal jest w szpitalu z rodzicami najmłodszej dziewczyny – informuje go jedna z kobiet. Yvonne nie patrzy na dziewczynę w pokoju przesłuchań nawet przez monitory. W domu ma małą, kilkumiesięczną córeczkę. Victor zastanawia się, czy powinien odsunąć Yvonne od sprawy, to dopiero jej pierwszy dzień po powrocie z urlopu, ale dochodzi do wniosku, że pewnie sama coś powie, jeśli nie będzie w stanie tego znieść.

– To ona była przyczyną przeszukania?

– Zaginęła zaledwie kilka dni wcześniej. Zniknęła z centrum handlowego, kiedy robiła zakupy z przyjaciółkami. Powiedziały, że wyszła z przymierzalni po inny rozmiar i już nie wróciła.

Jedna osoba mniej do odnalezienia.

W szpitalu zrobili zdjęcia wszystkim dziewczynom, nawet tym, które zmarły w drodze albo tuż po przybyciu, i sprawdzali je w bazie osób zaginionych. Minie jednak trochę czasu, zanim pojawią się jakieś rezultaty. Kiedy agenci lub lekarze zapytali dziewczyny w lepszym stanie o ich nazwiska, odwróciły się do tej tutaj, która najwyraźniej jest ich przywódczynią, i w większości nic nie powiedziały. Kilka wydawało się to rozważać, zanim wybuchnęło płaczem, na który zbiegły się pielęgniarki.

Ale nie dziewczyna w pokoju przesłuchań. Kiedy ją zapytali, po prostu się odwróciła. Jak na razie wygląda na to, że nie chce być odnaleziona.

A to sprawia, że niektórzy z nich zastanawiają się, czy w ogóle jest ofiarą.

Victor wzdycha i dopija ostatni łyk kawy, po czym zgniata kubek i wrzuca go do kosza przy drzwiach. Wolałby poczekać na Ramirez. W podobnych okolicznościach druga kobieta podczas przesłuchania zawsze pomaga. Czy może na nią poczekać? Trudno powiedzieć, ile czasu spędzi z rodzicami lub czy kolejni nie zjadą szturmem do szpitala, kiedy w mediach pojawią się zdjęcia dziewczyn. *Jeśli* pojawią się w mediach, poprawia samego siebie, marszcząc brew. Nie znosi tej części swoich obowiązków: nie znosi udostępniać zdjęć stacjom telewizyjnym i gazetom, przez co ofiary zwykle tracą wszelkie szanse, by zapomnieć, co się im przydarzyło. Zaczeka przynajmniej, aż dostaną dane z bazy zaginionych.

Za jego plecami otwierają się drzwi, po czym gwałtownie się zatrząskują. Pokój jest dźwiękoszczelny, ale szyba zaczyna się trząść, na co dziewczyna siada

zależniona i wpatruje się w lustro. I prawdopodobnie w tych, których obecności za nim jest świadoma.

Victor się nie odwraca. Nikt nie trzaska drzwiami tak jak Brandon Eddison.

– Mamy coś?

– Znaleźliśmy kilka dość niedawnych zgłoszeń, jak na razie z samego Wschodniego Wybrzeża, i rodzice są już w drodze.

Victor ściąga zdjęcie z szyby i wkłada je z powrotem do kieszeni kurtki.

– Wiemy coś jeszcze o tej dziewczynie?

– Niektóre z pozostałych po przewiezieniu do szpitala mówiły na nią Maya.

Bez nazwiska.

– To prawdziwe imię?

Eddison prychnął.

– Wątpię. – Z trudem zapina kurtkę założoną na koszulkę z logo drużyny Redskins. Kiedy grupa reagowania kryzysowego znalazła ofiary, zespół Victora miał wolne i został wezwany na służbę, aby się tym zająć. Biorąc pod uwagę gust Eddisona, Victor czuje ulgę, że na koszulce nie ma gołych panienek. – Ekipa przeszukuje dom, żeby sprawdzić, czy drań zachował jakieś rzeczy osobiste.

– Możemy się chyba zgodzić, że wziął sobie od nich bardzo wiele osobistych rzeczy.

Być może przypominając sobie to, co zobaczył na terenie posiadłości, Eddison nie zaprzecza.

– Dlaczego ta? – pyta. – Ramirez mówi, że są też i inne, które nie odniosły większych obrażeń. Bardziej przestraszone, może bardziej skłonne do mówienia. Ta tutaj wygląda na twardzielkę.

– Jest autorytetem dla innych dziewczyn. Chcę wiedzieć dlaczego. Na pewno wszystkie bardzo chcą wrócić do swoich domów, dlaczego więc spoglądają na nią i postanawiają nie odpowiadać na pytania?

– Myślisz, że ona może mieć w tym jakiś udział?

– Tego właśnie musimy się dowiedzieć. – Victor zgarnia ze stołu butelkę z wodą i bierze głęboki wdech. – No dobrze, porozmawiajmy z Mayą.

Dziewczyna prostuje się na krześle, kiedy wchodzi do pokoju przesłuchań, i kładzie na brzuchu splecione, obandażowane palce. Nie jest to defensywna postawa, której spodziewałby się Victor, i widzi po swoim partnerze, że on także jest tym nieco zaskoczony. Dziewczyna mierzy wzrokiem to jednego, to drugiego, ale jej mina nie zdradza żadnych związków z tym przemyśleniem.

– Dziękuję, że tu z nami przyjechałaś – mówi Victor na powitanie, przymykając oko na to, że tak naprawdę nie dano jej wyboru. – To jest agent specjalny Brandon Eddison, a ja to dowodzący agent specjalny Victor Hanoverian.

Kącik jej ust unosi się nieznacznie na ulotną chwilę, ale nie można tego nazwać uśmiechem.

– Dowodzący agent specjalny Victor Hanoverian – powtarza głosem ochryłym od dymu. – Strasznie długa nazwa.

– Wolisz mówić mi Victor?

– Nie mam preferencji, ale dziękuję.

Victor zdejmuje nakrętkę i podaje dziewczynie butelkę wody, korzystając z tej chwili, aby skorygować swoją strategię. Dziewczyna zdecydowanie nie jest dotknięta traumą i nie jest też nieśmiała.

– Przedstawianie się komuś ma zazwyczaj drugą część.

– Na przykład ciekawostki? – odpowiada. – Lubi pan pleść koszyki i pływać, a Eddison chodzić po ulicach w szpilekach i mini?

Eddison warczy i uderza pięścią w stół.

– Jak się nazywasz?

– Grzeczniej proszę.

Victor przygryza wargę, walcząc z pokusą, żeby się uśmiechnąć. To nie pomoże sytuacji – a z pewnością nie pomoże nerwom jego partnera – ale pokusa nie odpuszcza.

– Proszę, czy mogłabyś się nam przedstawić?

– Dziękuję za propozycję, ale nie. Nie zamierzam.

– Niektóre z dziewczyn mówiły na ciebie Maya.

– Więc w takim razie po co pytasz?

Słyszy, jak Eddison ostro wciąga powietrze przez nos, ale to ignoruje.

– Chcielibyśmy wiedzieć, kim jesteś i jak się tu znalazłaś. Chcemy ci pomóc wrócić do domu.

– A jeśli powiem, że nie potrzebuję pomocy, żeby wrócić do domu?

– Będę się zastanawiał, dlaczego nie wróciłaś do domu wcześniej.

Widzi nieznacznym uśmiech i lekkie uniesienie brwi, co może oznaczać przyznanie racji. To piękna dziewczyna o oliwkowej cerze i jasnobrązowych, prawie bursztynowych oczach, ale nie jest delikatna. Na jej uśmiech trzeba sobie zasłużyć.

– Myślę, że oboje znamy odpowiedź na to pytanie. Ale już tam nie jestem, prawda? Potrafię dostać się stąd do domu.

– A gdzie jest twój dom?

– Nie jestem pewna, czy w ogóle jeszcze tam jest.

– To nie jest zabawa. – Eddison traci cierpliwość.

Dziewczyna chłodno mierzy go wzrokiem.

– Oczywiście, że nie. Ludzie nie żyją, wiele osób ma zniszczone życie, a ty na pewno nie jesteś szczęśliwy, że musiałeś zrezygnować z meczu.

Eddison się rumieni i zasuwa zamek kurtki wyżej, żeby zasłonić koszulkę.

– Nie wydajesz się szczególnie zdenerwowana – zauważa Victor.

Dziewczyna wzrusza ramionami i upija łyk wody, ostrożnie trzymając



butelkę w zabandażowanych dłoniach.

– A powinnam?

– Większość ludzi się denerwuje, kiedy rozmawia z FBI.

– Niewiele się to różni od rozmawiania z... – Przygryza spękaną dolną wargę i krzywi się, gdy spomiędzy popękanej skóry występują kropelki krwi. Upija kolejny łyk.

– Z...? – Ciągnie ją za język.

– Z nim – odpowiada. – Z Ogrodnikiem.

– Rozmawiałaś z ogrodnikiem człowieka, który cię więził?

Kręci głową.

– To on był Ogrodnikiem.



Musicie wiedzieć, że nie nadałam mu takiego przydomku ze strachu, szacunku albo jakiejś chorej aprobaty. Ja w ogóle mu go nie nadałam. Jak wszystko w tamtym miejscu, wynikało to z naszej nieświadomości. To, czego nie wiedziano, wymyślono; to, czego nie wymyślono, w pewnym momencie przestało mieć znaczenie. To chyba jakaś forma pragmatyzmu. Ciepłi, kochający ludzie, którzy rozpaczliwie pragną aprobaty innych, padają ofiarą syndromu sztokholmskiego, podczas gdy reszta z nas popada w pragmatyzm. Miałam styczność z jednym i drugim, i zdecydowanie wolę pragmatyzm.

Usłyszałam to imię pierwszego dnia, kiedy pojawiłam się w Ogrodzie.

Potwornie bolała mnie głowa, sto razy bardziej niż w czasie najcięższego kaca, jakiego w życiu doświadczyłam. Na początku nie mogłam nawet otworzyć oczu. Z każdym oddechem, nie mówiąc już o ruchu, ból przeszywał mi czaszkę. Pewnie zaczęłam stękać, bo nagle poczułam chłodny, wilgotny kompres, a czyjeś oczy i głos zaczęły mi obiecywać, że to tylko woda.

Nie byłam pewna, co bardziej mnie zdenerwowało: fakt, że najwyraźniej obawy związane z wodą pojawiały się często, czy w ogóle sama *ona*. W parze, która mnie porwała, nie było kobiety, tego przynajmniej byłam pewna.

Pod moje ramiona wsunęła się czyjaś ręka, która delikatnie podźwignęła mnie do pozycji siedzącej, a druga ręka przyłożyła mi do ust szklankę.

– To tylko woda, obiecuję – powiedziała raz jeszcze.

Napiłam się. To, czy była to „tylko woda”, czy nie, nie miało znaczenia.

– Dasz radę przełknąć tabletkę?

– Tak – szepnęłam, ale nawet to sprawiło, że poczułam, jakby w czaszkę wbijał mi się kolejny gwóźdź.

– Otwórz usta. – Kiedy posłuchałam, położyła mi na języku dwie płaskie tabletki i znów podstawiła wodę. Przełknęłam posłusznie, a następnie starałam się nie wymiotować, kiedy z powrotem położyła mnie na chłodnym prześcieradle pokrywającym twarde materac. Przez długi czas nie powiedziała nic więcej, aż do chwili, kiedy za moimi powiekami przestało migotać światło i zaczęłam się ruszać z własnej woli. Ściągnęła mi wtedy ręcznik z czoła i osłoniła oczy od światła żarówki, aż przestałam mrugać powiekami.

– Widzę, że robiłaś to już wcześniej – zachrypiałam.

Podawała mi szklankę z wodą.

Nawet gdy siedziała pochylona na taborecie przy łóżku, łatwo było zauważyć, że kobieta jest wysoka. Wysoka i żylasta, o długich nogach i smukłych mięśniach, jak amazonka. Albo lwica, bo garbiąc się na taborecie, wygięła grzbiet jak kot. Blond włosy w miedzianym odcieniu związała na czubku głowy, odsłaniając twarz o wydatnych rysach i ciemne brązowe oczy ze złotymi drobinkami. Miała na sobie jedwabną czarną sukienkę wiązaną na szyi.

Przyjęła moją szczerą ocenę z czymś na kształt ulgi. Podejrzewałam, że było to lepsze niż nieopanowana histeria, z którą pewnie miała wcześniej do czynienia.

– Mówią na mnie Lyonette – powiedziała, kiedy zdążyłam się napatrzeć i z powrotem skierowałam swoją uwagę na wodę. – Nie mów mi nawet, jak masz na imię, bo i tak nie będę mogła go używać. Najlepiej będzie, jeśli je zapomnisz.

– Gdzie my jesteśmy?

– W Ogrodzie.

– W Ogrodzie?

Wzruszyła ramionami płynnym, pełnym wdzięku gestem.

- Nazwa dobra jak każda inna. Chcesz go zobaczyć?
- Podejrzewam, że nie wiesz, którędy się stąd wydostać, co?

Tylko na mnie spojrziała.

No tak. Spuściłam stopy z łóżka, wbiłam pięści w materac i zdałam sobie sprawę, że jestem absolutnie naga.

- Dostanę coś do ubrania?

– Masz. – Podała mi jakiś czarny, śliski ciuch, który okazał się ponętą sukienką do kolan, z zapięciem wysoko na szyi i głębokim dekoltem na plecach. Naprawdę głębokim. Gdybym miała dołeczki Wenus nad pupą, to Lyonette z pewnością by je zauważyła. Pomogła mi zawiązać przypominającą sznur szarfę wokół bioder, po czym lekko popchnęła mnie w stronę wyjścia.

Pokój był ubogi i surowy – stały w nim tylko łóżko oraz mała toaleta i umywalka w rogu. Wyglądało na to, że w drugim rogu znajduje się niewielki otwarty prysznic. Ściany wykonane były z grubego szkła, w miejscu drzwi było przejście, a po każdej stronie szklanej ściany biegła ścieżka.

Lyonette zobaczyła, jak przyglądam się śladom na ścieżce, i na jej twarzy pojawił się grymas.

– Bywa, że spuszczone zostają pełne ściany, abyśmy nie wychodziły z pokoi i by nikt nas nie widział – wyjaśniła.

- Często?

– Czasem.

Wyjście prowadziło na wąski korytarz, który ciągnął się daleko na prawo, ale po lewej niemal natychmiast wchodził w zakręt. Niemal naprzeciw mojego wejścia znajdowało się kolejne, a także więcej śladów – prowadziły do chłodnej i wilgotnej jaskini. Otwarty łuk po jej przeciwnej stronie wpuszczał do ciemnej, kamiennej przestrzeni powiew powietrza oraz drobinki światła odbijające się w wodospadzie, który burzył się i chlupotał na zewnątrz. Lyonette wprowadziła mnie przez kurtynę wody do ogrodu tak pięknego, że patrzenie na niego dosłownie bolało. Jaskrawe kwiaty w każdym możliwym kolorze kwitły burzliwą obfitością wśród liści i drzew, pomiędzy którymi dryfowały chmury motyli. Nad nami wznosił się usypany przez człowieka klif, a na jego płaskim szczycie znajdowało się jeszcze więcej zieleni i drzew, których czubki jedynie muskały od wewnątrz niemożliwie wysoki szklany dach. Poprzez roślinność na niższym poziomie przebijały się wysokie czarne mury, zbyt wysokie, aby zobaczyć, co się za nimi znajduje, oraz małe otwarte wnęki otoczone latoroślą. Pomyślałam, że mogą to być wejścia do korytarzy takich jak ten, z którego wyszliśmy.

Atrium było ogromne, przytłaczające już samym rozmiarem, zanim jeszcze spojrzęło się na eksplozję kolorów. Wodospad spływał do wąskiego strumyka uchodzącego do jeziora, które ozdabiały lilie wodne, a ścieżki z białego piasku prowadziły poprzez zieleni do pozostałych wejść.

Światło wpadające przez sufit miało głęboki lawendowy kolor, przetykany różem i granatem – wieczór. Kiedy zostałam porwana, było słoneczne popołudnie, nie sądziłam jednak, by trwał jeszcze ten sam dzień. Obróciłam się powoli wokół siebie, próbując jakoś to wszystko przyswoić, ale liczba bodźców mnie przerastała. Moje oczy nie były w stanie dostrzec połowy znajdujących się tam rzeczy, a mózg nie nadążał z przetwarzaniem tego, co widziałam.

– O kurwa!

Lyonette nawet się roześmiała, ale szybko i gwałtownie przerwała swój wybuch, jakby się bała, że ktoś może nas usłyszeć.

– My nazywamy go Ogrodnikiem – powiedziała sucho. – Pasuje, prawda?

– Co to za miejsce?

– Witaj w Ogrodzie Motyli.

Chciałam ją zapytać, co to oznacza, ale wtedy to zobaczyłam.



Dziewczyna upija duży łyk wody, obracając butelkę w dłoniach. Kiedy nie zapowiada się na to, by miała zamiar kontynuować, Victor delikatnie stuka w stół, aby zwrócić jej uwagę.

– To? – Ciągnie ją za język.

Nie odpowiada.

Victor wyciąga zdjęcie z kieszeni marynarki i kładzie je na stole pomiędzy

nimi.

– To? – pyta znowu.

– Widzisz, zadawanie mi pytań, na które znasz już odpowiedź, nie wzbudza mojego zaufania. – Ale jej ramiona lekko się rozluźniają i dziewczyna opiera się swobodnie na swoim krześle.

– Jesteśmy z FBI. Zazwyczaj ludzie mają nas za tych dobrych.

– A czy Hitler myślał, że jest złym człowiekiem?

Eddison przesuwając się na sam skraj krzesła.

– Porównujesz FBI do Hitlera?

– Nie, włączam się w dyskusję o perspektywie i moralnym relatywizmie.

Kiedy otrzymali wezwanie, Ramirez pojechała prosto do szpitala, a Victor przyjechał tutaj, aby koordynować potok napływających informacji. To Eddison udał się na oględziny terenu, a on zawsze reaguje złością na okrucieństwo. I z tą myślą Victor znów spogląda na dziewczynę po drugiej stronie stołu.

– Bolało?

– Jak diabli – odpowiada, śledząc linie na zdjęciu.

– W szpitalu powiedziano mi, że ma kilka lat?

– Stwierdzasz czy pytasz?

– Stwierdzam, szukając potwierdzenia – wyjaśnia Victor, tym razem z lekkim uśmiechem.

Eddison patrzy na niego gniewnie.

– Szpitalom można zarzucić wiele rzeczy, ale nie całkowity brak kompetencji.

– A co to ma, do cholery, znaczyć? – wybuchają Eddison.

– Tak, ma parę lat.

Victor zaczyna rozpoznawać schemat zachowań po latach pytania córek o oceny, wyniki klasówek i chłopaków. Pozwala ciszy trwać przez minutę, potem dwie, i patrzy, jak dziewczyna ostrożnie obraca zdjęcie na drugą stronę. Zespół psychologów miałby pewnie do powiedzenia kilka rzeczy na ten temat.

– Kto je dla niego robił?

– Jedyna osoba na świecie, do której miał absolutne zaufanie.

– Człowiek o wielu talentach.

– Vic...

Nie spuszczać wzroku z dziewczyny, Victor kopie nogę krzesła, na którym siedzi jego partner, prowokując go. W nagrodę otrzymuje sugestię uśmiechu. Nie prawdziwy uśmiech, nawet nie jego cień, ale coś w tym stylu.

Dziewczyna zerka pod brzeg opatrunku wokół palców, z których każdy owinięty jest z osobna.

– Igły robią straszny hałas, co? Kiedy to nie jest twój wybór. Ale to wybór, bo jednak istnieje jakaś alternatywa.

– Śmierć – zgaduje Victor.

– Gorzej.

– Gorzej niż śmierć?

Eddison blednie, co nie unika uwadze dziewczyny, ale ona zamiast mu dociąć, z powagą kiwa głową.

– On wie. Ale skoro tak, to ty pewnie jeszcze tam nie byłeś, prawda?  
Czytanie o tym to nie to samo.

– Co jest gorszego niż śmierć, Mayu?

Dziewczyna podważa paznokciem jeden ze świeżych strupów na palcu wskazującym i zrywa go, przez co na opatrunku pojawiają się świeże plamki krwi.

– Zdziwiłbyś się, jak łatwo sobie kupić sprzęt do tatuowania.



Przez pierwszy tydzień codziennie dodawano mi coś do obiadu, żebym nie stawiała oporu. Lyonette przesiadywała ze mną w ciągu dnia, ale pozostałe dziewczyny – których najwyraźniej było więcej niż kilka – trzymały się na dystans. Powiedziała mi, że to normalne, kiedy wspomniałam o tym przy posiłku.

– Płacz wszystkich stresuje – wyjaśniła pomiędzy jednym kęsem sałatki a drugim. Cokolwiek by powiedzieć o tajemniczym Ogrodniku, świetnie nas karmił. – Większość woli trzymać się na uboczu, dopóki dziewczyna się nie oswoi.

– Z wyjątkiem ciebie?

– Ktoś musi to robić. Jeśli trzeba, jestem w stanie jakoś przetrzymać czyjeś łzy.

– No to pewnie się cieszysz, że ja przy tobie nie płaczę.

– No właśnie. – Lyonette wbiła widelec w kawałek grillowanego kurczaka i zaczęła obracać widelcem. – Czy ty w ogóle płakałaś?

– A czy to by miało jakiś sens?

– Albo będę cię uwielbiać, albo nienawidzić.

– Daj znać. Będę się odpowiednio zachowywać.

Uśmiechnęła się do mnie nagle, pokazując wszystkie zęby.

– Zachowaj tę ikrę, ale lepiej mu jej nie okazuj.

– Czemu on chce, żebym nocami spała?

– To pewien środek bezpieczeństwa. W końcu zaraz na zewnątrz znajduje się klif.

Zaczęłam się zastanawiać, ile dziewczyn rzuciło się w przepaść, zanim zastosował ten środek bezpieczeństwa. Próbowałam ocenić wysokość tego stworzonego przez człowieka monstrum. Siedem, może dziewięć metrów. Czy to wystarczy, by umrzeć, gdy uderzy się o ziemię?

Wyrobiłam sobie nawyk chodzenia po tym pustym pokoju, kiedy leki przestawały działać, z Lyonette siedzącą na stołeczku przy moim łóżku. Ale pod koniec pierwszego tygodnia obudziłam się ułożona na brzuchu na ławce z twardym obiciem, czując w powietrzu intensywny zapach środka do dezynfekcji. To był inny pokój, większy, ze ścianami z metalu zamiast szkła.

I był w nim ktoś jeszcze.

Na początku nie widziałam zbyt dobrze, bo narkotyczny sen kleił mi powieki, ale czułam tam obecność drugiej osoby. Starłam się utrzymać powolny i równy oddech, wytężając słuch, ale nagle poczułam na swojej nagiej łydce czyjąś dłoń.

– Wiem, że nie śpisz.

Był to mężczyzna o średnio grubym głosie, mówiący z lekkim środkowoatlantyckim akcentem. Przyjemnym dla ucha. Dłoń przejechała po mojej nodze, pupie i po wygięciu pleców. Za nią, mimo panującego w pomieszczeniu ciepła, wystąpiła gęsia skórka.

– Wolałbym, abyś leżała nieruchomo, bo inaczej oboje tego pożałujemy. – Kiedy spróbowałam obrócić twarz w stronę jego głosu, położył mi dłoń z tyłu głowy i przytrzymał w miejscu. – Wolałbym cię nie wiązać. To psuje linię pracy. Jeśli czujesz, że nie możesz pozostać w bezruchu, dam ci coś, co to zagwarantuje. Powtórzę: wolałbym tego nie robić. Możesz się nie ruszać?

– Po co? – zapytałam prawie szeptem.

Włożył mi do ręki kartkę gładkiego papieru.

Próbowałam otworzyć oczy, ale przez leki nasenne kleiły się bardziej niż

zwykle.

– Jeśli nie masz zamiaru zaczynać od razu, to czy mogę usiąść?

Dłoń pogładziła moje włosy, a paznokcie lekko podrapały mnie po głowie.

– Możesz – powiedział takim tonem, jakby czegoś się przestraszył. Mimo to pomógł mi usiąść na ławce. Otarłam powieki ze śpiochów i spojrzałam na zdjęcie w swojej dłoni, cały czas świadoma tego, że jego ręka gładzi moje włosy. Pomyślałam o Lyonette i innych dziewczynach, które widziałam z daleka, i nie mogłam powiedzieć, bym była zaskoczona.

Zalękniona, ale nie zaskoczona.

Stał za mną. Powietrze wokół wypełniał zapach korzennej wody kolońskiej. Nienachalnej, pewnie drogiej. Przedemną znajdował się komplet sprzętów do tatuowania z tuszami ustawionymi na tacy.

– I tak nie zrobię dziś całości.

– Dlaczego nas tatuujesz?

– Bo Ogród potrzebuje swoich motyli.

– A czy to nie może zostać metaforą?

Roześmiał się pełnym, swobodnym śmiechem. Ten człowiek uwielbiał się śmiać, ale nie miał ku temu wystarczająco dużo powodów, przez co ogromnie cieszyła go

każda nadarżająca się okazja. Z czasem uczysz się różnych rzeczy i to była jedna z najważniejszych, jakich się o nim dowiedziałam. Pragnął znaleźć w życiu więcej przyjemności, niż mu się udawało.

– Nic dziwnego, że moja Lyonette cię lubi. Masz ikrę tak samo jak ona.

Nie miałam na to odpowiedzi. Niczego, co w tej sytuacji brzmiałoby sensownie.

Ostrożnie przesunął palce przez moje włosy i odgarnął mi je za ramiona, po czym wziął do ręki szczotkę. Przeczesał włosy, aż nie pozostał w nich ani jeden kołtun, a nawet dłużej. Wydaje mi się, że tak naprawdę delectował się tym jak każdy. To prosta przyjemność – czesać komuś włosy i mieć na to przyzwolenie. Na koniec zebrał je w kucyk i związał gumką, po czym skręcił je w obfity kok i zabezpieczył grubą frotką i wsuwkami.

– A teraz z powrotem na brzuch.

Posłuchałam go, a kiedy odszedł ode mnie na kilka kroków, zauważyłam kątem oka wyprasowane spodnie w kolorze khaki i zapinaną na guziki koszulę. Skierował moją głowę tak, bym patrzyła w odwrotnym kierunku, dociskając policzek do obicia z czarnej skóry, i ułożył mi ręce luźno wzdłuż ciała. Nie było mi szczególnie wygodnie, ale nie było też strasznie niewygodnie. Kiedy napięłam ciało, aby nie podskoczyć ani się nie wzdrygnąć, delikatnie klepnął mnie w pupę.

– Rozluźnij się. Jeśli będziesz spięta, będzie bardziej boleć i dłużej się goić.

Wzięłam głęboki wdech, zmuszając mięśnie, by się rozluźniły, zacisnęłam



i rozprostowałam dłonie, za każdym razem czując, jak maleje napięcie w plecach. Nauczyła nas tego Sophia, głównie po to, żeby Whitney tak często się nie załamywała i...



– Sophia? Whitney? To któreś z dziewczyn? – przerywa Eddison.

– Tak, to dziewczyny. Sophia to właściwie kobieta. – Upija kolejny łyk i przygląda się wodzie, która pozostała w butelce. – Whitney właściwie też. Więc obie liczą się jako kobiety.

– Jak wyglądają? Możemy dopasować ich nazwiska do...

– Nie są z Ogrodu. – Trudno zinterpretować spojrzenie, jakie rzuca młodszemu agentowi, wyrażające w równej części litość, rozbawienie i szyderstwo.

– Miałam swoje życie, zanim trafiłam do Ogrodu, wiesz? Życie nie zaczęło się w Ogrodzie. A przynajmniej nie w tym ogrodzie.

Victor odwraca zdjęcie, próbując oszacować, ile musiało zająć ukończenie czegoś takiego. Tak wielkiego i z tak licznymi detalami.

– Nie wszystko powstało od razu – mówi mu dziewczyna, obserwując, jak śledzi wzrokiem wzór. – Zaczął od konturów. Dalej przez około dwa tygodnie dodawał kolory i detale. A kiedy skończył, stałam się kolejnym Motylem w jego Ogrodzie. Był bogiem, który stworzył swój własny mały świat.

– Opowiedz nam o Sophii i Whitney – mówi Victor, zadowolony, że na

moment porzuca temat tatuażu. Ma pewne przeczucie, co się stało, gdy został ukończony, ale chętnie odwlecze tę część opowieści, nawet jeśli okaże się przez to tchórzem.

– Mieszkałam z nimi.

Eddison wyciąga z kieszeni notes.

– Gdzie?

– W naszym mieszkaniu.

– Musisz...

Victor wchodzi mu w słowo.

– Opowiedz nam o mieszkaniu.

– Vic – protestuje Eddison. – Ona nie mówi nam nic przydatnego!

– Powie. Kiedy będzie gotowa.

Dziewczyna obserwuje ich bez słowa i przerzuca sobie butelkę między dłońmi, jakby to był krążek do hokeja.

– Opowiedz nam o mieszkaniu – powtarza Victor.



Mieszkałyśmy tam w osiem osób i wszystkie pracowałyśmy w restauracji. Był to wielki loft, jedna wspólna przestrzeń z łózkami i szafkami ustawionymi jak w koszarach. Każda z nas miała przy łóżku stojak na ubrania i karnisze z zasłonką po drugiej stronie i w nogach łóżka. Nie dawało to wiele prywatności, ale jakoś się

sprawdzało. W normalnych okolicznościach czynsz byłby strasznie wysoki, ale okolica była paskudna, a mieszkało nas tam tak dużo, że na opłaty można było zarobić w jedną lub dwie noce, a resztę pensji przebijać.

Niektóre tak właśnie robiły.

Stanowiłyśmy dziwną grupę: studentki, chłopczyce i emerytowana prostytutka. Niektórzy pragną wolności, by być tym, kim chcą. My chciałyśmy mieć wolność, by zostawiono nas w spokoju. Jedynymi rzeczami, jakie nas łączyły, były praca w restauracji i wspólne mieszkanie.

I szczerze mówiąc – to było boskie.

Pewnie, czasem się kłóciłyśmy, wybuchały ostre dyskusje, awantury, a od czasu do czasu padały zgryźliwości, ale zazwyczaj szybko nam przechodziło. Któraś zawsze chciała pożyczyć ci sukienkę, buty albo książkę. Miałyśmy pracę, a niektóre z nas zajęcia na uczelni, ale pomijając to, miałyśmy pieniądze i całe miasto u swoich stóp. Nawet dla mnie, dziewczyny, która wychowywała się niemal samopas, taka wolność była czymś absolutnie wspaniałym.

W lodówce zawsze były bajgle, alkohol i woda mineralna, a w szafkach nigdy nie brakowało prezerwatyw i aspiryny. Czasem można było znaleźć resztki jedzenia na wynos, a za każdym razem, kiedy miała przyjechać opieka społeczna, żeby sprawdzić, jak Sophia daje sobie radę, robiłyśmy wypad do spożywczego i chowałyśmy kondomy. Zwykle jadałyśmy na mieście albo zamawiałyśmy coś do domu. Ponieważ co wieczór pracowałyśmy przy jedzeniu, kuchnię w mieszkaniu obchodziłyśmy zwykle szerokim łukiem.

Aha, był jeszcze pijak. Nigdy nie miałyśmy pewności, czy rzeczywiście mieszkał w naszym budynku, czy nie, ale popołudniami widziałyśmy go, jak chłwał na ulicy, a potem co wieczór pod naszymi drzwiami urywał mu się film. Nie pod drzwiami do budynku, tylko do mieszkania. To był jakiś pieprzony zboczeniec, więc kiedy wracałyśmy do domu o zmroku, co zdarzało się właściwie co wieczór, szłyśmy na samą górę, na dach, po czym schodziłyśmy jedno piętro niżej po schodach pożarowych i dostawałyśmy się do mieszkania przez okno. Nasz najemca wprowadził nam w nie specjalny zamek, bo Sophii było szkoda pijanego zboczeńca i nie chciała oddawać go w ręce policji. Biorąc pod uwagę jej sytuację – była prostytutka i narkomanka wychodząca na prostą, która próbuje odzyskać swoje dzieci – reszta z nas się nie upierała.

Te dziewczyny były moimi pierwszymi przyjaciółkami. Może i poznawałam wcześniej podobne do nich osoby, ale tym razem było inaczej. Potrafiłam trzymać się z dala od ludzi i zwykle tak robiłam. Ale pracowałam z tymi dziewczynami, a potem z nimi mieszkałam i po prostu było... inaczej.

Sophia wszystkim matkowała i kiedy ją poznałam, już od roku była czysta, co poprzedzały dwa lata starań z różnym skutkiem. Miała dwie śliczne córeczki, które na szczęście nie zostały rozdzielone i przebywały w tej samej rodzinie

zastępczej. A nawet lepiej – rodzice zastępczy całkowicie popierali starania Sophii, aby odzyskać prawo do opieki. Pozwalali jej je odwiedzać, właściwie kiedy tylko chciała. Gdy robiło się ciężko i jej uzależnienie wychylało swój wstrętny łeb, jedna z nas wsadzała ją do taksówki, żeby zobaczyła się z dziewczynkami i przypomniała sobie, na co tak ciężko pracuje.

Była też Hope i jej cień – Jessica. Hope miała głowę pełną pomysłów i żywy temperament, a Jessica godziła się na wszystko, co mówiła i robiła jej przyjaciółka. Hope wypełniała mieszkanie śmiechem i seksem, a jeśli Jessica używała seksu jako sposobu, by poczuć się lepiej, to przynajmniej Hope pokazała jej, jak się przy tym dobrze bawić. Były dziećmi w naszej grupie – miały jedynie szesnaście i siedemnaście lat, kiedy się wprowadziłam.

Amber też miała siedemnaście lat, ale w przeciwieństwie do pozostałych dwóch miała poważniejsze plany. Sąd wydał jej zaświadczenie o usamodzielnieniu nieletniej, przez co mogła wyjść z systemu opieki zastępczej, skończyła liceum i uczęszczała na zajęcia do pobliskiego college'u, żeby uzyskać dyplom pierwszego stopnia, zanim postanowi, co chce studiować dalej. Była też Kathryn, kilka lat starsza ode mnie, która nigdy, przenigdy nie opowiadała o życiu przed mieszkaniem. Właściwie o niczym nigdy nie opowiadała. Czasem udało się ją nakłonić, żeby gdzieś z nami poszła, ale sama nigdy nie miała żadnych planów. Gdyby ktoś postawił naszą ósemkę pod ścianą i próbował wskazać, która z nas przed czymś ucieka, zawsze byłaby to Kathryn. Ale nigdy jej nie pytałyśmy. Jedną z zasad panujących w mieszkaniu było to, że nigdy nie wypyujemy się nawzajem o osobiste rzeczy. Każda z nas miała swój bagaż.

Jak wspominałam, Whitney co jakiś czas przechodziła załamanie. Studiowała psychologię i miała zjebane nerwy. Bardzo źle reagowała na stres. Pomędzy semestrami była rewelacyjna. W trakcie semestru na zmianę próbowałyśmy ją jakoś uspokajać. Noémie także była studentką, jednego z najbardziej nieprzydatnych kierunków na świecie. Poważnie, mam wrażenie, że poszła na studia tylko dlatego, że miała stypendium, a magisterka z literatury angielskiej dawała jej wymówkę, by dużo czytać. Na szczęście hojnie dzieliła się swoimi książkami.

To Noémie wspomniała mi o tym mieszkaniu podczas mojego drugiego tygodnia pracy w restauracji. Byłam w mieście od trzech tygodni, nadal mieszkalam w hostelu i codziennie przynosiłam do pracy wszystkie swoje rzeczy. Byłyśmy w pomieszczeniu dla personelu i przebierałyśmy się w stroje służbowe. Trzymałam swój w pracy na wypadek, gdybym została okradziona w nocy, żebym przynajmniej była w stanie nadal pracować. Wszystkie się tam przebierałyśmy, bo nasz uniform – długa sukienka i szpilki – nie był czymś, w czym chce się wracać do domu.

– Można ci ufać, co? – powiedziała bez żadnego wstępu. – To znaczy nie

oszukujesz pomocników kelnera ani hostess, nie kradniesz niczych rzeczy z pokoju służbowego. Nigdy nie załatujesz narkotykami ani niczym takim.

– Czy to do czegoś prowadzi? – Założyłam stanik i zapięłam haftki na plecach, po czym poprawiłam piersi tak, by dobrze leżały. Mieszkanie w hostelu uczyło pewnego braku skromności, który umacniało małe pomieszczenie służbowe i liczba przebierających się w nim kobiet.

– Rebekah mówiła, że żyjesz prawie na ulicy. Wiesz, że kilka z nas razem mieszka, prawda? Mamy wolne łóżko.

– Ona mówi poważnie – zawołała Whitney, mierzwiąc swoje rudozłote włosy, które właśnie rozplątała ze zwiniętego warkocza. – To naprawdę jest łóżko.

– I metalowa szafka – zachichotała Hope.

– Trochę się nad tym zastanawialiśmy i doszliśmy do wniosku, że może chciałabyś z nami zamieszkać. Czynsz wynosi trzysta dolarów, w tym media.

Nie mieszkałam w mieście zbyt długo, ale nawet ja wiedziałam, że to niemożliwe.

– Trzysta dolców? Co za gówno można mieć za trzysta dolców?

– Tak naprawdę czynsz wynosi dwa tysiące – wyjaśniła Sophia. – Płacimy po trzysta na głowę. Reszta pieniędzy idzie na opłaty.

Brzmiało sensownie, z wyjątkiem...

– Ile was tam mieszka?

– Razem z tobą będzie nas osiem.

Niewiele różniło się to od hostelu.

– Czy mogę się dziś u was przespać, zobaczyć, czy mi się podoba, i zdecydować jutro?

– Pewnie! – Hope podała mi dzinsową spódnicę, która wyglądała na tak krótką, że ledwie zakrywałaby mi majtki.

– To nie moje.

– Wiem, ale pomyślałam, że fajnie byś w tym wyglądała. – Już zdążyła wciągnąć nogawkę w moje przyduże sztruksy, więc zamiast dyskutować, wcisnęłam się w spódnicę, próbując zapamiętać, żeby uważać przy schylaniu. Hope miała pełne, kobiece kształty, może nawet robiła się nieco zbyt pulchna, byłam więc w stanie ściągnąć jej spódnicę nisko na biodra, żeby zyskać kilka dodatkowych centymetrów.

Właścicielowi zabłyśły oczy, kiedy zobaczył, że z nimi wychodzę.

– Będiesz teraz z nimi mieszkać, *bella*?

– Wszyscy klienci wyszli, Guilian.

Porzucił włoski akcent i poklepał mnie po ramieniu.

– To dobre dziewczyny. Cieszę się, że do nich trafiłaś.

Jego opinia przyczyniła się do podjęcia pozytywnej decyzji, zanim jeszcze zobaczyłam mieszkanie. Kiedy po raz pierwszy spotkałam Guiliana, uznałam, że

jest twardy, ale sprawiedliwy, i udowodnił, że się nie mylę, gdy zaproponował mi tydzień próbny – dziewczynie, obok której podczas rozmowy kwalifikacyjnej stały sportowa torba i walizka. Udawał prawdziwego Włocha, bo dzięki temu klienci wierzyli, że jedzenie smakuje lepiej, choć był wysokim, nieco przysadzistym rudzielcem o przerzedzonych włosach i z wąsem, który pochłonał jego górną wargę, a teraz próbował pożreć resztę twarzy. Uważał, że o ludziach lepiej świadczy wykonywana praca niż słowa, i oceniał ich zgodnie z tą zasadą. Pod koniec mojego pierwszego tygodnia po prostu wręczył mi grafik na następne dni, podpisany moim imieniem.

Kiedy wyszliśmy, była trzecia nad ranem. Nauczyłam się nazw ulic i rozkładów jazdy pociągów i nie byłam aż tak zdenerwowana, jak powinnam, kiedy znalazłyśmy się w ich dzielnicy. Czując, jak bolą nas nogi po długich godzinach spędzonych w szpilkach, doczłapałyśmy po schodach na najwyższe piętro i na dach, przecisnęłyśmy się pomiędzy najróżniejszymi meblami ogrodowymi, zakrytymi grillami i czymś w rogu, co wyglądało jak bujna hodowla marihuany, a potem jedno piętro niżej po schodach przeciwpożarowych, do długiego rzędu okien. Sophia włożyła klucz do zamka, podczas gdy Hope próbowała pomimo napadów śmiechu wyjaśnić mi sytuację z pijanym zboczeńcem w korytarzu.

W hostelu mieliśmy takich kilku.

Przestrzeń była ogromna, otwarta i czysta, z czterema łózkami po każdej z dwóch przeciwnych stron pomieszczenia i kilkoma kanapami ustawionymi w kwadrat na środku. Kuchnia posiadała wyspę, która oddzielała ją od reszty mieszkania, a drzwi obok prowadziły do łazienki z ogromnym otwartym prysznicem, w którym dziesięć różnych natrysków odstawało we wszelkie możliwe strony.

– Nie zadajemy pytań o to, kto tu mieszkał przed nami – Noémie powiedziała delikatnie, kiedy pokazała mi łazienkę. – Ale w końcu to tylko prysznic, nie orgia.

– I wy się tu myjecie?

– Nie, tylko się pieprzymy. To część zabawy.

Uśmiechnęłam się wbrew sobie. Fajnie się pracowało z tymi dziewczynami, zawsze rzucały w kuchni dowcipami, docinkami i komplementami, wylewały żale na temat irytujących klientów albo flirtowały z kucharzami i pomocnikami kelnerów. W ciągu ostatnich dwóch tygodni uśmiechałam się więcej niż przez całe życie. Wszystkie wrzuciły swoje torebki do metalowej szafki i przebrały się w piżamy lub to, co za nie służyło, ale nie miały zamiaru kłaść się spać. Whitney wyciągnęła książkę do psychologii, a Amber dwadzieścia kieliszków do wódki i wypełniła je tequilą. Sięgnęłam po jeden, ale Noémie podała mi w zamian większą szklankę z wódką.

– Tequila jest do nauki.

Usiadłam więc na jednej z kanap i patrzyłam, jak Kathryn odczytuje test Amber. Kieliszek za każdą odpowiedź. Jeśli Amber źle odpowiedziała, musiała wypić. Jeśli dobrze – mogła kazać wypić komuś innemu. Pierwszy wręczyła mi, a ja próbowałam się nie zakrztusić kurewsko ohydłą kombinacją tequili i wódki.

Wciąż byłyśmy na nogach, kiedy wzeszło słońce. Noémie, Amber i Whitney poszły na zajęcia, a reszta z nas w końcu położyła się spać. Kiedy obudziłyśmy się wczesnym popołudniem, podpisałam umowę najmu, którą miały na miejscu, i zapłaciłam za pierwszy miesiąc pieniędzmi z napiwków z poprzednich dwóch dni. I tak po prostu przestałam być bezdomną.



– Powiedziałaś, że to był twój trzeci tydzień w mieście – zauważa Victor, zastanawiając się, o które miasto mogło jej chodzić. Jej głos nie zdradza wyraźnego akcentu, nie używa regionalizmów, które mogłyby pomóc ustalić jej pochodzenie. Jest przekonany, że robi to celowo.

– Zgadza się.

– A gdzie byłaś wcześniej?

Zamiast odpowiedzieć, dopija resztkę wody. Ostrożnie stawia pustą butelkę na kancie stołu, po czym opiera się o krzesło i powoli zaczyna pocierać zabandażowanymi dłońmi po ramionach.

Victor wstaje, ściąga kurtkę i obchodzi stół, aby zarzucić ją na jej ramiona. Dziewczyna nieruchomieje, ale Victor uważa, żeby nie dotknąć dłońmi jej skóry. Kiedy wraca na swoją stronę stołu, dziewczyna rozluźnia się na tyle, że wsuwa ręce w rękawy. Kurtka jest na nią za duża, nadmiar tkaniny marszczy się i zwija, ale dziewczynie udaje się wysunąć dłonie z mankietów.

Victor stawia na Nowy Jork. Mieszkania w stylu loftowym, restauracje otwarte do bardzo późna. Poza tym powiedziała „pociągów” zamiast „metra” czy „kolejki” – to coś znaczy, prawda? Musi później skontaktować się z biurem w Nowym Jorku i sprawdzić, czy są w stanie dowiedzieć się czegoś o tej dziewczynie.

– Uczyłaś się gdzieś?

– Nie, tylko pracowałam.

Kiedy ktoś puka w szybę, Eddison wychodzi z pomieszczenia. Dziewczyna patrzy z pewną satysfakcją, po czym znów spogląda na Victora obojętnym wzrokiem.

– Dlaczego postanowiłaś przenieść się do miasta? – pyta. – Nie wygląda na to, żebyś kogoś tam znała ani żebyś miała plan na to, co zrobisz, gdy się tam znajdziesz. Dlaczego pojechałaś?

– A czemu nie? To coś nowego, prawda? Coś innego.

– Coś odległego?

Unosi brew.

– Jak masz na imię?

– Ogrodnik mówił na mnie Maya.

– Ale nie tak nazywałaś się wcześniej.

– Czasem łatwiej było zapomnieć. – Bawi się krawędziami mankietów, zwija je, a potem rozwija szybkimi ruchami. Pewnie niewiele się to różni od zawijania sztuców w serwetki. – Byłam tam, nie miałam szansy na ucieczkę, nie mogłam wrócić do życia, które znałam, więc jaki był sens trzymania się tego imienia? Po co sprawiać sobie więcej bólu wspominaniem tego, czego nie możesz już mieć?

– Chcesz powiedzieć, że zapomniałaś?

– Chcę powiedzieć, że on mówił na mnie Maya.





Do czasu aż mój tatuaż został skończony, nie miałam właściwie kontaktu z innymi dziewczynami, z wyjątkiem Lyonette, która nadal codziennie mnie odwiedzała, żeby ze mną porozmawiać i wmasować maść w moje obolałe plecy. Pozwalała mi przyglądać się swojemu tatuażowi, nie okazując przy tym skrępowania czy obrzydzenia. Teraz był częścią niej jak oddychanie, jak nieświadoma gracia, z jaką się poruszała. Poziom detali był zachwycający i zastanawiałam się, jak bardzo ucierpi misterność wzoru, kiedy nadejdzie pora, aby odświeżyć nasycenie tuszu. Coś jednak powstrzymywało mnie od zadawania pytań. W przypadku dobrego tatuażu mijały lata, zanim zbladł na tyle, że potrzebował korekty. Nie chciałam nawet myśleć o tym, co by oznaczało, gdybym miała tak długo przebywać w Ogrodzie.

Albo gorzej – gdybym nie miała.

W posiłkach, które Lyonette przynosiła mi wraz ze swoimi, wciąż pojawiały się środki nasenne. Co kilka dni budziłam się nie w swoim łóżku, ale na twardej, wyścielonej skórą ławce, podczas gdy Ogrodnik przejeżdżał dłońmi po wcześniej wytatuowanych obszarach, żeby sprawdzić, jak się goją i czy są jeszcze tkliwe. Nigdy nie pozwalał mi na siebie spojrzeć i w przeciwieństwie do ścian mojego pokoju z częściowo odbijającego szkła, ściany z matowego metalu nie dawały mi żadnych szans na to, żebym mogła choćby przelotnie go zobaczyć.

Nucił podczas pracy, co samo w sobie było urocze, ale strasznie klóciło się z mechanicznym bzyczeniem igieł. Zwykle były to złote przeboje: Elvis, Sinatra, Martin, Crosby, czasem nawet Andrews Sister. To był dziwny rodzaj bólu, kiedy

dobrowolnie leżałam pod igłą i pozwalałam mu wypisywać mi na skórze, że jestem jego własnością. Nie wydawało mi się jednak, żebym miała wiele opcji. Lyolette mówiła, że zostaje z każdą dziewczyną do czasu, aż skrzydła będą ukończone. Nie wolno mi było jeszcze chodzić po Ogrodzie, nie wolno mi było szukać sposobu ucieczki. Nie miałam pewności, czy Lyolette wie, że nie ma stąd wyjścia, czy może już jej to nie obchodzi. Pozwoliłam mu więc narysować sobie te przekłete skrzydła. Nigdy nie pytałam, co by się stało, gdybym walczyła, gdybym się sprzeciwiła.

Raz prawie zadałam to pytanie, ale Lyolette pobladła, więc ostatecznie zapytałam o coś innego.

Podejrzewałam, że ma to coś wspólnego z tym, że nigdy nie przeprowadziła mnie przez korytarz, tylko wyprowadzała do samego Ogrodu przez jaskinię za wodospadem. Jeśli znajdowało się tam coś, czego jej zdaniem nie powinnam zobaczyć – albo czego nie chciała mi pokazać, a to dwie kompletnie różne rzeczy – mogłam poczekać. Była to chyba oznaka tchórzostwa. A może pragmatyzm.

Zbliżał się koniec mojego trzeciego tygodnia w Ogrodzie, kiedy skończył.

Cały poranek Ogrodnik był bardziej poważny, skupiony, robił sobie rzadsze i krótsze przerwy. Pierwszego dnia wytatuował wzór na moim kręgosłupie i pracował nad obrysem skrzydeł i żyłkami oraz partiami większych wzorów. Potem zaczął od ich koniuszków i przesuwiał się w stronę kręgosłupa, przemieszczając się rotacyjnie pomiędzy czterema częściami, na jakie podzielił moje plecy, tak żeby żadna z nich nie zrobiła się na tyle obolała, by nie dało się na niej pracować. Nie można było mu zarzucić, że nie jest skrupulatny.

Po jakimś czasie przestał nucić i jego oddechy, gdy wycierał krew i nadmiar tuszu, stały się krótkie i urywane. Dłonie trzęsły mu się nad pracą, choć wcześniej były stabilne. Następnie nałożył mi zimną, lepką masę, którą ostrożnie wmasował w każdy centymetr mojej skóry.

– Jesteś zachwycająca – powiedział ochryłym głosem. – Absolutnie zachwycająca. Będiesz cennym dodatkiem do mojego Ogrodu. A teraz... teraz muszę nadać ci imię.

Jego kciuki gładziły linię mojego kręgosłupa tam, gdzie rozpoczął swoją pracę i gdzie skóra zdołała najlepiej się już wygoić. Wędrowały ku nasadzie mojego karku, by tam wpleść się w moje związane włosy. Wciąż miał na palcach pozostałość tłustej masy, przez co moje włosy zrobiły się matowe i ciężkie. Bez ostrzeżenia pociągnął mnie za nogi, tak że stopami dotknęłam posadzki, ale tułowiem nadal leżałam na skórze ławki. Słyszałam, jak rozpina pasek od spodni i rozsuwa rozporek. Mocno zacisnęłam powieki.

– Maya – stęknął, gładząc mnie dłońmi po bokach. – Teraz jesteś Maya. I należysz do mnie.



Opowieść o tym, co zdarzyło się dalej, przerywa zdecydowane pukanie do drzwi, na które dziewczyna robi przestraszoną, ale i wdzięczną minę.

Victor przeklina pod nosem i zrywa się z krzesła do drzwi, które z impetem otwiera. Eddison pokazuje mu, żeby wyszedł na korytarz.

– Co ci odubiło? – syczy. – Dziewczyna w końcu zaczęła mówić.

– Ekipa przeszukująca gabinet podejrzanego coś znalazła. – Podnosi dużą torbę dowodową pełną praw jazdy i innych dokumentów identyfikacyjnych. – Wychodzi na to, że wszystkie zatrzymał.

– A przynajmniej wszystkie, które przy nich znalazł. – Victor bierze torbę. – Chryste, to dużo dokumentów. – Lekko nimi potrząsa, żeby przebić się przez pierwszą warstwę nazwisk i zdjęć. – Znalazłeś jakiś, który mógłby należeć do niej?

Eddison podaje mu kolejną torebkę, mniejszą, z tylko jedną plastikową kartą. Dowód tożsamości wydany w Nowym Jorku. Victor od razu rozpoznaje dziewczynę ze zdjęcia. Jest nieco młodsza, jej twarz jest delikatniejsza, nawet jeśli jej mina nie.

– Inara Morrissey – czyta, ale Eddison kręci głową.

– Zeskanowaliśmy resztę i nasi ludzie zaczynają sprawdzać dane, ale rozpoczęli od tej. Inara Morrissey jeszcze cztery lata temu nie istniała. Numer ubezpieczenia pasuje do dwuletniej dziewczynki, która umarła w latach siedemdziesiątych. Biuro z Nowego Jorku wysłało kogoś do ostatniego miejsca

zatrudnienia, restauracji o nazwie Gwiazda Wieczorna. Adres na dokumencie pasuje do budynku przeznaczonego do rozbiórki, ale zadzwoniliśmy do restauracji i dostaliśmy prawdziwe dane. Agent, z którym rozmawiałem, zagwizdał, kiedy mi go podał. Podobno to niebezpieczna okolica.

– Sama nam to powiedziała – rzuca Victor w zamyśleniu.

– Bo jest taka wiarygodna i rozmowna.

Nie odpowiada od razu, w skupieniu przyglądając się dowodowi. Wierzy swojemu partnerowi, że jest podrabiany, ale co to za podróbka! Przyznaje sam przed sobą, że w normalnych okolicznościach sam by się na niego nabrał.

– Kiedy przestała pojawiać się w pracy?

– Według jej szefa dwa lata temu. Potwierdzają to zeznania podatkowe.

– Dwa lata... – Oddaje większą torbę i zwija tę, w której znajduje się dowód tożsamości, by móc zmieścić go w kieszeni. – Niech sprawdzą resztę najszybciej jak się da. Pozyskaj techników z innych zespołów, jeśli mogą przerwać to, czym się teraz zajmują. Ustalenie tożsamości dziewczyn w szpitalu to nasz priorytet. Następnie załatw nam po słuchawce, żeby technicy mogli na bieżąco przekazywać nam nowe informacje z biura w Nowym Jorku.

– Jasne. – Eddison krzywi się, spoglądając na zamknięte drzwi. – Naprawdę zaczęła mówić?

– To nie mówienie jest jej problemem – odpowiada Victor z uśmiechem. – Ożeń się, albo jeszcze lepiej: miej nastoletnie córki. Niezła z niej zawodniczka, ale widzę pewne schematy. Trzeba tylko przeanalizować informacje, żeby doszukać się tego, co jest naprawdę ważne. Słuchać tego, co jest niewypowiedziane.

– Nie bez powodu wolę rozmawiać z podejrzanymi niż z ofiarami. – Wraca do pokoju techników, nie czekając na odpowiedź.

Skoro już wyszedł, Victor postanawia skorzystać z okazji i zrobić sobie przerwę. Idzie przez korytarz dziarskim krokiem i wchodzi do pokoju, w którym rezyduje jego zespół. Omijając biurka oraz częściowo zabudowane kubikły, zmierza do rogu pomieszczenia, który służy jako kuchnia i pokój socjalny. Wyciąga z ekspresu dzbanek z kawą i podejrzliwie pociąga nosem. Nie jest gorąca, ale nie pachnie też staro. Napęlnia dwa kubki, które wyglądają na czyste, i wstawia je do mikrofalówki. Podczas gdy się podgrzewają, szpera w lodówce za czymś, co nadaje się jeszcze do zjedzenia.

Tort urodzinowy nie jest może tym, czego mu trzeba, ale da radę. Po chwili niesie w dłoniach dwa papierowe talerze z dużymi kawałkami ciasta oraz kilka saszetek cukru i śmietanki. Zaciska palce na uchwytach kubków i wraca do pokoju techników.

Eddison robi niezadowoloną minę, ale przytrzymuje mu talerze, żeby Victor mógł włożyć sobie słuchawkę do ucha. Nie stara się ukryć kabla – dziewczyna jest na to za bystra. Kiedy słuchawka wygodnie leży, Victor przejmuje talerze i wraca

do pokoju przesłuchań.

Dziewczyna jest zaskoczona tortem, na co Victor skrycie się uśmiecha, kiedy przesuwa talerz i kubek po powierzchni stołu z nierdzewnej stali.

– Pomyślałem, że może jesteś głodna. Nie wiem, jaką kawę pijesz.

– Nie piję, ale dziękuję. – Upija łyk czarnej kawy, krzywi się, ale przełyka i bierze następny.

Victor czeka, aż dziewczyna wypełni usta różą z czerwonego lukru.

– Opowiedz mi o Gwieździe Wieczornej, Inaro.

Dziewczyna nie krztusi się, nie wzdyga, ale na ułamek chwili zastyga w całkowitym bezruchu. Mija to jednak tak szybko, że gdyby ktoś bacznie się jej nie przyglądał, przeoczyłby to. Inara przełyka kęs i oblizuje lepkie od lukru usta, pozostawiając na nich błyszczące, czerwone smugi.

– To restauracja, ale tyle pewnie wiesz.

Victor wyciąga z kieszeni dowód osobisty w foliowej torebce i kładzie go na stole. Dziewczyna stuka w plastik paznokciem, po czym podnosi go, na moment zasłaniając swoje zdjęcie.

– Zatrzymał je? – pyta z niedowierzaniem. – To się wydaje...

– Nierozsądne?

– Właśnie. – Dziewczyna marszczy czoło w zamyśleniu i składa razem dłonie, zasłaniając w ten sposób swój dowód. – Zatrzymał je wszystkie?

– Na to wygląda.

Kręci kawą w kubku i wpatruje się w maleńki wir płynu.

– Ale Inara to taki sam wytwór jak Maya, prawda? – agent pyta łagodnie. – Ani twoje nazwisko, ani twoje imię nie są prawdziwe.

– Są *wystarczająco* prawdziwe – Inara poprawia go cichym głosem. – Prawdziwe na tyle, na ile trzeba.

– Prawdziwe na tyle, by załatwić ci pracę i miejsce do spania. Ale co było wcześniej?



Jedną z miłych rzeczy w Nowym Jorku jest to, że nikt nigdy nie zadaje pytań. To po prostu jest jedno z tych miejsc, do których ludzie uciekają, rozumiesz? To marzenie, to cel, to miasto, gdzie znikasz pośród milionów innych ludzi, którzy robią to samo co ty. Nikogo nie obchodzi, skąd pochodzisz albo dlaczego wyjechałeś, bo wszyscy są zbyt skupieni na sobie, na tym, czego chcą i gdzie zmierzają. Nowy Jork ma bogatą historię, ale tych, którzy w nim mieszkają, interesuje jedynie przyszłość. Nawet jeśli pochodzisz z Nowego Jorku, możesz zaszyć się w innej dzielnicy i nikt nigdy cię nie znajdzie.

Wsiadłam do autobusu do Nowego Jorku, mając ze sobą wszystkie swoje rzeczy spakowane w sportową torbę i walizkę. Znalazłam jadłodajnię dla ubogich, której pracownicy pozwalali mi spać w klinice na piętrze, o ile pomagałam im rozdawać jedzenie w ciągu dnia. Jeden z wolontariuszy opowiedział mi o gościu, który właśnie podrobił dokumenty dla jego żony, nielegalnej imigrantki z Wenezueli. Zadzwoiłam pod numer, który mi podał, i następnego dnia siedziałam przed biblioteką pod figurą lwa, czekając na kompletnie nieznanego mi człowieka.

Nie wzbudzał zbyt wiele zaufania, kiedy w końcu się pojawił, półtorej godziny po umówionej porze. Był przeciętnego wzrostu, chudy, ubrania miał sztywne od potu i innych plam, którym nie miałam ochoty się przyglądać. Jego proste włosy powoli zamieniały się już w dready, a on sam co chwilę pociągał nosem i rzucał spojrzenia we wszystkie strony za każdym razem, gdy ocierał rękawem swój czerwony nos. Może był genialnym fałszerzem, nie było jednak

trudno się domyślić, na co wydawał pieniądze.

Nie zapytał mnie o nazwisko, chciał znać tylko to, które miało się znaleźć na dokumencie. Datę urodzenia, adres, czy ma to być prawo jazdy, czy dowód osobisty, czy chcę być dawcą organów. Kiedy rozmawialiśmy, weszliśmy do biblioteki, a kiedy doszliśmy do banneru, na którym znajdował się biały fragment, postawił mnie pod ścianą i zrobił zdjęcie. Wysiliłam się przed przyjściem pod bibliotekę, kupiłam nawet trochę kosmetyków do makijażu, wiedziałam więc, że mogłabym uchodzić za dziewiętnastolatkę. Wszystko zależy od oczu. Jeśli widziało się w życiu wystarczająco dużo, po prostu wygląda się starzej, bez względu na to, jak prezentuje się reszta twojej twarzy.

Kazał mi przyjść wieczorem pod wskazany stragan z hot dogami, twierdząc, że będzie miał wtedy to, czego potrzebuję. Kiedy znów się spotkaliśmy – znów się spóźnił – podał mi kopertę. Taka mała rzecz, a wystarczała, by odmienić czyjeś życie. Powiedział, że chce za to tysiąka, ale weźmie tylko połowę, jeśli się z nim prześpię.

Zapłaciłam pełną kwotę.

Odszedł w jedną stronę, a ja w drugą i kiedy wróciłam do hostelu, gdzie planowałam spędzić noc – z dala od jadłodajni i wszystkich osób kojarzących dziewczynę, której ktoś dał namiar na fałszerza dokumentów – otworzyłam kopertę i po raz pierwszy przyjrzałam się Inarze Morrissey.



– Dlaczego nie chciałaś zostać odnaleziona? – pyta Victor, używając długopisu jako łyżeczki, aby rozmieszać śmietankę do kawy.

– Nie martwiłam się tym, że ktoś mnie odnajdzie. Aby ktoś mógł cię znaleźć, musi cię najpierw szukać.

– A dlaczego ktoś miałby cię nie szukać?

– Tęsknię za Nowym Jorkiem. Nikt nie zadawał mi tam tylu pytań.

Victor słyszy w uchu szum i jeden z techników otwiera linię.

– *Nowy Jork podaje, że zdała test GED[1] jakieś trzy lata temu. Miała wzorowe wyniki, ale nigdy nie zapisała się na SAT[2] ani nie poprosiła, żeby jej wyniki zostały przesłane na uczelnię albo do pracodawcy.*

– Rzuciłaś szkołę? – pyta. – Czy zdałaś GED, żeby nie musieć pokazywać nikomu świadectwa?

– Skoro macie moje nazwisko, łatwiej wam grzebać w moim życiu, co? – Kończy jeść tort i układa widelec na talerzu pod zgrabnym kątem, ząbkami do dołu. Papier szeleści, kiedy rozrywa jedną z torebek z cukrem i wysypuje jej zawartość na talerz. Oblizuje jedyny nieobandażowany po koniuszek palec i dociska go do cukru, po czym wsadza do ust. – Ale to mówi wam coś tylko o Nowym Jorku.

– Wiem, dlatego musisz mi powiedzieć o tym, co zdarzyło się wcześniej.

– Podobało mi się bycie Inarą.

– Ale naprawdę nią nie jesteś – mówi delikatnym tonem, na co w jej oczach pobłyskuje złość. Znika równie szybko jak jej niepełne uśmiechy i zaskoczenie, nie znaczy to jednak, że jej nie było.

– A więc róża pod inną nazwą nie byłaby różą?

– To język, a nie tożsamość. To, kim jesteś, to nie nazwisko, ale osobista historia. I muszę poznać twoją.

– Dlaczego? Moja historia nic ci nie powie o Ogrodniku, a czy nie o niego tu właśnie chodzi? O Ogrodnika i jego Ogród? O jego Motyle?

– Jeśli przeżyje i będzie można postawić go przed sądem, to musimy dostarczyć ławie przysięgłych wiarygodnego świadka. Młoda kobieta, która nie chce nawet powiedzieć, jak się naprawdę nazywa, na niewiele się zda.

– To tylko nazwisko.

– Nie, jeśli jest twoje.

Na jej ustach znów pojawia się ten niemal niezauważalny uśmiech.

– Bliss też tak mówiła.

– Bliss?





Lyonette jak zawsze stała przed studium tatuazu, grzecznie odwracając wzrok do chwili, aż z powrotem włożyłam ponętną czarną sukienkę, która stała się moim jedynym ubiorem.

– Zamknij oczy – powiedziała. – Przejdźmy przez to etapami.

Tak długo zamykałam oczy, będąc w studiu, że na myśl o tym, iż znów miałabym dobrowolnie nie widzieć, po plecach przeszły mi ciarki. Ale jak na razie Lyonette dobrze się o mnie troszczyła, bez wątpienia z innymi dziewczynami postępowała podobnie. Postanowiłam więc jeszcze trochę jej zaufać. Kiedy zamknęłam oczy, wzięła mnie za rękę i poprowadziła korytarzem w przeciwnym kierunku niż zwykle. To był długi korytarz, na którego końcu skręciłyśmy w lewo. Prawą dłonią przejeżdżałam po szklanych ścianach i za każdym razem, gdy mijałyśmy jedno z otwartych wejść, moja ręka opadała.

Wtedy skierowała mnie do jednego z nich i ustawiła w odpowiednim według niej miejscu, kładąc mi na ramionach swoje łagodne dłonie. Poczułam, jak robi krok w tył.

– Otwórz oczy.

Stała przede mną w pokoju, który wyglądał niemal identycznie jak mój. Ten miał pewne osobiste elementy: figurki origami na półce nad łóżkiem, pościel, koce i poduszki, zasłony w kolorze dyni odgradzające toaletę, umywalkę i prysznic. Spod największej poduszki wystawał róg książki, a w przestrzeni pod łóżkiem ciągnęły się szuflady.

– Jakiego nadał ci imię? – zapytała.

– Maya. – Powstrzymałam dreszcz, który wzbudziło u mnie wypowiedzenie tego słowa po raz pierwszy i wspomnienie, jak on powtarzał je w kółko, podczas gdy...

– Maya – Lyonette powtórzyła słowo, które wywoływało w mojej głowie taki zamęt. – Spójrz na siebie, Mayu. – Podniosła lustro i ustawiła je tak, abym mogła się przejrzeć w drugim, znajdującym się za mną.

Spore partie moich pleców wciąż były różowe, podrażnione i spuchnięte wokół świeżego tuszu, który jak wiedziałam, nie będzie już taki ciemny, kiedy złuszczy mi się skóra. Na moich bokach widać było odciski palców, tam gdzie tkanina odsłaniała skórę, nic jednak nie było w stanie zasłonić wzoru. Był ohydny i straszny.

I piękny.

Górna część skrzydeł była złotobrazowa, rudawa jak włosy i oczy Lyonette, usiana w różnych miejscach plamkami w kolorze czerni, bieli i głębokiego brązu. W dolnej części skrzydeł dominowały odcienie różu i fioletu, również przetykane czarnymi i białymi wzorami. Misterność detali była zadziwiająca, a delikatne różnice koloru sprawiały wrażenie, jakby skrzydła składały się z odrębnych łusek. Kolory były głębokie, nasycone i wypełniały niemal całe moje plecy, od szczytów ramion po miejsce nieco poniżej bioder. Skrzydła były wysokie i wąskie, a zewnętrzne krawędzie ledwie zachodziły mi na boki.

Nie można było zaprzeczyć artystycznej wartości dzieła. Cokolwiek by o nim powiedzieć, Ogrodnik zdecydowanie miał talent.

Nienawidziłam tego tatuażu, ale był piękny.

W wejściu pojawiła się głowa dziewczyny, a zaraz po niej jej drobniutka sylwetka. Miała metr pięćdziesiąt w kapeluszu, ale przy jej kobiecych krągłościach nikt nie wziąłby jej za dziecko. Miała nieskazitelną, chłodną, bladą cerę, ogromne fiołkowoniebieskie oczy i burzę drobnych czarnych loków chaotycznie spiętych na czubku głowy. Składała się z uderzających kontrastów. Zgrabny nosek czynił ją bardziej uroczą niż piękną, ale jak wszystkie dziewczyny, które przelotnie widziałam w Ogrodzie, była zachwycającej urody.

Piękno traci swoje znaczenie, kiedy zbyt wiele go cię otacza.

– A więc to jest ta nowa. – Klapnęła na łóżko i przytuliła do piersi małą poduszkę. – Jak cię nazwał ten pojeb?

– On cię może usłyszeć – zgaśniła ją Lyonette, ale dziewczyna na łóżku tylko wzruszyła ramionami.

– I dobrze. Nigdy nas nie prosił, żebyśmy go kochały. No to jakie nadał ci imię?

– Maya – powiedziałam równocześnie z Lyonette i słowo to zabrzmiało nieco mniej okropnie. Zastanawiałam się, czy to się utrzyma i z czasem to słowo w ogóle nie będzie boleć, czy może zawsze będzie jak małe ukłucie, drzazga, której

nie da się wyciągnąć pęsetą.

– No to nawet nieźle. Zasaraniec dał mi na imię Bliss, czyli radość. – Przewróciła oczami i prychnęła. – Bliss! Czy ja wyglądam na radosną? Obejrzyjmy cię. – Zaczęła obracać palcem w powietrzu i w tej chwili nieco przypomniała mi Hope. Z tą myślą powoli się odwróciłam, aby pokazać jej swoje plecy. – Nieźle. Kolory ci pasują. Będziemy musiały sprawdzić, co to za gatunek.

– To *Callophrys eryphon* – westchnęła Lyonette. Wzruszyła ramionami, kiedy spojrzałam na nią z ukosa. – Taki mam zwyczaj. Może dzięki temu to wszystko jest nieco mniej okropne. Na moich plecach jest *Lycaena cupreus*.

– A na moich *Myscelia ethusa* – dodała Bliss. – Dość ładny. To znaczy okropny, ale ostatecznie to nie ja muszę na niego patrzeć. A wracając do imienia. Mógłby nazywać nas A, B albo Trzy, nie miałyby to znaczenia. Odpowiadaj na swoje imię, ale nie udawaj, że w jakiś sposób jest twoje. W ten sposób to mniej mylące.

– *Mniej mylące?*

– No pewnie! Pamiętaj, kim jesteś, a potem odgrywaj rolę. Jeśli zaczniesz myśleć, że to imię to ty, dopadnie cię kryzys tożsamości. Kryzys tożsamości zwykle prowadzi do załamania, a załamanie w tym miejscu zwykle prowadzi do...

– Bliss.

– Co? Wygląda na to, że da sobie radę. Jeszcze nie płacze, a wszystkie wiemy, co on robi, kiedy skończy tatuować.

Jak Hope, tylko o wiele mądrzejsza.

– To do czego prowadzi załamanie?

– Przejdź się korytarzami, tylko nie po jedzeniu.



– Przed chwilą przeszłaś korytarzami – przypomina jej Victor.

– Z zamkniętymi oczami.

– No to co było w korytarzu?

Dziewczyna kręci resztką kawy w kubku, zamiast odpowiedzieć, spoglądając na niego tak, jakby już powinien się domyślić.

Victor znów słyszy w uchu szum i trzask.

– *Ramirez właśnie zadzwoniła ze szpitala – mówi Eddison. – Przesyła zdjęcia tych, które według lekarzy mają największe szanse na przeżycie. Biuro Osób Zaginionych miało trochę szczęścia. Spośród tych w szpitalu i tych, które w ostatnich godzinach trafiły do kostnicy, udało im się zidentyfikować prawie połowę. Mamy też pewien problem.*

– Jaki problem?

Dziewczyna gwałtownie spogląda na Victora.

– *Jedna z rozpoznanych dziewczyn pochodzi z wpływowej rodziny. Nadal przedstawia się jako Ravenna, ale odciski palców pasują do Patrice Kingsley.*

– Zaginiona córka senator Kingsley?

Inara opiera się na krześle z wyraźnie rozbawioną miną. Victor nie jest pewien, co ją tak śmieszy w informacji, która może wszystko potwornie skomplikować.

– Czy senator została już poinformowana?

– *Jeszcze nie – odpowiada Eddison. – Ramirez chciała nas najpierw uprzedzić. Senator Kingsley rozpaczliwie próbowała odnaleźć swoją córkę, Vic.*

*Nie ma szans, żeby nie starała się wmieszać w dochodzenie.*

A kiedy to nastąpi, jakakolwiek dyskrecja, jaką mogli zagwarantować tym dziewczynom, prysnie jak bańka mydlana. Ich twarze zostaną pokazane przez wszystkie stacje telewizyjne w kraju. A Inara... Victor ze znużeniem pociera powieki. Jeśli senator się dowie, że mają podejrzenia co do tej nad wyraz opanowanej młodej kobiety, to nie spocznie, dopóki nie zostaną jej postawione zarzuty.

– Powiedz Ramirez, żeby próbowała wstrzymać senator, ile tylko się da – mówi w końcu. – Potrzebujemy czasu.

– *Przyjąłem.*

– Przypomnij mi, jak długo była zaginiona?

– *Cztery i pół roku.*

– Cztery i pół roku?

– Ravenna – szepcze Inara, na co Victor wlepia w nią wzrok. – Żadna z nas nie zapomina, jak długo tam przebywa.

– Dlaczego?

– To wszystko zmienia, prawda? Skoro w sprawę wmieszana jest senator.

– To wszystko zmienia także i dla ciebie.

– Oczywiście, że tak. Jak mogłoby być inaczej?

Ona wie, z zaniepokojeniem zdaje sobie sprawę Victor. Może nie zna konkretów, ale wie, że podejrzewają ją o jakiegoś rodzaju współudział. Victor próbuje ocenić rozbawienie, które widzi w jej oczach, cyniczny grymas na ustach. Czuje się nieco zbyt pewnie z tą nową informacją.

W takim razie czas zmienić temat, zanim agent całkiem straci przewagę.

– Powiedziałaś, że dziewczyny z mieszkania były twoimi pierwszymi przyjaciółkami.

Inara wierci się na krześle.

– Tak – odpowiada z niepokojem.

– Dlaczego?

– Ponieważ wcześniej nie miałam żadnych przyjaciół.

– Inaro.

Dziewczyna reaguje na ten ton głosu w taki sam sposób jak jego córki – instynktownie, niechętnie, gdy zdaje sobie z tego sprawę o chwilę za późno, i lekkim dąsem.

– Jesteś w tym dobry. Masz dzieci?

– Trzy córki.

– A mimo to robisz karierę na dzieciach po przejściach.

– Na próbie pomocy dzieciom po przejściach – poprawia ją. – Na staraniu się, by dzieci po przejściach zaznały sprawiedliwości.

– Naprawdę sądzisz, że dzieci po przejściach liczą na sprawiedliwość?

- Ty nie?
- Właściwie nigdy na to nie liczyłam. Sprawiedliwość jest w najlepszym wypadku rzeczą wadliwą i niczego nie naprawia.
- Mówiłabyś tak, gdybyś została sprawiedliwie potraktowana w dzieciństwie?
- Znów niepełny, gorzki uśmiech, który zbyt szybko znika.
- A za co niby miałabym otrzymać tę sprawiedliwość?
- Sądzisz, że nie jestem w stanie rozpoznać dziecka po przejściach pod swoim nosem, mimo że zajmuję się nimi zawodowo?
- Dziewczyna nachyliła głowę, aby przyznać mu rację, ale po chwili przygryza wargi i krzywi się.
- To nie do końca trafna diagnoza. Powiedzmy, że byłam zaniedbanym dzieckiem, spychanym na margines uwagi, a nie po przejściach. Jestem misiem, na którym zbierają się pod łóżkiem kłęby kurzu, a nie żołnierzykiem bez nogi.
- Victor uśmiecha się nieznacznie i upija łyk stygnącej kawy. Dziewczyna znów wróciła do swoich uników. Bez względu na to, w jak wielkie zakłopotanie wprawia to Eddisona, Victor porusza się po znajomym terenie.
- W jakim sensie?



Czasem, gdy widzisz czyjś ślub, z pewnym poczuciem rezygnacji jesteś

w stanie stwierdzić, że dzieci, które przyjdą na świat z tego małżeństwa, będą miały w życiu kompletnie przerwane. To stan rzeczy, nie przecucie, ponura akceptacja faktu, że tych dwoje ludzi nie powinno mieć potomstwa, choć prawdopodobnie będzie je mieć.

Tak jak moi rodzice.

Moja matka miała dwadzieścia dwa lata, kiedy poślubiła mojego ojca. To było jej trzecie małżeństwo. Po raz pierwszy wyszła za brata ówczesnego męża swojej matki. Zmarł niespełna rok później na zawał serca, kiedy uprawiali seks. Zostawił jej niezłą sumę, więc kilka miesięcy później wyszła za człowieka jedynie piętnaście lat starszego od siebie i kiedy rozwiedli się po roku, wyszła z tego jeszcze bogatsza. Potem pojawił się mój ojciec i gdyby nie zaszła z nim w ciążę, do ślubu pewnie by nie doszło. Był przystojny, ale nie miał zbyt wielu pieniędzy ani perspektyw, a dodatkowo był jedynie dwa lata starszy od niej, co dla mojej matki było serią bardzo poważnych zastrzeżeń.

To znów zasługa *jej* matki, która miała dziewięciu mężów, zanim z powodu wczesnej menopauzy podjęła decyzję, że jest już zbyt wysuszona, by znów wychodzić za męża. Każdy z jej mężów umarł, każdy szybciej od poprzedniego. I to bez niczyjej ingerencji. Oni po prostu... umierali. Większość z nich była w bardzo zaawansowanym wieku i każdy zostawił jej po sobie sporą sumkę, więc moja mama wychowywała się z pewnymi oczekiwaniami, a jej trzeci mąż nie spełniał żadnego z nich.

Muszę jednak oddać im jedno: naprawdę się starali. Przez pierwszych kilka lat mieszkaliśmy w pobliżu rodziny ojca: kuzynów, ciotek i wujków, i jak przez mgłę pamiętam, jak bawiłam się z innymi dziećmi. Potem się przeprowadziliśmy i w jakiś sposób więzy rodzinne się rozluźniły, a ja zostałam sama z rodzicami i ich licznymi romansami. Zawsze albo odwiedzali swoich obecnych kochanków, albo zaszywali się w swoich sypialniach, stałam się więc dość samowystarczalnym dzieckiem. Nauczyłam się używać mikrofalówki, nauczyłam się na pamięć rozkładu jazdy autobusów, żebym mogła dojechać do sklepu spożywczego, zaczynałam się w dni tygodnia, kiedy rodzice mogli mieć w portfelu jakąś gotówkę, i podbierałam im forszę, żebym mogła kupić w sklepie coś do jedzenia.

Można by się spodziewać, że wyglądało to dziwnie, co? Ale za każdym razem, kiedy ktoś w sklepie zaczynał zadawać pytania – zatroskana klientka czy kasjer – mówiłam, że mama została w samochodzie z dzidziusiem, żeby nie wyłączać klimatyzacji. Wierzyli w to nawet w zimie i uśmiechali się do mnie, mówiąc, jaka to ze mnie wspaniała córka i siostra.

Nie tylko byłam więc samowystarczalna, ale miałam też dość kiepskie zdanie o inteligencji większości dorosłych. Miałam sześć lat, kiedy rodzice postanowili pójść na terapię małżeńską. Nie spróbować, ale pójść. Ktoś w pracy ojca powiedział mu, że jego ubezpieczenie ją pokryje, a coś takiego lepiej wygląda

w sądzie podczas rozwodu. Jedną z rzeczy, jaką kazał im zrobić terapeuta, był wyjazd na rodzinną wycieczkę tylko we trójkę, w jakieś rozrywkowe i szczególnie miejsce. Na przykład do lunaparku.

Dojechaliśmy tam w okolicach dziesiątej i przez pierwszych kilka godzin wszystko było w porządku. A potem poszliśmy na karuzelę. Nienawidzę, kurwa, karuzeli. Tata stał przy wyjściu i czekał, aż wysiądę, mama stała przy wejściu i pomogła mi wsiąść. Stali tak po przeciwnych stronach i patrzyli, jak jeżdżę w kółko. Byłam za mała, żeby chwycić się żelaznych uchwytów, a grzbiet konia był tak szeroki, że bolały mnie biodra, ale jeździłam w koło i w koło, i patrzyłam, jak mój ojciec oddala się z drobną Latynoską. Przy następnym okrążeniu zauważyłam, że matka odchodzi z roześmianym rudzielcem w roboczym kombinezonie.

Miły starszy chłopiec pomógł mi zsiąść z konia, po tym jak najpierw ściągnął na dół swoją młodszą siostrę, i trzymał mnie za rękę, gdy szliśmy do wyjścia. Chciałam zostać z jego rodziną, być młodszą siostrą kogoś, kto jeździ z tobą na karuzeli i trzyma cię za rękę, gdy razem wracacie do uśmiechniętych rodziców, którzy patrzą na ciebie z góry i pytają, czy ci się podobało. Ale doszliśmy do bramki przed karuzelą, podziękowałam mu i pomachałam do jakiejś kobiety wpatrzonej w komórkę, żeby chłopiec myślał, że znalazłam swoją mamę, a potem patrzyłam, jak wraca ze swoją siostrą do mamy i taty, którzy ucieszyli się na ich widok.

Resztę dnia spędziłam, włócząc się po parku i chowając przed ochroną, ale słońce zaczęło zachodzić, a ja wciąż nie znalazłam żadnego z moich rodziców. Ochrona w końcu mnie zauważyła i posadziła pod ścianą płaczu. To znaczy oni to nazywali salą zagubionych. Dzwonili do rodziców, którzy wcześniej zgłosili zaginięcie dziecka, żeby przyszli po swoje zguby. Były tam i inne dzieci, które zostały zapomniane, zgubiły się albo ukryły.

Wtedy usłyszałam, jak jedna z funkcjonariuszek wspomniała o izbie dziecka. A dokładnie powiedziała, że trzeba będzie przekazać tam wszystkie dzieci, które nie zostaną odebrane do dwudziestej drugiej. Moi najbliżsi sąsiedzi byli rodzicami zastępczymi i na myśl, że mogłabym zamieszkać z ludźmi takimi jak oni, włos jeżył mi się na głowie. Na szczęście jedno z młodszych dzieci się posikało i wywołało takie zamieszanie, że wszyscy zaczęli się koło niego kręcić i je uspokajać, a mnie udało się wymknąć i wrócić do parku.

Trochę mi to zajęło, ale w końcu znalazłam główną bramę i wyszłam na zewnątrz, nie zwracając niczyjej uwagi – dołączyłam do szkolnej wycieczki, która na jakiś czas utknęła na jednej z karuzel, a potem uciekłam na parking. Przejście przez wszystkie parkingi do stacji benzynowej, która nadal była jasno oświetlona, zajęło mi ponad godzinę. Nadal miałam prawie wszystkie pieniądze na słodycze, jakie wcześniej tata wcisnął mi do kieszeni, zadzwoniłam więc do nich na komórki,



potem na telefon domowy, a ponieważ nic innego nie przychodziło mi do głowy, zadzwoniłam też do sąsiada.

Była już prawie dziesiąta wieczorem, ale wsiadł w samochód i przyjechał po mnie, co zajęło mu dwie godziny w jedną stronę i dwie godziny w drugą. W moim domu nie paliły się światła.



– To ten sąsiad prowadził rodzinę zastępczą? – pyta Victor, gdy dziewczyna robi pauzę, by oblizać spieczone usta. Agent sięga po pustą butelkę, podnosi ją w stronę weneckiego lustra i nie opuszcza, aż jeden z techników mówi, że Eddison zaraz przyjdzie.

– Tak.

– Ale bezpiecznie odwiózł cię do domu, dlaczego więc na myśl o mieszkaniu z nim włos jeżył ci się na głowie?

– Kiedy zatrzymaliśmy się przed jego domem, powiedział mi, że muszę mu podziękować za to, że po mnie przyjechał, liżąc jego lizaka.

Plastikowa butelka trzeszczy na znak protestu, kiedy Victor miażdży ją w dłoni.

– Chryste.

– Kiedy przyciągnął moją głowę do swojego krocza, włożyłam sobie palec do gardła i zwymiotowałam na niego. Nacisnęłam też na klakson, żeby jego żona

wyszła przed dom. – Otwiera kolejną torebkę cukru i wysypuje sobie połowę do ust.  
– Jakiś miesiąc później aresztowali go za molestowanie, a ona się wyprowadziła.

Drzwi się otwierają i Eddison rzuca przez nie dziewczynie nową butelkę wody. Zgodnie z protokołem powinien sam zdjąć nakrętkę – zagrożenie udławieniem – ale w drugiej ręce ma stertę zdjęć i pod łokciem torbę z dokumentami, które kładzie na stole.

– Nie mówiąc prawdy – mówi wściekle – chronisz mężczyznę, który to zrobił.

Inara miała rację – co innego patrzeć na coś, a co innego o tym czytać. Victor powoli wypuszcza powietrze, próbując zdusić w sobie odruch obrzydzenia. Podnosi pierwsze zdjęcie ze sterty, potem drugie, trzecie, czwarte. Wszystkie przedstawiają korytarze zniszczonego ogrodowego kompleksu.

Inara zatrzymuje go przy siódmym i bierze od niego zdjęcie, aby przyjrzeć się mu z bliska. Kiedy kładzie je z powrotem na stos, gładzi palcem rudawy kształt na środku fotografii.

– To Lyonette.

– To twoja przyjaciółka?

Jej zabandażowany palec powoli przemieszcza się po linii szkła na zdjęciu.

– Tak – szepcze. – Moja przyjaciółka.



O urodzinach, tak jak o imionach, najlepiej było w Ogrodzie zapomnieć. Gdy poznałam resztę dziewczyn, dowiedziałam się, że wszystkie są dość młode, choć nie pytało się tu o wiek. Nie wydawało się to po prostu konieczne. W pewnym momencie wszystkie umrzemy, a korytarze co dzień przypominały nam jak, czemu więc dolewać oliwy do ognia?

Aż do Lyonette.

Przebywałam w Ogrodzie od sześciu miesięcy i choć zaprzyjaźniłam się ze wszystkimi dziewczynami, najbliższą byłam z Lyonette i Bliss. Były do mnie najbardziej podobne, bo nie miały ochoty na dramat, łzy i lamentowanie nad naszym nieuniknionym, tragicznym końcem. Nie chowałyśmy się przed Ogrodnikiem, nie podlizywałyśmy się mu, jak gdyby bycie jego ulubienicą miało w jakiś sposób odmienić nasz los. Staraliśmy się jakoś znieść to, co musiałyśmy, a potem zajmować się sobą.

Ogrodnik nas ubóstwiał.

Z wyjątkiem posiłków, które podawano o konkretnych porach, nigdy nie musiałyśmy nigdzie być, więc większość dziewczyn chodziła z pokoju do pokoju, szukając pocieszenia. Kiedy Lyonette poprosiła mnie i Bliss, abyśmy zostały u niej na noc, nie wzbudziło to moich podejrzeń. Często tak robiłyśmy. Powinnam była rozpoznać desperację w jej głosie, nerwowość jej słów, ale była to kolejna rzecz, na którą Ogród czynił nas głuche. Podobnie jak piękno, rozpacz i strach były tu jak powietrze.

Dostałyśmy ubrania do noszenia w ciągu dnia – zawsze czarne, zawsze z dekoltem na plecach, żeby widać było nasze skrzydła – nie miałyśmy jednak nic do spania. Większość z nas po prostu spała w majtkach i marzyła o staniku. Hostel i mieszkanie były dla mnie dobrą zaprawą. Miałam o wiele mniej skromności niż większość dziewczyn, które pojawiły się po mnie w Ogrodzie. Jedno upokorzenie mniej, które mogłoby mnie złamać.

Ułożyłyśmy się we trzy na materacu, czekając, aż wyłączą się światła, ale stopniowo zdałyśmy sobie sprawę, że Lyonette się trzęsie. Nie tak, jakby miała napad padaczki czy coś. To był tylko dreszcz, który przebiegał pod jej skórą, elektryzując każdą część ciała. Siadłam prosto i wzięłam ją za rękę, splatając nasze palce.

– Co się stało?

W jej złotych oczach błyszczały łzy, na co poczułam nagły napływ mdłości. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby Lyonette płakała. Nienawidziła łez, zwłaszcza u siebie.

– Jutro są moje dwudzieste pierwsze urodziny – szepnęła.

Bliss pisnęła i objęła mocno naszą przyjaciółkę, chowając twarz w jej ramieniu.

– Kurwa, Lyon, tak mi przykro!

– Czyli mamy datę przydatności, tak? – zapytałam cicho. – Dwadzieścia jeden?

Lyonette objęła Bliss i mnie z rozpaczliwą siłą.

– Nie wiem... nie wiem nawet, czy powinnam walczyć, czy nie. I tak umrę, ale w jakiś sposób chcę, żeby nie poszło mu łatwo. Tylko co, jeśli stawianie oporu sprawi, że będę bardziej cierpieć? Cholera, czuję się jak tchórz, ale jeśli muszę umrzeć, to nie chcę nic czuć!

Zalała się łzami, a ja pożałowałam, że nie jest to jeden z tych momentów, kiedy szkło zasłaniały pełne ściany, które uwięziłyby nas w tej małej przestrzeni i nikt na korytarzu nie słyszałby jej płaczu. Lyonette miała wśród dziewczyn reputację silnej, a ja nie chciałam, żeby pamiętały ją jako słabą, kiedy już odejdzie. Zazwyczaj pełne ściany pojawiały się we dwa poranki w tygodniu – nazywałyśmy to weekendem, choć nie miał z tym nic wspólnego – aby prawdziwi ogrodnicy mogli się zająć utrzymaniem naszego pięknego więzienia. Zatrudniona pomoc nigdy nas nie widziała, a wiele par zamkniętych drzwi gwarantowało, że nigdy nas też nie usłyszała.

Nie, moment. Ściany spuszczano też, kiedy pojawiały się nowe dziewczyny. Albo kiedy któraś umarła.

Nie lubiliśmy, kiedy spuszczano ściany. Żal, że ich nie ma, był czymś dość nietypowym.

Zostałyśmy z Lyonette całą noc, jeszcze długo po tym, jak zasnęła wyczerpana płaczem i obudziła się, by znów wybuchnąć łzami. Około czwartej przebudziła się na tyle, by pójść pod prysznic. Pomogłyśmy jej umyć włosy, rozczesać je i zapleść w warkocz wokół głowy, który wyglądał jak korona. W jej szafie wisiała nowa sukienka z jedwabiu w bursztynowym kolorze, przetykana połyskującymi złotymi nitkami, które wydawały się migotać jaskrawo jak ogień pośród czerni pozostałych ubrań. Kolor sprawiał, że na tle jej jasnobrązowej skóry skrzydła wydawały się żarzyć: jaskrawy, dyniowy pomarańcz ze złotymi i żółtymi plamkami, znajdującymi się najbliżej czarnych plamek i obrębionych na biało czarnych linii na samych koniuszkach. Otwarte skrzydła motyla *Lycaena cupreus*.

Ogrodnik przyszedł po nią tuż przed świtem.

Miał nienaganną sylwetkę, wzrost ponad średnią, był dobrze zbudowany. Typ mężczyzny, który zawsze wyglądał o dziesięć do piętnastu lat młodziej. Jego ciemnoblonde włosy były zawsze starannie uczesane i dobrze przystrzyżone, odcień jego bladzielonych oczu kojarzył się z morzem. Nie podlegało dyskusji, że jest przystojnym mężczyzną, nawet jeśli na jego widok skręcało mnie w żołądku. Nigdy wcześniej nie widziałam go ubranego całkowicie na czarno. Stał w drzwiach, trzymając kciuki zatknięte za kieszenie spodni, i tylko na nas patrzył.

Biorąc głęboki wdech, Lyonette mocno uściskała Bliss i szepnęła jej coś do ucha, nim pocałowała ją na pożegnanie. Następnie zwróciła się do mnie i objęła tak

mocno, że aż poczułam ból.

– Nazywam się Cassidy Lawrence – szepnęła tak cicho, że ledwie mogłam ją usłyszeć. – Błagam, nie zapomnij o mnie. Niech on nie będzie jedynym człowiekiem, który mnie zapamięta. – Ucałowała mnie, zamknęła oczy i poszła za Ogrodnikiem.

Bliss i ja spędziłyśmy resztę poranka w pokoju Lyonette, przeglądając nieliczne prywatne skarby, jakie udało się jej zebrać w ciągu tych ostatnich pięciu lat. Była tu pięć *lat*. Ściągnęłyśmy zasłony i złożyłyśmy je razem z pościelą w zgrabną kostkę, którą zostawiłyśmy na skraju gołego materaca. Okazało się, że książką trzymaną pod poduszką była Biblia, w której zapisała pomiędzy wierszami pięć lat wściekłości, rozpacz i nadziei. Miała wystarczająco dużo zwierząt origami, żeby obdarować wszystkie dziewczyny w Ogrodzie, i jeszcze trochę ich zostało, spędziłyśmy więc całe popołudnie na rozdawaniu ich wraz z czarnymi ubraniami. Kiedy siadłyśmy do obiadu, w pokoju Lyonette nic już po niej nie pozostało.

Tamtej nocy spuszczone ściany. Bliss i ja zwinęłyśmy się razem w kłębek w moim łóżku, na którym teraz znajdowało się już więcej pościeli niż tylko gołe prześcieradło z gumką. Na osobiste rzeczy mogłyśmy sobie zasłużyć, nie sprawiając kłopotów i nie próbując się zabić, więc miałam pościel i koce, w tym samym odcieniu różu i fioletu co dolna część moich skrzydeł. Bliss zaczęła płakać i kląć, kiedy ściany zsuwały się na dół i uwięziły nas w moim pokoju. Podniosły się po kilku godzinach i gdy znalazły się zaledwie trzydzieści centymetrów od ziemi, Bliss chwyciła mnie za rękę i precyzyjnie się pod nimi na drugą stronę, żeby przeszukać korytarz.

Ale uszłyśmy tylko kilka kroków.

Ogrodnik opierał się o ścianę graniczącą z ogrodem i przyglądał dziewczynie w szkłe. Miała pochyloną głowę, którą prawie dotykała piersi, a małe strzemiona pod pachami trzymały ją w pionowej pozycji. Resztę przestrzeni wypełniała przezroczysta żywica, a zanurzona w niej suknia wyglądała, jakby dziewczyna była pod wodą. Widziałyśmy niemal każdy szczegół jej jaskrawych skrzydeł, prawie dociśniętych do szklanej ściany. Wszystkie najwyraźniejsze cechy Lyonette – jej zdecydowany uśmiech, jej oczy – były ukryte. Skrzydła stanowiły jedyny skupiający uwagę punkt.

Ogrodnik odwrócił się do nas i przejechał dłonią przez moje potargane po nocy włosy, delikatnie rozplątując kołtuny, które napotkał po drodze.

– Zapomniałaś związać włosy, Mayu. Nie widzę twoich skrzydeł.

Zaczęłam wiązać je w niedbały kok, ale Ogrodnik złapał mnie za nadgarstek i pociągnął za sobą.

Do mojego pokoju.

Bliss przekłęta i uciekła korytarzem, zdążyłam jednak zauważyć, że ma łyzy

w oczach. Ogrodnik usiadł na moim łóżku i zaczął szczotkować mi włosy, aż zrobiły się jedwabiście błyszczące, i raz za razem gładzić je palcami. Wtedy jego dłonie przesunęły się gdzie indziej, tak jak jego usta, na co ja zamknęłam oczy i zaczęłam powoli recytować *Dolinę niepokoju*.



– Zaraz. Co? – przerywa Eddison, z wyrazem obrzydzenia na twarzy.

Dziewczyna odwraca wzrok od zdjęcia i rzuca mu speszzone spojrzenie.

– *Dolinę niepokoju* – powtarza. – To wiersz Edgara Allana Poego. „Na wojenne poszli boje, zostawiając gwiazdom swoje kwiaty wonne, by ich strzegły z lazurowych wież podniebnych...” Lubię Poego. Nieczęsto spotyka się tak niemożliwie posępnych ludzi.

– Ale co...

– Robiłam tak za każdym razem, kiedy Ogrodnik przychodził do mojego pokoju – mówi bez ogródek. – Nie miałam zamiaru z nim walczyć, bo nie chciałam umrzeć, ale nie miałam też zamiaru uczestniczyć. Pozwalałam mu więc robić, co chciał, a żeby zająć czymś myśli, recytowałam wiersze Poego.

– Tego dnia, kiedy skończył tatuaż, czy to był pierwszy raz... pierwszy raz...

– Kiedy recytowałam Poego? – Inara kończy za niego, unosząc szyderczo brew. Victor czerwieni się, ale kiwa głową. – Nie, dzięki Bogu, nie. Zaczęłam

interesować się seksem kilka miesięcy wcześniej, więc Hope pożyczyła mi jednego ze swoich chłopaków. Tak jakby.

Eddison chrząka, a Victor czuje wdzięczność, że to jego żona rozmawia z córkami o tych sprawach.



W innych okolicznościach pewnie nazwałabym Hope dziwką, ale Sophia – która naprawdę pracowała kiedyś na ulicy, aż gliny odebrały jej córki – była wyczulona na tego typu słowa. A na dodatek Hope robiła to dla zabawy, nie dla pieniędzy. Inaczej zarobiłaby fortunę. Faceci, kobiety, pary, trójki i grupy – Hope była gotowa na wszystko.

A poza tym w naszym mieszkaniu nie można było mówić o prywatności. W końcu z wyjątkiem łazienki całe mieszkanie stanowiło jedno pomieszczenie, a zasłony między łózkami nie były w stanie wiele ukryć. A z pewnością nie wyciszały żadnych odgłosów. Hope i Jessica nie były jedynymi osobami, które przyprowadzały do nas ludzi, ale robiły to najczęściej, czasem częściej niż raz dziennie.

Ponieważ kręgi pedofilskie obnażyły się przede mną dość wcześnie – żart jest niezamierzony – byłam raczej niezainteresowana seksem. Przez to i przez moich rodziców. Seks wydawał mi się okropny i nie chciałam z nim mieć nic wspólnego, ale mieszkanie z dziewczynami stopniowo to zmieniło. Kiedy tego nie

robiły, często o tym rozmawiały i nawet kiedy się ze mnie śmiały, odpowiadały na wszystkie moje głupie pytania – albo, jak w przypadku Hope, postanowiły zademonstrować mi, jak się masturbować – więc w końcu ciekawość zwyciężyła z niesmakiem i postanowiłam spróbować. A przynajmniej się nad tym zastanowić. Zrezygnowałam z wielu okazji, bo wciąż nie byłam pewna.

I wtedy któregoś popołudnia, kiedy nie musiałam pracować wieczorem, Hope przyszła do domu w towarzystwie dwóch chłopaków. Jasona znałam z pracy, był jednym z kelnerów w mocno zdominowanej przez kobiety ekipie obsługującej salę w restauracji, a jego kumpel Topher bardzo często bywał w naszym mieszkaniu. Wpadali do nas niezależnie od tego, czy Hope była w domu, czy nie. Lubiliśmy ich towarzystwo. Czasem przynosili ze sobą jedzenie. Ledwie cała trójka weszła przez drzwi, Hope zaczęła ściągać z Jasona ubranie. Oboje byli kompletnie nadzy, kiedy rozchichotani padli przez zasłony na jej łóżko.

Topher miał przynajmniej tyle przyzwoitości, żeby nieco się zarumienić i popchnąć nogą rozrzucone ubrania w stronę łóżka.

Siedziałam z książką na kanapie. Jedną z pierwszych rzeczy, jaką zrobiłam, kiedy zyskałam prawdziwy adres, było postaranie się o kartę biblioteczną i kilka razy w tygodniu chodziłam do wypożyczalni. Czytanie było dla mnie ucieczką, kiedy byłam młodsza, i mimo że nie uciekałam teraz przed niczym konkretnym, nadal potrzebowałam czegoś, co kochałam. Kiedy Topher mniej więcej opanował sytuację z ubraniami, nalał nam dwie szklanki soku pomarańczowego – kilka dni wcześniej miałyśmy wizytę z opieki społecznej, lodówka była więc dobrze zaopatrzona – i dosiadł się do mnie, podając mi jedną z nich.

– Nie dołączysz się? – zapytałam zaczepnie, na co jego rumieńce zrobiły się intensywniejsze.

– Hope jest trochę jak kupiony na spółkę letniskowy domek. Nie lubię w nim być w tym samym czasie co inni właściciele – wymamrotał i parsknął śmiechem. Hope była dokładnie jak taki domek i była z tego dumna.

Topher był modelem, miał może dziewiętnaście lat i czasem pomagał Guilianowi z dostawami, żeby dorobić kilka dolców. Miał ten nijaki typ urody – no wiecie, przystojny, ale całkowicie zwyczajny, bo znasz taki wygląd z każdej reklamy. Ale był przyzwoitym gościem. Rozmawialiśmy o filmie z przedpołudniowego seansu, który poszliśmy zobaczyć całą grupą tydzień wcześniej, o zleceniu sprzed kilku dni, w którym miał za zadanie udawać manekina podczas wystawy w muzeum, o naszych wspólnych znajomych, którzy mieli się pobrać, i o tym, czy to małżeństwo przetrwa, czy nie, podczas gdy Hope i Jason cały czas jęczeli i się śmiali.

Czyli właściwie normalne popołudnie.

W końcu ich zabawa musiała dobiec końca.

– Jest prawie szesnasta! – krzyknęłam, przebijając się przez ich stękanie. –



Musicie iść do pracy!

– Dobra, zaraz będzie po nim.

I zgodnie ze swoją obietnicą Hope sprawiła, że po niespełna trzydziestu sekundach Jason zaczął głośno stękać, a dziesięć minut później, po krótkim prysznicu, oboje wyszli do restauracji. Większość dziewczyn pracowała tego popołudnia, z wyjątkiem Noémie i Amber, które we wtorki miały zajęcia i wracały dopiero przed dwudziestą drugą. Topher wyszedł na chwilę, ale wrócił z jedzeniem na wynos z restauracji Takiego na rogu.

Wiedziałam, że Hope zwykle inicjowała seks, najpierw kogoś całując, a potem wsuwając dłoń w jego lub jej spodnie, ale ja nie byłam Hope.

– Topher?

– Tak?

– Chcesz mi pokazać, co to seks?

Kto inny pewnie by zbladł, ale Topher był przyjacielem Hope. A na dodatek był obecny przy niektórych naszych rozmowach. Uśmiechnął się więc jedynie, a fakt, że zrobił to bez złośliwości, jeszcze bardziej mnie ośmielił.

– Jasne, jeśli tylko uważasz, że jesteś gotowa.

– Chyba jestem. To znaczy, zawsze możemy przestać.

– Zgadza się. Tylko mi powiedz, jeśli poczujesz się niezręcznie, dobrze?

– Dobrze.

Zebrał resztki naszego obiadu i wrzucił je do przepelnionego kosza na śmieci, który stał przy drzwiach. Hope miała zabrać worek ze sobą, wychodząc do pracy. Kiedy wrócił do mnie, usiadł na jednej z poduszek i przyciągnął mnie do siebie.

– Zaczniemy powoli – powiedział. I wtedy mnie pocałował.

Tak naprawdę tego wieczoru nie uprawialiśmy seksu. Topher nazwał go „wszystko, tylko nie to”. Było swobodnie, ostro i wesoło. Bardzo dużo się śmialiśmy, co jeszcze rok wcześniej, zanim się tu wprowadziłam, byłoby bardzo dziwne. Byliśmy ubrani, kiedy Noémie i Amber wróciły z zajęć do domu, ale on został ze mną tamtej nocy. Leżąc razem na moim wąskim łóżku, bawiliśmy się dalej pod kołdrą, aż Noémie – na łóżku obok – zaczęła się śmiać i powiedziała, że jeśli się nie zamkniemy, to się do nas dołączy. Dopiero kilka dni później mieliśmy na tyle prywatności, żeby pójść na całość. Za pierwszym razem nie rozumiałam tak naprawdę, o co tyle krzyku.

Ale potem zrobiliśmy to raz jeszcze i wtedy załapałam.

Przez kilka kolejnych tygodni sypialiśmy razem, aż on poznał w kościele pewną dziewczynę, z którą chciał się związać na poważnie, więc równie łatwo jak staliśmy się kumplami od seksu, wróciliśmy do bycia po prostu kumplami, bez skrępowania i zranionych uczuć. Nie zakochaliśmy się w sobie i żadne z nas nie inwestowało w tę relację więcej niż drugie. Po tym, jak zaczął się spotykać z tą

dziewczyną z kościoła, wciąż cieszyłam się, kiedy wpadał do nas do mieszkania, ale nie dlatego, że na coś liczyłam. Topher był dobrym kumplem, za którym wszystkie przepadałyśmy.

Nie rozumiałam jednak dzięki temu, dlaczego moich rodziców tak fascynował seks, wobec którego wszystko inne przestawało się liczyć.



Dziewczyna odkręca butelkę i upija spory łyk wody, pocierając przy przełykaniu obolałe gardło. Victor jest wdzięczny za tę ciszę i wydaje mu się, że Eddison chyba też, bo obaj wpatrują się w stół. Choć spotykał się z różnymi rodzajami traum, nie przypomina sobie przesłuchania, podczas którego seks byłby omawiany z taką swobodą.

Victor odchrząkuje i odwraca zdjęcia, żeby nie musiał patrzeć na korytarz pełen martwych dziewczyn w szkle i żywicy.

– Twój sąsiad z dzieciństwa był pedofilem. Kiedy spotkałaś kolejnych?

– Gość od koszenia trawników babci. – Milknie, mruga powiekami i spogląda groźnie na butelkę wody, przez co Victor odnosi wrażenie, że wcale nie miała zamiaru tego mówić. Może zaczyna opadać ją zmęczenie. Na razie odsuwa tę myśl, ale będzie szukał innych okazji, by to wykorzystać.

– Często widywałaś się z babcią?

Dziewczyna wzdycha i zaczyna zdrapywać jeden ze strupów na palcu.

- Mieszkałam z nią – odpowiada niechętnie.
- Kiedy to było?



Gdy moi rodzice w końcu się rozwiedli, miałam osiem lat. Wszelkie kwestie dotyczące pieniędzy, domu i samochodów oraz innych *rzeczy* rozstrzygnięto podczas jednego posiedzenia. Kolejnych osiem miesięcy upłynęło na kłóceniu się o to, któremu z nich przypadnie przykry obowiązek opieki nade mną.

Czy to nie wspaniałe? Każde dziecko powinno przesiedzieć osiem miesięcy, wysłuchując tego, jak bardzo rodzice go nie chcą.

Ostatecznie zdecydowano, że zostanę odesłana do babci, matki mojej matki, i że oboje rodzice będą jej płacić alimenty. Kiedy nadszedł dzień mojej wyprowadzki, siedziałam na schodkach przed domem z trzema walizkami, dwoma pudłami i misiem – wszystkim, co miałam. Żadnego z moich rodziców nie było wtedy w domu.

Rok wcześniej zyskaliśmy nowych sąsiadów po drugiej stronie ulicy – dość młodą parę, której niedawno urodziło się pierwsze dziecko. Uwielbiałam do nich chodzić, żeby popatrzeć na maleństwo, ślicznego chłopczyka, któremu jeszcze nic złego się nie przydarzyło i któremu nikt nie zjebał życia. Z takimi rodzicami to się mogło nigdy nie wydarzyć. Ona zawsze częstowała mnie mlekiem i ciasteczkami, a on nauczył mnie, jak grać w pokera i w blackjacka. To oni zabrali mnie na

dworzec autobusowy, pomogli mi kupić bilety za pieniądze, które rodzice zostawili mi poprzedniego wieczoru na szafce przy łóżku, to oni pomogli mi załadować wszystko do autobusu, przedstawili mnie kierowcy i pomogli znaleźć miejsce. Kobieta przygotowała mi nawet lunch na podróż i dodała do niego jeszcze ciepłe owsiane ciasteczka z rodzynkami. Byli kolejną rodziną, której częścią chciałam zostać, ale do niej nie należałam. Mimo to gdy autobus odjeżdżał, pomachałam im na pożegnanie. Stali razem na krawężniku, trzymając dziecko między sobą, i odmachiwali tak długo, aż nie mogłam ich już dostrzec.

Kiedy dojechałam do miasta, w którym mieszkała babcia, musiałam wziąć taksówkę z dworca autobusowego do jej domu. Kierowca kłął przez całą drogę na ludzi, którzy nie powinni mieć dzieci, a kiedy go zapytałam, co oznaczają niektóre z używanych przez niego słów, nauczył mnie nawet, jak je stosować w zdaniach. Moja babcia mieszkała w wielkim, chylącym się domu, w okolicy, która sześćdziesiąt lat temu była prestiżowa, ale szybko zrobił się z niej slums. Gdy taksówkarz pomógł mi wypakować bagaże na jej maleńki ganek, zapłaciłam mu i życzyłam zajebistego dnia.

Zaśmiał się, pociągnął mnie za warkocz i powiedział, żebym na siebie uważała.

Menopauza zrobiła z babcią dziwne rzeczy. W młodości była seryjną panną młodą – i seryjną wdową – ale gdy bóg okresu zakręcił jej kurek, nabrała przekonania, że jest zasuszona i jedną nogą w grobie. Zabarykadowała się w swoim domu i zaczęła wypełniać wszystkie pomieszczenia i korytarze martwymi rzeczami.

Poważnie, *martwymi rzeczami*. Nawet wypychacze zwierząt mieli ją za dziwadło. Rzeczy, które kupowała, robiono dla niej na zamówienie. Dzikie zwierzęta leśne albo egzotyczne, niedźwiedzie, pумы, których nie spotyka się w mieście. Miała ptaki i pancerniki oraz najbardziej przeze mnie znienawidzoną kolekcję okolicznych kotów i psów, które przez lata ginęły w najróżniejszych okolicznościach, a ona zabierała je do wypchania. Były wszędzie: w łazienkach, w kuchni i w każdym pokoju.

Kiedy weszłam do środka i wtaszczyłam swoje rzeczy do holu, nie zobaczyłam babci nigdzie w pobliżu. Ale ją usłyszałam.

– Jeśli to gwałciciel, to jestem stara i zasuszona, nie marnuj swojego czasu! Jeśli to złodziej, nie mam niczego wartościowego, a jeśli to morderca, to powinieneś się wstydzić!

Podążyłam za dźwiękiem jej głosu i w końcu znalazłam ją w małym saloniku, przez który można było przejść jedynie wąską ścieżką między rzędami wypchanych zwierząt. Siedziała w fotelu, ubrana od stóp do głów w kombinezon w tygrysie pasy i ciemnobrązowe futro, odpalała jednego papierosa za drugim i oglądała teleturniej na siedmiocalowym telewizorze, którego obraz często mrugał

i tracił kolor.

Spojrzała na mnie dopiero w przerwie na reklamy.

– O, przyjechałaś. Śpisz na górze, trzecie drzwi po prawej. Bądź grzeczną dziewczynką i zanim pójdziesz, podaj mi butelkę whisky z blatu w kuchni.

Podalam jej alkohol – bo czemu nie – i patrzyłam w zadziwieniu, jak rozlewa całą butelkę do malutkich naczyń i misek przed martwymi kotami i psami ustawionymi na kanapie, które w najlepszym wypadku wyglądały ohydnie.

– Pijcie, moje piękności. To żadna łaska, że nie żyjecie. Zasłużyłyście sobie na to.

Pokój szybko wypełniły opary whisky, łącząc się ze stęchłym zapachem futra i starych petów.

Na piętrze trzecie drzwi po prawej prowadziły do pokoju tak wypełnionego martwymi zwierzętami, że kiedy otworzyłam drzwi, zaczęły się z niego wysypywać. Resztę dnia i wieczoru spędziłam na wyciąganiu ich na zewnątrz i znajdowaniu miejsc, w które mogłabym je wepchnąć, żeby zrobić miejsce dla siebie. Zasnęłam zwinięta w kłębek na największej ze swoich walizek, bo pościel była ohydna. Następnego dnia minął na sprzątaniu całego pokoju, czyszczeniu materaca z kurzu, mysich odchodów – i mysich zwłok – oraz rozkładaniu na łóżku pościeli, którą przywiozłam z domu. Dopiero kiedy urządziłam wszystko tak, by jak najbardziej przypominało dom, zesłam z powrotem na dół.

Jedyną oznaką, że babcia wstała z miejsca, był jej błyszczący kombinezon, tym razem w jaskrawym fioletowym kolorze.

Poczekalam na przerwę reklamową, po czym odchrząknęłam.

– Posprzątałam w swoim pokoju – oznajmiłam. – Jeśli wstawisz tam coś martwego, w czasie gdy będę tu mieszkać, puszcze ten dom z dymem.

Zaśmiała się i klepnęła mnie w policzek.

– Dobra dziewczynka. Podoba mi się twój tok myślenia.

I tak właśnie wprowadziłam się do babci.

Otoczenie się zmieniło, ale życie nie. Co tydzień zakupy spożywcze przywoził chłopak o zdenerwowanej minie, który dostawał napiwek niemal tak wysoki jak rachunek, bo tylko tak dawał się nakłonić do tego, żeby przyjeżdżać w tę okolicę. Można było bez problemu zadzwonić do sklepu spożywczego i dodać do listy coś nowego. Zostałam zapisana do szkoły, która nie uczyła absolutnie niczego i w której nauczyciele nie sprawdzali nawet listy obecności, bo nie chcieli, żeby niska frekwencja skazała ich na uczenie tych samych głąbów przez kolejny rok. Podobno ta szkoła miała kilku bardzo dobrych nauczycieli, ale było ich niewielu i żaden z nich nigdy mnie nie uczył. Reszta była wypalona zawodowo i przejmowała się tylko tym, czy ma wypłatę na koncie.

Uczniowie zdecydowanie przyczyniali się do tej sytuacji. Transakcje narkotykowe przeprowadzano w salach lekcyjnych nawet w szkole podstawowej,

w imieniu starszego rodzeństwa. Przy każdych drzwiach znajdowały się wykrywacze metalu, ale nikt ich nie pilnował ani niczego nie sprawdzał, kiedy się uruchamiały, co zdarzało się dość często. Nikt nie zauważał, że ktoś przestawał przychodzić na lekcje, nikt nie dzwonił do domu, żeby sprawdzić, co dzieje się z uczniem, który nie pokazał się w szkole od kilku dni.

Raz to przetestowałam i zostałam w domu na cały tydzień. Po powrocie nie dostałam nawet zaległych prac domowych. Wróciłam tylko dlatego, że się nudziłam. I było mi smutno. Dałam wszystkim spokój, więc oni dali spokój mnie. Nie wychodziłam z domu po zmroku i co wieczór zasypiałam kołysana do snu odgłosami syren i strzałów. A kiedy dwa razy w miesiącu przychodził facet, którego babcia wynajęła do strzyżenia trawnika, chowałam się pod łóżkiem na wypadek, gdyby wszedł do domu.

Był prawdopodobnie przed trzydziestką, może trochę starszy, i zawsze nosił za ciasne i zbyt nisko spuszczone džinsy, czym próbował podkreślić swoje walory, które nawet w tym wieku uważałam za niezbyt imponujące. Nazywał mnie *śliczną panienką*, a jeśli pracował, kiedy wracałam ze szkoły, zawsze próbował mnie dotknąć albo kazał przynosić sobie różne rzeczy. Raz kopnęłam go prosto w jaja, na co przeklął i zaczął mnie gonić po domu, ale potknął się o jelenia w korytarzu, a babcia nawrzeszczała na niego za to, że robi hałas, gdy ona ogląda swoje seriale.

Po tym zdarzeniu zostawałam na stacji benzynowej kilka przecznic dalej, do czasu aż przejechała tamtędy jego furgonetka.



– A twoi rodzice nigdy nie sprawdzali, czy jesteś pod dobrą opieką? – Wie, że to głupie pytanie, ale zdążył już je zadać, kiwa więc głową nawet wtedy, gdy dziewczyna wykrzywia usta.

– Moi rodzice nigdy nie przyjechali się ze mną zobaczyć, nigdy nie dzwonili, nie przysyłali pocztówek ani prezentów, ani nic takiego. Mama wysyłała czeki przez pierwsze trzy miesiące, ojciec przez pięć, ale w końcu i one przestały przychodzić. Po tym, jak przeprowadziłam się do babci, nigdy więcej nie zobaczyłam moich rodziców ani z nimi nie rozmawiałam. Szczerze mówiąc, nie wiem nawet, czy jeszcze żyją.

Rozmawiają tak od rana. Tort urodzinowy był pierwszym posiłkiem Victora od wczorajszego obiadu. Jego żołądek zaczyna się buntować. Dziewczyna jest pewnie tak samo głodna jak on. Minęły prawie dwadzieścia cztery godziny, odkąd FBI wkroczyło do Ogrodu. Nie spali jeszcze dłużej.

– Inaro, pozwolę ci opowiedzieć o wszystkim na twój własny sposób, ale musisz udzielić mi jasnej odpowiedzi na jedno pytanie: czy powinniśmy tu sprowadzić kogoś z wydziału opieki nad dziećmi?

– Nie – odpowiada od razu. – Mówię prawdę.

– A jak bliska kłamstwa jest ta prawda?

Tym razem dziewczyna naprawdę się uśmiecha, krzywo, ale nawet tak maleńki uśmiech dodaje łagodności całej jej twarzy.

– Wczoraj skończyłam osiemnaście lat. Zaśpiewacie mi *Sto lat*?

– Miałaś *czternaście* lat, kiedy przyjechałaś do Nowego Jorku? – upewnia się Eddison.

– Tak.

– Jak to, do cholery, możliwe?

– Babcia umarła. – Dziewczyna wzrusza ramionami, sięgając po butelkę z wodą. – Wróciłam do domu ze szkoły, a ona siedziała martwa w fotelu, ze śladami oparzeń na palcach, tam gdzie przypalił ją żar papierosa. W sumie to się nawet dziwię, że cały ten przeklęty dom nie poszedł z dymem od oparów whisky. Wydaje mi się, że serce jej stanęło czy coś.

– Zgłosiłaś to?

– Nie. I tak znalazłby ją gość od trawnika albo dostawca zakupów, kiedy przyszliby po swoje wypłaty, a nie chciałam, żeby ktoś znów dyskutował nad tym, co ze mną zrobić. Może namierzono by któregoś z moich rodziców i musiałabym do nich pojechać albo trafiłabym do opieki zastępczej. A może odnaleźliby któregoś z wujków albo którąś z ciotek ze strony ojca i wepchnęli mnie kolejnemu krewnemu, który by mnie nie chciał? Nie podobały mi się te możliwości.

– No to co zrobiłaś?

– Spakowałam walizkę i sportową torbę, po czym obrobiłam babci tyłek.

Victor nie jest pewien, czy nie będzie żałował, że usłyszy odpowiedź, ale musi zapytać.

– Że co?

– Babcia nie do końca ufała bankom, więc za każdym razem, kiedy dostawała czek, spieniężała go i chowała połowę w tyłku owczarka niemieckiego. Ogon był na zawiasie, można więc było sięgnąć pod spód i wyciągnąć kasę. – Upija łyk, po czym ściąga usta i przytyka je do otworu butelki, pozwalając, by woda obmyła pęknięcia na wargach. – Było tam prawie dziesięć tysięcy – mówi dalej, gdy odstawia butelkę. – Schowałam je w walizce i torbie, spędziłam noc w domu, a rano wstałam, poszłam na dworzec autobusowy zamiast do szkoły i kupiłam bilet do Nowego Jorku.

– Spędziłaś noc w domu ze swoją zmarłą babcią?

– Nie była jeszcze wypchana, ale jeśli pominąć ten fakt, to jaka była różnica między tą a każdą inną nocą?

Victor jest wdzięczny, gdy słyszy trzask w słuchawce.

– *Zamówiliśmy waszej trójce coś do jedzenia* – informuje go Yvonne z pokoju za lustrem. – *Będzie za kilka minut. I dzwoniła Ramirez. Kilka dziewczyn zaczęło mówić. Jak na razie niewiele, wydają się bardziej przejmować tymi, które nie żyją, niż samymi sobą. Senator Kingsley jedzie tu z Massachusetts.*

A tak dobrze się zaczęło. Pewnie jest jeszcze zbyt wcześnie, by mieć nadzieję, że pani senator będzie zmuszona do międzyrządowania z powodu kiepskiej pogody.

Victor kręci głową i opiera się na krześle. Senator jeszcze tu nie ma. Zajmą się nią, kiedy się zjawi.

– Wkrótce zrobimy sobie przerwę na posiłek, ale zanim to nastąpi, zadam ci jeszcze jedno pytanie.

– Tylko jedno?

– Opowiedz nam o tym, jak znalazłaś się w Ogrodzie.

– To nie jest pytanie.

Eddison klepie się dłońmi po udach ze zniecierpliwieniem, ale Victor się nie zniechęca.

– Jak znalazłaś się w Ogrodzie?

– Zostałam porwana.

Ma trzy nastoletnie córki, więc niemal słyszy niewypowiedziane „mówiłam już ze sto razy” na końcu zdania.

– Inaro.

– Naprawdę jesteś w tym dobry.

– Proszę.

Dziewczyna wzdycha i podciąga stopy na skraj krzesła, po czym obejmuje



kostki zabandażowanymi dłońmi.



Gwiazda Wieczorna była całkiem miłą restauracją. Stolik tylko po rezerwacji, no chyba że wieczór był luźny, ceny jednak na tyle wysokie, że większość ludzi nie weszłaby tam z ulicy. W normalne wieczory kelnerzy nosili smokingi, a kelnerki czarne suknie bez ramiączek z oddzielnymi kołnierzykami i mankietami jak od eleganckiej koszuli. Miałyśmy nawet muszki, które kurewsko trudno było zawiązać – nie wolno nam było używać gotowych, na klips.

Guilian wiedział, jak spełniać zachcianki obrzydliwie bogatych, oferował więc wynajem całej restauracji na szczególne okazje wraz z możliwością przebrania obsługi w kostiumy. Istniało kilka podstawowych reguł – nie zgadzał się na nic nieprzyzwoitego – ale wachlarz możliwości był dość szeroki, a na dodatek po imprezie mogliśmy zatrzymać stroje dla siebie. Guilian zawsze informował nas z wyprzedzeniem o tym, jaki dostaniemy kostium, więc jeśli ktoś uważał, że to ponad jego siły, mógł się z kimś zamienić w grafiku.

Na dwa tygodnie przed moimi szesnastymi urodzinami – lub, jak myślały dziewczyny, dwudziestymi pierwszymi – restauracja została wynajęta przez kogoś, kto organizował galę dobroczynną na rzecz jednego z teatrów. Pierwszym spektaklem miała być *Madame Butterfly*, byłyśmy więc stosownie ubrane. Tego wieczoru, zgodnie z wymogiem klienta, na sali miały pracować jedynie

dziewczyny. Wszystkie dostałyśmy czarne sukienki z wycięciem na parę ogromnych skrzydeł z drutu i jedwabiu, które trzymały się tylko dzięki klejowi do peruk – kurwa, ile się z tym trzeba było namęczyć – i wszystkie musiałyśmy upiąć wysoko włosy.

Zgodnie uznałyśmy, że to lepsze niż kostiumy seksownych pasteczek albo suknie na kole z przedweselnego obiadu z motywem wojny secesyjnej, które ostatecznie przekształciłyśmy w girlandy z bożonarodzeniowymi światełkami, kiedy zaczęło nas irytować, że zajmują cały róg mieszkania. Nawet jeśli oznaczało to, że będziemy musiały wcześniej przyjść do pracy, żeby przymocować sobie te przekłete skrzydła, reszta nie była taka zła, a same sukienki mogły się nam później przydać na inne okazje. Mimo to obsługiwanie stolików z ogromnymi skrzydłami na plecach to była straszna chujnia i kiedy podałyśmy już danie główne i mogłyśmy schować się w kuchni podczas prezentacji na temat celu imprezy, większość z nas nie wiedziała, czy kłąć, czy się śmiać. Wiele z nas robiło i to, i to.

Rebekah, kierowniczką sali, westchnęła i opadła na stół, po czym wsparła stopy na postawionej bokiem skrzynce na butelki. Jej ciężar była na tyle zaawansowana, że nie mogła już spokojnie nosić wysokich obcasów i oszczędziła jej upokorzenia, jakie stanowiły skrzydła.

– Niech to coś już ze mnie wyjdzie – jęknęła.

Wcisnęłam się za stół, manewrując skrzydłami, najlepiej jak potrafiłam, i zaczęłam masować jej napięte ramiona i plecy.

Hope zerknęła przez szparę między wahadłowymi drzwiami.

– Która z was oprócz mnie dałaby się zerznąć organizatorowi tej imprezy, mimo że jest już trochę stary?

– Nie jest aż taki stary i uważaj, co mówisz – odpaliła Whitney. Istniały pewne słowa, których Guilian wolał nie słyszeć od nas w pracy, nawet na zapleczu, i „zerznąć” było jednym z nich.

– Jego syn wygląda na starszego ode mnie, co znaczy, że on jest stary.

– No to pozeraj wzrokiem syna.

– Nie, dzięki. Jest przystojny, ale coś z nim jest nie tak.

– Tak. Nie patrzy na ciebie.

– Patrzy się bez przerwy na wiele z nas. Ale on na mnie nie działa. Wolę pieprzyć wzrokiem staruszka.

Zostałyśmy w kuchni, gdzie rozmawiałyśmy i obgadywałyśmy gości aż do przerwy w prezentacji, kiedy musiałyśmy dolać wszystkim wina i innych napojów oraz wjechać z tacą deserów. Przy stoliku gospodarzy wieczoru dobrze przyjrzałam się staruszkowi Hope i jego synowi. Od razu wiedziałam, o co jej chodziło, gdy mówiła o synu. Naprawdę był przystojny, umięśniony, o ciemnobrązowych oczach i blond włosach po ojcu, które dobrze wyglądały przy jego opalonej cerze.

Nawet jeśli opalenizna była nieco sztuczna.

Chodziło jednak o coś głębszego: okrucieństwo, które przebijało się przez jego uroczy uśmiech, to, jak nas wszystkie obserwował, kiedy kręciliśmy się po sali. Siedzący obok niego ojciec był przy nim czarujący – ze swym szczerym uśmiechem, którym dziękował nam bez słów za nasze wysiłki. Zatrzymał mnie, kładąc mi na nadgarstku dwa palce. Nie był to gest ani nazbyt poufaty, ani wzbudzający mój niepokój.

– Masz śliczny tatuaż, skarbie.

Spuściłam wzrok na rozcięcie w mojej sukience. Kilka miesięcy wcześniej wszystkie w mieszkaniu, nawet Kathryn, zrobiłyśmy sobie pasujące do siebie tatuaże. Wciąż uważaliśmy to za nieco absurda i nie mogłyśmy dojść do tego, jak to się stało, poza faktem, że byłyśmy nieco pijane, a Hope truła nam tyłki, aż się poddałyśmy. Tatuaż znajdował się po zewnętrznej stronie, tuż nad prawą kostką, i składał się z eleganckiej płataniny czarnych linii. To Hope wybrała ten wzór. Sophia była przeciwna motylowi, bo był zbyt popularny i potwornie typowy, ale Hope nie dała się przekonać. Kiedy na coś się uparła, zachowywała się jak taran. Nazwała go plemiennym motylem. Zwykle w pracy musiałyśmy zakrywać tatuaże ubraniami albo makijażem, ale ze względu na motyw imprezy Guilian powiedział, że możemy je zostawić.

– Dziękuję. – Napełniłam mu kieliszek musującym winem.

– Interesujesz się motylami?

Nieszczerólnie, ale nie wydawało mi się to mądrą odpowiedzią, biorąc pod uwagę motyw przyjęcia.

– Są piękne.

– Owszem, ale jak większości pięknych istot ich życie jest bardzo krótkie. – Jego bladozielone oczy powędrowały z mojego tatuażu wyżej po moim ciele, aż zobaczył swój uśmiech w odbiciu moich oczu.

– Nie tylko ten tatuaż jest piękny.

Pomyślałam, że muszę powiedzieć Hope, że starszy gość jest równie obleśny jak jego syn.

– Dziękuję panu.

– Wydajesz się za młoda, żeby pracować w takiej restauracji.

Jedyne, czego nikt mi nigdy nie powiedział, było to, że wydawałam się na coś za młoda. Patrząc na niego o chwilę za długo, zobaczyłam, jak przez jego blade oczy przebiega pewnego rodzaju satysfakcja.

– Niektórzy ludzie są bardzo dojrzały jak na swój wiek – odpowiedziałam w końcu i natychmiast tego pożałowałam. Ostatnią rzeczą, jakiej mi brakowało, było to, żeby jakiś bogaty klient poskarżył Guilianowi, że kłamię na temat swojego wieku.

Nic nie powiedział, kiedy zajęłam się kolejnym kieliszkiem, ale czułam, jak jego wzrok odprowadza mnie aż do kuchni.

Podczas drugiej części prezentacji wymknęłam się na zaplecze, żeby wyciągnąć tampon z torebki, ale kiedy odwróciłam się, aby pójść do łazienki, syn organizatora stał w drzwiach. Miał około dwudziestu pięciu lat, ale będąc z nim sam na sam w niewielkim pomieszczeniu, czułam, że nie pierwszy raz wzbudza w kimś poczucie zagrożenia. Zwykle nie uważałam, żeby Hope była szczególnie spostrzegawcza, ale tym razem miała rację, z tym gościem zdecydowanie było coś nie tak.

– Przepraszam, ale mogą tu przebywać tylko pracownicy restauracji.

Zignorował mnie, wciąż blokując wyjście, i wyciągnął rękę, aby dotknąć krawędzi jednego ze skrzydeł.

– Mój ojciec ma doskonały gust, nie sądzisz?

– Proszę stąd wyjść. To nie jest pomieszczenie dla gości.

– Wiem, że masz obowiązek mówić takie rzeczy.

– To może ja powtórzę. – Kegs, pomocnik kelnera, odepchnął go z drogi ramieniem. – Wiem, że właścicielowi będzie przykro wyprosić pana z restauracji, ale zrobi to bez

mrugnięcia okiem, jeśli nie wróci pan do swojego towarzystwa.

Nieznamy zmierzył go wzrokiem, ale Kegs był wysoki i krzepki i miał na tyle siły, że mógłby przesuwac ludzi jak kegi z piwem, stąd jego ksywka. Z niezadowoloną miną pokiwał głową i się oddalił.

Kegs nie spuszczał go z oka, aż mężczyzna skręcił za rogiem i wszedł na salę.

– Wszystko w porządku?

– Tak, dzięki.

Nazywałyśmy go „naszym” pomocnikiem kelnera, głównie dlatego, że Guilian zawsze przydzielał go do naszych sekcji sali, a on uważał nas za swoje dziewczyny. Czy pracował danego wieczoru, czy nie, zawsze odprowadzał kelnerki, które zamykały restaurację, na stację metra i upewniał się, że wsiadły do pociągu. Był jedyną osobą, która z niewytłumaczalnych powodów ignorowała zasady Guiliana dotyczące tatuaży i kolczyków. To prawda, był pomocnikiem kelnera, a nie kelnerem, więc nie miał kontaktu z klientami, ale wciąż był widoczny. Guilian nigdy nie skomentował tuneli w uszach, przekłutych brwi, wargi i języka ani grubych, czarnych plemiennych tatuaży, które ciągnęły się po całych jego rękach i lekko przebijały przez rękawy eleganckiej białej koszuli. Wystawały spod mankietów na wierzch dłoni i zza kołnierzyka na tył karku, kiedy nie zasłaniały ich jego długie włosy. Czasem wiązał włosy do góry i widać było, jak tatuaże pną się na ogoloną dolną część czaszki.

Kegs pocałował mnie w policzek, odprowadził do łazienki i poczekał na zewnątrz, gdy byłam w środku, a następnie przyprowadził do kuchni.

– Uważajcie na syna gospodarza – oznajmił wszystkim dziewczynom.

– A nie mówiłam? – zachichotała Hope.

Tamtej nocy Kegs odprowadził nas aż do mieszkania. Następnego dnia Guilian ze strapioną miną wysłuchał opowieści z wczoraj, ale powiedział, żebyśmy się tym za bardzo nie martwili, bo nasi klienci wrócili do Maryland. Tak przynajmniej myślałyśmy.

Dwa tygodnie później, kiedy razem z Noémie wyszłyśmy pewnego popołudnia z biblioteki, wpadłyśmy na jej dwie koleżanki ze studiów. Namówiłam ją, żeby gdzieś się z nimi wybrała, bo przecież dam radę sama wrócić do domu.

Zdołałam przejść trzy przecznice, gdy poczułam nagle ukłucie i zanim zdążyłam choćby krzyknąć, nogi się pode mną ugięły, a świat zrobił się czarny.



– Po południu na ulicach Nowego Jorku? – sceptycznie zapytał Eddison.

– Tak jak mówiłam, większość ludzi w Nowym Jorku nie zadaje zbyt wielu pytań, a zarówno ojciec, jak i syn potrafią być bardzo uroczy, kiedy chcą. Na pewno jakoś sensownie to wyjaśnili ewentualnym gapiom.

– I obudziłaś się w Ogrodzie?

– Tak.

Drzwi się uchylają i staje w nich analityczka, która popycha je biodrem, bo dłonie ma pełne napojów i toreb z jedzeniem. Prawie upuszcza wszystko na stół, ale na

szczęście Victor pomaga jej utrzymać prosto tekturową podstawkę z napojami.

– Są tu hot dogi, hamburgery i frytki – oznajmia Yvonne. – Nie wiedziałam, co lubisz, więc kazałam dać wszystkie dodatki w oddzielnych pojemnikach.

Dziewczyna nie od razu zdaje sobie sprawę, że Yvonne zwraca się do niej, a i wtedy mówi tylko „dziękuję”.

– Są jakieś wieści od Ramirez? – pyta Eddison.

Kobieta wzrusza ramionami.

– Nic poważnego. Zidentyfikowali następną dziewczynę, a kolejne dwie podały im swoje nazwiska i adresy, albo przynajmniej częściowe adresy. Rodzina jednej przeniosła się do Paryża. Biedactwo.

Rozdzielając jedzenie, Victor przygląda się, jak Inara obserwuje analityczkę. Poznaje po wyrazie jej twarzy, że ma jakieś pytania, ale nie potrafi ich rozszyfrować. Po chwili dziewczyna kręci głową i sięga po opakowanie keczupu.

– A senator? – pyta Eddison.

– Wciąż nie wylądowała. Samolot musiał ominąć burzowy front.

No, życzenie Victora prawie się spełniło.

– Dzięki, Ivonne.

Analityczka lekko puka się w ucho.

– Dam znać, jeśli zdarzy się coś ciekawego. – Kiwa głową do Inary, po czym wychodzi z pokoju. Kilka sekund później lustro zaczyna lekko dygotać, kiedy zamykają się drzwi w pokoju obserwacyjnym.

Victor mierzy Inarę wzrokiem, jednocześnie wyciskając na hot doga keczup i sos z pikli. Nie jest pewien, czy powinien zadać swoje pytanie. Nigdy nie czuł się niepewny co do dynamiki sił w pokoju przesłuchań, nie w przypadku ofiary, ale ona nie jest typową ofiarą. To co najmniej połowa problemu. Marszczy brew, spoglądając na swój posiłek, nie chcąc dać dziewczynie do zrozumienia, że to ona jest powodem tego pochmurnego wyrazu twarzy.

To działka Eddisona.

Victor musi jednak wiedzieć.

– Nie byłaś zaskoczona wiadomością o senator Kingsley.

– A powinnam?

– Więc znałyście swoje prawdziwe nazwiska?

– Nie. – Dziewczyna wyciska keczup na burgera i frytki, po czym wkłada jedną z nich do ust.

– No to jak...

– Niektóre nie potrafią przestać mówić o swoich rodzinach. Chyba się boją, że zapomną. Ale bez nazwisk. Ravenna opowiadała, że jej matka jest senatorem. Tylko tyle wiedziałyśmy.

– Ona ma na imię Patrice – mówi Eddison.

Inara wzrusza jedynie ramionami.

– Jak ma na imię Motyl w pół drogi między Ogrodem a światem na zewnątrz?

– Jak?

– Podejrzewam, że to zależy od tego, czy jej matka jest senatorem, czy nie. Na ile pogłębi to jej krzywdę, jeśli dziewczyna zostanie zmuszona, by stać się Patrice, zanim będzie gotowa rozstać się z Ravenną? – Odgryza wielki kęs hamburgera i powoli go przeżuwa, zamykając oczy. Wydaje z siebie delikatny pomruk, a jej twarz łagodnieje wraz z ogarniającą ją przyjemnością.

– Trochę minęło, odkąd jadłaś fast food, co? – pyta Eddison z mimowolnym uśmiechem.

Dziewczyna kiwa głową.

– Lorraine miała wyraźne polecenie, by przyrządzać tylko zdrowe potrawy.

– Lorraine? – Eddison bierze swój notatnik i przerzuca kilka stron. – Ratownicy zabrali kobietę imieniem Lorraine. Powiedziała, że była tam zatrudniona. Chcesz powiedzieć, że wiedziała o Ogrodzie?

– Ona tam mieszka.

Victor wlepia w nią wzrok prawie nieświadomy, że sos skapuje mu z hot doga na folię. Inara nie spieszy się z jedzeniem i nie mówi nic więcej do chwili, aż znika ostatnia frytka.

– Wspominałam już, że niektóre dziewczyny próbowały się podlizać, prawda?



Lorraine była kiedyś jedną z nich – tych, które tak rozpaczliwie pragnęły przypodobać się Ogrodnikowi, że zrobiłyby wszystko, by mógł dalej krzywdzić innych, byleby tylko je kochał. Być może było z nią coś nie tak, zanim ją porwał. Zwykle dziewczyny takie jak ona dostawały kolejny tatuaż – kolejny zestaw skrzydeł, tym razem na twarzy, aby pokazać wszystkim, że kochają bycie jednym z Motyli. Ale Ogrodnik wymyślił dla Lorraine inny plan i nawet wypuścił ją z Ogrodu.

Wysłał ją do szkoły pielęgniarstwa i na kurs gotowania. Lorraine była tak oddana jego celom, tak w nim zakochana, że nigdy nie próbowała uciec, nigdy nie próbowała nikomu powiedzieć o Ogrodzie, o martwych Motylach i o tych żyjących, dla których wciąż była jakaś nadzieja. Chodziła na zajęcia, a kiedy wracała do Ogrodu, uczyła się i ćwiczyła. Na jej dwudzieste pierwsze urodziny Ogrodnik zabrał jej te śliczne czarne sukienki bez pleców i dał zwykły szary uniform, który całkowicie zakrywał jej ciało. I tak z Motyla zamieniła się w kucharkę i pielęgniarzkę Ogrodu.

Nigdy więcej jej nie dotknął, rozmawiał z nią wyłącznie o jej obowiązkach i wtedy w końcu zaczęła go nienawidzić.

Ale chyba niewystarczająco, bo nadal nic nie powiedziała.

W te dni, kiedy miałam w sobie więcej zycziwości – a nie było ich za wiele – prawie było mi jej żal. Miała już czterdzieści kilka lat. Była jednym z pierwszych Motyli, znała Ogrodnika dwa razy dłużej niż kogokolwiek innego. Może w pewnym momencie po prostu *musisz* się załamać. Jej sposób przynajmniej ocalił



ją od zanurzenia w szkle, bez względu na to, jak bardzo tego później żałowała.

Nienawidziłyśmy naszej siostry-kucharki. Nawet lizuski nią gardziły, bo nawet lizuski uciekłyby, gdyby tylko mogły, i zadzwoniłyby na policję, by ratować pozostałe z nas. A przynajmniej tak sobie wmawiały. Gdyby jednak nadarzyła się jakaś okazja... Nie wiem. Krążyły historie o dziewczynie, która uciekła.



– Komuś się udało uciec? – dopytuje Eddison.

Dziewczyna uśmiecha się szelmowsko.

– Tak głosiły plotki, ale nikt nie wiedział tego na pewno. To nie był nikt z naszego pokolenia ani z pokolenia Lyonette. To było trochę jak legenda, w którą większość z nas wierzyła, bo musiałyśmy wierzyć, że ucieczka jest możliwa, bez względu na to, czy to była prawda, czy nie. Trudno było wierzyć w ucieczkę, widząc Lorraine, która mimo wszystko wołała zostać.

– A ty byś spróbowała? – pyta Victor. – Uciec?

Rzuca mu zamyślane spojrzenie.



Może nasze pokolenie to były inne dziewczyny niż trzydzieści lat wcześniej. Bliss w szczególności uwielbiała dręczyć Lorraine, głównie dlatego, że ta nie mogła w żaden sposób wziąć na niej odwetu. Ogrodnik strasznie się wściekał, jeśli psuła nam posiłki albo odmawiała pomocy medycznej. Nie była w stanie nas obrazić, bo słowa muszą mieć znaczenie, żeby mogły zaboлеć.

Nie sądziłyśmy też, by ogrodnicy wiedzieli coś o Motylach. Zawsze byliśmy ukryte, kiedy przebywali w szklarni, i nie wolno nam było wychodzić, jeśli ktoś mógł nas zobaczyć albo usłyszeć. W dół spuszczano nieprzezroczyste i dźwiękoszczelne ściany. Nie słyszałyśmy nikogo i nikt nie słyszał nas. Lorraine była jedyną osobą, która o nas wiedziała, ale proszenie jej, aby coś zrobiła albo przekazała komuś wiadomość, nie miało sensu. Nie dość, że tego by nie zrobiła, to na dodatek od razu doniosłaby Ogrodnikowi.

A wtedy kolejna dziewczyna skończyłaby w szkle i żywicy w korytarzu.

Czasem Lorraine spoglądała na wyeksponowane w gablotach dziewczyny z tak oczywistą zazdrością, że z bólem się na to patrzyło. Było to żałosne i doprowadzało nas do szału, bo, do kurwy nędzy, była zazdrosna o zamordowane dziewczyny, ale z drugiej strony Ogrodnik *kochał* dziewczyny za szkłem. Witał je, kiedy przechodził obok, czasem przychodził tylko po to, by na nie popatrzeć, pamiętał ich imiona, nazywał „swoimi”. Czasem myślę, że Lorraine wydawało się, że kiedyś do nich dołączy. Tęskniła za czasami, kiedy Ogrodnik wielbił ją tak samo jak nas.

Nie sądzę, żeby zdawała sobie sprawę, że to się nigdy nie wydarzy.

Dziewczyny za szkłem zostały zatopione w żywicy u szczytu swojej urody, kiedy skrzydła na ich plecach były jaskrawe i intensywne na tle młodej, doskonałej skóry. Ogrodnik nigdy nie zadałby sobie trudu, żeby zachować kobietę po czterdziestce – czy ile tam miałyby lat w chwili śmierci – której uroda zbladła dziesiątki lat wcześniej.

Piękne rzeczy żyją krótko, powiedział mi, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy.

Upewniał się, że tak właśnie będzie, po czym starał się dać swoim Motyloom dziwny rodzaj nieśmiertelności.



Ani Victor ani Eddison nie mają na to odpowiedzi.

Żaden agent nie prosi o przydzielenie do spraw przestępstw, których ofiarą padają dzieci, bo się nudzi. Zawsze jest jakiś powód. Victor zawsze się upewniał, że zna powody osób, które dla niego pracują. Eddison wpatruje się w swoje zaciśnięte pięści oparte na stole i Victor wie, że myśli o swojej młodszej siostrze, która zaginęła, gdy miała osiem lat, i nigdy nie została odnaleziona. Sprawy niewyjaśnionych morderstw zawsze mocno na niego oddziałują, a właściwie wszystkie te, w których rodziny muszą czekać na odpowiedzi, a te mogą nigdy nie nadejść.

Victor myśli o swoich córkach. Nie dlatego, że coś się im kiedyś

przydarzyło, ale dlatego, że wie, iż straciłby rozum, gdyby tak się stało.

Ale ponieważ to coś osobistego, ponieważ są zaangażowani, agenci wydziału przestępstw wobec dzieci często załamują się i wypalają jako pierwsi. Przez trzydzieści lat w FBI Victor widział, jak przydarza się to wielu agentom, dobrym i złym. To prawie przydarzyło się i jemu po wyjątkowo ciężkiej sprawie, po zbyt wielu pogrzebach, kiedy w ziemi zakopywano bardzo małe trumny, a w nich dzieci, których nie był w stanie ocalić. To córki przekonały go, by został. Nazywały go swoim superbohaterem.

Ta dziewczyna nigdy nie miała swojego superbohatera. Zastanawia się, czy kiedykolwiek w ogóle chciała takiego mieć.

Inara obserwuje ich obu, ale nie daje po sobie poznać, co myśli, i Victor ma niepokojące przeczucie, że dziewczyna rozumie ich znacznie lepiej niż oni ją.

– Kiedy Ogrodnik do was przychodził, czy kiedykolwiek przyprowadzał swojego syna? – pyta, starając się odzyskać nieco kontroli nad sytuacją w pokoju przesłuchań.

– *Przyprowadzał* syna? Nie. Ale Avery przychodził, kiedy miał ochotę.

– Czy on kiedyś z tobą...?

– Kilka razy recytowałam przy nim Poego – odpowiada ze wzruszeniem ramion. – Ale Avery mnie nie lubił. Nie mogłam mu dać tego, czego chciał.

– Czyli?

– Strachu.



Ogrodnik zabijał dziewczyny tylko z trzech powodów.

Po pierwsze, kiedy były za stare. Data przydatności wypadła na dzień dwudziestych pierwszych urodzin, a potem... cóż, piękno jest krótkotrwałe i ulotne, i Ogrodnik musiał je uchwycić, póki mógł.

Drugi powód związany był ze zdrowiem: jeśli były zbyt chore, zbyt ranne albo zbyt w ciąży. Właściwie po prostu w ciąży. Bycie *zbyt* w ciąży to trochę jak bycie *zbyt* martwym. To nie jest stan elastyczny. Zawsze był nieco zde gustowany ciążami. Lorraine cztery razy w roku robiła nam zastrzyki, które miały zapobiec tego rodzaju problemom, ale żaden rodzaj antykoncepcji nie jest całkowicie niezawodny.

Trzeci powód pojawiał się, kiedy dziewczyna kompletnie nie potrafiła zaadaptować się w Ogrodzie. Kiedy po pierwszych kilku tygodniach nie mogła przestać płakać, kiedy próbowała zagłodzić się na śmierć albo popełniła więcej prób samobójczych, niż było „dozwolone”. Dziewczyny, które zbyt mocno walczyły, dziewczyny, które pękły.

Avery zabijał dziewczyny dla zabawy, a czasem przypadkiem. Kiedy coś takiego się zdarzało, ojciec na jakiś czas zakazywał mu wstępu do Ogrodu. Ale zawsze potem wracał.

Przebywałam tam prawie od dwóch miesięcy, zanim przyszedł mnie szukać. Lyonette była z nową dziewczyną, która nie miała jeszcze imienia, a Bliss musiała znosić Ogrodnika, siedziałam więc na małym klifie nad wodospadem i próbowałam zapamiętać *Krainę wrózek* Poego. Większość pozostałych dziewczyn od razu chciała skoczyć, kiedy tu przychodziły, miałam więc to miejsce tylko dla siebie. Było tu bardzo spokojnie. Cicho, choć z drugiej strony w Ogrodzie zawsze było cicho. Nawet kiedy niektóre z lepiej przystosowanych dziewczyn bawiły się w berka albo w chowanego, nigdy nie zachowywały się głośno. Wszystko było wyciszone i żadna z nas nie wiedziała, czy tak właśnie chce Ogrodnik, czy tak podpowiadał nam instynkt. Jako grupa wszystkich naszych zachowań nauczyłyśmy się od innych Motyli, które znów nauczyły się tego od swoich poprzedniczek, bo Ogrodnik porywał dziewczyny od pieprzonych trzech dekad.

Nie porywał dziewczyn młodszych niż szesnaście lat i jeśli nie miał pewności, zawsze decydował się na starsze, więc maksymalna długość życia Motyla wynosiła pięć lat. Z grubsza licząc, to sześć *pokoleń* motyli.

Gdy poznałam Avery'ego w restauracji, tak jak jego ojciec ubrany był w smoking. Pewnego dnia siedziałam z książką na kolanach oparta plecami o skałę i pławiłam się w ciepłym świetle słońca, które wpadało do środka przez szklany dach. Podniosłam głowę, kiedy padł na mnie jego cień. Miał na sobie dzinsy i rozpiętą koszulę do garnituru. Na jego torsie znajdowały się szramy po

zadrapaniach, a na szyi coś na kształt śladu po ugryzieniu.

– Mój ojciec chce cię zatrzymać tylko dla siebie – powiedział. – W ogóle o tobie nie mówił, nie powiedział nawet, jak masz na imię. Nie chce, żebym cię pamiętał.

Przewróciłam kartkę i znów utkwiałam wzrok w książce.

Złapał mnie za włosy, tak bym podniosła twarz, a drugą dłonią uderzył mnie w policzek.

– Teraz nie uratuje cię żaden pomywacz. Tym razem dostaniesz to, o co się prosisz.

Wciąż trzymałam książkę na kolanach i nie odezwałam się ani słowem.

Znów mnie uderzył i tym razem poczułam na języku smak krwi z rozbitej wargi, a przed oczami pojawiły się mroczki. Wyrwał mi książkę z rąk i wrzucił ją do strumienia. Obserwowałam ją, jak znika za krawędzią wodospadu, żeby nie musieć patrzeć na niego.

– Idziesz ze mną.

Poprowadził mnie, trzymając za włosy uczesane przez Bliss w elegancki francuski kok, który szybko rozpadł się w jego dłoniach. Kiedy nie poruszałam się tak prędko, jak tego chciał, odwracał się i znów dawał mi w twarz. Inne dziewczyny odwracały głowy, gdy je mijaliśmy, a jedna zaczęła nawet płakać, choć stojące najbliżej niej Motyle szybko ją uciszyły, na wypadek gdyby Avery uznał, że z płaczką będzie miał więcej zabawy.

Wepchnął mnie do pokoju, w którym nigdy wcześniej nie byłam, sąsiadującego ze studiem tatuażu na samym przedzie Ogrodu. To pomieszczenie zawsze było zamknięte na klucz, jeśli Avery się w nim nie bawił. Znajdowała się tam już pewna dziewczyna, przymocowana do ściany za nadgarstki za pomocą ciężkiego łańcucha. Krew pokrywała grubą warstwą jej uda i część twarzy. Sączyła się także z paskudnej rany po ugryzieniu na jednej z piersi. Jej głowa zwisała do przodu pod dziwnym kątem. Nie podniosła wzroku, mimo że wylądowałam na podłodze z donośnym hukiem.

Nie oddychała.

Avery pogładził ogniste włosy dziewczyny, owijając nimi palce i odchylając jej głowę do tyłu. Wokół jej gardła widać było odciski dłoni, a z jednej strony przez skórę przebiła się kość.

– Nie była taka silna jak ty.

Nachylił się nade mną, najwyraźniej oczekując, że będę walczyć, ale nie. Niczego nie zrobiłam.

Nie, to nie do końca prawda.

Wyrecytowałam Poego, a kiedy wypowiedziałam już wszystkie zapamiętane linijki, powtarzałam je w głowie raz za razem, aż Avery z pełnym odrazą prychnięciem pchnął mnie na ścianę i wyszedł z pokoju z rozpiętymi dzinsami.

Można było powiedzieć, że wygrałam.

Choć w tamtym momencie nie czułam się jak zwyciężczyni.

Kiedy pokój w końcu przestał wokół mnie wirować, wstałam i zaczęłam szukać klucza albo sprzączki, czegokolwiek, czym mogłabym wyzwolić tę biedą dziewczynę z ciężkich kajdan. Na nic. Znalazłam zamkniętą szafkę, w której, kiedy pociągnęłam za drzwiczki tak daleko, jak pozwolił zamek, zobaczyłam pejcze i kiścienie. Znalazłam pręty i zaciski, i przedmioty, nad których przeznaczeniem nie chciałam się nawet zastanawiać. Znalazłam wiele rzeczy z wyjątkiem sposobu, aby dać tej dziewczynie choćby skrawek godności.

Chwyciłam więc strzępy mojej sukienki i owinęłam ją nimi, jak umiałam, pocałowałam ją w policzek i przeprosiłam z całego serca, tak jak nigdy jeszcze nikogo nie przepraszałam.

– On już cię więcej nie skrzywdzi, Giselle – szepnęłam do jej zakrwawionej skóry.

I wyszłam naga na korytarz.

Wszystko mnie bolało i każda dziewczyna, którą mijałam, najniższym szeptem wyrażała swoje współczucie. Żadna z nich nie zaoferowała mi pomocy. W tym celu miałyśmy chodzić do Lorraine, tak aby mogła zarejestrować każde obrażenie i zgłosić je Ogrodnikowi. Nie miałam jednak ochoty patrzeć na jej kamienną twarz ani czuć, jak z większą niż trzeba siłą naciska na moje występujące sińce. Kiedy wyłowiłam z sadzawki zniszczony tomik poezji, wróciłam do swojego pokoju i usiadłam w wąskiej kabinie prysznicowej. Woda pojawiała się dopiero wieczorem – każda z nas miała wyznaczoną porę na prysznic, chyba że wcześniej była z Ogrodnikiem. Dziewczyny, które przebywały w Ogrodzie od dłuższego czasu, same mogły włączyć wodę – kolejny przywilej, na który sobie zasłużyły – ale ja jeszcze do nich nie należałam. Jeszcze nie przez kolejnych kilka miesięcy.

Tak bardzo chciałam się rozplakać. Większość dziewczyn potrafiła płakać bez przerwy i wiele z nich wydawało się odczuwać potem ulgę. Nie płakałam od czasu tej pieprzonej karuzeli, gdy miałam sześć lat, siedziałam przypięta do pięknego, kolorowego konia i kręciłam się w kółko, podczas gdy moi rodzice gdzieś sobie poszli i o mnie zapomnieli. I jak się okazało, siedzenie w kabinie prysznicowej i czekanie na wodę, która miała się pojawić dopiero za kilka godzin, jakoś tego nie zmieniło.

Znalazła mnie Bliss, wciąż ociekająca wodą po prysznicu, z włosami zawiniętymi w jaskrawoniebieski ręcznik w kolorze skrzydeł na swoich plecach.

– Mayu, co się... – Zatrzymała się w pół kroku i utkwiała we mnie wzrok. – Kurwa mać, co się stało?

Bolało nawet mówienie, wargę miałam spuchniętą, a żuchwa bolała mnie od licznych ciosów, nie wspominając o innych rzeczach.

– Avery.

– Zaczekaj tutaj.

Bo przecież do tylu miejsc mogłam pójść.

Ale kiedy wróciła, przyprowadziła ze sobą Ogrodnika, który jeszcze nie zdążył się pozbiierać po ich spotkaniu. Nie powiedziała ani słowa, tylko wprowadziła go do pokoju, puściła jego dłoń i wyszła.

Zaczęły mu się trząść ręce.

Zrobił krok w głąb pokoju, a przerażenie na jego twarzy wzrastało wraz z każdą nowo zauważoną raną, każdym ugryzieniem, każdym zadrapaniem, każdym ciemniejącym siniakiem, każdym odciskiem dłoni. Bo najbardziej obrzydliwą rzeczą było to – a można było wybierać z bardzo wielu – że jemu naprawdę na nas zależało, a przynajmniej na tym, co w nas widział. Uklęknął przede mną i zaczął oceniać mój stan zatroskanymi oczami i delikatnym dotykiem.

– Mayu, jest mi... jest mi bardzo przykro. Naprawdę.

– Giselle nie żyje – szepnęłam. – Nie mogłam jej ściągnąć.

Zamknął oczy z miną pełną niekłamanego bólu.

– Ona może poczekać. Najpierw zajmijmy się tobą.

Do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, że miał w Ogrodzie swój apartament. Kiedy szliśmy przez studio tatuażu, zawołał po Lorraine. Słyszałam, jak wychodzi z gabinetu pielęgniarskiego. Jej siwo-brązowe włosy, które wyplątały się z wysokiego upięcia, puszyły się wokół jej twarzy.

– Przynieś bandażę i środek do dezynfekcji. Coś, co pomoże na opuchliznę.

– Co się...

– Po prostu przynieś – warknął. Piorunował ją wzrokiem do czasu, aż wyszła. Pojawiła się chwilę później z małą siatkową torebką pełną zebranych naprędce przyborów.

Wstukał kod do panelu w ścianie i jej część odsunęła się, ujawniając pokój w burgundowym kolorze ze złotymi i mahoniowymi akcentami. Stała tam miękka kanapa, odchylany fotel ustawiony pod wysoką lampą do czytania oraz płaski telewizor. Tyle tylko zdążyłam zauważyć, zanim Ogrodnik wprowadził mnie przez kolejne drzwi do łazienki z wbudowaną w podłogę wanną z hydromasażem, większą niż moje łóżko. Pomógł mi usiąść na jej brzegu i odkręcił wodę, po czym zmoczył ręcznik, żeby zetrzeć ze mnie największe plamy krwi.

– Nie pozwolę, by mój syn jeszcze raz wyrządził ci coś takiego – szepnął. – Mój syn... mojemu synowi brak opanowania.

Między innymi.

I tak jak pozwalałam mu robić inne rzeczy, pozwoliłam mu skakać wokół mnie, zająć się mną i położyć do jego łóżka, podczas gdy on poszedł po Lorraine. Nie sądziłam, że będę w stanie zasnąć, ale zapadłam w sen, całą noc czując na karku jego oddech, kiedy gładził mnie po włosach i bokach.

Następnego popołudnia, kiedy leżałam w swoim łóżku z Bliss dotrzymującą



mi towarzystwa, Lorraine wrzuciła mi do pokoju jakąś paczkę. Podczas gdy Bliss mruzczała pod nosem coś o walniętych sukach, które powinny wstawić łąb do piekarnika, odwinęłam zwykły brązowy papier i aż się roześmiałam.

To były wiersze Poego.



– Czyli Ogrodnik nie pochwalał tego, co zrobił jego syn?

– Ogrodnik nas czcił i szczerze żałował, że musi nas zabić. Avery był po prostu... – Dziewczyna kręci głową i zawija pod siebie nogi na krześle. Krzywi się i dociska dłonie do brzucha. – Przepraszam, ale naprawdę muszę skorzystać z toalety.

Minutę później drzwi otwiera analityczka. Inara podchodzi do niej, po czym odwraca się do Victora, jak gdyby pytała o pozwolenie. Kiedy kiwa do niej głową, obie wychodzą z pokoju i zamykają za sobą drzwi.

Victor przeszukuje zdjęcia korytarzy, starając się zliczyć wzory skrzydeł.

– Myślisz, że to wszystkie dziewczyny, jakie porwał? – pyta Eddison.

– Nie – odpowiada Victor z westchnieniem. – Chciałbym móc powiedzieć, że tak, ale co, jeśli dziewczyna została zraniona w taki sposób, że zniszczyło to jej skrzydła lub plecy? Wątpię, żeby wtedy chciał je eksponować. Te tutaj są w idealnym stanie.

– One nie żyją.

– Ale są idealnie zachowane. – Podnosi jedno ze zdjęć w zbliżeniu. – Powiedziała, że to szkło i żywica. Potwierdzili to technicy na miejscu?

– Dowiem się. – Wstaje od stołu i wyciąga z kieszeni komórkę. Tak długo, jak razem pracują, Victor nigdy nie widział, żeby Eddison był w stanie ustać spokojnie, kiedy rozmawia przez telefon. Gdy tylko wykręca numer, zaczyna chodzić po pokoju tam i z powrotem jak tygrys w klatce.

Victor bierze długopis przyczepiony do notesu Eddisona i pisze swoje inicjały na torbie z dowodami osobistymi, po czym wysypuje je na stół. Eddison spogląda na niego z zaciekawieniem, ale Victor w dużej mierze je ignoruje. W końcu udaje mu się znaleźć nazwisko, którego szuka. Cassidy Lawrence.

Lyonette.

Młoda dziewczyna na zdjęciu promienieje z podekscytowania: miała prawo jazdy dopiero od trzech dni, kiedy ją porwano. Jej twarz wydaje się stworzona do uśmiechu i radości. Victor stara się jakoś ją połączyć z dziewczyną o ognistym spojrzeniu, która powitała Inarę w Ogrodzie. Nie potrafi. Nawet kiedy kładzie dowód przy zdjęciu pomarańczowych skrzydeł zastygłych za szkłem, nie jest w stanie wyobrazić sobie, że to ta sama osoba.

– Jak myślisz, która z nich to Giselle? – pyta Eddison, wkładając telefon z powrotem do kieszeni.

– Za dużo tu rudych głów, żeby zgadnąć, no chyba że Inara powie nam, jakiego miała motyla.

– Jak to możliwe, że robił coś takiego przez trzydzieści lat i nikt niczego nie zauważył?

– Gdyby policja nie dostała tego wezwania i nie zobaczyła naszych alertów przy niektórych nazwiskach, to jak sądzisz, jak długo jeszcze robiłby to niezauważony?

– Okropne pytanie.

– Co powiedzieli technicy?

– Zamykają na dziś miejsce zdarzenia, oprowadzają nocnych strażników. Wznowią sprawę jutro.

– Zamykają? – Odwraca nadgarstek, żeby sprawdzić, która godzina. Prawie dwudziesta druga. – Chryste.

– Vic... nie możemy puścić jej wolno. Ona znów zniknie. Nie jestem taki przekonany, czy nie brała w tym wszystkim udziału.

– Wiem o tym.

– To czemu mocniej na nią nie naciskamy?

– Bo jest na tyle sprytna, żeby zwrócić się przeciw nam i – śmieje się ostro – na tyle przemądrzała, żeby czerpać przyjemność z tego, że wodzi nas za nos. Daj jej opowiedzieć wszystko po swojemu, będzie nas to tylko kosztować nieco czasu, a to jeden z niewielu przypadków, kiedy *mamy* czas. – Nachyla się do przodu

i zaciska dłonie na blacie. – Podejrzani nie są w dobrym stanie. Nie jest powiedziane, że przetrwają tę noc. Ona jest naszą najlepszą szansą, żeby dowiedzieć się czegoś o Ogrodzie w szerszej perspektywie.

– O ile mówi prawdę.

– Jeszcze nas nie okłamała.

– Na tyle, na ile wiemy. Ludzie z fałszywymi dowodami zwykle nie są niewinni, Vic.

– Może mówi prawdę o tym, dlaczego go ma.

– To wciąż niezgodne z prawem i nadal jej nie ufam.

– Daj jej trochę czasu. Może równocześnie stan pozostałych dziewczyn na tyle się poprawił, że będą mogły z nami porozmawiać. Im dłużej ją tu przetrzymamy, tym większe nasze szanse, że pozostałe dziewczyny zaczną mówić.

Eddison marszczy brwi, ale kiwa głową.

– Ona jest irytująca.

– Niektórzy ludzie nie potrafią się podnieść po traumie. Inni składają do kupy popękane kawałki, nie zwracając uwagi na ostre krawędzie.

Przewracając oczami, Eddison zbiera dowody z powrotem do torby. Każde zdjęcie układa na równy stosik, którego krawędzie wyrównuje do brzegów stołu.

– Nie spaliśmy od trzydziestu sześciu godzin. Musimy odpocząć.

– To prawda.

– Co z nią zrobimy? Nie możemy pozwolić jej zniknąć. Jeśli zabierzemy ją z powrotem do szpitala i dowie się o niej senator...

– Zostanie tutaj. Załatwimy jej jakieś koce, może uda się znaleźć polowe łóżko, a rano wrócimy do tematu.

– Naprawdę uważasz, że to dobry pomysł?

– Lepszy niż puścić ją wolno. Jeśli ją tu przetrzymamy, zamiast odprawić do aresztu, to nadal będziemy prowadzić przesłuchanie. Nawet senator Kingsley nie będzie się mogła do tego wtrącić.

– Będziemy na to czekać? – Eddison zbiera śmieci z obiadu i wpycha wszystko do jednej z toreb, aż papier pęka pod ich naporem, po czym rusza do wyjścia. – Znajdę jakąś polówkę. – Otwiera drzwi, marszczy brew na widok powracających Inary i Yvonne i odchodzi. Yvonne kiwa głową do Victora i wraca do sali obserwacyjnej.

– Co za miły człowiek – zauważa Inara oschłym tonem i wsuwa się na krzesło po przeciwnej stronie stołu. Z jej twarzy zniknęły smugi sadzy i brudu, a włosy zwinęła w obfity kok.

– Przydaje się do wielu rzeczy.

– Mam nadzieję, że rozmawianie z dziećmi po przejściach nie jest jedną z nich.

– Lepiej daje sobie radę z podejrzanymi – przyznaje i wygrywa nieznaczny

uśmiech. Victor szuka czegoś, czym mógłby zająć dłonie, ale przez swoje kompulsywne nawyki Eddison posprzątał wszystko ze stołu. – Opowiedz nam o życiu w Ogrodzie.

– To znaczy?

– Byciu tam dzień po dniu, kiedy nie działo się nic niezwykłego. Jak wam tam było?

– Kurewsko nudno – odpowiada zwięźle.

Victor uciska palcami brzegi nosa.



Mówię poważnie, było nudno.

Zwykle w Ogrodzie było nas od dwudziestu do dwudziestu pięciu, nie licząc Lorraine, bo właściwie dlaczego miałyby być w czymkolwiek uwzględniania? O ile nie wyjechał z miasta, Ogrodnik codziennie „odwiedzał” przynajmniej jedną z nas, czasem dwie albo trzy, jeśli nie musiał pracować ani nie spędzał czasu ze swoją rodziną czy przyjaciółmi, co oznaczało, że w ciągu jednego tygodnia i tak nie udawało mu się spędzić czasu z nami wszystkimi. Po tym, co Avery zrobił mnie i Giselle, wolno mu było przychodzić do Ogrodu tylko raz w tygodniu i tylko pod nadzorem ojca, choć łamał tę zasadę tak często, jak tylko mu się wydawało, że ujdzie mu to na sucho. Nie trwało to zresztą długo.

Śniadanie podawano w kuchni o siódmej trzydziści i miałyśmy na nie czas

do ósmej rano, aby Lorraine mogła potem posprzątać. Nie było mowy o oszukiwaniu podczas posiłków – Lorraine każdą z nas obserwowała i zdawała raport Ogrodnikowi – ale na jeden posiłek w ciągu dnia mogłyśmy nie mieć apetytu. Jeśli zrobiłaś tak dwa razy, Lorraine przychodziła do twojego pokoju na zwiad.

Po śniadaniu – z wyjątkiem tych dwóch poranków, kiedy przychodzili ogrodnicy, a my siedziałyśmy uwięzione pomiędzy ścianami – miałyśmy wolne do lunchu o dwunastej, na który też dostawałyśmy pół godziny. Połowa dziewczyn wracała później do łóżek, jak gdyby przesypianie dni miało sprawić, że szybciej miną. Ja zwykle szłam za przykładem Lyonette, nawet po tym, jak znalazła się za szklą, i przeznaczałam przedpołudnia na rozmowy z dziewczynami, które tego potrzebowały. Jaskinia za wodospadem stała się pewnego rodzaju gabinetem. Wszędzie znajdowały się kamery i mikrofony, ale huk naszego małego wodospadu sprawiał, że trudno było wyraźnie usłyszeć całą rozmowę.



- I on na to pozwalał? – Victor pyta z niedowierzaniem.
- Kiedy mu to wyjaśniłam, to tak.
- Wyjaśniłaś mu to?
- Tak. Pewnego wieczoru kazał mi zjeść z nim kolację w jego apartamencie, bo chciał o tym porozmawiać. Pewnie żeby się upewnić, że nie organizujemy

jakiegoś buntu czy coś.

– I jak to wytłumaczyłaś?

– Dziewczyny potrzebowały jakiejś namiastki prywatności dla utrzymania zdrowej psychiki. Tak długo, jak te rozmowy zapewniały Motylom dobre samopoczucie i równowagę, to w czym to, kurwa, miało przeszkadzać? Cóż, wtedy wyraziłam się trochę bardziej elokwentnie. Ogrodnik lubił elegancję.

– Te rozmowy z dziewczynami... Jak one przebiegały?



Niektóre z nich po prostu potrzebowały dać upust emocjom. Były niespokojne, wkurzone i potrzebowały kogoś, przed kim mogłyby to wszystko z siebie wyrzucić. Chodziły tam i z powrotem, rzucały wyzwiskami i waliły pięściami w skały, ale koniec końców, póki miały obolałe dłonie i serca, były o krok dalej od załamania. Robiły to samo co Bliss, tylko brakowało im jej odwagi.

Bliss mówiła, co chciała, gdzie chciała i kiedy chciała. Tak jak powiedziała, kiedy spotkałam ją po raz pierwszy, Ogrodnik nigdy nie prosił, żebyśmy go kochały. Chciał, żebyśmy go kochały, tak przynajmniej sędzę, ale nigdy nas o to nie poprosił. Wydaje mi się, że cenił jej szczerość, tak jak zaczął cenić moją bezpośredniość.

Inne dziewczyny potrzebowały pocieszenia, czegoś, w czym nie byłam szczególnie dobra. Potrafiłam okazać cierpliwość, jeśli któraś od czasu do czasu

uroniła łzę albo płakała przez pierwszy miesiąc w Ogrodzie, ale kiedy to ciągnęło się tygodniami, miesiącami, a nawet latami... cóż, wtedy zwykle traciłam cierpliwość i kazałam im wziąć się w garść.

A jeśli byłam akurat wyjątkowo wielkoduszna, odsyłałam je do Evity.

Evita miała na plecach *Vanessa virginensis*: blade odcienie pomarańczy i stłumione żółcie, sięgające koniuszków skrzydeł rozchodzących się w misterne czarne wzory. Evita była urocza, ale niezbyt bystra. Nie mówię tego ze złośliwości, ale dlatego, że taka była prawda. Miała umysł sześciolatki, więc Ogród był dla niej codziennym źródłem zachwytów. Ogrodnik przychodził do niej tylko raz lub dwa razy w miesiącu, bo to, czego od niej chciał, wywoływało w jej głowie zamęt i lęk. Avery w ogóle nie mógł się do niej zbliżyć. Za każdym razem, kiedy Ogrodnik do niej przychodził, martwiłyśmy się wszystkie, że skończy w szkle, ale on chyba ceniał jej prostą słodycz.

Ta prosta słodycz oznaczała, że można było iść do Evity i się wypłakać, a ona cię przytulała, gładziła i wydawała z siebie pocieszające głosy, aż przestałaś ryczeć. I słuchała, nie mówiąc ani słowa, jak opowiadasz o tym, co ci leży na sercu. Towarzystwo Evity zawsze podnosiło dziewczyny na duchu.

Jeśli o mnie chodzi, przebywanie z nią zawsze napawało mnie smutkiem. Po odwiedzinach Ogrodnika zawsze do mnie przychodziła i była jedyną osobą, której zawsze potrafiłam wybaczyć łzy.



– Czy mamy wysłać do szpitala kogoś zajmującego się osobami niepełnosprawnymi umysłowo?

Dziewczyna kręci głową.

– Zmarła około pół roku temu. To był wypadek.



Okolo jedenastej piętnaście „gabinet” się zamykał i kilka z nas zaczynało biegać w kółko po korytarzach. Lorraine przesywała nas wzrokiem, jeśli się wtedy na nas natknęła, ale nigdy się temu nie sprzeciwiła, bo było to właściwie jedyne ćwiczenie, jakie miałyśmy. Ogrodnik nie chciał nam dać ani ciężarków, ani bieżni elektrycznych, ani nic podobnego, bo bał się, że użyjemy ich, żeby zrobić sobie krzywdę. A po lunchu miałyśmy całe wolne popołudnie aż do obiadu o ósmej.

Wtedy właśnie dopadała nas nuda.

Szczyt klifu stał się moim prywatnym miejscem jeszcze bardziej niż jaskinia za wodospadem, ponieważ byłam jedną z nielicznych, które lubiły wspinać się wysoko i wylegiwać blisko szyby wyznaczającej granicę naszego więzienia. Większość dziewczyn radziła sobie, udając, że niebo wcale nie jest tak blisko, udając, że nasz świat jest większy niż w rzeczywistości i że na zewnątrz nic na nas nie czeka. Jeśli to im pomagało, to nie miałam zamiaru tego negować. Ale uwielbiałam to miejsce. W niektóre dni wspinałam się nawet na drzewa,



wyciągałam w górę i dociskałam dłoń do szkła. Lubiłam sobie przypominać, że poza granicami mojej klatki istnieje jakiś świat, nawet jeśli miałam go już nigdy więcej nie zobaczyć.

Na samym początku Lyonette, Bliss i ja wyciągałyśmy się na klifie w popołudniowym słońcu i rozmawiałyśmy albo czytałyśmy. Lyonette składała swoje figurki origami, Bliss bawiła się gliną polimerową, którą przynosił jej Ogrodnik, a ja czytałam na głos sztuki, powieści i wiersze.

Ale często schodziłyśmy na główny poziom, gdzie rzeka dzieliła na pół przypominającą dżunglę roślinność, i spędzałyśmy czas z innymi dziewczynami. Czasem po prostu razem czytałyśmy albo rozmawiałyśmy na mniej drażliwe tematy. A jeśli zdołałyśmy się wyjątkowo wynudzić, grałyśmy też w gry.

Takie dni najbardziej uszczęśliwiały Ogrodnika. Wiedziałyśmy, że wszędzie są kamery, bo nocą widać było ich mrugające na czerwono lampki, ale kiedy grałyśmy, przychodził obserwować nas osobiście ze skał przy wodospadzie. Na ustach miał wtedy delikatny uśmiech, jakby to było spełnienie jego marzeń.

To, że nie rozbiegłyśmy się do naszych pokoi i samotnych zajęć, kiedy tylko go zobaczyłyśmy, to wystarczający dowód na to, jakie wszystkie byłyśmy znudzone.

Sześć miesięcy temu około dziesięciu z nas bawiło się w chowanego. Szukała nas Danelle. Musiała odliczyć do stu, stojąc niedaleko Ogrodnika, bo było to jedyne miejsce, w którym żadna z nas by się nie skryła i z którego nie mogła tak łatwo usłyszeć, gdzie się chowamy. Nie jestem pewna, czy był świadomy tej logiki, czy nie, ale wydawał się zachwycony tym, że uczestniczy w zabawie, nawet jeśli stoi na uboczu.

Podczas tych zabaw niemal zawsze wchodziłam na drzewo, głównie dlatego, że dwa lata ćwiczeń na schodach przeciwpożarowych dawały mi przewagę nad innymi. Mogły mnie łatwo znaleźć, ale nie mogły dotknąć, żebym została berkiem albo musiała szukać.

Evita miała lęk wysokości i bała się zamkniętych przestrzeni. Ktoś zawsze zostawał z nią w nocy, na wypadek gdyby opuszczono ściany, żeby nie była wtedy sama i przerażona. Evita *nigdy* nie wspinała się po drzewach. Z wyjątkiem tamtego dnia. Nie wiem, dlaczego chciała to zrobić, zwłaszcza że wszystkie widziałyśmy, jaka była przestraszona, kiedy znalazła się jakieś dwa metry nad ziemią. Ale nawet gdy zawołałam do niej, że wszystko jest w porządku i że może schować się gdzie indziej, była zdeterminowana.

– Będę dzielna – powiedziała. – Będę dzielna jak Maya.

Stojący obok Danelle Ogrodnik obserwował to z zafascynowaniem, jak zresztą za każdym razem, kiedy któraś z nas zrobiła coś dla siebie nietypowego.

Danelle doszła do dziewięćdziesięciu dziewięciu i zatrzymała się, dając Ewicie dodatkową chwilę na schowanie się. Czasem wszystkie tak robiłyśmy, jeśli

mogłyśmy ją usłyszeć. Danelle stała odwrócona plecami, zasłaniając dłońmi swoją wytatuowaną twarz, i czekała na ciszę.

Zajęło to Evicie prawie dziesięć minut, ale centymetr po centymetrze wspięła się po drzewie i usiadła na gałęzi znajdującej się około pięciu metrów nad ziemią. Po jej twarzy ciekły łzy, ale spojrzała na mnie na sąsiednie drzewo i uśmiechnęła się niepewnie.

– Potrafię być dzielna – powiedziała.

– Jesteś bardzo dzielna, Evito – odpowiedziałam. – Najdzielniejsza z nas wszystkich.

Pokiwała głową i spojrzała w dół pomiędzy swoje stopy, na ziemię, która wydawała się bardzo daleko.

– Nie podoba mi się tu.

– Chcesz, żebym pomogła ci zejść?

Raz jeszcze pokiwała głową.

Stałam ostrożnie na swojej gałęzi i odwróciłam się, żeby zejść ze swojego drzewa, kiedy usłyszałam zza pleców krzyk Ravenny.

– Evito, nie! Zaczekaj na Mayę!

Obejrzałam się przez ramię w samą porę, by zobaczyć, jak Evita wierci się i gramoli na gałęzi, aż znalazła się na zbyt cienkim odcinku, by mógł dalej utrzymać jej ciężar. Gałąź pękła, a Evita z piskiem zaczęła spadać w dół. Wszystkie wybiegłyśmy z naszych kryjówek na pomoc, ale wtedy Evita uderzyła głową o jedną z niższych gałęzi z przyprawiającym o mdłości trzaskiem i jej krzyki gwałtownie umilkły.

Wpadła do jeziora z wielkim pluskiem. Nie ruszała się.

Zeszłam z drzewa, najszybciej jak potrafiłam, odrapując sobie nogi i ręce o korę. Nikt nie ośmielił się drgnąć, nawet Ogrodnik. Wszyscy patrzyli na dziewczynę w stawie, na krew, która rozchodziła się od jej jasnych włosów. Brodząc w strumieniu, podeszłam do Evity i pociągnęłam ją za kostkę.

W końcu Ogrodnik przybiegł do nas i nie zważając na swoje drogie ubrania, pomógł mi wyciągnąć Evitę z wody. Jej śliczne niebieskie oczy były szeroko rozwarte i nieruchome – nie było sensu próbować przywrócić jej oddechu.

Trzask, który słyszałyśmy, był odgłosem jej łamanego karku.

Śmierć w Ogrodzie to była dziwna rzecz. Stanowiła wszechobecne zagrożenie, ale nikt nie widział jej na własne oczy. Dziewczyny po prostu zabierano i ich miejsce zajmowała para skrzydeł w gablocie w korytarzu. Dla większości dziewczyn był to pierwszy raz, kiedy zobaczyły, jak ktoś umiera.

Ogrodnikowi trzęsły się ręce, kiedy odgarniał Evicie z twarzy jej mokre włosy i układał tę mokrą płataninę tam, gdzie uderzyła głową w gałąź. Patrzyłyśmy wtedy bardziej na niego niż na Evitę, bo *plakał*. Całe jego ciało poruszało się od szloch, a oczy zaciskały na ten niespodziewany ból. Kołysał się to w przód, to

w tył, tuląc do piersi ciało Evity i nie zważając na to, że brudzi sobie rękaw, a koszula i spodnie przesiąkają mu wodą.

W tamtej chwili jakby odebrał nam nawet łzy. Dziewczyny z pozostałych pokoi i innych części Ogrodu przybiegły do nas zaniepokojone krzykami i wszystkie, cała nasza dwudziestka dwójka, stałyśmy w całkowitej ciszy, nie uroniwszy nawet łzy, podczas gdy nasz porywacz opłakiwał śmierć jedynej dziewczyny, której *nie zabił*.



Inara bierze plik zdjęć zrobionych w korytarzu i przegląda je, aż znajduje to, czego szuka.

– Ułożył włosy tak, żeby nie było widać rany – tłumaczy Victorowi, kładąc przed nim fotografię. – Spuścił ściany i resztę dnia oraz całą noc spędził, pracując gdzieś, gdzie nie mogliśmy go zobaczyć. Następnego dnia Evita była już w szkole, a on spał przed nią z czerwonymi, zapuchniętymi powiekami. Został tam przez resztę dnia, tuż przed jej gablotą. Potem dotykał szkła za każdym razem, gdy przed nią przechodził, aż w ogóle przestał zdawać sobie sprawę, że to robi. A kiedy szkło było zasłonięte, dotykał ściany.

– Ale ona nie była jedyną dziewczyną, która zginęła przez przypadek, prawda?

– Nie, oczywiście, że nie. Ale Evita była... była słodka. Zupełnie niewinna,

niezdolna, żeby zrozumieć złe rzeczy. Kiedy się jej przydarzały, dotykały ją lekko, a potem znikwały. Na pewien sposób była chyba najszczęśliwszą spośród nas, wyłącznie dlatego, że nie знаła innego sposobu, by żyć.

Eddison wpada do pokoju przy szczęku taniego metalu, ciągnąc za sobą łóżko polowe, w drugiej ręce niosąc koce i stertę cienkich poduszek. Upuszcza je pod ścianą w najodleglejszym miejscu pomieszczenia i dysząc, odwraca się do swojego partnera.

– Właśnie dzwoniła Ramirez. Syn nie żyje.

– Który?

Inara wypowiada to słowo tak cicho, na bezdechu i z trudnymi do określenia emocjami, że Victor nie jest nawet całkowicie pewien, czy dobrze usłyszał. Spogląda na dziewczynę, ale jej oczy utkwione są w Eddisonie. Jednym paznokciem grzebie pod bandażem, aż wzdłuż palca pojawia się szkarłatna smuga.

Eddison jest równie zaskoczony. Zerka na Victora, który wzrusza ramionami.

– Avery – odpowiada w całkowitym zdumieniu.

Dziewczyna zgina się w pół i chowa twarz w ramionach. Victor zastanawia się, czy płacze, ale kiedy unosi głowę jakąś minutę później, w jej oczach nie ma łez. Wypełnia je nowy rodzaj niepokoju, ale nie ma w nich łez.

Eddison rzuca Victorowi znaczące spojrzenie, ale on nie ma bladego pojęcia, co się dzieje w głowie tej dziewczyny. Czy nie powinna się cieszyć, że jej prześladowca nie żyje? A przynajmniej czuć ulgi? Może ona gdzieś tam tkwi, zakopana pomiędzy złożonymi emocjami. Jednak najbardziej dziewczyna wydaje się zrezygnowana.

– Inaro?

Dziewczyna przerzuca swoje blade, brązowe oczy na łóżko polowe i teraz dłubie już pod gazą na obu dłoniach.

– Czy to znaczy, że mogę iść spać? – pyta znużonym głosem.

Victor podnosi się i gestem daje Eddisonowi do zrozumienia, żeby zostawił ich samych. Jego partner wykonuje polecenie bez słowa komentarza, zabiera zdjęcia i torby z dowodami. Niespełna minutę później Victor jest sam ze skrzywdzonym dzieckiem, którego być może nigdy nie zrozumie. Bez słowa rozkłada skrzypiące nogi łóżka i stawia je w rogu pokoju, jak najdalej od drzwi, tak by stolik odgradzał dziewczynę od kogoś, kto mógłby wejść do pomieszczenia, po czym obwija je jednym z koców jak prześcieradłem. Drugi koc rozkłada w nogach łóżka, kładąc poduszki po przeciwnej stronie.

Kiedy kończy, klęka przy jej krześle na jedno kolano i delikatnie kładzie jej dłoń na plecach.

– Inaro, wiem, że jesteś zmęczona, więc pozwolimy ci teraz spać. Wrócimy rano ze śniadaniem i kolejnymi pytaniami, i miejmy nadzieję, świeżymi

informacjami co do stanu pozostałych dziewczyn. Zanim sobie jednak później...

– Czy to nie może poczekać do jutra?

– Czy młodszy syn wiedział o Ogradzie?

Inara przygryza wargę, aż po brodzie zaczyna jej cieknąć krew.

Z głębokim westchnieniem Victor wyciąga z kieszeni chusteczkę i idzie do drzwi.

– Des.

Victor odwraca się do niej, wciąż trzymając jedną dłoń na klamce. Dziewczyna ma zamknięte oczy, a jej twarz wyraża głębokie cierpienie.

– Słucham?

– Ma na imię Des. Desmond. I tak, wiedział o Ogradzie i o nas.

Głos jej się łamie i choć Victor wie, że dobry agent zrobiłby majątek na tym załamaniu, na tej obnażonej wrażliwości, widzi w niej swoje córki i zwyczajnie nie może tego zrobić. – Ktoś będzie cię obserwował z pokoju techników – mówi cicho. – Jeśli będziesz czegoś potrzebować, pomogą ci. Śpij dobrze.

Być może urywany dźwięk, który słyszy, to śmiech, ale nie taki, jaki chciałby usłyszeć jeszcze raz.

Drzwi zamykają się za nim z delikatnym szczękiem zamka.

[1] GED (General Educational Development) – rodzaj testu kompetencyjnego, uznawany za odpowiednik dyplomu ukończenia szkoły średniej w USA [wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki].

[2] SAT (Scholastic Assessment Test) – nieobligatoryjny test na zakończenie szkoły średniej, stanowiący podstawowe kryterium przy rekrutacji na studia w USA.

## II

Następnego ranka dziewczyna – dziwnie Victorowi mówić na nią Inara, skoro wie, że to nie jest jej prawdziwe imię – nadal śpi z twarzą wtuloną w kołnierz jego kurtki. Victor melduje się ziewającym analitykom z nocnej zmiany i jeden z nich podaje mu stertę wiadomości: raporty ze szpitala z przebiegu nocy, od agentów z miejsca zdarzenia, informacje o wszelkich możliwych osobach związanych ze sprawą. Przegląda je, popijając kawę ze stołówki – tylko trochę lepszą od wątpliwej brei pozostawionej w dzbanku w służbowej kuchni – i próbuje dopasować zdjęcia do imion z opowieści dziewczyny.

Jest tuż po szóstej rano, kiedy do środka wchodzi Yvonne. Oczy ma zapuchnięte po źle przespanej nocy.

– Dzień dobry, agencie.

– Twoja zmiana zaczyna się dopiero o ósmej. Czemu nie jesteś jeszcze w łóżku?

Analityczka kręci głową w odpowiedzi.

– Nie mogłam spać. Siedziałam całą noc w bujanym fotelu w pokoju córki i po prostu się na nią gapiłam. Gdyby ktoś kiedyś... – Znow kręci głową, tym razem bardziej zdecydowanie, jak gdyby próbowała odgonić złe myśli. – Wyszłam, kiedy tylko teściowa na tyle się przebudziła, żeby pomóc przy dziecku.

Zastanawia się, czy jej nie zaproponować, żeby znalazła puste biuro i się

zdrzemnęła, ale z drugiej strony wątpi, czy ktokolwiek z ich zespołu dobrze dziś spał. Z pewnością nie on – nawiedzały go zdjęcia z korytarza i odległe wspomnienia tego, jak jego córki biegały po ich trawniku ze skrzydłami motyli na plecach. Nocnym koszmarom łatwiej cię dopaść, kiedy nie masz nic do roboty.

Victor podnosi płócienną torbę, która stoi u jego stóp.

– Dam ci świeżutką cynamonową drożdżówkę, jeśli wyświadczysz mi przysługę – mówi, na co Yvonne prostuje się, gotowa do działania. – Holly dała mi ubrania dla Inary. Mogłabyś ją zabrać do damskiej szatni, żeby wzięła prysznic?

– Twoja córka to anioł. – Zerka przez szybę na śpiącą dziewczynę. – Ale szkoda jej budzić.

– Lepiej żebyś zrobiła to ty niż Eddison.

Analityczka wychodzi z pokoju techników bez słowa i chwilę później otwiera z lekkim skrzypnięciem drzwi do pokoju przesłuchań.

Tyle wystarcza: dziewczyna siada na łóżku, zaplątana w swoje włosy i koc, plecami opierając się o ścianę, aż rozpoznaje Yvonne, która stoi w wejściu z rozłożonymi rękoma. Patrzą się na siebie, aż Yvonne delikatnie się uśmiecha.

– Masz dobry refleks.

– On czasem stawał w progu tak jak ty. Zawsze wydawał się rozczarowany, jeśli się nie zorientowałyśmy, że przyszedł. – Dziewczyna ziewa i przeciąga się, przez co po nocy spędzonej na niewygodnej polówce strzelają jej stawy.

– Pomyśleliśmy, że może chciałabyś wziąć prysznic – mówi Yvonne, wyciągając w jej stronę płócienną torbę. – Mamy też ubrania, które powinny na ciebie pasować, oraz kosmetyki.

– Pocałowałabym cię, gdybym wołała dziewczyny. – Idąc do drzwi, stuka w weneckie lustro. – Dziękuję, agencie specjalny FBI Victorze Hanoverianie.

Victor śmieje się, ale nie próbuje odpowiedzieć.

Kiedy jej nie ma, wchodzi do pokoju przesłuchań, aby przejrzeć następne nowe informacje. W nocy zmarła kolejna dziewczyna, ale reszta powinna przeżyć. Wliczając Inarę, jest ich trzynaście. Trzynaście ocalałych. Może czternaście, w zależności od tego, co powie o chłopaku. Skoro jest synem Ogrodnika, to czy uczestniczył w tym, co robili jego ojciec i brat?

Inara nadal jest w szatni, kiedy do środka wchodzi Eddison, gładko ogolony i w garniturze. Kładzie na stole pudełko drożdżówek.

– Gdzie dziewczyna?

– Yvonne zaprowadziła ją pod prysznic.

– Myślisz, że coś nam dziś powie?

– Na swój sposób.

Prychnięcie mówi mu, co jego partner sądzi o tym pomysle.

– No cóż. – Podaje mu stertę wiadomości, które już przeczytał, i przez pewien czas jedynymi odgłosami są szelest papieru i okazjonalne siorbnięcia kawy.

– Ramirez twierdzi, że senator Kingsley rozbiła obóz w szpitalnym lobby – mówi Eddison kilka minut później.

– Spodziewałem się.

– Mówi, że córka nie chciała się widzieć z senator. Stwierdziła, że nie jest gotowa.

– Tego też się spodziewałem. – Victor odkłada kartki na stół i pociera oczy.

– Dziwisz się jej? Dorastała przed kamerami, wiedząc, że wszystko, co robi, odbija się na jej matce. Ona wie, pewnie lepiej niż którakolwiek z pozostałych, jaka medialna burza je czeka. A wszystko zacznie się od spotkania z matką.

– Zastanawiasz się czasem, czy my na pewno jesteśmy tymi dobrymi?

– Nie daj się nabrać na jej słowa. – Victor uśmiecha się, widząc zaskoczoną minę swojego partnera. – Czy mamy idealną pracę? Nie. Czy wykonujemy ją idealnie? Nie. To niemożliwe. Ale wypełniamy swoje zadanie i koniec końców robimy o wiele więcej dobrego niż złego. Inara jest dobra w robieniu uników. Nie możesz pozwolić, żeby zalaża ci za skórę.

Eddison czyta kolejny raport, po czym znów się odzywa.

– Patrice Kingsley, Ravenna, powiedziała Ramirez, że chce porozmawiać z Mayą, zanim podejmie jakiegokolwiek decyzje co do swojej matki.

– Chce się poradzić? Czy woli, by ktoś podjął tę decyzję za nią?

– Nie powiedziała. Vic...

Victor czeka, aż dokończy.

– Skąd wiemy, że ona nie jest jak Lorraine? Opiekowała się tymi dziewczynami. Skąd wiemy, że nie robiła tego po to, by zadowolić Ogrodnika?

– Nie wiemy – przyznaje Vic. – Ale dowiemy się w ten czy inny sposób.

– Zanim umrzemy ze starości?

Starszy agent przewraca oczami i wraca do raportów.

Dziewczyna, która w końcu wraca z Yvonne, to zupełnie inna osoba. Ma uczesane włosy, sięgające jej do bioder. Dżinsy nie do końca pasują – są za ciasne w biodrach, tak że nie jest w stanie zapiąć guzika, ale warstwy kilku koszulek i miękkiego zielonego sweter zasłaniają jej krągłości. Klapki cicho uderzają o podłogę. Inara ściągnęła bandaż i Victor krzywi się na widok poparzeń, które pokrywają jej dłonie, dodatkowo poranione odłamkami szkła i gruzu, kiedy wraz z innymi dziewczynami próbowała uciec.

Podąża za linią jego wzroku i widząc, że patrzy na jej ręce, dziewczyna podnosi dłonie, aby mógł się im bliżej przyjrzeć. Jednocześnie siada na krześle po przeciwnej stronie stołu.

– Bolał bardziej, niż na to wyglądają, ale lekarze powiedzieli, że o ile nie zrobię niczego głupiego, wrócę do normalnej sprawności.

– A jak się czuje reszta ciebie?

– Mam kilka uroczych siniaków, a szwy są nieco różowe i tkliwe na



brzegach, ale opuchlizna jest prawie niewidoczna. Lekarze powinni je pewnie niedługo obejrzyć. No ale wiecie, żyję, czego nie mogę powiedzieć o wielu innych osobach, które znam.

Dziewczyna spodziewa się, że zaczną od chłopaka. Victor widzi to po jej twarzy, po tym, jak spina ramiona i jak koniuszki jej palców przyciskają się do stępów na drugiej dłoni. Jest na to przygotowana. W zamian agent podsuwa jej trzeci kubek – gorącą czekoladę zamiast kawy, biorąc pod uwagę, że wczorajsza niezbyt jej smakowała – i odwija bułeczki z aluminiowej folii. Podaje jedną Yvonne, która dziękuje mu cicho i wraca do sali obserwacyjnej.

Inara ściąga brwi i przechyla głowę na bok niczym ptak, przyglądając się zawartości folii.

– Co za piekarnia zawija wszystko w sreberka?

– Piekarnia znana jako moja matka.

– Twoja *matka* zrobiła ci śniadanie? – Jej usta rozszerzają się w coś na kształt zaszokowanego uśmiechu. – A zapakowała ci lunch do małej brązowej torebki z papieru?

– Napisała mi nawet liścik, żebym dokonywał dziś samych dobrych wyborów – kłamie Victor z zupełnie poważną twarzą, na co ona ściąga usta, żeby jej uśmiech się nie poszerzył. – Ale ty pewnie nigdy czegoś takiego nie dostałaś, co? – dorzuca.

– Raz – poprawia go dziewczyna i w jej głosie nie ma już śladów rozbawienia. – Pamiętasz, jak mówiłam, że para z naprzeciwwka zabrała mnie na dworzec? Kobieta przyszykowała mi lunch i w środku znajdował się liścik o tym, jak się cieszą, że mieli okazję mnie poznać, i jak bardzo będą za mną tęsknić. Dołączyli też numer telefonu, żebym do nich zadzwoniła, jak dojadę do babci, i dała im znać, że jestem bezpieczna. Na końcu napisali, że oboje przesyłają uściski, i nawet dziecko namazało coś na końcu kredką.

– Nie zadzwoniłaś, prawda?

– Raz – mówi ponownie, prawie szeptem. Śledzi koniuszkami palców linie każdej rany. – Kiedy dojechałam na dworzec, zadzwoniłam powiedzieć, że dojechałam. Chcieli porozmawiać z babcią, ale skłamałam, że szuka taksówki. Powiedzieli, że mogę do nich dzwonić, kiedy tylko chcę. Stałam na krawężniku przed dworcem i czekałam na taksówkę, wpatrując się w tę niedorzeczną kartkę. A potem ją wyrzuciłam.

– Dlaczego?

– Bo gdybym ją zatrzymała, to miałabym wrażenie, że sama robię sobie krzywdę. – Siada wyprostowana na krześle, zakłada nogę na nogę i podpira łokcie na stole. – Chyba wyobrażasz sobie, że byłam jakimś zagubionym dzieckiem, jakby wyrzucono mnie z auta na pobocze jak jakiegoś śmiecia albo potrąconego psa, ale musisz coś wiedzieć o dzieciach takich jak ja. My nigdy nie jesteśmy

zagubione. Być może jesteśmy jedynymi, którzy nie są. Zawsze dokładnie wiemy, gdzie jesteśmy i dokąd możemy zajść. I dokąd nie możemy.

Victor kręci głową, nie chcąc się z nią teraz kłócić, ale też nie może się z nią zgodzić.

– Dlaczego twoje współlokatorki z Nowego Jorku nie zgłosiły, że zaginęłaś? Inara przewraca oczami.

– Nie miałyśmy tego typu relacji.

– Ale byłyście przyjaciółkami.

– Tak. Przyjaciółkami, z których każda przed czymś uciekała. Zanim się wprowadziłam, łóżko zwolniło się tylko dlatego, że ostatnia dziewczyna nagle zniknęła. Po piętach deptał jej wkurzony wujek. Chciał się dowiedzieć, co zrobiła z dzieckiem, które jej zmaisztował, gdy zgwałcił ją trzy lata wcześniej. Bez względu na to, jak starannie się ukryjesz, zawsze jest ktoś, kto może cię znaleźć.

– Tylko jeśli szuka.

– Albo jeśli po prostu masz strasznego pecha.

– To znaczy? – pyta Eddison.

– Co? Uważacie, że chciałam, żeby Ogrodnik mnie porwał? Miałam całe miasto, w którym mogłam zniknąć, ale jakoś mnie znalazł.

– To nie tłumaczy, dlaczego...

– Tłumaczy – odpowiada zdecydowanie. – Jeśli jesteś osobą pewnego typu.

Victor upija łyk kawy, próbując zdecydować, czy powinien pchnąć rozmowę na odpowiednie tory, czy pozwolić jej zmierzać w stronę, która może okazać się przydatna, choć nie musi.

– Jakiego typu, Inaro? – dopytuje w końcu.

– Jeśli zakładasz, że nikt nie zwróci na ciebie uwagi i cię nie zapamięta, to zawsze jesteś przynajmniej odrobinę zaskoczony, kiedy jednak ktoś cię zapamięta. Nie do końca rozumiesz te przedziwne istoty, które oczekują, że inni nie zapomną i wrócą.

Następnie niespiesznie zjada cynamonową drożdżówkę, ale Victor widzi po niej, że jeszcze nie skończyła myśli. Może nie do końca ją jeszcze sformułowała. Jego najmłodsza córka czasem tak robi – po prostu milknie do czasu, aż wie, co chce powiedzieć dalej. Nie jest pewien, czy taki jest powód Inary, ale to nadal schemat zachowań, jaki zna, kopie więc Eddisona pod stołem, gdy widzi, jak ten otwiera usta.

Eddison przeszywa go wzrokiem i odsuwa krzesło o kilka centymetrów, ale nic nie mówi.

– Córki Sophii spodziewają się, że ona wróci – mówi dalej cicho. Zlizuje lukier ze swoich poranionych palców i się krzywi. – Przebywały ze swoją rodziną zastępczą od... cóż, mieszkały z nimi prawie cztery lata, kiedy mnie porwano. Każdy by zrozumiał, gdyby przestały mieć nadzieję. Ale nie przestały. Bez

względu na to, co się stało, bez względu na to, w jak kiepskiej były sytuacji, wiedziały, że o nie walczą. Wiedzą, że ona zawsze – *zawsze* – do nich wróci. Nie rozumiem tego. Chyba nigdy nie zrozumie. Ale z drugiej strony ja nigdy nie miałam takiej Sophii.

– Ale masz Sophię.

– Miałam – poprawia go. – I to nie to samo. Nie jestem jej córką.

– Ale jesteś jej rodziną. Prawda?

– Przyjaźnimy się. To nie to samo.

Nie jest pewien, czy w to wierzy. Nie jest pewien, czy ona też. Może jest jej łatwiej udawać, że tak jest.

– Twoje córki zawsze wierzą, że wrócisz do domu, prawda, agencie? – Wygląda dłonią miękki rękaw swetra. – Boją się, że pewnego dnia możesz zginąć, pełniąc służbę, ale nie wierzą, by coś mogło cię trzymać z dala od nich, gdy jesteś żywy.

– Nie waz się mówić o jego córkach – warczy Eddison, na co ona uśmiecha się złośliwie.

– Widzę je w jego oczach za każdym razem, kiedy spogląda na mnie albo na jedno z tych zdjęć. One są powodem, dla którego robi to, co robi.

– To prawda – odpowiada Victor, dopijając kawę. – I jedna z nich przekazała dla ciebie coś jeszcze. – Sięga do kieszeni i wyciąga tubkę ciemnego, jagodowego błyszczycy do ust. – To od mojej najstarszej córki, tej, która dała ci ubrania.

Na ten widok na twarzy dziewczyny pojawia się prawdziwy, pełen zaskoczenia uśmiech, który sprawia, że cała jej twarz przez moment promienieje, a oczy z bursztynowymi plamkami marszczą się w kącikach.

– Błyszczczyk.

– Kazała mi go przekazać, mówiąc, że tylko dziewczyna zrozumie, o co chodzi.

– No raczej. Przecież nie dała ci go po to, żebyś się bardziej spodobał kolegom z komendy. – Ostrożnie odkręca nakrętkę i naciska tubkę, aż w końcu na wierzchu ukazuje się kropelka lśniącego koloru. Inara rozsmarowuje ją na dolnej i górnej wardze, nie wyjeżdżając poza obrys ust ani nie pomijając żadnego miejsca, mimo że jej wzrok nawet na moment nie spoczywa na weneckim lustrze. – Malowałyśmy się w pociągu w drodze do pracy. Większość z nas potrafiła wykonać pełen makijaż, ani razu nie spoglądając w lustro.

– Niestety nigdy tego nie próbowałem – oschle rzuca Victor.

Eddison prostuje stosik dokumentów i ustawia krawędzie równo z brzegami stołu. Victor obserwuje go z rozbawieniem, choć zdążył się przyzwyczaić do jego obsesji na punkcie porządku. Eddison widzi, jak starszy agent mu się przygląda, i marszczy czoło.

– Inaro – mówi w końcu, na co ona niechętnie otwiera oczy. – Musimy

zaczynać.

– Des – wzdycha.

Victor kiwa głową.

– Opowiedz mi o Desmondzie.



Tylko ja lubiłam się wspinać na wysokie miejsca w Ogrodzie, więc tylko ja znalazłam *drugi* ogród. Wysoko na klifie znajdował się mały zagajnik – i mówiąc „zagajnik”, mam na myśli pięć drzew – który rósł zaraz przy szkłe. Przynajmniej kilka razy w tygodniu wspinałam się na jedno z drzew, sadowiłam na najwyższej gałęzi, jaka była w stanie mnie utrzymać, i przyciskałam policzek do szyby. Czasem, gdy zamknęłam oczy, mogłam udawać, że siedzę na schodach przeciwpożarowych przy naszych oknach i słyszę, jak Sophia opowiada o swoich córkach, albo że razem z Kathryn słuchamy, jak chłopak w sąsiednim budynku gra na skrzypcach. Przed sobą i po lewej miałam widok na niemal cały Ogród z wyjątkiem korytarzy, które wiły się wokół nas, oraz tego, co zasłaniała krawędź klifu. Popołudniami widziałam, jak dziewczyny bawią się w berka albo chowanego wzdłuż strumyka, jedna lub dwie dryfują po maleńkim jezioru, siedzą na skałach lub wśród krzewów z książkami, krzyżówkami i podobnymi rzeczami.

Mogłam też dostrzec to, co znajdowało się poza Ogrodem, ale tylko odrobinę. Z tego, co widziałam, szklarnia, którą nazywałyśmy Ogrodem, była tak

naprawdę jedną z dwóch, ułożonych jak matrioski. Nasza znajdowała się pośrodku, była niemożliwie wysoka, a nasze korytarze oplatały ją, tworząc kwadrat. Sufity w naszych pokojach nie były szczególnie wysokie, ale ściany ciągnęły się aż do drzew na klifie, czarnym i płaskim, a po drugiej stronie do kolejnego szklanego sufitu, okalającego pod kątem zewnętrzną szklarnię. Była to bardziej granica niż właściwy kwadrat, otoczona szeroką ścieżką, wzdłuż której rosły – przynajmniej na tyle, na ile widziałam – różne rośliny. Trudno było zobaczyć dokładnie, nawet z czubków drzew. Widziałam więc jedynie fragment, tam gdzie udało mi się złapać odpowiednią perspektywę. W tamtej szklarni znajdował się prawdziwy świat z ogrodami, których nikt nie chował, i drzwiami otwartymi na zewnątrz, gdzie zmieniały się pory roku, a życie nie kończyło się w wieku dwudziestu jeden lat.

W prawdziwym świecie nie było Ogrodnika, lecz był człowiek, za jakiego miały go nie-Motyle, człowiek związany ze sztuką, filantropią i jakiegoś rodzaju przedsięwzięciem biznesowym – raczej z wieloma przedsięwzięciami biznesowymi, sądząc z tego, co nam czasem opowiadał. Ten człowiek miał dom gdzieś na terenie posiadłości, którego nie dało się dostrzec nawet z wysokości drzew. Ten człowiek miał dom i rodzinę.

No cóż, miał Avery'ego, a przecież ten dupek musiał się skądś wziąć, ale mimo wszystko.

Istniała jakaś żona.

I ona wraz z Ogrodnikiem spacerowała po tej zewnętrznej szklarni prawie w każde popołudnie od czternastej do piętnastej, trzymając swojego męża pod rękę. Była chuda, może nawet niezdrowo chuda, miała ciemne włosy i nienaganny styl. Z takiej odległości tylko tyle byłam w stanie zobaczyć. Szli powoli wzdłuż jednego z boków kwadratu, od czasu do czasu przystając, aby przyjrzeć się bliżej jakiemuś kwiatu lub roślinie, po czym znów powoli ruszali, aż zniknęli z zasięgu mojego wzroku. Wracali raz lub dwa razy, zanim ich spacer dobiegł końca.

To ona narzucała tempo i kiedy zostawała w tyle, on odwracał się do niej z troską. To była ta sama czułość, którą okazywał swoim Motylom, delikatna i szczerą, aż po skórze przebiegały mi ciarki.

To była ta sama czułość, z którą dotykał szkła gablot, z którą płakał nad Evitą. To przez nią trzęsły mu się dłonie, kiedy zobaczył, co zrobił mi Avery.

Tak właśnie rozumiał miłość.

Dwa lub trzy razy w tygodniu dołączał do nich Avery i włóczył się za nimi, rzadko kiedy zostając na pełną godzinę. Zwykle wykonywał jedno okrążenie, po czym wchodził do Ogrodu, gdzie szukał kogoś słodkiego i niewinnego, kto łatwo okazałby mu strach, jakiego łaknął.

I dwa razy w tygodniu, dwa dni po sobie, w te same dni, kiedy u nas rano trwały prace porządkowe, przychodził też ich młodszy syn, o ciemnych włosach

i smukłej sylwetce matki. Z powodu odległości nie widziałam niczego dokładnie, ale było dla mnie jasne, że ona kochała go bez pamięci. Kiedy do nich dołączał, stawała pomiędzy mężem a młodszym synem.

Całymi miesiącami obserwowałam ich bez niczyjej wiedzy, aż pewnego dnia Ogrodnik podniósł wzrok.

Prosto na mnie.

Trwałam w bezruchu z policzkiem przyciśniętym do szyby, skulona pomiędzy liśćmi wysoko na drzewie.

Minęły kolejne trzy dni, zanim poruszyliśmy ten temat z Ogrodnikiem, a nawet wtedy stało się to nad łóżkiem obcej osoby, która nie była nawet Motylem.



Victor robi głęboki wdech, odpychając na bok ten kuriozalny obraz normalności. Jednak większość zbrojeńców, których aresztował, sprawiała pozory normalnych.

- Porwał kolejną dziewczynę?
- Porywał kilka w roku, ale zawsze dopiero wtedy, gdy poprzednia była w pełni wytatuowana i mniej więcej zaaklimatyzowana.
- Dlaczego?
- Dlaczego porywał kilka na rok? Czy dlaczego robił między nimi odstęp?
- Tak – odpowiada Victor, na co ona uśmiecha się pod nosem.

– Odpowiadając na pierwsze pytanie: zużycie. Nigdy nie brał więcej, niż Ogród był w stanie utrzymać, więc ogólnie ujmując, chodził na zakupy tylko wtedy, kiedy jeden z Motyli umarł. Nie była to reguła, ale zwykle tak się właśnie działo. Odpowiadając na drugie... – Wzrusza ramionami i przyciska dłonie płasko do stołu, przyglądając się, jak pęka jej poparzona skóra. – Pojawienie się nowej dziewczyny to był stresujący czas w Ogrodzie. Wszystkie robiłyśmy się nerwowe i przypominałyśmy sobie własne porwanie, jak to było, kiedy się tu obudziłyśmy. Nie dało się uniknąć łez, a one po prostu pogarszały całą sytuację. Kiedy nowa dziewczyna się zadomowiła, na jakiś czas miałyśmy spokój, aż do kolejnej śmierci, kolejnych skrzydeł w gablocie, kolejnej nowej. Ogródnik był bardzo wyczulony na panujący w Ogrodzie nastrój.

- To dlatego pozwolił Lyonette pełnić funkcję przewodniczki?
- Tak, bo to nam pomagało.
- Więc jak to się stało, że to ty przejęłaś tę rolę?
- Bo ktoś musiał. Bliss była zbyt wściekła, a reszta zbyt płocha.



Pierwsza dziewczyna, której pomogłam, nie pojawiła się w Ogrodzie zaraz po mnie, tylko jako następna. W tamtym czasie Avery przywłókł do Ogrodu wirus grypy i wszystkie dziewczyny po kolei padały jego ofiarą.

Lyonette była w fatalnym stanie. Zrobiła się blada, oblewały ją poty, jej

rudawe włosy kleiły się jej do karku i twarzy, a muszla klozetowa stała się jej o wiele bliższa niż ja. Bliss i ja kazałyśmy jej zostać w łóżku, żeby przynajmniej raz Ogrodnik sam uporał się ze swoim bagnem, ale kiedy tylko ściany się uniosły i mogłyśmy wyjść z naszych pokoi, Lyonette ubrała się i chwiejnym krokiem wyszła na korytarz.

Z przekleństwem na ustach zawiązałam swoją sukienkę i pobiegłam za nią, by choć wesprzeć ją ramieniem. Tak bardzo kręciło się jej w głowie, że nie była w stanie iść, nie podpierając się dłonią o ścianę. Nie wzdrygnęła się, kiedy przechodziłyśmy koło witryn, jak to zwykle miała w zwyczaju, nawet po pięciu latach mieszkania tutaj.

– Dlaczego to robisz?

– Ktoś musi – szepnęła i zatrzymała się, żeby zapanować nad wzbierającą w niej falą wymiotów. Znowu. Mimo że klęczała przed toaletą przez większość ostatnich osiemnastu godzin.

Nie powiedziałam wtedy, że będę to robić za nią, nie wtedy.

Może nigdy czegoś takiego nie powiedziałam.

Ogrodnik był bardzo, bardzo dobry w zgadywaniu wieku dziewczyn – zawsze strzelał w dziesiątkę. Kilka dziewczyn pojawiło się tu w wieku siedemnastu lat, ale większość miała szesnaście. Nie porywał młodszych – jeśli miał podejrzenia, że dziewczyna może mieć piętnaście lat lub mniej, to ostatecznie wybierał kogoś innego – ale starał się też nie brać starszych. Podejrzewam, że kiedy było to możliwe, chciał wykorzystać pełne pięć lat.

Rzeczy, o jakich ten mężczyzna ze swobodą opowiadał swoim więźniarkom... a może tylko mnie.

Dziewczyna znajdowała się w pokoju tak samo nagim jak ten, w którym ja się obudziłam. Mój powoli nabierał osobowości, ale ona jak na razie miała jedynie zwykłe, szare prześcieradło z gumką i nic więcej. Odcień jej skóry był ciemny, a w połączeniu z rysami twarzy sugerował mieszaną rasę. Potem dowiedziałam się, że ma latynoskie i afroamerykańskie korzenie. Nie była dużo wyższa od Bliss i z pominięciem niezziemskich cycków, które wyglądały jak prezent na szesnaste urodziny, była smukła jak trzcina. Jedno całe ucho i połowę drugiego naznaczał rząddek drobnych dziurek. Kolejna dziurka na brzegu nosa i jeszcze kolejna przy pępku także sugerowały piercing.

– Dlaczego wyciągnął jej wszystkie kolczyki?

– Może uznał, że są w złym guście – jęknęła Lyonette, osuwając się na podłogę przy niezamkniętej toalecie.

– Też miałam podwójnie dziurki w uszach, kiedy się tu pojawiłam. I nadal mam swoje kolczyki.

– Może uznał, że twoje są estetyczne.

– I jeszcze moja dziurka w prawej chrząstce.



– Przestań męczyć. Już i tak jest ciężko, okej?

O dziwo, to wystarczyło, aby mnie uciszyć. Nie chodziło tylko o to, że Lyolette czuła się nędznie. Chodziło też o to, co niewypowiedziane. Próby znalezienia logiki w tym, co robił Ogrodnik, były stratą czasu. Nie musiałyśmy wiedzieć dlaczego. Musiałyśmy tylko wiedzieć co.

– Nie żebyś gdzieś się wybierała, ale zaczekaj tutaj.

Machnęła na mnie ręką i zamknęła oczy.

W naszej kuchni połączonej z jadalnią stały dwie lodówki. W jednej znajdowały się składniki potrzebne do przyrządzania posiłków. Zawsze była zamknięta, a jedyny klucz do niej miała Lorraine. W drugiej trzymano napoje i przekąski dozwolone między posiłkami. Wzięłam kilka butelek wody dla Lyolette i sok dla siebie, po czym zabrałam z biblioteki książkę, którą mogłabym poczytać jej na głos, gdy będziemy czekać, aż nowa dziewczyna się obudzi.



– Miałyście bibliotekę? – Eddison pyta z niedowierzaniem.

– Tak. On chciał, żebyśmy były tam szczęśliwe. A to oznaczało, że musimy mieć się czym zająć.

– Jakie książki wam dawał?

– Właściwie wszystko, o co poprosiłyśmy. – Dziewczyna wzrusza ramionami i rozsiada się na krześle, luźno krzyżując ramiona na piersi. – Na

początku była to głównie klasyka, ale te z nas, które naprawdę lubiły czytać, szybko stworzyły przy drzwiach listę pożądaných tytułów i od czasu do czasu Ogródnik dokładał nam kilkadziesiąt pozycji. Niektóre z nas miały też swoje prywatne książki, prywatne prezenty, które wolno nam było trzymać w naszych pokojach.

– Ty byłaś jedną z tych czytających?

Inara zerka na Eddisona z oburzeniem, ale po chwili coś jej świta.

– No tak, nie było cię tu, jak o tym opowiadałam.

– O czym?

– O tym, że w Ogrodzie było zazwyczaj kurewsko nudno.

– Jeśli to ma być nuda, to chyba nie wiesz, o czym mówisz – młodszy agent mamrocze pod nosem, na co dziewczyna parska śmiechem.

– Nudziłam się tylko wtedy, kiedy chciałam – dodaje. – Ale to było, zanim znalazłam się w Ogrodzie.

Victor wie, że powinni wrócić do pierwotnego pytania, ale widok, jak tych dwoje zgadza się ze sobą w jakiejś kwestii, jest dla niego aż nazbyt zabawny. Opuścił więc, a nawet ignoruje nieznaczny cień kłamstwa na twarzy dziewczyny.

– I jak mniemam, twoją ulubioną lekturą był Poe?

– Nie, Poe miał jeden cel: rozproszyć uwagę. Podobały mi się baśnie. Nie rozwodnione Disneyowskie gówno ani ugrzecznione wersje Perraulta. Lubiłam te prawdziwe, w których wszystkim przydarzają się okropne rzeczy i dzieci naprawdę mogą zrozumieć, co je w życiu czeka.

– Zero iluzji? – pyta Victor, na co ona kiwa głową.

– Dokładnie.



Odzyskanie świadomości zajęło nowej dziewczynie sporo czasu – tyle, że Lyonette zaczęła się nawet zastanawiać, czy nie wezwać Lorraine. Udało mi się ją przekonać, żeby tego nie robiła. Jeśli dziewczyna miała od tego umrzeć, to nasza pielęgniarka nie mogła zbyt wiele zrobić, żeby temu zapobiec, a ja sama nie chciałabym, żeby wredna twarz tej suki była pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłam w tym miejscu. Lyonette postanowiła to wykorzystać i uparła się, żeby w takim razie to mnie Nowa zobaczyła jako pierwszą.

Biorąc pod uwagę, że Lyonette wyglądała jak chodząca śmierć, nawet nie dyskutowałam... za wiele.

Było późne popołudnie, kiedy dziewczyna w końcu się poruszyła, a ja zamknęłam na palcu *Olivera Twista*, żeby sprawdzić, czy na pewno się budzi. Minęły nam kolejne dwie godziny czytania, zanim można było uznać, że Nowej wróciła świadomość. Zgodnie z instrukcją Lyonette nalałam wody do szklanki i zmoczyłam kilka ręczników, żeby osłabić ból głowy. Kiedy złożyłam jeden z nich i próbowałam włożyć go pod kark dziewczyny, zaczęła mnie bić po rękach i przeklęła na mnie po hiszpańsku.

Dobre i to.

W końcu oprzytomniała na tyle, żeby ściągnąć z siebie ręczniki i spróbować usiąść. Całym jej ciałem szarpały torsje.

- Ostrożnie – powiedziałam cicho. – Napij się wody, a poczujesz się lepiej.
- Odsuń się ode mnie, ty pojebana szmato!
- To nie ja cię porwałam, więc sobie daruj. Albo chcesz wodę i aspirynę,

albo możesz się tu zesrać z bólu, twój wybór.

Lyonette stęknęła.

– Mayu.

Dziewczyna zaczęła mrugać powiekami z niedowierzaniem, ale potulnie wzięła pastylki i szklankę.

– Lepiej. Więzi cię człowiek nazywany tutaj Ogrodnikiem. Nadaje nam nowe imiona, więc nie mów mi nawet, jak się nazywasz. Zapamiętaj swoje imię, ale go nie wypowiadaj. Ja jestem Maya, a ta ślicznotka z grypą, która siedzi pod ścianą, to Lyonette.

– Jestem...

– Nikim – przypomniałam jej ostro. – Do czasu aż nada ci nowe imię. Nie komplikuj wszystkiego jeszcze bardziej.

– Mayu!

Obejrzałam się na Lyonette. Rzuciła mi żalosne, zniecierpliwione, pełne niedowierzania spojrzenie typu „co ty mi, kurwa, robisz”, które zwykle zarezerwowane było dla Evity.

– Chętnie się z tobą zamienię – powiedziałam do niej. – Nie byłaś pierwszą twarzą, jaką zobaczyła, hurra! No to możesz przejąć pałeczkę, skoro ci się nie podoba, jak ja to robię.

Moim wzorem matki małych dzieci była Sophia. Nowa nie była taka młoda, a ja nie byłam Sophią.

Lyonette zamknęła oczy i zaczęła szeptem modlić się o cierpliwość. Zanim jednak skończyła, znów musiała pochylić się nad muszlą klozetową.

Ręce Nowej zaczęły się trząść, więc ujęłam je w swoje. W Ogrodzie zawsze było ciepło, pomijając może jaskinię za wodospadem, wiedziałam jednak, że dreszcze to efekt szoku, nie chłodu.

– Sytuacja wygląda tak. I wiem, że to przerażające, niezrozumiałe i zajeździe niesprawiedliwe, ale tak jest, i już. Jesteśmy tutaj pod przymusem, przetrzymywane przez człowieka, który będzie przychodził do ciebie dla towarzystwa i przeważnie dla seksu. Czasem będzie do ciebie przychodził jego syn. Teraz należysz do nich. Będą z tobą robić, co im się podoba, łącznie z oznaczeniem cię jako swojej. Jest nas tutaj dość sporo i wspieramy się, jak tylko potrafimy, ale jedynym sposobem, żeby się stąd wydostać, jest śmierć, więc musisz zdecydować, czy to nasze życie tutaj jest od śmierci lepsze, czy gorsze.

– Samobójstwo to grzech śmiertelny – wyszeptała.

– Świetnie, to znaczy, że raczej sama nie wyłączysz sobie prądu.

– Jezu, Mayu, może od razu podasz jej sznur?

Dziewczyna ciężko przełknęła ślinę, ale – niech ją za to Bóg błogosławi – ścisnęła moje dłonie.

– Jak długo tu jesteś?

– Około czterech miesięcy.

Spojrzała na Lyonette.

– Prawie pięć lat – mruknęła. Gdybym wtedy wiedziała... ale to nie miało znaczenia. Nigdy nie miało. Wiedza o tym niczego nie zmieniała.

– I nadal żyjesz, a moja mama zawsze mówiła, że póki jest życie, jest nadzieja. Będę mieć nadzieję.

– Tylko nie przedawkuj – przestrzegłam ją. – Odrobina jest w porządku. Za dużo cię sparaliżuje.

– Mayu...

– No to co, Nowa? Oprowadzić cię?

– Jestem naga.

– Tutaj to nic wielkiego. Przyzwyczaisz się.

– Mayu!

– Przyniosłaś sukienkę? – pytam, a Lyonette czerwieni się pod swoją chorobliwą bladością. – Nie pożyczymy jej twojej, bo pewnie całą z przodu porzygałaś.

Nie porzygała, ale jej czarna sukienka sięgała do samej ziemi. Nie było szans, żeby drobniotka Nowa mogła się w niej poruszać. Pożyczyłabym jej moją, ale ona wcale nie była lepsza.

– Zaczekaj – westchnęłam. – Wezmę coś od Bliss.

Nasza przyjaciółka nie była u siebie, kiedy do niej przyszedłam, więc wzięłam coś do ubrania i wróciłam do pokoju Nowej, który był, jak za każdym razem, obchodzony szerokim łukiem przez inne Motyle. Zmarszczyła brwi na widok czarnej tkaniny – nawet ja musiałam przyznać, że nie wyglądała w tym kolorze najlepiej – ale w Ogrodzie nauczyłyśmy się bać sukienek w innych barwach.

Jeśli dostało się coś w innym kolorze niż czarny, to dlatego, że Ogródnik chciał, by dziewczyna w tym umarła.

Posłuchała mnie, kiedy jej powiedziałam, żeby nie patrzyła, gdy będziemy szły przez korytarz – nawet ja nie byłam taką suką, żeby od razu jej to wszystko pokazać. Jej pokój znajdował się po przeciwnej stronie Ogródu w stosunku do mojego, ale na tym samym korytarzu co pokój Lyonette, graniczącym z „ziemią niczyją” – pokojami, do których nie wolno nam było wchodzić, i drzwiami prowadzącymi na zewnątrz, których istnienie miałyśmy ignorować. Z tego miejsca widziała Ogród w całej jego rozpiętości: bujną zieleń, kwiaty w jaskrawych kolorach, ścieżki z białego piasku, wodospad, strumień i jezioro, klif i niewielki zagajnik drzew, prawdziwe motyle unoszące się nad roślinami i dach z przezroczystego szkła, który wydawał się niemożliwie wysoko.

Wybuchnęła płaczem.

Lyonette ruszyła w jej stronę, ale od razu się cofnęła, czując nagły i gwałtowny atak dreszczy. Grypa nie była chyba najlepszym sposobem, aby

przywitać kogoś w naszej porośniętej roślinnością klatce. A ja... no cóż, nie czułam w sobie szczególnie silnych matczyńskich instynktów. Jak widać. Patrzyłam, jak nowa dziewczyna pada na ziemię, zwija się w kłębek i zaciska ręce wokół brzucha jakby w reakcji na fizyczny cios, którego nie mogła uniknąć.

W końcu, kiedy ciężki, rozdzierający duszę szloch zelżał i zamienił się w pociągnięcia nosem i gwałtowne wdechy, przyklękłam przy niej i położyłam dłoń na jej jeszcze niewytatuowanych plecach.

– To nie jest największy ból – powiedziałam tonem tak delikatnym, na jaki tylko byłam w stanie się zdobyć. – Ale sądzę, że to największy szok. Od tej pory możesz się go już nieco spodziewać.

Na początku nie byłam pewna, czy mnie usłyszała, bo pochlipywanie trwało dalej z tym samym natężeniem. Po chwili rzuciła się na bok, objęła mnie w pasie i schowała twarz w moich kolanach, a jej zaskoczenie i żal znów przerodziły się w głośny szloch. Nie tuliłam jej ani nie gładziłam po głowie – Ogrodnik nauczy ją nienawidzić tego gestu – ale nadal trzymałam dłoń na jej ciepłej skórze, by wiedziała, że przy niej jestem.



– Nadal macie tutaj zdjęcia z korytarza? – pyta nagle i agenci wyrrywają się z zakłęcia jej opowieści. To Eddison podaje jej plik i zwija dłoń w pięść na udach, obserwując, jak dziewczyna przegląda fotografie. Wyciąga jedną, przypatruje się

jej przez chwilę, po czym kładzie ją na stole, by wszyscy mogli popatrzeć.

– *Neophasia terlooii*. – Śledzi palcem wyraźne linie bieli i czerni na skrzydłach. – Dał jej na imię Johanna.

Victor mruga.

– Johanna?

– Nie wiem, czy istniał jakiś system wybierania imion. Wydaje mi się, że po prostu przeglądał jakieś listy, aż znalazł takie, które mu się podobało. No bo przecież widać, że ona nie wygląda na Johannę, ale niech będzie.

Victor zmusza się, aby spojrzeć na skrzydła w szkłe. Inara miała rację, dziewczyna była bardzo drobna, choć po jej pozycji trudno było oszacować jej dokładny wzrost.

– Co się z nią stało?

– Była... nieprzewidywalna. Sprawiała wrażenie, że przyzwyczajają się do stanu rzeczy, ale od czasu do czasu popadała w huśtawki nastrojów, które wywoływały burzę w całym Ogrodzie. A potem umarła Lyonette, a Ogrodnik sprowadził nową Nową.

Victor odchrząkuje, kiedy dziewczyna milknie.

– Co się z nią stało? – powtarza pytanie, a Inara wzdycha.

– Pewnego dnia Ogrodnik opuścił ściany, żeby mógł zabrać nową dziewczynę do studia tatuażu, ale Johannie udało się jakoś zostać w Ogrodzie. Kiedy ściany się podniosły, znalazłyśmy ją w jeziorku. – Inara chwytając zdjęcie płynnym ruchem i z hukiem odkłada je na metalowy blat obrazem do dołu. – To by było na tyle, jeśli chodzi o grzechy śmiertelne.

Przysuwając do siebie kolejną stertę zdjęć i papierów, Victor po cichu zaczyna je przeglądać, aż znajduje to, czego szukał. To młody człowiek, prawdopodobnie nieco starszy, niż sugeruje wygląd, o rozwianej fryzurze w kolorze ciemnego, prawie czarnego brązu. Bładozielone oczy ostro wyróżniają się na tle smukłej bladej twarzy. Przystojny chłopak, widać to nawet na kiepskiej jakości fotografii, którego – przynajmniej oceniając po wyglądzie – Holly mogłaby przyprowadzić do domu i przedstawić ojcu. Powinien skierować rozmowę z powrotem na tego chłopaka.

Ale jeszcze nie teraz. Jeszcze chwilę.

Nie jest pewien, czy robi to ze względu na nią, czy na siebie.

– A kiedy Ogrodnik zauważył cię wśród drzew?

– Tak?

– Powiedziałaś, że przyszedł z tobą o tym porozmawiać nad łóżkiem obcej osoby. To była dziewczyna po Johannie?

Grymasem na ustach potwierdza, że usłyszała jego pytanie.

– Nie. Jeszcze następna.

Jeszcze chwilę.

- Jakie dostała imię?
- Zamyka oczy.
- Nigdy go nie dostała.
- A czemu nie...
- Czas. Niekiedy wszystko sprowadzało się tylko do tego.



Miała skórę jak heban, prawie granatową na tle gołębiej szarości prześcieradła z gumką, gładko ogoloną głowę i rysy, które doskonale pasowałyby na ścianę egipskiego grobowca. W dniach, które nadeszły po śmierci Lyonette, rozpaczliwie pragnęłam mieć coś – cokolwiek – do roboty, ale w przeciwieństwie do Bliss i Lyonette nie miałam ani twórczego talentu, ani zainteresowań. Dużo czytałam, ale nie robiłam nic swojego. Bliss zajęła się gliną polimerową i zapychała piekarnik figurkami, z których połowę później niszczyła w napadach złości, ale ja nie miałam takiego ujścia – ani za pomocą tworzenia, ani niszczenia.

Jednak trzy dni później Ogrodnik przyprowadził nową dziewczynę, a nie było już Lyonette, która łagodnie wprowadziłaby ją w sytuację. Żadna nie chciała się do niej zbliżyć i zastanawiałam się, jak długo Lyonette wykonywała swoją pracę, że nikomu innemu nie przyszło to do głowy.

Po śmierci Johanny rozważałam, w jakim stopniu – jeśli w ogóle – byłam odpowiedzialna za jej wybór. Gdybym łagodniej wprowadziła ją w całą sytuację,



gdybym okazała więcej współczucia albo bardziej ją pocieszała, to może byłaby w stanie trzymać się nadziei, którą kazała jej zachować mama. A może nie. Może ten pierwszy widok Ogrodu, ta pierwsza chwila, kiedy wszystko stało się prawdziwe, uczyniło tę ogromną różnicę.

Ale przecież nie mogłam jej o to zapytać.

Postanowiłam więc spróbować z kolejną Nową, okazując jej tyle cierpliwości, ile tylko możliwe, i chowając na bok zjadliwe komentarze. Biorąc pod uwagę, jak często wybuchała płaczem, wymagało to ode mnie więcej cierpliwości, niż sądziłam, że w sobie mam. Bliss czasem mnie ratowała.

Nie tym, że sama przychodziła – to byłby bardzo zły pomysł – ale tym, że przysyłała kochaną i dobrą Evitę, która na wiele sposobów była lepszym człowiekiem, niż ja mogłam się kiedykolwiek stać.

Po trzecim dniu tatuowania zostałam u Nowej na cały wieczór, aż obiad ze środkami nasennymi w końcu podziałał. Zwykle w tym momencie wychodziłam. Było jednak coś, co chciałam sprawdzić, jednocześnie jej nie niepokojąc, a to oznaczało, że musiała być pogrążona w twardym śnie. Nawet gdy po jej głębokim, miarowym oddechu i rozluźnieniu, które opanowało jej ciało, poznałam, że zasnęła, pozwoliłam środkom nasennym jeszcze trochę podziałać.

Jakąś godzinę później odłożyłam książkę i przewróciłam Nową na brzuch. Zwykle spała na plecach, ale świeży tatuaż sprawił, że zaczęła spać na boku, aby zmniejszyć nacisk na obolałe miejsca. Atlas motyli z biblioteki – z notatkami napisanymi dłonią Lyonette na marginesach na temat imion i miejsc w korytarzu – poinformował mnie, że Ogrodnik wybrał dla niej gatunek *Anthocharis midea*, który jest prawie cały biały z pomarańczowymi plamkami na krawędzi górnych skrzydeł. Z jakiegoś powodu Ogrodnik lubił biele i blade żółcie u dziewczyn o ciemnej skórze. Pewnie obawiał się, że ciemniejsze kolory nie będą widoczne z taką samą intensywnością. Ogrodnik skończył pomarańczowe elementy i przeszedł do białych części, ale coś w nich wyglądało nie tak.

Teraz, kiedy mogłam przyjrzeć się Nowej z bliska, nie wywołując u niej paniki, zauważyłam na plecach dodatkową opuchliznę, przypominające łuski obrzęki pod tuszem i to, jak biel rozlewa się nienaturalnie po ogromnych pęcherzach. Pomarańczowe koniuszki skrzydeł wyglądały prawie tak samo fatalnie. W pobliżu kręgosłupa łuszczyły się nawet czarne obrysy i żyłki. Ściągnęłam jeden ze swoich kolczyków – Ogrodnik nigdy mi ich nie zabrał – i lekko przekłułam jeden z drobniejszych pęcherzy. Z małego nakłucia zaczęła wypływać przezroczysta ciecz, ale pod lekkim uciskiem pojawiła się też mlecznobiała ropa.

Umyłam kolczyk w zlewie i włożyłam go z powrotem do ucha, starając się wymyślić jakieś rozwiązanie. Nie wiedziałam, czy to reakcja na tusze, czy na igły, ale zdecydowanie była to reakcja alergiczna. Nie zagrażała życiu w sposób

bezpośredni, jak na przykład alergia na orzechy ziemne, ale nie pozwalała tatuazowi się wygoić. Infekcja może zabić tak samo jak reakcja histaminowa, a przynajmniej tak powiedziała nam Lorraine w jeden ze swoich lepszych dni, które nie zdarzały się znów aż tak często.

Oczywiście zadawała wtedy Bliss straszny ból, wyciągając jej drzazgi ze stóp, co pewnie w dużej mierze przyczyniło się do jej dobrego nastroju.

Z braku lepszych pomysłów wróciłam do dziewczyny i próbowałam ocenić, jak poważna była reakcja w każdym z obszarów. Przeszłam przez pomarańcz i połowę bieli, kiedy poczułam jakąś zmianę.

Ogrodnik tu był.

Opierał się o wejście, z palcami zahaczonymi o kieszenie eleganckich spodni w kolorze khaki. W całym Ogrodzie gasły światła i dziewczyny kładły się spać, czekając na to, czy okaże się, że będą tej nocy musiały zabawić swojego oprawcę. Nigdy nie wzywał do siebie Lyonette, kiedy zajmowała się jakąś nową, ale z drugiej strony ja nie byłam Lyonette.

– Wyglądasz na zmartwioną – powiedział zamiast przywitania.

Pokazałam na plecy dziewczyny.

– To się nie wygoi.

Wchodząc do pokoju, Ogrodnik rozpiął rękawy ciemnozielonej koszuli i podwinął je do łokci. Kolor skrzydeł sprawiał, że jego blade oczy zaczęły świecić na tle twarzy jak u kota. Delikatnie przyłożył dłonie do jej pleców, odkrywając to samo co ja, i stopniowo jego zatroskana mina zaczęła wyrażać głęboki smutek.

– Każdy inaczej reaguje na tatuaże.

Powinłam czuć smutek, wściekłość albo przynajmniej zakłopotanie.

Ale nie czułam niczego.

– Co robisz z dziewczynami, które nie uzyskują pełnych skrzydeł? – zapytałam cicho.

Spojrzał na mnie przelotnym, zatroskanym spojrzeniem i zaczęłam się zastanawiać, czy jestem pierwszą, która zadała takie pytanie.

– Zostają stosownie pochowane na terenie posiadłości.



Eddison wydaje z siebie burkliwe stęknienie i sięga po swój notatnik.

– Powiedział, gdzie konkretnie na terenie posiadłości?

– Nie, ale myślę, że w miejscu z widokiem na rzekę. Czasem przychodził do Ogrodu z błotem na butach i melancholijnym wyrazem twarzy, i w te dni dawał Bliss rzeczne kamienie, żeby mogła z nich zrobić podstawki pod niektóre swoje figurki. Ale nie widziałam tego miejsca z drzew.

Eddison zwija w kulkę kawałek aluminiowej folii i rzuca nią w weneckie lustro.

– Wyślijcie ekipę nad brzeg rzeki w poszukiwaniu grobów.

– Mógłbyś powiedzieć „proszę”.

– Daję im zadanie do wykonania, a nie proszę o przysługę – odpowiada przez zaciśnięte zęby.

Dziewczyna wzrusza ramionami.

– Guilian zawsze mówił „proszę”. Rebekah też, nawet jeśli tylko wyznaczała nam sekcje na sali. Ale to też pewnie powód, dla którego uwielbiałam pracować u Guiliana. Dzięki niemu to było bardzo miłe i pełne szacunku miejsce.

Równie dobrze mogła wymierzyć mu policzek. Victor widzi wściekły rumieniec, który wypęła z kołnierzyka jego partnera, i odwraca głowę, żeby otwarcie się nie uśmiechnąć. A przynajmniej tak, żeby Eddison tego nie zobaczył.

– Dotyczyło to tylko dziewczyn, które umarły przed dokończeniem skrzydeł? – pyta szybko.

– Nie. Jeśli umarły w taki sposób, że zniszczyły skrzydła, też nie lądowały

w gablocie. Avery posłał kilka dziewczyn do piachu zamiast za szkło, kiedy na tyle mocno potraktował je batem, że na tatuażach pojawiły się blizny. – Delikatnie dotyka swojego karku. – Giselle.

– Rozmowa się na tym nie skończyła, prawda?

– Nie, ale już o tym wiecie.

– Tak, ale chciałbym usłyszeć resztę – odpowiada tak samo, jak odpowiedziałby swoim córkom.

Inara spogląda na niego i unosi brew.



Tak jak Lyonette, pożyczałam taboret z gabinetu pielęgniarskiego, żeby siedzieć przy łóżku dziewczyny. Siedzenie bezpośrednio na łóżku pewnie też byłoby w porządku, ale w taki sposób dawałam Nowej pewną przestrzeń. Terytorium, które należało tylko do niej. Ogrodnik nie rozumiał tego terytorium w podobny sposób. Usiadł plecami, opierając się o wezglowie łóżka, i położył sobie głowę dziewczyny na kolanach, żeby mógł gładzić dłonią jej ogoloną czaszkę. Z tego, co wiedziałam, nigdy nie odwiedzał dziewczyn w ich pokojach, dopóki nie zostały całkowicie naznaczone i dopóki nie zgwałcił ich po raz pierwszy.

W końcu to właśnie czyniło je jego własnością.

Z drugiej jednak strony nie przyszedł tam, żeby zobaczyć Nową. Przyszedł,

żeby ze mną porozmawiać.

I wyglądało na to, że wcale mu się z tym nie spieszy.

Podciągnęłam nogi do siebie i siadłam po turecku na wąskim taborecie, po czym rozłożyłam sobie książkę na kolanach i żeby wypełnić czas, zaczęłam czytać, aż on wyciągnął rękę i delikatnie mi ją zamknął. Wtedy poświęciłam mu swoją uwagę.

– Od jak dawna obserwujesz moją rodzinę?

– Niemal odkąd skończyłeś moje skrzydła.

– Ale nic nie powiedziałaś.

– Ani tobie, ani nikomu innemu. – Nawet Lyonette i Bliss, choć czułam ogromną pokusę, by to zrobić. Nie byłam pewna dlaczego. Może było mi łatwiej myśleć o nim tylko jak o porywaczu. Dodanie do tego rodziny czyniło to... cóż, w jakiś sposób jeszcze gorszym. Już sam fakt, że to wszystko *w ogóle może* być jeszcze gorsze, był wystarczająco niepokojący.

– A co sobie myślisz, kiedy nas widzisz?

– Myślę, że twoja żona jest chora. – Rzadko kiedy okłamywałam Ogrodnika. Prawda była jedyną rzeczą, która zawsze pozostała. – Myślę, że boi się Avery'ego, ale nie chce tego okazać, i myślę też, że uwielbia waszego młodszego syna. Myślę, że bardzo sobie ceni te wasze spacerunki jako jedyny czas, kiedy poświęcasz jej w pełni swoją uwagę.

– I wszystko to wywnioskowałaś, siedząc na drzewie? – Dzięki Bogu wyglądał na bardzo rozbawionego całą sytuacją. Oparł się wygodniej i włożył sobie jedną rękę pod głowę.

– A mylę się?

– Nie. – Spuścił wzrok na dziewczynę na swoich kolanach, po czym znów podniósł oczy na mnie. – Żona od lat zmagają się z chorobą serca. Nie jest ona na tyle poważna, żeby kwalifikowała się do przeszczepu, ale powoduje znaczny spadek jakości życia.

A więc żona też jest pewnego rodzaju motylem.

– To jedno.

– I rzeczywiście jest wpatrzona w naszego młodszego syna. Jest z niego bardzo dumna. Chłopak ma świetne stopnie, zawsze jest grzeczny i doskonale gra na pianinie i skrzypcach.

– To drugie.

– Ja mam Ogród i firmę, a ona swoją działalność charytatywną, więc nasze harmonogramy rzadko się pokrywają. Oboje znajdujemy czas na te popołudniowe spacerunki, chyba że jesteśmy poza miastem. To dobrze jej robi na serce.

– To trzecie.

Pozostało jedynie to, co najtrudniejsze, czego nie chce przyznać żaden rodzic.

Więc tego nie zrobił. Ostatnią kwestię pozostawił niewypowiedzianą i prawda wybrzmiała w milczeniu.

– Zwracasz ogromną uwagę na szczegóły, prawda, Mayu? Na ludzi, wzory, wydarzenia. Znajdujesz w nich więcej sensu niż inni.

– Tak, zwracam na nie uwagę – zgodziłam się z nim. – Nie wiem, czy znajduję więcej sensu.

– Zaobserwowałaś spacer w szklarni i nadałaś mu tyle różnych znaczeń.

– Niczemu niczego *nie nadałam*. Przyjrzałam się tylko językowi ciała.

Język ciała był jednym z czynników, po których poznałam, że mój sąsiad był pedofilem, na długo zanim się przede mną obnażył, na długo zanim mnie dotknął albo poprosił, żebym ja dotknęła jego. Widziałam to po tym, jak patrzy na mnie i na inne dzieci w sąsiedztwie, po zgębnionych spojrzeniach dzieci, które z nim mieszkały. Byłam przygotowana na tego typu zagrywki, bo wiedziałam, że nadchodzą. Język ciała ostrzegł mnie przed facetem koszącym trawnik u babci, przed dziećmi w szkole, które próbowały kogoś pobić tylko dlatego, że mogły. Język ciała był lepszy niż syreny ostrzegawcze.

I język ciała powiedział mi, że choć Ogrodnik bardzo chciał sprawiać wrażenie odprężonego, wcale taki nie był.

– Nie mam zamiaru nikomu o tym mówić.

No i proszę. Choć niecałe napięcie opuściło jego ciało, zrobił się wyraźnie swobodniejszy. Poza chwilami, kiedy ogarniało go pożądanie, był wyjątkowo opanowanym człowiekiem.

– My nie wiemy o nich... a oni nie wiedzą o nas, prawda?

– Prawda – szepnęła. – Pewne rzeczy... – Nigdy nie dokończył tej myśli, a przynajmniej nie na głos. – Nigdy świadomie nie skrzywdziłbym Eleanor.

Nie znałam jego imienia, ale teraz znałam imię jego żony.

– A twój syn?

– Desmond? – Przez chwilę wydawał się zaskoczony, po czym pokręcił głową. – Desmond jest zupełnie inny niż Avery.

Nawet wtedy jedyne, co przyszło mi do głowy, to „dzięki Bogu”.

Ściągnął głowę dziewczyny ze swoich kolan i zszedł z łóżka, po czym wyciągnął do mnie rękę.

– Jeśli mogę, chciałbym cię o coś poprosić.

Nie byłam pewna, czy prośenie mnie o coś będzie się wiązać z ruchem, ale posłusznie wstałam i wzięłam go za rękę, pozostawiając książkę na taborecie. Dziewczyna nie obudzi się do rana, nie byłam więc niezbędna przy jej łóżku. Poprowadził mnie przez korytarze, po drodze bezwiednie dotykając gąbłot. Gdybym zechciała, mogłabym go poprosić, aby wymienił ich imiona, i potrafiłby to zrobić. Każde imię, każdego Motyla – znał i pamiętał je wszystkie.

Nigdy nie chciałam wiedzieć.

Myślałam, że idziemy do mojego pokoju, ale w ostatniej chwili skręcił i zaprowadził mnie do jaskini za wodospadem. Była pogrążona w całkowitej ciemności, z wyjątkiem światła księżyca, które przenikało przez szklany sufit i przebijało przez spadającą wodę.

I z wyjątkiem czerwonej mrugającej lampki kamery.

Staliśmy w ciszy i ciemności, słuchając, jak wodospad wpada do strumienia i obmywa ozdobne skały. Pia, która była tu mniej więcej rok dłużej niż ja, miała teorię, że w dnie jeziora znajdowały się rury utrzymujące wodę na określonym poziomie przez odprowadzanie jej do maleńkiego źródła na klifie, z którego wypływała woda do wodospadu. Pewnie miała rację. Biorąc pod uwagę, że nie umiałam pływać, nigdy nie próbowałam dostać się do dna jeziora, żeby to sprawdzić. Pia lubiła wiedzieć, jak co działa. Kiedy ściany się podniosły i zobaczyłyśmy Johannę w gablocie, Pia poszła nad jezioro i powiedziała, że wzdłuż brzegu zamontowano czujniki.

– Zastanawiałem się, co cię przyciąga do tego miejsca – powiedział po dłuższym milczeniu. – Niemal jestem w stanie zrozumieć szczyt klifu. Jest otwarty, wolny, wysokość daje ci poczucie bezpieczeństwa. Ale to miejsce... Co może ci zaoferować jaskinia?

To, że mogę powiedzieć, co mi się, kurwa, żywnie podoba, bez obaw o konsekwencje, bo huk wodospadu zagłusza wszystko, co mógłby wyłapać mikrofon.

Ale on szukał czegoś bardziej osobistego niż takie wyjaśnienie, czegoś z sensem, który według niego wszystkiemu nadawałam. Zajęło mi to minutę czy dwie, by wymyślić dla niego odpowiedź.

– Tutaj nie ma złudzeń – mówię w końcu. – Nie ma tu bujnej zieleni, starzenia się, czekania na śmierć i rozkładu. Tylko skały i woda.

Tu siadałyśmy z dziewczynami twarzą w twarz, stykając się kolanami, i zwykle było nam łatwo udawać, że Motyle nie istnieją. Lizuski miały skrzydła namalowane wokół oczu niczym karnawałowe maski, ale nawet wtedy w mglistym półmroku jaskini łatwo było sobie wyobrazić, że to tylko cień. Spuszczałyśmy włosy, opierałyśmy plecy o skałę i nie było żadnych pierdolonych Motyli. Chociaż na kilka chwil.

Więc być może było tu jednak jakieś złudzenie, ale to było nasze złudzenie, a nie to, które on dla nas skonstruował.

Puścił moją dłoń i zaczął wyciągać mi z włosów wsuwki, które przytrzymały mój warkocz upięty wokół głowy jak korona, aż poczułam, jak burza pofalowanych pukli opada mi do bioder, zakrywając skrzydła. Była to jedyna rzecz, której nigdy nie robił, chyba że rozczesywał włosy. Tym razem pozostawił je spuszczone i wpiął sobie wsuwki w kieszonkę koszuli.

– Bardzo się różnisz od innych dziewczyn – powiedział w końcu.

Nie było to całkowicie prawdą. Miałam charakter jak Bliss, ale go nie okazywałam. Byłam niecierpliwa jak Lyonette, ale starałam się to w sobie zwalczyć. Czytałam jak Zara, biegałam jak Glenys, tańczyłam jak Ravenna i zaplatałam włosy jak Hailee. Miałam po trochu z każdej z nich, może z wyjątkiem słodkiej prostoty Evity.

Jedyną rzeczą, która naprawdę odróżniała mnie od reszty, było to, że tylko ja nigdy nie płakałam.

Tylko ja nie potrafiłam.

Pieprzona karuzela.

– Proponujesz listę książek, ale nigdy o nic otwarcie nie prosisz. Pomagasz innym dziewczynom, słuchasz ich, uspokajasz je. Jesteś powierniczką ich sekretów i wychodzi na to, że również moich, ale nikomu sama z niczego się nie zwierzasz.

– Moje sekrety to starzy przyjaciele. Kiepska byłaby ze mnie przyjaciółka, gdybym teraz je porzuciła.

Jego niski rechot rozniósł się po jaskini, zanim pochłonęła go woda.

– Nie proszę cię, byś się nimi podzieliła, Mayu. Twoje wcześniejsze życie należy tylko do ciebie.



Rzuca Eddisonowi złośliwe spojrzenie i Victor nie może powstrzymać się od śmiechu.



– Nie mam zamiaru przeproszać. – Bez ogródek oznajmia Eddison. – To moja praca i musimy znać prawdę, żeby mieć na tego gościa mocne dowody. Lekarze są przekonani, że przeżyje i będzie w stanie stanąć przed sądem.

– Szkoda.

– Proces oznacza sprawiedliwość – odpala Eddison, tracąc nad sobą panowanie.

– Jasne, w pewnym sensie.

– W pewnym sensie? To...

– Czy ta „sprawiedliwość” cofnie to, co zrobił? To, co się zdarzyło? Czy dzięki niej dziewczyny w gablotach wrócą do życia?

– Nie, ale powstrzyma go od zrobienia tego ponownie.

– Tak samo jak śmierć, i to bez sensacji i pieniędzy podatników.

– Wracając do wodospadu – wtrąca się Victor, tłumiąc protesty Eddisona.

– Psujesz całą zabawę – mamrocze dziewczyna.



– Poproś mnie o coś, Mayu.

W jego oczach było wyzwanie, które pobrzmiwało głęboko w jego głosie. Oczekiwał, że poproszę o coś niemożliwego, jak wolność. Albo może spodziewał się, że będę jak Lorraine i poproszę o coś, co mogłoby mnie wyzwolić od Ogrodu, ale wcale nie będzie wolnością.

Ale ja byłam mądrzejsza. Tak jak wiedziałam, że należy wyrzucać numery telefonów podane w dobrej wierze, tak miałam na tyle rozumu, by nie prosić o rzeczy, których nie mogę mieć.

– Czy mógłbyś wyłączyć tę kamerę i nie wstawiać tu kolejnej? – zapytałam i obserwowałam, jak na jego zacienioną twarz wpływa zdumienie. – Żadnych kamer, żadnych mikrofonów?

– To wszystko?

– Byłoby miło mieć jedno miejsce, w którym naprawdę można zaznać prywatności – wyjaśniłam ze wzruszeniem ramion. To było dziwne wrażenie, czuć, jak z każdym moim ruchem włosy muskają mi ramiona. – Widzisz nas wszędzie, nawet gdy siedzimy na toalecie, jeśli tego chcesz. Posiadanie jednego miejsca bez kamer dobrze by na nas wpłynęło. Byłoby to pewnego rodzaju ćwiczenie dla zdrowia psychicznego.

Przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, zanim odpowiedział.

– Coś, na czym wszystkie skorzystacie.

– Tak.

– Mówię ci, że możesz mnie poprosić o co zechcesz, a ty prosisz o coś, na czym wszystkie skorzystacie.

– Ja też na tym skorzystam.

Raz jeszcze się roześmiał, wyciągnął do mnie rękę i przyciągnął do siebie, tak aby mógł mnie pocałować. Przeniósł dłonie na wiązanie mojej sukienki i gdy kładł mnie na mokry od pary kamień, odpłynęłam myślami ku *Annabel Lee* i jej „mogile nad mórz pianą”[3].

Byłam całkiem pewna, że nie o tym „rój aniołów śni”.



To zadziwiające jak pełnej odpowiedzi na pytanie potrafi udzielić dziewczyna, nigdy właściwie nie odpowiadając na żadne pytanie. Pewna mała, złośliwa cząstka Victora chciałaby wezwać ją przed sąd w charakterze świadka i obserwować, jak prawnicy po obu stronach we frustracji rwą włosy z głowy. Nawet kiedy wydawała się mówić szczerze, jej odpowiedzi zawsze skręcały na boki, dając coś na kształt treści, ale bez przechodzenia do sedna. Zapytaj o chłopaka, a zacnie od niego albo tak będzie się tylko wydawać, ale jakimś cudem skończy na zupełnie innym temacie, a temat chłopaka zostanie ledwie muśnięty. O tak, prawnicy nie będą chcieli, żeby zeznawała podczas procesu. Opiera się impulsowi i wyciąga z pliku zdjęcie chłopaka, które kładzie przed nią na stole.

Na początku odwraca oczy i zerka na lustro, na podłogę, na swoje poparzone i poranione dłonie, po czym wzdryga się z westchnieniem i zwraca twarz do zdjęcia. Unosi je delikatnie za brzegi i przygląda się ziarnistemu powiększeniu fotografii z prawa jazdy. Błyszczący papier trzęsie się jej w dłoniach, ale nikt tego nie komentuje.

– W Ogrodzie przyzwyczajasz się do różnych rzeczy – mówi w zadumie. – Nawet pojawianie się nowych dziewczyn jest czymś, do czego po prostu przywykasz, czymś, czego się spodziewasz, kiedy kolejna umiera. I wtedy nagle wszystko się zmienia.

– Kiedy?

– Niespełna pół roku temu. Kilka dni po tym, jak zmarła Evita.



Może wynikało to z tego, że Evita była jedną z osób, których nie dało się nie kochać. Może z tego, że jej śmierć to był wypadek, na który nie mogliśmy się przygotować. A może z reakcji Ogrodnika, z jego otwartości.

Cokolwiek by to było, przez kilka dni po wypadku Evity Ogrodnik był zrozpaczony. Większość dziewczyn przesiadywała w swoich pokojach, przez co Lorraine musiała wykładać wszystkie posiłki na tace i nam je przynosić. Boże drogi, była tak wściekła, że para szła jej uszami. Oczywiście była w takim samym nastroju jak my wszystkie, ale z innego powodu. My przeżywałyśmy żałobę po Evicie. Ona – po kolejnej gablocie, w której się nie znalazła.

Walnięta szmata.

Wyszłam nocą ze swojego pokoju, nie mogąc dłużej znieść czterech ścian i ciszy. Nie zbliżał się weekend, nie musiałam się więc martwić ogrodnikami ani opuszczeniem pełnych ścian. Nie było żadnego powodu, dla którego nie miałabym spędzić całej nocy, włócząc się po Ogrodzie. Czasem iluzja wolności wyboru była bardziej bolesna niż niewola.

Nie było przecież tak, że Ogrodnik nie mógł mnie znaleźć, gdyby chciał, choć był tego wieczoru z kim innym.

Noc w Ogrodzie zwykle była cicha. Oczywiście słyszałyśmy wodospad oraz szmer strumyka, szum maszyn i świst powietrza oraz stłumione odgłosy płaczu

dziewczyn dochodzące z różnych stron, ale w porównaniu z dniem, nocą stan był bliski ciszy. Wzięłam książkę i latarkę na klif, żeby usiąść tam na jednej z większych skał. Nazywałam ją Słoneczną.

Bliss nazywała ją Lwią Skałą i śmiała się, kiedy kazałam jej znaleźć lwa, który zwiślałby z krawędzi.

Zrobiła jednego z gliny polimerowej i dała mi go, gdy już przestałam się dławić ze śmiechu. Mieszkał na półce nad moim łóżkiem wraz z innymi cennymi dla mnie rzeczami. Podejrzewam, że nadal tam stoi albo stał aż do...

Bliss dołączyła do mnie na klifie około północy i rzuciła mi kolejną figurkę. Poświeciłam na nią latarką i zobaczyłam, że jest to zgarbiony smok. Był ciemnoniebieski, głowę miał wciągniętą w ramiona i w jakiś sposób kształt brwi nad wielkimi czarnymi oczami nadawał mu najbardziej żaloszny wygląd, jaki mogą mieć figurki z gliny.

– Dlaczego on jest taki smutny?

Wlepiała we mnie wzrok.

No tak.

Smok znalazł swój dom obok Simby i podczas gdy lew to był tylko żart, smok naprawdę coś znaczył.

Ale tamtego dnia był nowy i smutny, a Bliss zła i smutna, więc postawiłam go sobie na kolanie i wróciłam do czytania *Antygony*, aż Bliss zebrała się w sobie, by coś powiedzieć.



– Jeśli mój pokój nie został zniszczony, to myślicie, że jest szansa, bym odzyskała swoje figurki? I zwierzątka origami? I... no, właściwie to chciałabym odzyskać wszystko.

– Możemy zapytać – wykręca się Victor, a ona wzdycha.

– Czemu *Antygona*? – pyta Eddison.

– Zawsze wydawała mi się całkiem fajna. Jest silna, odważna i zaradna, nie przekracza pewnych granic emocjonalnej manipulacji i umiera na własnych warunkach. Zostaje skazana na spędzenie ostatnich dni w grobowcu, ale stwierdza: pierdolić to, wolę się powiesić. No i jest jeszcze jej narzeczony, któremu po jej śmierci odbija korba i próbuje zabić swojego własnego ojca. A potem oczywiście sam też umiera, no bo nie oszukujmy się, to jest grecka tragedia, a Grecy i Szekspir lubili zabijać swoich bohaterów. To tak naprawdę świetna lekcja. Wszyscy umierają. – Odkłada zdjęcie chłopaka i przykrywa jego twarz dłońmi. Victor nie ma nawet pewności, czy w ogóle zdaje sobie sprawę, że coś takiego zrobiła. – Ale gdybym wiedziała, że Bliss do mnie dołączy, to pewnie wybrałabym coś innego.

– A czemu?

– Chyba się nią zainspirowała.



Chodziła wokół mnie, podczas gdy ja czytałam, zrywała liście z roślin i darła je na kawałki, aż można było śledzić jej kroki po rzezi zielonych kawałeczków na skale. Warczała i przeklinała, chodząc w tę i w tę, nie było więc sensu nawet na nią patrzeć. W końcu zamilkła.

Stała na samym skraju usypanego klifu, z palcami stóp za krawędzią, szeroko rozpościerając ramiona. Jej blada skóra jaśniała w świetle księżyca, tam gdzie wyglądała z sięgającej do kolan czarnej sukienki.

– Mogłabym skoczyć – szepnęła.

– Ale nie skoczysz.

– Ale mogłabym – upierała się, na co ja pokręciłam głową.

– Ale nie skoczysz.

– Skoczę!

– Nie, nie skoczysz.

– A czemu, kurwa, nie? – zapytała, odwracając się do mnie i opierając dłonie na biodrach.

– Bo ci nie zagwarantuję, że na pewno umrzesz, a jeśli zrobisz sobie krzywdę, to wciąż możesz nie być w na tyle złym stanie, żeby on cię zabił. To nie taka znów duża wysokość.

– Evita spadła z niższej.

– Evita złamała sobie kark na gałęzi. Ty masz tyle szczęścia co ja. Jeśli spróbujesz, wszystko spieprzysz, i z wyjątkiem kilku sińców nic ci nie będzie.

– Kurwa jebana! – Siadła z impetem na skale obok mnie i gdy do oczu napłynęły jej łzy, schowała twarz w ramionach. Bliss była tu o trzy miesiące dłużej niż ja. Dwadzieścia jeden miesięcy. – Dlaczego nie ma lepszej opcji?

– Johanna się utopiła. Myślisz, że to mniej bolesne niż niepewny upadek?

– Pia mówi, że to się nie uda. Ogrodnik dodał czujniki wzdłuż brzegu. Jeśli poziom wody się podniesie, dostanie powiadomienie i sprawdzi kamery. Powiedziała, że widać, jak najbliższe kamery robią zbliżenia na dziewczyny w wodzie.

– Jeśli poczekaasz, aż będzie poza domem, albo nawet lepiej poza miastem, to pewnie będziesz mieć wystarczająco dużo czasu, żeby się utopić, jeśli naprawdę zechcesz.

– Nie chcę się utopić – westchnęła, siadając prosto, by obetrzeć łzy rąbkiem sukienki. – Nie chcę umierać.

– Wszyscy umierają.

– No to nie chcę umrzeć teraz – warknęła.

– No to po co skakać?

– Nie masz w sobie ani odrobiny współczucia.

Nie była to do końca prawda, o czym dobrze wiedziała, ale w dużej mierze to się zgadzało.

Zamknęłam książkę i wyłączyłam latarkę, po czym odłożyłam je na ziemię wraz z małym smutnym smokiem. Przekręciłam się na brzuch i położyłam przy Bliss.

– Coraz trudniej mi tu wytrzymać – szepnęła i mimo że nie byliśmy w jaskini, jedynym miejscu, które zapewniało dyskrecję, powiedziała to na tyle cicho, że nie wychwyciły tego mikrofony. Żadna z nas nie wiedziała, czy on przesłuchuje wszystkie nagrania, nigdy nie wiedziałyśmy, czy w ogóle możemy bezpiecznie rozmawiać, nawet kiedy miałyśmy całkowitą pewność, że nie siedzi przy monitorze.

– Mamy podobnie.

– No to czemu nie mogę się z tym pogodzić tak jak ty?

– Miałaś szczęśliwe dzieciństwo, co?

– Tak.

– Dlatego właśnie nie możesz się z tym pogodzić.

Byłam szczęśliwa w mieszkaniu, które w końcu stało się dla mnie domem, ale przeszłam wiele złego, zanim się tam znalazłam, tak samo jak przeżyłam złe rzeczy, zanim znalazłam się tutaj. Bliss nigdy tego nie doświadczyła, a przynajmniej nie do tego stopnia. Miała zbyt wiele dobrych wspomnień, które mogła porównywać z tym miejscem.

– Opowiedz mi coś, co zdarzyło się przedtem.

– Wiesz, że tego nie zrobię.

– To nie musi być coś osobistego. To może być cokolwiek.

– Jeden z moich sąsiadów miał ogródek z marihuaną na dachu – powiedziałam po chwili. – Kiedy się tam wprowadziłam, była tylko jedna skrzynka w rogu, ale z czasem, skoro nikt nie protestował, hodowla rozrosła się na pół dachu. Niektóre dzieci z niższych pięter bawiły się w krzakach w chowanym. Ale ostatecznie ktoś dał cynk policji, a gdy gość usłyszał syreny, spanikował i podpalił całą uprawę. Przez tydzień wszystkie byłyśmy trochę na haju i musiałyśmy wiele razy wszystko umyć i uprać, żeby pozbyć się zapachu.

Bliss pokręciła głową.

– Nawet nie mogę sobie tego wyobrazić.

– Nie ma w tym nic złego.

– Zapominam rzeczy związane z domem – wyznała. – Wcześniej próbowałam sobie przypomnieć swój adres i nie mogłam dojść, czy to była ulica, aleja, zaułek, czy co. Nadal nie mogę. Północno-zachodnia 10929/58. Tylko co?

I do tego właściwie sprowadziło się całe zamieszanie. Przykryłam jej dłoń swoją, bo nie wiedziałam, co na to powiedzieć.

– Każdego ranka, kiedy się obudzę, i każdej nocy, zanim zasnę, powtarzam sobie, jak się nazywam, jak mają na imię moi bliscy, i przypominam sobie, jak wyglądają.



Widziałam figurki przedstawiające rodzinę Bliss. Robiła ich tyle, że nie było szczególnego powodu, by przypisywać temu zestawowi szczególną uwagę, chyba że zauważyło się błyszczące części, gdzie jej palce wygładziły glinę, albo to, że stały w takim miejscu, by mogły być pierwszą rzeczą, jaką Bliss widziała po przebudzeniu i przed zaśnięciem.

Może Ogrodnik miał rację i naprawdę nadawałam wszystkiemu sens.

– Co się stanie, kiedy to już nie wystarczy?

– Cały czas sobie przypominaj – powiedziałam jej. – Po prostu rób to dalej, a wystarczy.

– Tobie to pomaga?

Nigdy nie nauczyłam się na pamięć swojego adresu w Nowym Jorku. Kiedy musiałam wpisać go do formularza, pytałam jedną z dziewczyn, na co one zawsze się ze mnie śmiały, ale nigdy nie kazały mi go zapamiętać. Nigdy też nie wyrobiłam sobie innego dokumentu niż ten fałszywy dowód, bo nie wiedziałam, czy przejdę weryfikację danych i czy wydział komunikacyjny robi coś więcej niż rutynową kontrolę informacji.

Ale pamiętałam pulchne kształty Sophii, jakich nabrała po tym, jak rzuciła nałogi, i złotorude włosy Whitney, śmiech Hope i nerwowy chichot Jessiki. Pamiętałam cudowne kości policzkowe Noémie, które miała po ojcu z plemienia Czarnych Stóp i matce z Czirokezów, pamiętałam promienny uśmiech Kathryn i rzadkie okazje, kiedy pojawiał się na jej twarzy. I pamiętałam jaskrawe, prowokacyjne ubrania Amber, których wzory nigdy do siebie nie pasowały, a mimo to jakoś ze sobą grały, bo ona tak je uwielbiała. Nie próbowałam sobie ich przypominać, nie starałam się zachować ich w pamięci, bo na stałe się w niej zapisały.

Podobnie jak mogłabym z radością zapomnieć twarze mojej matki i ojca, rozciągnięte kombinezony babci i prawie wszystkich ludzi sprzed Nowego Jorku. Ale ich też pamiętałam, a nawet, jak przez mgłę, pamiętałam ciotki, wujków i kuzynów, i bieganie w kółko, gdy graliśmy w gry, których nigdy tak do końca nie rozumiałam, i pozowanie do zdjęć, których nigdy potem nie widziałam. Po prostu pamiętałam różne rzeczy, różnych ludzi.

Nawet jeśli wolałam nie pamiętać.

Usiadłyśmy w tej samej chwili i oparłyśmy się na łokciach, kiedy po przeciwnej stronie Ogrodu otworzyły się drzwi i rozbłysło światło latarki.

– Co jest, kurwa? – szepnęła Bliss, a ja pokiwałam głową równie zdumiona.

Ogrodnik był w pokoju Danelle, szukając pocieszenia i ostentacyjnie jej udzielając pocieszenia jako tej, która odliczała podczas ostatniej zabawy Evity w chowanego. Nawet kiedy wychodził, nigdy nie potrzebował latarki. Podobnie jak Avery, który jeszcze przez dwa tygodnie miał zakaz wstępu do Ogrodu za złamanie ręki Pii, oraz jak Lorraine, która o tej porze zwykle spała albo płakała do poduszki.

W gabinecie pielęgniarki i w kuchni znajdowały się przyciski alarmowe, które brzęczały w jej pokoju, jeśli potrzebowałyśmy jej pomocy.

Postać była cała ubrana na czarno, co mogło się wydawać dobrym pomysłem, do czasu aż stanęła na ścieżce z białego piasku. Intruz poruszał się ostrożnie i omiatał snopem światła każdy swój krok, ale widziałyśmy po jego sylwetce, że na wszystko się gapi.

Z jakiegoś powodu od razu uznałam, że to mężczyzna. Może przez to, jak chodził. Albo przez idiotyczny pomysł, by użyć latarki, kiedy chciał pozostać niezauważonym.

– Jak myślisz, przez co będziemy mieć większe kłopoty? – Bliss wyszeptała mi do ucha. – Przez to, że spróbujemy się dowiedzieć, kim jest, czy przez to, że go zignorujemy?

Zdałam sobie sprawę, że chyba wiem, kim jest intruz, ale obiecałam Ogrodnikowi, że nikomu nie powiem. Nie żeby obietnica złożona seryjnemu mordercy była wiele warta, ale mimo wszystko. Właściwie nigdy nikomu niczego nie obiecywałam, dlatego że po prostu później czułam się w obowiązku, by dotrzymać słowa.

Tylko co robił młodszy syn Ogrodnika, włamując się do wewnętrznej szklarni? I co to oznaczało – co *mogło* oznaczać – dla nas?

Odpowiedź na pierwsze pytanie pojawiła się niemal natychmiast: powód był ten sam, dla którego w niemal każde popołudnie wspinałam się na drzewa, żeby zobaczyć choć fragmenty prawdziwego świata poza szklaną kopułą. To była ciekawość.

Co się tyczyło drugiego pytania...

Niektóre dziewczyny mogły zginąć, gdybyśmy dokonały niewłaściwego wyboru. Samo przebywanie w Ogrodzie nie było problemem – był to prywatny teren zielony, więc czym się tu przejmować – ale gdyby zajrzał do korytarzy...

Może zobaczyłby martwe dziewczyny i zadzwonił na policję?

A może by tego nie zrobił i wtedy razem z Bliss musiałybyśmy tłumaczyć, dlaczego widząc intruza, nie zareagowałyśmy.

Przeklinając po cichu, zesłam ze skały i zaczęłam skradać się przy ziemi.

– Zostań tam i miej go na oku.

– A jeśli coś zrobi?

– Krzykniesz?

– A ty...

– Idę powiedzieć Ogrodnikowi, żeby się tym zajął.

Pokręciła głową, ale nie próbowała mnie powstrzymać. W jej oczach widziałam, że tak samo jak ja nie zna dobrego rozwiązania. Nie mogłyśmy zaryzykować życia wszystkich dziewczyn, naiwnie licząc, że ten chłopak nie jest tak zły jak reszta jego rodziny. Nie po raz pierwszy w życiu miałam też zobaczyć

Ogrodnika z inną dziewczyną. Zwykle wolał prywatność czyjegoś pokoju, ale od czasu do czasu... no cóż. Tak jak mówiłam, to był niebywale opanowany człowiek... zazwyczaj.

Już prawie udało mi się zejść na ścieżkę po przeciwnej stronie klifu, gdzie zamiast przejrzystej ściany znajdowało się delikatne zbocze. Kiedy dostałam się na dół, piasek stłumił moje kroki i powoli się skradając, zdołałam wejść do strumienia, nie wywołując plusku. Schowałam się za wodospad i pobiegłam szybko tylnym korytarzem do pokoju Danelle.

Ogrodnik naciągnął spodnie, ale nie miał na sobie koszuli ani butów. Rozczesywał szczotką kasztanowe loki Danelle, aż napuszyły się, tworząc wokół jej głowy ogromną grzywę. Danelle najbardziej z nas wszystkich nienawidziła jego fascynacji włosami, bo jej fryzura robiła się w ten sposób niemożliwa do opanowania.

Oboje unieśli głowy, kiedy wślizgnęłam się do pokoju. Na twarzy Danelle malowało się zmieszanie, za to Ogrodnik prawie buchał złością.

– Przepraszam – szepnęłam. – Ale to ważne.

Danelle uniosła brew. Kiedy pojawiła się w Ogrodzie cztery lata temu, sądziła, że podlizywanie się Ogrodnikowi pomoże jej wrócić do domu, więc by udowodnić swoje oddanie, pozwoliła wytatuować sobie na twarzy skrzydła – czerwono-fioletową maskę. Wraz z upływem lat chęć podlizywania się jej przeszła i przyjęła stanowisko pod tytułem „wszystko jedno, byle dał mi spokój”. Wiedziałam, o co pyta, ale jedynie wzruszyłam ramionami. To, czy jej powiem, czy nie, będzie w dużej mierze zależeć od tego, co się stanie.

Ogrodnik włożył buty i wziął swoją koszulę, po czym wyszedł za mną na korytarz.

– To było...

– Ktoś wszedł do Ogrodu – przerwałam mu tak cicho, jak tylko potrafiłam. – Wydaje mi się, że to twój młodszy syn.

Zrobił wielkie oczy.

– Gdzie on jest?

– Gdy po ciebie szłam, był przy jezioru.

Ogrodnik założył koszulę i gestem kazał mi ją zapiąć, jednocześnie przeczesując dłońmi włosy. Tego, że podejrzenie pachniał, nie udało mu się opanować. Kiedy ruszył korytarzem, poszłam za nim. W końcu nie powiedział mi, żebym tego nie robiła. A przynajmniej nie do momentu, gdy doszliśmy do drzwi i zobaczył chłopaka na własne oczy, nadal wymachującego głupią latarką. Mężczyzna przez długą chwilę obserwował swojego syna w ciszy i nie mogłam odczytać miny na jego twarzy. Kładąc mi dłoń na ramieniu, pokazał w dół, co mogło oznaczać „siad” lub „waruj”.

Nie byłam suką, która lubi siedzieć, wybrałam więc warowanie, czemu on

się nie sprzeciwił.

Patrzyłam z korytarza, jak wychodzi do Ogrodu, nie chowając się i nie wahając. Jego głos przeciął niemal absolutną ciszę niczym odgłos wystrzału.

– Desmondzie!

Chłopak gwałtownie odwrócił głowę i upuścił latarkę. Odbiła się od skały z trzaskiem pękającego plastiku, a kiedy wylądowała na piasku, zamrugała i zgasła.

– Tato!

Ogrodnik wsadził dłoń do kieszeni i chwilę później otoczyły mnie ściany, zamykając inne dziewczyny w ich pokojach i ukrywając gąbłoty. Bliss ugrzęzła przez to na skale, a ja w korytarzu. Nie powiedziałam Ogrodnikowi, że ona jest na górze. Cholera.

Oparłam się o ścianę i czekałam.

– Co ty tutaj, do cholery, robisz? Mówiłem, że nie wolno ci tu przychodzić.

– Ale... słyszałem, jak Avery opowiada o tym miejscu i po prostu... chciałem je zobaczyć. Przepraszam, że cię nie posłuchałem, tato.

Trudno było poznać po głosie, ile ma lat. Mówił słabym tenorem, przez co wydawał się dość młody. Słysząc było, że czuje się niezręcznie i jest zawstydzony, ale nie słyszałam w jego głosie strachu.

– Jak w ogóle się tu dostałeś?

I czy Motyl mógłby wykorzystać ten sposób, aby się wydostać?

Chłopiec – Desmond, jak sądzę – zawahał się.

– Kilka tygodni temu zobaczyłem, jak Avery odsłania panel kontrolny przy jednych z drzwi dla obsługi – powiedział w końcu. – Zamknął go, kiedy tylko mnie zauważył, ale zdążyłem dostrzec klawiaturę.

– Potrzebujesz do niego kodu bezpieczeństwa, więc jak się tu dostałeś?

– Avery do wszystkiego używa tych samych trzech haseł, więc je wypróbowałem.

Miałam przecucie, że Avery już wkrótce będzie musiał wymyślić czwarte hasło. Nie wolno nam było kręcić się przy głównym wejściu. W tamtej części, po obu stronach drzwi znajdowały się pokój Lorraine, wcześniej pokój zabaw Avery'ego, gabinet pielęgniarski, kuchnia z jadalnią, salon tatuażu, z którego wchodziło się do apartamentu Ogrodnika, oraz kilka pomieszczeń, których przeznaczenia nie znałyśmy, ale mogłyśmy się domyślać. Cokolwiek robił w tych pokojach – tam właśnie umierałyśmy. Wszystkim tym miejscom, z wyjątkiem kuchni, miałyśmy nie poświęcać szczególnej uwagi i ani Ogrodnik, ani Avery nie wychodzili z Ogrodu, jeśli w pobliżu znajdował się Motyl, który mógł to zobaczyć.

– I co niby chciałeś tutaj znaleźć? – zapytał Ogrodnik.

– No... ogród... – odpowiedział chłopak przeciągle. – Chciałem zobaczyć, dlaczego jest taki wyjątkowy.

– Bo jest prywatny – westchnął jego ojciec i zaczęłam się zastanawiać, czy

to prawdziwy powód, dla którego usunął kamerę i mikrofon z jaskini za wodospadem. Bo cenił swoją prywatność na tyle, by pozwolić nam udawać, że my też jakąś mamy? – Jeśli naprawdę chcesz zostać psychologiem, Desmondzie, będziesz się musiał nauczyć szanować cudzą prywatność.

– Z wyjątkiem sytuacji, w której ta prywatność powoduje blokadę wpływającą na zdrowie psychiczne. W takim przypadku będę miał zawodowy obowiązek nakłonić tę osobę, aby próbowała opowiedzieć o swoich sekretach.

Zabawne, Whitney nigdy nie wspominała o tego typu etycznych zawirowaniach, kiedy opowiadała o seminariach z psychologii.

– I będziesz zawodowo zobowiązany zatrzymać te sekrety dla siebie – przypomniał mu Ogrodnik. – A teraz chodźmy.

– Śpisz tutaj?

– Od czasu do czasu. Chodźmy, Desmondzie.

– Dlaczego?

Przygryzłam wargę, żeby się nie roześmiać. Rzadko można było usłyszeć, jak Ogrodnik jest całkowicie zbity z tropu.

– Ponieważ znajduję tu błogi spokój – odpowiedział w końcu. – Zabierz latarkę, odprowadzę cię do drzwi.

– Ale...

– Ale co? – warknął.

– Dlaczego trzymasz to miejsce w takim sekrecie? To tylko ogród.

Ogrodnik nie odpowiedział od razu i poznałam, że pewnie zastanawia się nad tym, jakie ma możliwości. Powiedzieć synowi prawdę i mieć nadzieję, że ją kupi, utrzyma w sekrecie? Okłamać go i zaryzykować, że prawda i tak wyjdzie na jaw, bo jego raz nieposłuszny syn znów może wykazać się nieposłuszeństwem? Czy może pomyślał o czymś jeszcze gorszym – że syn jest dla niego równie zbędny jak Motyl?

– Jeśli ci powiem, musisz to utrzymać w całkowitej tajemnicy – powiedział w końcu. – Nie możesz nikomu pisnąć o tym słowa. Nawet swojemu bratu. Ani słowa, rozumiesz?

– Tak jest. – W jego głosie wciąż nie było strachu, ale raczej desperackie pragnienie.

Chciał, żeby ojciec był z niego dumny.

Rok wcześniej Ogrodnik powiedział mi, że jego *zona* była dumna z ich młodszego syna, ale on niekoniecznie. Nie wydawał się rozczarowany, ale może w przeciwieństwie do dumy okazywanej z łatwością przez matkę ojca trudniej było wyczuć. A może ojciec zwyczajnie wstrzymywał się z pochwałami, do czasu aż poczuł, że ktoś naprawdę na nie zasłużył. Było wiele możliwych wyjaśnień, ale jedno nie ulegało wątpliwości: ten chłopak chciał, żeby ojciec był z niego dumny, chciał czuć się częścią czegoś większego.

Głupi, głupi chłopak.

Wtedy usłyszałam kroki, coraz cichsze, oddalające się. Zostałam tam, gdzie byłam, dopóki nie uniosły się ściany. Minutę lub dwie później Ogrodnik pojawił się w korytarzu i skinął na mnie ręką. Posłuchałam tak jak zawsze, a on bezwiednie przejechał dłonią po moich włosach, teraz związanych w niechlujny węzeł. Szuka pocieszenia, pomyślałam.

– Pozwól ze mną.

Zaczekał, aż kiwnę głową na tak, zanim położył mi dłoń na plecach i lekko popchnął mnie w głąb korytarza. Studio tatuażu było otwarte, maszyny zakryte płachtami folii – do czasu aż pojawi się nowa dziewczyna. Kiedy znaleźliśmy się w środku, wyciągnął z kieszeni małego czarnego pilota, przycisnął guzik i drzwi za nami się zasunęły. Te do jego prywatnego apartamentu były za to otwarte. Panel kontrolny wydał z siebie piknięcie, kiedy pierwsze drzwi się zamknęły. Na ten dźwięk jego syn, który stał przed półkami z książkami, nagle się odwrócił.

Wlepił we mnie wzrok i otworzył usta z zaskoczenia.

Z bliska łatwo było zobaczyć, że ma oczy po ojcu, ale większość pozostałych cech odziedziczył po matce. Miał smukłą sylwetkę i długie, eleganckie palce. Ręce muzyka, pomyślałam, kiedy przypomniałam sobie, co mówił o nim jego ojciec. Wciąż trudno mi było zgadnąć, ile ma lat. Być może był w moim wieku, może nieco starszy. Nie byłam w tę grę równie dobra jak Ogrodnik.

Ojciec wskazał mu miejsce na fotelu pod lampą.

– Usiądź, proszę. – Dla siebie wybrał miejsce na kanapie. Mnie posadził przy sobie, cały czas pilnując, bym nie odwróciła się plecami. Podwinęłam nogi pod siebie i oparłam się o miękkie poduszki, składając dłonie na kolanach. Jego syn wciąż stał i wpatrywał się we mnie.

– Usiądź, Desmondzie.

W końcu nogi się pod nim ugięły i chłopak opadł na fotel.

Czy gdybym zaczęła opowiadać temu zaszokowanemu chłopcu przerażające szczegóły, to wezwana przez niego policja przyjechałaby szybciej, niż jego ojciec zdołałby mnie zabić? Czy może to jego od razu uciszyłby raz na zawsze? Problem z socjopatami jest zazwyczaj taki, że nigdy nie wiadomo, gdzie wyznaczają swoje granice.

Nie byłam w stanie stwierdzić, czy warto podjąć ryzyko, i ostatecznie powstrzymała mnie myśl o innych dziewczynach. Powietrze w Ogrodzie pochodziło z klimatyzacji. Aby pozbyć się naszego stadka, wystarczyłoby wpuścić do obiegu pestycydy czy coś podobnego. W szklarni na pewno znajdowało się mnóstwo chemicznych nawozów.

– Mayu, poznaj Desmonda. Studiuje na trzecim roku w Washington College.

– Co tłumaczyłoby, dlaczego spaceruje z rodzicami tylko w weekendy.

– Desmondzie, oto Maya. Mieszka w wewnętrznym ogrodzie.

– Mieszka... tutaj?

– Tak – potwierdził. – Podobnie jak inne dziewczyny. – Ogrodnik przesunął się na skraj kanapy, opuszczając złożone dłonie pomiędzy kolana. – Twój brat i ja ratujemy je z ulicy i przyprawiamy tutaj, aby znalazły lepszego życia. Karmimy je, dajemy im ubrania, troszczymy się o nie.

Nieliczne dziewczyny z naszej grupy rzeczywiście były z ulicy, ale w żaden sposób przed niczym nas nie ratowano, ale resztę, z pewnej skrzywionej perspektywy, można było uznać za prawdę. Ogrodnik nigdy nie myślał o sobie jako o złoczyńcy.

– Twoja matka o tym nie wie i nie może się dowiedzieć. Wysiłek związany z troszczeniem się o tak wiele osób byłby zbyt wielkim obciążeniem dla jej serca. – Przemawiał z taką powagą, z taką szczerością. I mogłam dostrzec, że jego syn mu wierzy. Na jego twarz wystąpiła ulga, rozpraszając chwilowe przerażenie, że jego ojciec trzyma tu harem dla własnych uciech.

Głupi, *głupi* chłopak.

Pozna prawdę. Kiedy po raz pierwszy usłyszy płacz dziewczyny, kiedy po raz pierwszy zobaczy czyjeś skrzydła, kiedy po raz pierwszy podniosą się ściany, a on ujrzy dziewczyny w żywicy i szkle, przekona się, jaka jest prawda. Ale na razie wszystko łyknął. A kiedy o wszystkim się dowie, czy nie będzie w to za bardzo uwikłany, by postąpić jak należy?

Siedzieliśmy razem w tym pokoju przez prawie godzinę, a Ogrodnik przedstawiał swoją wersję sytuacji, od czasu do czasu spoglądając na mnie, żebym skinęła głową i uśmiechnęła się dla potwierdzenia. Robiłam, jak sobie życzył, jednocześnie czując, jak wszystko wywraca mi się w żołądku, ale podobnie jak Bliss nie chciałam jeszcze umierać. Nie była to może nadzieja, jaką wyrażała matka Johanny, ale jeśli zostało mi kilka lat, to chciałam je zachować, nawet w takim miejscu. Z tylu rzeczy musiałam zrezygnować, odpuścić, a jakoś żyłam dalej. Skoro nie zdobyłam się na samobójstwo, to nie miałam zamiaru iść na śmierć potulna jak baranek.

W końcu Ogrodnik zerknął na zegarek.

– Jest prawie druga nad ranem – westchnął – a ty masz zajęcia o dziewiątej. Chodź, odprowadzę cię do domu. I pamiętaj, nie rozmawiaj o tym z nikim, nawet z Averym, no chyba że będziecie tu razem. Przygotuję dla ciebie kod i mam nadzieję, że będzie ci można zaufać.

Również chciałam wstać, ale kiedy spuściłam stopy na podłogę, Ogrodnik wykonał nieznaczny gest, więc znów siadłam na kanapie.

Wychodzi chyba na to, że jednak byłam dokładnie tego typu suką.

Nazywał nas Motylami, ale tak naprawdę byliśmy dobrze wyszkolonymi psami.

Pozostałam na kanapie dokładnie tak, jak mnie zostawili, nie wstając nawet,

aby rozejrzeć się po reszcie apartamentu. Nie było tu ani okna, ani drugich drzwi, więc nie miało to sensu. Już go przecież widziałam, ale tym razem nie towarzyszyły mi ból i strach. To było dla niego osobiste miejsce, jeszcze bardziej osobiste niż Ogród. Nie pasowały tu nawet Motyle.

Więc czemu, kurwa, tam siedziałam? Zwłaszcza jeśli go tam nie było?

Wrócił może pół godziny później.

– Odwróć się – zażądał ochryplym głosem, zdzierając z siebie ubrania i rzucając je niedbale na podłogę. Zrobiłam, co kazał, zanim zdołał zobaczyć moją twarz, i usiadłam sobie na kostkach. Padł na kolana i rozedrganymi palcami i ustami zaczął śledzić każdą linię na moich plecach, i skądś wiedziałam, że w ten sposób daje ujście nerwom, jakie wywołała rozmowa z synem, podekscytowaniu, że być może podzieli on jego zainteresowania w łagodniejszy sposób niż Avery. Zmagał się z haftkami mojej sukienki, a kiedy nie udało mu się ich rozpiąć za pierwszym czy drugim razem, zwyczajnie rozerwał materiał na szwach, pozostawiając mnie w strzępach czarnego jedwabiu.

Ale choć  
Nadziei blaski  
Noc rozprasza,  
Czy dnia brzaski  
W wizji, czy na  
Jawie spłoną –  
Jest li przez to  
Mniej straconą?  
Wszystko to, co  
Widzę, wiem –  
Snem jest tylko...  
We śnie snem[4]

Z drugiej strony byłam już wtedy w Ogrodzie od półtora roku i nawet Poe stał się dla mnie bardziej nawykiem niż prawdziwym sposobem rozproszenia uwagi. Choć nie chciałam, byłam świadoma tego, co robił, potu, który kapał mu z torsu na moje plecy, stękania, które wydawał z siebie za każdym razem, gdy przyciągał mnie do siebie. Zbyt świadoma zabiegów, którymi próbował wydobyć ze mnie reakcje, i sposobów, w jakie zdradzało mnie moje ciało, wykonując to, czego chciał. Nigdy na tyle się go nie bałam, a on nigdy nie był na tyle brutalny, bym mogła się od wszystkiego całkowicie odciąć.

Nawet kiedy wydawało mi się, że skończył, został na miejscu i delikatnie odmuchał obrys moich skrzydeł, a kiedy okrążył je całe, zrobił to samo za pomocą pocałunków,



cichych jak modlitwy. A potem zrobił to wszystko od początku, podczas gdy ja myślałam sobie, jakie to kurewsko niesprawiedliwe, że zrobił z nas Motyle. Prawdziwe motyle mogły odfrunąć tam, gdzie nikt nie mógł ich złapać. Motyle Ogrodnika mogły tylko spaść, a nawet to zdarzało się rzadko.



Wyciąga z kieszeni błyszczący i trzęsącymi się dłońmi nakłada na usta świeżą warstwę. Obserwując ją, widząc strzępy godności, jakie odzyskuje tym gestem, Victor myśli sobie, że musi podziękować córce za jej dobre serce. Nigdy by nie pomyślał, że taka prosta rzecz może tyle znaczyć.

– I tak poznałam Desmonda – powiedziała po chwili.

Eddison marszczy czoło, spoglądając na stertę zdjęć i dokumentów.

– Jak on mógł...

– Ci, którzy rozpaczliwie chcą w coś uwierzyć, zazwyczaj w to wierzą – kwituje ot tak. – Chciał, żeby jego ojciec miał dobre, rozsądne wytłumaczenie całej sytuacji, a kiedy takie otrzymał, chciał w nie uwierzyć, więc uwierzył. Przynajmniej na jakiś czas.

– Powiedziałaś, że byłaś tam od półtora roku – mruczy Victor. – Liczyłaś?

– Na początku nie. A potem dostałam na swoją rocznicę niespodziewany prezent.

– Od Bliss?

– Od Avery’ego.



Po pierwszym razie, po którym ojciec wyrzucił go z raju za to, co zrobił Giselle i mnie, Avery tknął mnie tylko dwa razy i tylko uzgodniwszy z ojcem, że jeśli przydarzy mi się coś złego, to samo przydarzy się i jemu. Nie bił mnie, nie dusił, nie krępował, pomijając wiązanie mi nadgarstków na plecach, ale znał inne sposoby, aby sprawić mi ból.

Po każdym z tych dwóch spotkań z Averym przez resztę tygodnia byłam odwodniona, bo jeśli miało mnie boleć przy sikaniu, to wołałam nie robić tego za często.

Ale on cały czas mnie obserwował, tak samo jak Desmond szukał oznak wewnętrznego Ogrodu, aż udało mu się wejść do środka. Nie wolno mu było mnie dotknąć, dlatego stałam się obiektem pożądania i fascynacji.

Za czwartym razem, kiedy musiałam jakoś go znieść, zaczęło się jak zwykle. Ogrodnik przyszedł do mnie i wyjaśnił mi, że Avery poprosił o pozwolenie, by spędzić ze mną trochę czasu, ale że ma pewne ograniczenia, tak jak poprzednimi dwoma razy. Ogrodnik uważał, że w ten sposób podnosi mnie na duchu. Wciąż nie mogłam odmówić, bo to wprawiało go w niezadowolenie, ale wydawało mu się, że pocieszy mnie fakt, iż Avery nie może robić nam krzywdy bez konsekwencji.

Fakt, że konsekwencje dosięgały go zwykle wtedy, gdy zostałyśmy zabite

albo okaleczone, był nieszczęśliwie pocieszający, ale Ogrodnik nigdy nie dostrzegł tej logiki. A może dostrzegł, ale zwyczajnie ją zignorował. Bądź co bądź uważał, że daje nam lepsze życie niż to, które prowadziłyśmy na zewnątrz, że o nas dba.

Nieszczęśliwie więc pocieszona posłusznie poszłam za Averym do jego pokoju zabaw i patrzyłam, jak zamyka drzwi. Ściągnęłam z siebie ubrania, kiedy mi kazał, pozwoliłam mu zapiąć się w kajdany przypięte do ściany i trochę za ciasno zawiązać sobie przepaskę na oczach. W tamtym czasie przeszłam już do prozy Poego, bo trudniej było zapamiętać tekst, który się nie rymuje, więc przypominałam sobie, na ile mogłam, *Zdradzieckie serce* i przygotowałam się do cichej deklamacji.

W przeciwieństwie do Ogrodnika Avery nie wierzył w grę wstępną, nie myślał o tym, żeby nas przygotować, a przynajmniej posmarować żelem nawilżającym, bo lubił zadawać nam ból. Nie zdziwiło mnie, że od razu przeszedł do rzeczy.

Po jednej czwartej opowiadania zaskoczyło mnie, że wyciągnął go ze mnie, zanim doszedł. Słyszałam, jak Avery kręci się na końcu pokoju, gdzie przechowywał większość swoich zabawek, ale mimo upływającego czasu nie wrócił do mnie. Stopniowo zaczynałam odczuwać jakiś zapach. Nie mogłam go rozpoznać. Było to coś jak stęchła kawa albo garnek na gazie, z którego wygotowała się woda. W końcu dobiegły mnie jego ciężkie kroki niosące się po zimnej, metalowej podłodze, a potem, o kurwa jebana! Ból, gdy przycisnął mi do biodra coś, co paliło i rozdzierało. W życiu nie czułam niczego podobnego, cierpienie było tak wielkie, że zepchnęło wszystko, co miałam w sobie, w jedno miejsce i próbowało roztrzaskać to na kawałki.

Zaczęłam wrzeszczeć, ale moje gardło szybko zacisnęło się wokół krzyku, który się z niego wydostał.

Avery się zaśmiał.

– Wszystkiego najlepszego z okazji pierwszej rocznicy, ty arogancka suko.

Drzwi otworzyły się z impetem i Avery się odwrócił, ale nawet gdy odjął narzędzie od mojej skóry, cierpienie pozostało, pozbawiając mnie oddechu, gdy zdławiłam w końcu swój krzyk i umilkłam. Słyszałam dobiegające z pokoju dźwięki, ale nie mogłam ich rozszyfrować. Jęknęłam i próbowałam zaczerpnąć powietrza, ale moje płuca zapomniały chyba, jak pracować.

Wtedy czyjeś dłonie zaczęły rozprawiać się z moimi kajdankami na nadgarstkach i kostkach, aż się wzdrygnęłam.

– To ja, Mayu, to tylko ja. – Rozpoznałam głos Ogrodnika, poczułam, jak znajome dłonie ściągają mi z oczu opaskę, bym mogła go zobaczyć. Avery leżał za nim na podłodze w nieeleganckiej pozie, a na szyi podskakiwała mu żyłka. – Tak mi przykro, nigdy bym nie pomyślał... Był taki... Tak mi przykro. On już nigdy więcej cię nie dotknie.

Narzędzie leżało na podłodze obok Avery'ego. Kiedy je zobaczyłam, przygryzłam wargę, by powstrzymać falę wymiotów. Ogrodnik rozwiązał ostatnie pęta, a ja prawie krzyknęłam z bólu, kiedy spróbowałam zrobić krok.

Wziął mnie na ręce i niepewnie wyniósł z pokoju Avery'ego, po czym przeniósł przez część korytarza do gabinetu pielęgniarki. Prawie rzucił mnie na wąską leżankę i wcisnął guzik przywołujący Lorraine. Następnie przyklęknął przy mnie, zacisnął moją dłoń w swojej i zaczął powtarzać bez końca, jak mu przykro, nawet wtedy, gdy ciężko dysząc, do środka wpadła Lorraine, gotowa wziąć się do roboty.

Jeśli chodzi o pozytywne strony, to później nie miałam styczności z Averyem przez bardzo długi czas, a jego pokój zabaw został zlikwidowany. Ale. Ojciec nie mógł wszystkiego mu zabronić – Ogród był niemal jedyną smyczą, na której go trzymał – wciąż znajdował więc sposoby, by krzywdzić inne dziewczyny. Nie ma tego złego... i takie tam pierdolenie.



Nie chce wiedzieć. Nie chce ani trochę wiedzieć i widzi, że Eddison życzy sobie tego samego.

Ale muszą wiedzieć.

– W szpitalu nic nam nie zgłosili.

– Zaciągnęliście mnie tu, zanim w szpitalu zrobiono mi obdukcję.

Victor bierze głęboki, rozedrgany oddech i wypuszcza powietrze z lekkim świstem.

– Inaro.

Dziewczyna wstaje bez słowa, podciąga sweter i koszulkę do połowy brzucha, odsłaniając oparzenia, rany cięte i linię szwów na boku. Guzik dzinsów jest już rozpięty, więc rozsuwa zamek, przenosi dłonie na lewo i zahacza kciukiem o spodnie i bawełnianą bieliznę w zielone paski, odchylając je na tyle, by agenci mogli zobaczyć.

Blizna jest jasnoróżowa i zgrubiała na kości biodrowej. Tylko krawędzie skrzydeł zbladły do delikatnego różu i bieli. Dziewczyna rzuca im kwaśny uśmiech.

– Podobno nieszczęścia chodzą trójkami.

Trzy motyle u dziewczyny po przejściach: jeden za osobowość, jeden na znak własności i jeden za małostkowość.

Poprawia ubrania i siada, po czym bierze drożdżówkę z serem z pudełka, które wygrało z domowymi cytrynowymi bułeczkami.

– Czy mogę poprosić o wodę?

W odpowiedzi z drugiej strony lustra rozlega się stukanie.

Victor podejrzewa, że to Yvonne. Kiedy masz się czym zająć, robi się trochę łatwiej.

Drzwi się otwierają, ale głowę wtyka do środka inny analityk. Rzuca Eddisonowi trzy butelki wody, po czym zamyka drzwi. Eddison podaje jedną Victorowi, a drugą odkręca dla Inary. Dziewczyna patrzy na swoje zmasakrowane dłonie i na krawędzie plastikowej zakrętki, po czym kiwa głową i upija długi łyk.

Victor sięga po zdjęcie chłopaka i kładzie je na środku stołu.

– Opowiedz nam o Desmondzie i Ogrodzie, Inaro.

Dziewczyna przyciska oczy nasadami dłoni. Przez moment mozaika różu, czerwieni i fioleto wygląda na jej twarzy jak maska.

Prawie jak motyl.

Victora przechodzi dreszcz, ale delikatnie odsuwa jej dłonie od twarzy. Przykrywa jej ręce swoimi, uważając, by niezbyt mocno przycisnąć rany po oparzeniach, i czeka, aż dziewczyna znajdzie w sobie słowa. Po kilku minutach ciszy Inara odwraca dłonie w taki sposób, że może lekko chwycić go za nadgarstki, a on odwzajemnia uścisk.

– Przez pewien czas Desmond nie znał prawdziwego charakteru Ogrodu – mówi, patrząc mu na ręce. – A w tych okolicznościach może przez długi czas. Jego ojciec dopilnował, żeby tak było.



Ogrodnik nie od razu dał kod dostępu młodszemu synowi. Przez pierwszych kilka tygodni sam oprowadzał go po Ogrodzie, kontrolując to, co Desmond widzi i z kim rozmawia. Bliss na przykład była jedną z później przedstawionych mu osób, po kilku rozmowach, jakie przeprowadził z nią Ogrodnik na temat tego, co jest, a co nie jest stosowne dla oczu i uszu jego syna.

Desmondowi nie pokazano beks ani lizusek, a te z nas, z którymi wolno mu było rozmawiać, otrzymały sukienki z plecami.

Bliss prawie pękła ze śmiechu na widok swojej sukienki starannie złożonej przed wejściem do jej pokoju. Gdy Lorraine ją przyniosła, przez moment wyglądała na taką zadowoloną. Nie wiedziała, że Desmond odkrył Ogród, nie wiedziała, że to tylko tymczasowe.

Sądziła, że będziemy z nią dzielić jej karę, jej wykluczenie.

Sukienki były proste, ale eleganckie, jak wszystkie w naszych szafach. Ogrodnik znał rozmiary każdej z nas i pewnie wysłał Lorraine na zakupy – mimo jej napadów paniki, jakich dostawała na samą myśl o tym, że miałyby opuścić bezpieczną przestrzeń Ogrodu – ale otrzymałyśmy je tak szybko, że nie mogło być innego wytłumaczenia. Oczywiście te również były czarne. Moja wyglądała prawie jak koszula: bez rękawów i z kołnierzykiem, zapinana na guziki, które znikwały pod szerokim, rozciągliwym pasem, i przechodząca w luźną, zwiewną spódnicę do kolan. Potajemnie uwielbiałam tę sukienkę.

Nasze skrzydła były zakryte, ale ku wielkiej uciechu Ogrodnika niektóre z moich skrzydeł wciąż były widoczne. Czarny plemienny motyl, którego zrobiłam

sobie z dziewczynami z mieszkania, nadal widniał na mojej prawej kostce. Kiedy nasze skrzydła były zakryte, mogłyśmy nosić włosy tak, jak chciałyśmy. Bliss rozpuszczała swoją dziką burzę loków, które o wszystko zahaczały, a ja zaplatałam sobie zwykły warkocz. Czułam się, jakbym sobie folgowała.

Przez pierwsze dwa tygodnie Desmond był cieniem swojego ojca, grzecznym i pełnym szacunku, i bardzo się starał nie nadużywać jego cierpliwości. Wszystkie zostałyśmy odpowiednio przeszkolone co do tego, jakich odpowiedzi wolno nam udzielać. Gdyby zapytał o cokolwiek związanego z naszym wcześniejszym życiem, miałyśmy spuścić wzrok i wymamrotać coś, że najlepiej zapomnieć o bolesnych sprawach. Dopiero kiedy usłyszał to po raz piąty czy szósty, zauważył, że coś jest nie tak.

To, że w ogóle zwróciło to jego uwagę, skłoniło mnie do skorygowania mojej początkowej oceny jego inteligencji.

Ale tylko trochę. Koniec końców wciąż łykał historyjkę ojca.

Przychodził wieczorami na kilka godzin, nie w każdy wieczór, ale w większość. Po zajęciach i jeśli nie miał za dużo nauki. Podczas tych pierwszych dni Avery miał całkowity zakaz wstępu do Ogrodu, a Ogrodnik nie dotykał żadnej z nas, gdy Desmond był w szklarni. Dotykał nas oczywiście później albo wcześniej, ale nie tam, gdzie mógłby to zobaczyć jego syn. Dziewczyny w gablotach zostały zasłonięte nie tylko z zewnątrz, ale również od strony naszych pokoi. Spędziłyśmy całe tygodnie bez oglądania martwych dziewczyn i choć miałyśmy poczucie winy, że chcemy o nich zapomnieć, czułyśmy się wspaniale, nie musząc patrzeć na coś, co nieustannie przypominało nam o czekających nas śmierci i nieśmiertelności.

Aklimatyzacja Desmonda przypominała to, jak Lyonette wprowadzała dziewczyny do Ogrodu. Najpierw próbujesz sprawić, by lepiej się poczuły. Potem pokazujesz im wszystko, kawałek po kawałku. Nie od razu mówisz o tatuażach, nie od razu mówisz o seksie. Pomagasz im się oswoić z jednym aspektem i wtedy, gdy przestają się wzdrygać na jego myśl, wprowadzasz kolejny.

Jeden z wielu powodów, dla którego moje wprowadzenia nie były tak gładkie jak Lyonette.

Czy Desmond przebywał w Ogrodzie, czy nie, zwykle trzymałam się swojej rutyny. Spędzałam poranki na rozmowach z dziewczynami w jaskini, biegałam przed lunchem i spędzałam popołudnia, czytając na klifie albo grając w gry na dole. Jeśli razem z ojcem pojawiali się po południu, to zwykle kończyli na rozmowach ze mną na klifie. Czasem uczestniczyła w tym Bliss.

Częściej bywało jednak, że widząc, jak idą po ścieżce, schodziła na dół, żeby ich nie spotkać.

Choć Ogrodnik lubił temperament i charakter Bliss, nie miał o to pretensji. Oznaczało to mniejsze ryzyko, że jego syn odkryje prawdę, zanim ojciec zdąży go

odpowiednio przygotować.

Tego ostatniego wieczoru bezpośredniej kontroli Ogrodnik rozpoczął rozmowę ze mną i Desmondem, po czym zostawił nas samych i udał się ścieżką w stronę korytarzy. Gabloty były zasłonięte i wydaje mi się, że za nimi tęsknił. Po jego odejściu rozmowa bardzo szybko się urwała i kiedy Desmond nie potrafił znaleźć tematu, aby ją kontynuować – bo nie było to moim obowiązkiem – wróciłam do czytania.



– *Antygony?* – pyta Eddison.

– *Lyzistraty* – odpowiada dziewczyna z lekkim uśmiechem. –  
Potrzebowałam czegoś lżejszego.

– Niestety nie czytałem.

– Nie jestem zaskoczona. To jedna z tych książek, którą bardziej się docenia, kiedy ma się w życiu kogoś na stałe.

– A skąd...?

– Poważnie? Co chwilę warczysz i tracisz nad sobą panowanie, zachowujesz się jak gbur, a będziesz mi wmawiał, że masz żonę albo dziewczynę?

Na policzkach agenta pojawia się paskudny rumieniec, ale uczy się na błędach. Nie chwyta przynęty.

Dziewczyna rzuca mu przelotny uśmiech.



– Psujesz zabawę.  
– Niektórzy z nas pracują – odpala Eddison. – Spróbuj się z kimś spotykać, kiedy o każdej porze możesz zostać wezwana na służbę.

– Hanoverian jest żonaty.  
– Ożenił się na studiach.  
– Eddison był na studiach za bardzo zajęty zwiedzaniem aresztów zamiast akademików – dorzuca Victor. Na szyję jego partnera znów wstępuje rumieniec.

Inara od razu się ożywia.

– Awantury po pijaku? Nieobyczajne zachowanie?

– Napaść.

– Vic...

Ale Victor wchodzi mu w słowo.

– Władze uczelni i miejscowe gliny spartaczyły dochodzenie w sprawie serii gwałtów na kampusie. Możliwe, że celowo, bo podejrzany był synem komendanta policji. Nie wniesiono oskarżeń. Uczelnia nie nałożyła kary dyscyplinarnej.

– Więc Eddison postanowił wymierzyć sprawiedliwość.

Obaj mężczyźni kiwiają głowami.

– Samozwańczy obrońca. – Victor opiera się na krześle z zamyślonym wyrazem twarzy. – Jeśli nie otrzymujesz sprawiedliwości, sam ją wymierzasz.

– To było dawno temu – mamrocze Eddison.

– Czyżby?

– Stoję na straży prawa. Nie jest idealne, ale jest, jakie jest, i tyle. Bez sprawiedliwości nie ma porządku ani nadziei.

Victor obserwuje, jak dziewczyna przyswaja jego słowa, zastanawia się nad nimi.

– Podoba mi się twoja definicja sprawiedliwości – mówi w końcu. – Nie jestem tylko pewna, czy ona naprawdę istnieje.

– To – odpowiada Eddison i stuka palcem w stół – też jest część sprawiedliwości. To tu zaczynamy odkrywać prawdę.

Dziewczyna delikatnie się uśmiecha.

I wzrusza ramionami.



Siedzieliśmy w ciszy przez długi czas – wystarczająco długo, żeby poczuł się niezręcznie. Zaczął wiercić się na skale i ściągnął sweter, czując ciepło szklanego sufitu. Głównie go ignorowałam, aż odchrząknął na znak, że chce w końcu coś powiedzieć. Zamknęłam książkę na palcu i poświęciłam mu swoją uwagę.

Przygarbił plecy.

– Jesteś... bardzo *bezpośrednią* osobą, prawda?

– Czy to źle?

– Nie... – powiedział cicho, jakby nie był do końca pewien. Wziął głęboki wdech i zamknął oczy. – Ile z tego, co mówi mi ojciec, to całkowita ściema?

To pytanie było warte znalezienia zakładki. Włożyłam ją między kartki i odłożyłam książkę na skałę za moimi plecami.

– Dlaczego myślisz, że coś tu jest ściemą?

– On się za bardzo stara. A poza tym... cóż, cała ta sprawa z prywatnością. Kiedy byłem mały, zabrał mnie do swojego gabinetu, oprowadził mnie i wyjaśnił, że bardzo ciężko tu pracuje i nie wolno mi przychodzić i mu przerywać. *Pokazał* mi. Nie zrobił tak w przypadku tego miejsca, wiedziałem więc, że musi się czymś różnić.

Odwróciłam się twarzą do niego i usiadłam po turecku na wygrzanej w słońcu skale, poprawiając sukienkę, żeby zakryć co ważniejsze miejsca.

– W jakim sensie różnić?

Za moim przykładem usiadł tak blisko, że nasze kolana się zetknęły.

– Czy on was naprawdę ratuje?

– Nie uważasz, że powinieneś skierować to pytanie do swojego ojca?

– Wolę skierować je do kogoś, kto może powiedzieć mi prawdę.

– I uważasz, że tą osobą jestem ja?

– A czemu nie? W końcu jesteś bardzo bezpośrednia.

Uśmiechnęłam się do niego wbrew sobie.

– Bezpośrednia nie oznacza uczciwa. Może umiem jedynie bezpośrednio i bez mrugnięcia okiem kłamać.

– Więc planujesz mnie okłamać?

– Planuję ci powiedzieć, żebyś zapytał ojca.

– Mayu, co mój ojciec tak naprawdę tutaj robi?

– Gdybyś myślał, że twój ojciec robi tu coś niestosownego, Desmondzie, to co byś zrobił? – Czy zdawał sobie sprawę, jak ważna była jego odpowiedź?

– Pewnie... cóż, pewnie... – Kręcił głową i mierzwił nieco przydługie włosy. – To by chyba zależało od tego, czym byłaby ta niestosowna rzecz.

– Więc co twoim zdaniem on tu robi?

– Oprócz zdradzania mojej matki?

Punkt dla niego.

Bierze kolejny głęboki wdech.

– Myślę, że przychodzi do was po seks.

– A jeśli tak jest?

– To zdradza moją matkę.

– Co byłoby sprawą twojej matki, nie twoją.

– Jest moim ojcem.

– A nie małżonkiem.

– Dlaczego więc nie odpowiadasz mi bezpośrednio?

– Dlaczego pytasz mnie zamiast jego?

– Bo nie jestem pewien, czy mogę ufać temu, co mówi. – Zarumienił się, jak gdyby kwestionowanie słów ojca było w jakiś sposób powodem do wstydu.

– A uważasz, że możesz mi ufać?

– Wszystkie dziewczyny ci ufają. – Pokazał ręką na Ogród i garstkę dziewczyn, którym wolno było wychodzić z pokoi w obecności Desmonda.

Ale spuszczone ściany ukrywały dziewczyny, które zabiegały o względy Ogrodnika i nosiły na twarzach drugi komplet skrzydeł. Ukrywały płaczki, ślamazary i – z wyjątkiem Bliss – chroniczne suki. Ukrywały wszystkie Motyle w szkle i garść pustych gablot, których było za mało, by pomieścić obecne pokolenie, a żadna z nas nie wiedziała, co zrobi Ogródnik, kiedy skończy mu się miejsce.

– Nie jesteś jednym z nas – powiedziałam stanowczo. – A ze względu na to, kim jesteś i jaki jesteś, nigdy nie będziesz.

– Bo jestem uprzywilejowany?

– Bardziej, niż potrafisz to sobie wyobrazić. One mi ufają, bo udowodniłam im, że mogą. Nie mam powodu udowadniać tego tobie.

– Jak myślisz, jaka byłaby jego reakcja, gdybym go zapytał?

– Nie wiem, ale właśnie idzie ścieżką i będę ci wdzięczna, jeśli zapytasz go o to nie w mojej obecności.

– Jego trudno jest o cokolwiek zapytać – wymamrotał.

Wiedziałam, dlaczego my tak uważałyśmy. Wydało mi się tchórzostwem, że najwyraźniej on również tak sądził.

Jego ojciec dołączył do nas ponownie i stanął nad nami z uśmiechem.

– Widzę, że się dogadujecie, Desmondzie.

– Tak jest. Z Mayą bardzo przyjemnie się rozmawia.

– Miło mi to słyszeć. – Zadrżały mu dłonie, jakby chciał dotknąć moich włosów, ale w ostatniej sekundzie pogładził się nimi po żuchwie. – Czas, żebyśmy zjedli obiad z twoją matką. Zajrzę do ciebie później, Mayu.

– Oczywiście.

Desmond wstał i pocałował mnie w rękę. Poważnie?

– Dziękuję za towarzystwo.

– Oczywiście – powtórzyłam. Patrzyłam, jak idą przez Ogród do wyjścia. Wkrótce będą siedzieć w jadalni z Eleanor i Averym jak zupełnie normalna rodzina, prowadząc rozmowy przy posiłku i nie wspominając o kłamstwach unoszących się nad stołem niczym mgła.

Kilka minut później usłyszałam, jak podchodzi do mnie Bliss.

– Co za matoł – prychnęła.

– Może.

– Pójdzie na policję?

– Nie – powiedziałam niechętnie. – Nie sądzę.

– No to jest matołem.

Czasem trudno było dyskutować z logiką Bliss. Ale czasem nawet matoł mógł się na coś przydać.



– Dlaczego uznałaś, że on nie pójdzie na policję?

– Z tego samego powodu, dla którego uznałam, że nie zada ojcu tych ważnych pytań – odpowiada, wzruszając ramionami. – Bo się bał. A gdyby poszedł na policję i wyjaśnienia ojca okazały się prawdziwe? Albo, co gorsza, nieprawdziwe? Może chciał postąpić słusznie, ale miał zaledwie dwadzieścia jeden lat. Kto w tym wieku wie, co jest słuszne, a co niesłuszne?

– Jeszcze nie doszłaś do tego wieku – zauważa Eddison, na co dziewczyna kiwa głową.

– I nie twierdzę, że wiem, co jest słuszne. On chciał wierzyć ojcu. Nigdy nie miałam w swoim życiu nikogo, komu tak bardzo chciałabym wierzyć. Nigdy nie czułam tak głębokiej potrzeby, żeby ktoś był ze mnie dumny.

Na jej twarzy nagle pojawia się uśmiech, delikatny, kwaśny i nieco smutny.

– Za to Lotte się o to martwiła.

– Lotte?

– Młodsza córka Sophii. Pamiętam, jak pewnego razu, kiedy skończyłyśmy pracę o trzeciej nad ranem, Sophia poszła do szkoły dziewczynek na ósmą trzydzieści, żeby zobaczyć ich klasowe przedstawienie. Opowiedziała nam o tym, kiedy już się wyspała. – Uśmiech się rozszerza, nabiera głębi i przez moment Victorowi zdaje się, że widzi prawdziwą Inarę Morrissey, dziewczynę, która znalazła dom w dziwnym mieszkaniu. – Jillie była nieustraszona, pewna siebie. Bez wahania skoczyłaby w ogień. Ale nie Lotte. Dziewczynki, które mają starsze siostry takie jak Jillie, pewnie nigdy nie są równie przebojowe. Tak czy inaczej,

siedzimy na podłodze przy stoliku kawowym i jemy przedziwną mieszankę dań od Takiego, a Sophia jest tak zmęczona, że nie chce się jej nawet ubrać. Chodzi po domu w bieliźnie, włosy zakrywają większość jej tatuażu i niewielką część cycków, siada, żeby zjeść. Lotte od tygodni martwiła się o swoją kwestię i ćwiczyła ją z każdą z nas, kiedy towarzyszyłyśmy Sophii podczas odwiedzin, więc wszystkie chciałyśmy wiedzieć, czy pamiętała.

Victor bywał na takich szkolnych przedstawieniach.

– I pamiętała?

– Połowę. Jillie wykrzyczała resztę z widowni. – Jej uśmiech się zmienia, blednie. – Nigdy nie byłam zazdrosna, nigdy nie widziałam w tym sensu. Ale te dziewczynki, to, co łączyło je ze sobą i z Sophią... warto było im zazdrościć.

– Inaro...

– U Takiego można było dostać wszystko – przerywa mu z werwą, pstrykając poparzonymi i poranionymi palcami, jakby próbowała rozproszyć sentymentalny nastrój. – Knajpa znajdowała się pomiędzy stacją metra a naszym budynkiem, zawsze była otwarta, a Taki przyrzadziłby ci wszystko, nawet jeśli przynosiło się tylko składniki ze sklepu obok. Pracowałyśmy w restauracji, więc żadna z nas nigdy nie chciała gotować.

Moment, w którym Victor może pociągnąć ten wątek, mija równie szybko, jak się pojawia, ale on o nim nie zapomina. Nie jest na tyle naiwny, by myśleć, że dziewczyna im ufa. Ale nie uważa też, że celowo wyjawia im te wszystkie emocje. Cokolwiek ukrywa – a obaj z Eddisonem zgadzają się, że ukrywa coś ważnego – jest na tym tak skoncentrowana, że inne rzeczy zaczynają się jej wymykać.

Lubi Inarę i widzi swoje córki za każdym razem, kiedy na nią spogląda, ale ma też zadanie do wykonania.

– A Ogród? – pyta neutralnym tonem. – Wspominałaś chyba, że Lorraine miała polecenie przygotowywać wam jedynie zdrowe posiłki?

Dziewczyna robi grymas.

– W stylu stołówkowym. Stawało się w kolejce, dostawało posiłek, po czym siadało przy stołach na długich ławkach, przez co można się było poczuć jak w podstawówce. No chyba że któraś z nas chciała zabrać tacę do swojego pokoju, co mogłyśmy robić właściwie zawsze, gdy miałyśmy na to ochotę, pod warunkiem że odniosłyśmy ją przy kolejnym posiłku.

– A jeśli posiłek ci nie smakował?

– Trzeba było zjeść z talerza to, co się dało. Jeśli w grę wchodziła alergia, można było liczyć na wyrozumiałość, ale jeśli nie zjadło się wystarczająco dużo albo było się zbyt wybrednym, to historia nie kończyła się dla ciebie najlepiej.



Kiedy pojawiłam się w Ogrodzie, mieszkały tam bliźniaczki. Wyglądały identycznie, włącznie ze skrzydłami wytatuowanymi na plecach, ale były zupełnie różne. Magdalene i Magdalena. Maggie, starsza o kilka minut, miała alergię na życie. Poważnie, nie wychodziła nawet do Ogródu, bo nie mogła tam oddychać. Jeśli któraś miała problemy z zaśnięciem, wystarczyło poprosić ją, żeby zaczęła wyliczać swoje nietolerancje pokarmowe. Za to Lena nie była na nic uczulona. Wykazując szczególniey brak delikatności, Ogródnik umieścił je w jednym pokoju i zawsze odwiedzał w tym samym czasie.

Lena lubiła biegać po Ogrodzie i bardzo często wracała do pokoju przemoknięta, ubłocona i oblepiona kawałkami liści. Powodowało to dość spory problem, kiedy próbowała wziąć prysznic. Jeśli Maggie znalazła później na podłodze choćby źdźbło trawy, dostawała ataku paniki. Maggie miała alergię na pierwsze dwadzieścia rodzajów mydła, jakie dostarczył Ogródnik, a nawet wtedy narzekała na to, jaką ma suchą skórę, jakie strąkowate włosy, jak nigdy, *nigdy* nie może swobodnie oddychać, jak łzawią jej oczy i jak żadna z nas jej nie współczuje, aż brała cię kurwica.

Maggie była przyzwyczajona do tego, że jej rodzice wychodzili ze skóry, by zawsze i o każdej porze było jej wygodnie.

Lubiłam Lenę. Ona nigdy nie narzekała – nawet kiedy Maggie robiła się irytująca ponad wszelkie pojęcie – i lubiła eksplorować Ogród tak samo jak ja. Czasem Ogródnik chował dla niej wśród zieleni małe skarby tylko dlatego, że wiedział, iż je znajdzie. Uwielbiała się śmiać i nie przepuściła ku temu żadnej

okazji, co mogłoby być irytujące, gdyby ktoś nie wiedział, że w pełni zdawała sobie sprawę z powagi swojej sytuacji. Postanowiła być szczęśliwa, bo nie lubiła być smutna ani wkurzona.

Próbowała mi to kiedyś wytłumaczyć i w pewnym sensie zrozumiałam, choć nie do końca, bo umówmy się: nie jestem tego typu osobą. Nie postanawiam, że będę smutna albo wkurzona, ale też nie do końca postanawiam być szczęśliwa.

Maggie nigdy z nami nie jadła, bo twierdziła, że już samo przebywanie w jednym pomieszczeniu z rzeczami, na które jest uczulona, mogłoby wywołać ostrą reakcję. Jej siostra niemal zawsze musiała zanieść jej tacę ze specjalnie przygotowanym posiłkiem, a potem wpaść po nią przed kolejnym. Ale znowu Lena miała na to czas, bo potrafiła wsunąć każdy posiłek w niecałe pięć minut. Lena jadła wszystko bez grymaszenia.

I była jedną z nielicznych osób w Ogrodzie, o które szczerze się bałam, bo większość z nas rozumiała, że jeśli Ogrodnik traktował bliźniaczki jako parę w innych kwestiach, to na śmierć też pójdą razem.

Kiedy pojawiłam się w Ogrodzie, były tam od sześciu miesięcy i przez ten czas Lyonette starała się delikatnie negocjować pomiędzy Maggie a resztą naszego małego świata. Ogrodnik na szczęście wydawał się rozbawiony tym, jak bardzo Maggie potrzebuje szczególnej uwagi.

Przynajmniej do czasu.

Byłam tam, kiedy to się zaczęło zmieniać. A Lyonette nie było już z nami, żeby mogła znów zainterweniować.

Raz na jakiś czas Ogrodnik czuł potrzebę, aby jeść w towarzystwie nas wszystkich niczym król ze swoim dworem. Albo, jak ujęła to Bliss, jak sułtan ze swoim haremem. Zwykle kazał Lorraine informować nas przy śniadaniu, że tego dnia zechce zjeść z nami obiad, pewnie po to, żebyśmy bardziej zadbały o swój wygląd.

Tego popołudnia siedziałam w pokoju Danelle z miską wody na kolanach. Namaczałam jej włosy za każdym razem, gdy musiałam przejechać przez nie szczotką. Siedziała przede mną na łóżku i wplątywała wstążki w pasma włosów Evity, po czym skręciła je razem z tyłu jej blond główki. Zaplotłam włosy Danelle w warkoczyki, które następnie spięłam w dwa wysokie luźne koczki, a resztę puściłam jej na plecy. Były zbyt rzadkie, aby zasłonić skrzydła, ale stanowiły jej drobny wyraz buntu. Za moimi plecami siedziała Hailee i robiła coś ze szczotką i wsuwkami, podczas gdy Simone robiła jej fryzurę przy użyciu wstążek, spiralnych wsuwek do koków i olejku.

Nigdy nie byłam na szkolnym balu, ale mogło to wyglądać, jakbyśmy przygotowywały się na podobną imprezę, coś, na co się czeka, a po wszystkim ma mnóstwo wspaniałych wspomnień. Ale nie w Ogrodzie. Nie chciałyśmy się pochłapać wodą, siedziałyśmy więc w samych majtkach i żadna z nas nie śmiała



się ani nie trajkotała, jak mogłyby dziewczyny szykujące się na tańce.

Do pokoju weszła Lena, wciąż ociekając wodą po prysznicu – albo szybkiej kąpieli w jeziorze – i klapnęła na podłogę.

– Ona mówi, że nie idzie.

– Idzie – westchnęła Danelle. Skończyłam ostatni warkoczyk i pozwoliłam mu opaść na jej plecy.

– Mówi, że nie.

– Zajmiemy się tym. – Poklepała Evitę po głowie i zeszła z łóżka ze szczotką w dłoni. – Usiądź prosto. – Uklękła za plecami Leny, która grzecznie posłuchała.

Oczekiwałyśmy, że sprawa szybko się zakończy. Danelle poszła do pokoju Maggie, ale gdy reszta z nas ubrała się i zgromadziła w korytarzu, słyszałyśmy, jak dziewczyny wciąż się kłóca. Coś rozbiło się o ścianę i minutę później rozpalona na policzkach Danelle wyszła z pokoju. Na czerwono-fioletowych skrzydłach widać było odcisk dłoni.

– Ubiera się. Chodźmy.

Ogrodnika nie było jeszcze w jadalni, kiedy przyszłyśmy do niej dwójkami niczym Madeline i jej koleżanki z klasy. Danelle i ja przepuszczałyśmy przed sobą dziewczyny i po raz ostatni poprawiałyśmy im sukienki i fryzury. Kiedy wszystkie siedziały już w środku, oparłam się o ścianę.

– Czy ona naprawdę się ubiera?

Danelle przewróciła oczami.

– Mam taką nadzieję.

– Pójdę się upewnić.

– Mayu... – Zamilkła i pokręciła głową. – Mniejsza z tym, idź. Rób, co uważasz za słuszne. – Danelle otrząsnęła się ze swojego postlizusowskiego letargu i zaczęła mi pomagać, kiedy Lyonette znalazła się w gablocie. Nie wiedziałam jeszcze, jak jej powiedzieć, jak bardzo byłam jej wdzięczna.

Maggie wcale się nie ubierała. Właściwie robiła coś zupełnie przeciwnego – próbowała wepchnąć wszystkie swoje ubrania, które dzieliła z siostrą bliźniaczką, do toalety. Podskoczyła, kiedy odchrząknęłam, po tym jak stanęłam w wejściu, i dysząc ze zmęczenia, z butą spojrzała mi w oczy. Ciemnoblond włosy, tego samego koloru co Ogrodnik i Avery, miała teraz rozczochrane wokół twarzy. Z orzechowymi oczami i wydatnym nosem mogłaby z łatwością ująć za jego córkę.

Fuj! Fuj na samą myśl.

– Nie idę.

– Idziesz, bo narażasz swoją siostrę na niebezpieczeństwo.

– A ona nie naraża *mnie* na niebezpieczeństwo za każdym razem, kiedy wchodzi tu tanecznym krokiem cała oblepiona świństwami, które mogą mnie zabić? – zapytała władcym tonem.

– Alergie to nie to samo co wkurzenie Ogrodnika i dobrze o tym wiesz.

– Nie idę! Nie, nie, nie!

Dałam jej w twarz.

Dźwięk uderzenia rozniósł się po pokoju, a jej skóra natychmiast zaczęła robić się czerwona. Patrzyła na mnie ze łzami w oczach, jednocześnie zasłaniając policzek dłonią. Avery’emu nie wolno było jej dotykać ze względu na alergie, wątpię więc, żeby ktokolwiek kiedyś ją uderzył, choć ona sama bardzo szybko wymierzała ciosy innym. Zanim zdołała otrząsnąć się z szoku, złapałam ją za włosy i związałam je w supeł na czubku głowy, przytwierdzając spiralnymi wsuwkami.

Mocno złapałam ją za rękę i wyciągnęłam na korytarz.

– Chodź.

– Nie idę – zapłakała i podrapała mnie po ręce i ramieniu. – Nie idę i już!

– Gdybyś miała w sobie choć odrobinę dojrzałości, byłabyś już ubrana, siedziałabyś spokojnie i za godzinę byłoby po wszystkim. Ale nie, musiałaś się zachować jak mała rozpuszczona księżniczka, więc teraz będziesz siedzieć naga i rozemocjonowana, a na dodatek będziesz musiała wytłumaczyć Ogrodnikowi, dlaczego okazujesz mu brak szacunku.

– Powiedz mu, że jestem chora!

– On już wie, że nie jesteś – warknęłam. – Lorraine by mu powiedziała. Dlaczego niby po południu zajrzała do każdej z nas? Nie pomyślałaś, że to dziwne?

– To było tyle godzin temu!

– Ty masz wszystkie alergie, a Lena wszystkie klepki – burknęłam pod nosem i zdmuchnęłam z ust luźne pasmo włosów. – Magdalene, proszę, nie rób z siebie *kompletnej* idiotki. To tylko jeden posiłek. Twoje jedzenie nadal zostanie przygotowane oddzielnie i nadal posadzimy cię na samym końcu stołu, z dala od talerzy wszystkich pozostałych.

– Czemu mnie nie rozumiecie? – Próbowała mnie kopnąć, a kiedy to nie podziałało, chciała rzucić się na ziemię. Ale ja ciągnęłam ją za sobą, aż postanowiła stanąć na nogi. – Mogłabym się bardzo rozchorować! Mogłabym umrzeć!

Tego już było za wiele.

Odwróciłam się i pchnęłam ją na jedną z gablot, aż uderzyła głową prosto między wytatuowane skrzydła. Dziewczyna była tam przed Lyonette i przed dziewczyną, która przywitała Lyonette, i żadna z nas nie знаła jej imienia, tylko to, że miała na plecach motyla *Agraulis vanillae*, i to był naprawdę pojebany rodzaj wiedzy. – Jeśli nie zjesz z nami, to *na pewno* umrzesz i twoja siostra też. Przejrzyj, kurwa, na oczy.

Zaczęła mocniej płakać, wydawała z siebie histeryczne łkania, aż zaczęło jej cieknąć z nosa. Z obrzydzeniem znów złapałam ją za rękę i zaciągnęłam za róg korytarza.

Ogrodnik stał w drzwiach jadalni ze skrzyżowanymi na piersi rękoma i z lekko zmarszczonym czołem.

Kurwa.

– Jakiś problem, moje panie? – zapytał.

Spojrzałam na nagą, zapłakaną Maggie, jaskraworóżowy ślad dłoni na jej policzku oraz na pierwsze oznaki tego, co wkrótce stanie się uroczym sińcem na jej ręce, tam gdzie ją chwyciłam.

– Nie?

– Rozumiem.

Niestety nie tylko rozumiał, ale i widział. Widział przez cały czas trwania obiadu, siedząc na końcu stołu pomiędzy mną a Danelle, jak Maggie grzebie w swoim specjalnie przygotowanym posiłku, ale nie zjada ani kęsa. Widział, jak nie chce wziąć udziału w rozmowie ani nawet odpowiedzieć na pytania skierowane bezpośrednio do niej. Widział, jak przykładła do policzka szklankę z wodą z lodem – podczas gdy Danelle udaje, że spuchnięty policzek zupełnie jej nie przeszkadza – widział, jak kuli się w sobie na końcu stołu, tak daleko od nas, jak się tylko dało, by zakryć swoją nagość.

Kiedy w dość niezręcznej atmosferze siedzieliśmy nad sernikiem i kawą, odchrząknął i nachylił się do mnie.

– Czy ten policzek naprawdę był konieczny?

– Tak, żeby ją uspokoić.

– Tam w korytarzu była spokojna?

Zastanawiałam się, jak najlepiej na to odpowiedzieć, bo nie chciałam wkopać Maggie – a właściwie Leny – ani też wykopać pod sobą dołka.

– Spokojniejsza.

Ogrodnik jedynie skinął głową, a kiedy spojrzałam na Danelle i dostrzegłam w jej oczach ponurą rezygnację, poczułam w żołądku, jak robi mi się niedobrze.



– Jak długo? – pyta Eddison.

– Jeszcze dwa tygodnie – mamrocze. – Wiecie, jak niektórzy mówią, że pewnych rzeczy nie da się „odzobaczyć”? Po tamtym wieczorze on zawsze już marszczył brwi, kiedy spoglądał na którąś z bliźniaczek. Aż pewnego wieczoru spuścił ściany. Dwa dni później zostały ustawione zaraz obok wejścia do jadalni.

Victor podaje jej plik zdjęć z korytarza. Jakąś minutę później dziewczyna oddaje mu go z innym zdjęciem na górze.

– Razem?

– W życiu i po śmierci – potakuje ponuro.

Jedna obok drugiej, bliźniaczki znajdują się obok siebie w tej samej gablocie, trzymając się za ręce.

– *Calephelis muticum* – wyjaśnia dziewczyna, podczas gdy on śledzi palcem pstre pomarańczowo-miedziane skrzydła. Jedna trzyma głowę na ramieniu siostry, która znów opiera o nią swoją głowę. Wyglądają...

– Za życia nigdy tak dobrze się nie dogadywały.

Inara bierze plik zdjęć zrobionych w korytarzu i przegląda je z nieprzeniknioną miną. Po chwili zaczyna je sortować na dwie kupki. Kiedy kończy, kupka po lewej jest znacznie wyższa. Odsuwa ją do przeciwległej krawędzi stołu, kładzie dłonie na niższy stosik i splata palce.

– Znam te dziewczyny – mówi po cichu. Jej mina jest wciąż trudna do odgadnięcia. – Niektóre z nich niezbyt dobrze, niektóre tak jakby były częścią mojej duszy, ale je znałam. Znałam imiona, jakie im nadał. A gdy Lyonette

przedstawiła nam Cassidy Lawrence, gdy przedstawiła nam cząstkę, która mogła żyć po tym, jak Lyonette znalazła się w szkle, inne dziewczyny także zaczęły tuż przed śmiercią zdradzać nam imiona, jakie nosiły wcześniej.

– Znasz ich prawdziwe imiona?

– A nie uważasz, że w którymś momencie imiona Motyli stały się prawdziwe?

– No to ich imiona z dowodów?

– Niektóre z nich.

– W tej chwili moglibyśmy już powiadamiać ich rodziny – mówi Eddison. – Czemu nie powiedziałaś nam tego wcześniej?

– Bo cię nie lubię – mówi bez ogródek, a on wrywa jej zdjęcia spod dłoni.

Dziewczyna unosi brew.

– Naprawdę uważasz, że wiedza pomaga ze wszystkim się uporać, co? – zadaje mu pytanie. Victor nie jest pewien, czy to niedowierzanie, czy drwina. Może to coś zupełnie innego.

– Rodziny zasługują na to, by wiedzieć, co się stało.

– Naprawdę?

– Tak! – Eddison zrywa się od stołu i zaczyna chodzić przed lustrem weneckim. – Niektórzy z nich czekają od *dziesięcioleci*, żeby dowiedzieć się czegoś o swoich bliskich. Gdyby tylko wiedzieli, wiedzieli, że mogą się w końcu poddać...

Jej oczy podążają za nim tam i z powrotem po małym pomieszczeniu.

– Czyli ty nigdy się nie dowiedziałeś.

– Co?

– O tym kimś, kto zaginął. Nigdy się nie dowiedziałeś.

Victor przeklina pod nosem, widząc zaszokowaną minę swojego partnera. Dziewczyna jest naprawdę niezła, musi jej to przyznać. Nie żeby było trudno wytrącić Eddisona z równowagi, ale żeby aż tak zależeć mu za skórę?

– Idź zamówić nam coś do jedzenia – wydaje mu polecenie. – Zrób sobie przerwę.

Za Eddisonem trzaskają drzwi.

– Kto to był? – pyta Inara.

– Naprawdę uważasz, że to twoja sprawa?

– A ile z tego, o co mnie do tej pory wypytałeś, to wasza sprawa?

To nie to samo i oboje o tym wiedzą.

– Nie uważam, żeby wiedza w czymkolwiek pomagała – Inara mówi po chwili. – To, czy moi rodzice żyją, czy nie, nie zmienia tego, co się wydarzyło. Przestało mnie to boleć dawno temu, kiedy tylko pogodziłam się z tym, że oni nie wrócą.

– Twoi rodzice zostawili cię z własnego wyboru – przypomina jej. – Żadna

z was nie wybrała sobie życia w niewoli.

Dziewczyna spuszcza wzrok na poparzone dłonie.

– Chyba nie widzę różnicy.

– Gdyby Sophii porwano jedną z córek, myślisz, że by się poddała, nie poznawszy prawdy?

Inara mruga powiekami.

– Ale w jaki sposób to ma pomóc? Ta świadomość, że one od lat nie żyją? Świadomość, że zostały zgwałcone i zamordowane, i nawet po śmierci nie zaznały spokoju?

– Bo wtedy ludzie nie muszą się już dłużej zastanawiać. Uważasz, że dziewczyny z mieszkania się o ciebie nie martwiły?

– Ludzie odchodzą – mówi ze wzruszeniem ramion.

– Ale wróciłabyś, gdybyś mogła – stwierdza ryzykownie.

Dziewczyna nie odpowiada. Czy przyszło jej kiedyś do głowy, żeby wrócić? Że mogła wrócić?

Victor wzdycha i pociera twarz w wyrazie zmęczenia. Nie jest to dyskusja, jaką którekolwiek z nich jest w stanie wygrać.

Nagle drzwi otwierają się, uderzając o ścianę, i do pokoju wraca Eddison. Victor przeklina pod nosem i już ma wstać, ale Eddison kręci głową.

– Pozwól mi, Vic. Wiem, znam granicę.

Przekroczenie tej granicy na studiach sprawiło, że FBI zaoferowało Eddisonowi pracę. Od tamtej pory zdarzyło mu się ją przekroczyć jeszcze parę razy, czym zawsze ściągał na siebie kłopoty. Jednak w rozjuszonej, czerwonej twarzy agenta Victor dostrzega spokojną determinację. To wystarcza, aby z powrotem usiadł na swoim miejscu. Na wszelki wypadek pozostaje jednak na skraju krzesła.

– Jak sama powtarzasz, za większością ludzi ktoś tęskni. Przykro mi, że miałaś taką głównianą rodzinę. Naprawdę. Żadne dziecko nie zasługuje na to, aby w czymś takim dorastać. Przykro mi, że nikt za tobą nie tęsknił, ale to nie ty decydujesz, że na te inne dziewczyny na pewno też nikt nie czeka.

Stawia na stole zdjęcie w ramce. Victor nie musi na nie patrzeć, żeby wiedzieć, kto się na nim znajduje.

– To moja siostra Faith – mówi Eddison. – Zaginęła, kiedy miała osiem lat, i nie, nigdy się nie dowiedzieliśmy jak. Nie wiemy, czy żyje, czy nie. Moja rodzina szuka jej i czeka na wiadomość od *dwudziestu* lat. Nawet gdybyśmy znaleźli jej zwłoki, w końcu byśmy wiedzieli. Przestałbym się przyglądać blondynkom przed trzydziestką, zastanawiając się, czy jedna z nich to Faith, czy mijam ją na ulicy i nawet o tym nie wiem. Moja matka mogłaby przestać zamieszczać aktualne informacje na stronie internetowej z nadzieją, że Faith się na nią natknie. Mój ojciec mógłby spożytkować pieniądze odłożone na nagrodę za informacje

i wyremontować walący się dom, w którym mieszkają. W końcu moglibyśmy pochować moją siostrę i dać jej odejść. Nieświadomość jest jak kalectwo. Minie sporo czasu, zanim wydostaniemy te dziewczyny z żywicy, jeszcze więcej, zanim dokonamy identyfikacji. Za długo. Masz szansę dać tym rodzinom spokój. Masz szansę dać im w końcu przeżyć żałobę i zacząć dalsze życie. Masz szansę zwrócić te dziewczyny ich rodzinom.

Mała dziewczynka na zdjęciu ma na sobie tiarę pokrytą różowym brokatem, kostium żółwia ninja, maskę na oczy i różową spódniczkę baletnicy, a pod pachą poduszkę z Wonder Woman. O wiele młodszy Eddison trzyma ją za rękę i się do niej uśmiecha. Nie ma przebrania, ale dziewczynka, która się do niego szczerzy, pokazując brak dwóch dolnych zębów, wydaje się tym nie przejmować.

Inara dotyka pokrytego szkłem uśmiechu dziecka. To samo zrobiła ze zdjęciem Lyonette.

– On nam robił zdjęcia – mówi w końcu. – Z przodu i z tyłu, kiedy tatuaż był gotowy. Jeśli je zrobił, to musiał je gdzieś trzymać. Ale nie w apartamencie w Ogrodzie, bo ich tam szukałam. Lyonette uważała, że pewnie zrobił sobie z nich jakiś album, żeby się pocieszać, gdy przebywał poza Ogrodem. – Przygląda się zdjęciu jeszcze przez chwilę, po czym oddaje ramkę Eddisonowi. – Lotte miała prawie osiem lat.

– Zadzwoń do techników na miejscu zdarzenia – Eddison mówi do Victora. – Każę im jeszcze raz sprawdzić dom. – Ostrożnie wkłada ramkę pod pachę i wychodzi z pokoju.

Ciszę, która teraz następuje, przerywa ciche prychnięcie Inary.

– Nadal go nie lubię.

– Masz do tego prawo – mówi Victor ze śmiechem. – Czy Desmond kiedykolwiek widział ten album?

Inara wzrusza ramionami.

– Jeśli widział, to nigdy o tym nie wspomniał.

– Ale po jakimś czasie odkrył, jaki jest prawdziwy charakter Ogrodu.

– Po jakimś czasie.



Kiedy Desmond po raz pierwszy użył swojego kodu, był czwartek po północy. A właściwie piątek. Minął mniej więcej tydzień, odkąd ojciec w końcu dał mu dostęp do zabezpieczeń, tydzień, odkąd odbywał nadzorowane wizyty i nie zadawał pytań, nawet kiedy ojca nie było w pobliżu. Znał Ogród od trzech tygodni, ale nie ten prawdziwy.

Większą część dnia spędziłam samotnie w pokoju Simone, kładąc jej zimne kompresy na czoło i podając wodę pomiędzy jedną a drugą falą wymiotów. Trwało to trzeci dzień z rzędu i jak do tej pory udało się nam ukryć ten fakt przed Lorraine. Nie byłam jednak pewna, jak długo jeszcze damy radę. Oceniając po wymiotach i konkretnych czułych miejscach, miałam złe przeczucie, że Simone jest w ciąży.

To się czasem zdarzało, bo żaden rodzaj antykoncepcji nie jest całkowicie niezawodny, ale zawsze oznaczało wypełnienie kolejnej szklanej gabloty i przez kilka dni pusty pokój. Nie wydawało mi się, żeby Simone zdała już sobie sprawę ze swojego stanu. Myślała, że Avery znów przywłókł do nas gripę. W końcu udało się jej zasnąć z jedną dłonią przyciśniętą do brzucha. Danelle obiecała zostać z nią do rana.

Czułam na sobie kwaśny zapach zjełczałych wymiocin, na tyle silny, że mnie też zrobiło się niedobrze. Już dawno zasłużyłam sobie na przywilej brania prysznic, kiedy tylko miałam ochotę, ale myśl o tym, że miałabym ugrzęznąć w kolejnym małym pomieszczeniu, sprawiała mi niemal fizyczny ból. Zatrzymałam się w swoim pokoju tylko po to, żeby wrzucić bieliznę i sukienkę do zsypu na pranie – zdecydowanie zbyt wąskiego, żeby się przez niego przedostać,



jak kiedyś poinformowała mnie Bliss – i wyszłam do Ogródu.

Nocą Ogród spowijały cienie i światło księżycy i można było znacznie wyraźniej usłyszeć wszystkie iluzje, które czyniły go takim, jakim był. W ciągu dnia słyhać było rozmowy i ruch, czasem gry i piosenki, które maskowały odgłosy rur dostarczających wodę i nawozy, wentylatorów powodujących cyrkulację powietrza. Nocą istota, jaką był Ogród, ściągała swoją syntetyczną skórę, aby pokazać znajdujący się pod spodem szkielet.

Lubiłam Ogród nocą z tego samego powodu, dla którego lubiłam pierwotne wersje bajek. Był taki, jaki był, nic dodać, nic ująć. O ile nie odwiedzał nas Ogrodnik, ciemność w Ogródku była dla nas stanem najbliższym prawdy.

Wyszłam przez pobrzmiwającą echem jaskinię pod strumień wodospadu, pozwalając wodzie zmyć ze mnie kwaśność wymiotów i nadciągającej śmierci. Woda uderzała z siłą w mięśnie obolałe i zmęczone po trzech dniach pochylania się nad kimś, siedzenia na skraju niewygodnego stołka i obaw, że Lorraine lub Ogrodnik przyjdą sprawdzić, co się dzieje. Potem wspierałam się po skałach wilgotnych od pary wodnej na szczyt klifu, na Słoneczną Skałę. Wyjęłam wodę z włosów i z zamkniętymi oczami położyłam się na kamieniu, w dość nieeleganckiej pozycji, czując na plecach emanujące z niego resztki dzisiejszego ciepła. Z każdym oddechem moje mięśnie powoli się rozluźniały.

– Bezpośrednia, ale niezbyt skromna.

Usiadłam tak szybko, że coś strzeliło mi w kręgosłupie, i przez kolejnych kilka minut przeklinałam w duchu ludzi, którzy lubią się skradać. Desmond stał na ścieżce nie dalej niż pięć metrów ode mnie, z dłońmi schowanymi głęboko w kieszeniach, wyciągając szyję, żeby popatrzeć na przezroczyste płyty dachu szklarni.

– Dobry wieczór – powiedziałam skwaszonym tonem, sadowiąc się wygodnie na kamieniu. Wszystkie moje ubrania były albo w moim pokoju, albo w praniu, nie miałam więc po co pisać i próbować znaleźć czegoś do okrycia.

– Przyszedełś podziwiać widoki?

– I dostałem więcej, niż się spodziewałem.

– Wydawało mi się, że jestem sama.

– Sama? – powtórzył, spoglądając mi w oczy i bardzo się starając, żeby nie spojrzeć niżej. – W ogrodzie pełnym innych dziewczyn?

– Które albo śpią, albo spędzają czas w swoich pokojach – odparłam.

– No tak.

Przez jakiś czas było to ostatnie wypowiedziane słowo. To zdecydowanie nie było moje zadanie dostarczać nam tematów do rozmowy, więc odwróciłam się i spojrzałam na Ogród, obserwując, jak tafla jeziora marszczy się i kołysze, tam gdzie wpływa do niego woda ze strumyka. W końcu usłyszałam kroki Desmonda i po chwili zawisło przede mną coś ciemnego. Kiedy wyciągnęłam rękę, by tego

dotknąć, rzecz upadła mi na kolana.

Jego sweter.

W świetle księżycy trudno było dostrzec, jakiego jest koloru, może w jakimś odcieniu burgunda, ze szkolnym godłem naszytym na piersi. Pachniał mydłem, płynem po goleniu i drzewem cedrowym, czymś ciepłym, męskim i zwykle niespotykanym w Ogrodzie. Zakręciłam włosy w supeł na czubku głowy i wciągnęłam na siebie sweter, a kiedy zakryłam już wszystko, co trzeba, chłopak usiadł przy mnie na skale.

– Nie mogłem spać – powiedział cicho.

– Więc przyszedłeś tutaj.

– Nie jestem w stanie zrozumieć tego miejsca.

– Biorąc pod uwagę, że ono nie ma sensu, to całkiem zrozumiałe.

– Więc nie jesteś tutaj z wyboru?

Westchnęłam i przewróciłam oczami.

– Przestań szukać informacji, których nie masz zamiaru użyć.

– Skąd wiesz, że ich nie użyję?

– Bo chcesz, żeby on był z ciebie dumny – powiedziałam ostro. – I wiesz, że jeśli komukolwiek o tym wszystkim powiesz, to nie będzie. A skoro tak, to jakie to ma znaczenie, czy jesteśmy tu z wyboru, czy nie?

– Ty chyba... chyba masz mnie za jakąś nędzną imitację człowieka.

– Myślę, że masz potencjał, by nią być. – Spojrzałam na jego smutną, szczerą twarz i postanowiłam podjąć ryzyko, chyba po raz pierwszy, odkąd pojawiłam się w Ogrodzie. – Myślę też, że masz potencjał być lepszy.

Przez długi czas milczał. Taki maleńki krok, nieznaczące szturchnięcie, a już wydawało się go przerastać. Jak ojciec mógł mieć tak wielką kontrolę nad dzieckiem, że rodzicielska duma oznaczała dla niego więcej niż to, co słuszne?

– Nasze wybory czynią nas tym, kim jesteśmy – powiedział w końcu.

Nie nazwałabym tego rzeczową odpowiedzią.

– A jakich wyborów dokonujesz, Desmondzie?

– Teraz nie dokonuję raczej żadnych.

– Więc automatycznie dokonujesz złych. – Wyprostował się i otworzył usta, żeby zaprotestować, ale uniosłam dłoń. – Uchylenie się od dokonania wyboru jest już pewnego rodzaju wyborem. Neutralność to koncept, nie fakt. Nikt nie jest w stanie żyć w taki sposób.

– Szwajcarii jakoś udaje.

– Może jako narodowi. Ale jak twoim zdaniem czuli się pojedynczy ludzie, gdy dowiedzieli się, co umożliwiła ich neutralność? Kiedy usłyszeli o obozach, komorach gazowych i eksperymentach? Uważasz, że wtedy byli zadowoleni ze swojej neutralności?

– No to czemu stąd nie odejdziesz? – zapytał. – Zamiast oceniać mojego ojca

za to, że daje ci jedzenie, ubranie i wygodne schronienie, może po prostu wrócisz na ulicę?

– Chyba nie wierzysz, że my też mamy kody do drzwi, co?

Jego pewność siebie zniknęła, wzburzenie osłabło tak szybko, jak się pojawiło.

– Trzyma was tu siłą?

– Kolekcjonerzy motyli nie pozwalają im latać wolno. To się mija z celem.

– Mogłabyś go zapytać.

– Jego trudno jest o cokolwiek zapytać – odpowiedziałam, powtarzając jego słowa sprzed kilku tygodni.

Wzdrygnął się.

Był ślepy, ale nie głupi. To, że postanowił przymknąć oko na pewne sprawy, bardzo mnie wkurzyło. Ściągnęłam sweter i położyłam mu go na kolanach, po czym zsunęłam się ze skały.

– Dziękuję za rozmowę – burknęłam i szybko odeszłam ścieżką na końcu klifu. Słyszałam, jak idzie za mną, potykając się po drodze.

– Mayu, zaczekaj. Zaczekaj! – Jego dłoń zacisnęła się wokół mojego nadgarstka i Desmond szarpnął mną do tyłu, przez co prawie się przewróciłam. – Przepraszam.

– Chcę coś zjeść, ale stoisz mi na drodze. Jeśli chcesz, możesz mnie za to przeprosić i zejść mi z drogi.

Puścił mój nadgarstek, ale nadal szedł za mną przez Ogród. Pierwszy przeskoczył przez mały strumień i wyciągnął rękę, żeby pomóc mi przejść na drugą stronę, co wydało mi się zarówno dziwaczne, jak i urocze. Lampy w jadalni – i przyłączonej otwartej kuchni – były zgaszone, ale nad kuchenką paliło się słabe światełko, na wypadek gdyby któraś z nas zgłodniała w nocy. Widok większej, zamkniętej na kłódkę lodówki na moment odwrócił uwagę Desa.

Otworzyłam drzwi mniejszej lodówki i zerknęłam do środka. Byłam naprawdę głodna, ale ponieważ przebywanie w towarzystwie wymiotujących ludzi nie wzmacnia apetytu, nic nie wydawało mi się szczególnie kuszące.

– Co ty masz na plecach?

Zatrzasnęłam drzwi, blokując dopływ światła, ale było za późno.

Podszedł do mnie bliżej i podprowadził pod lampkę nad kuchenką. W przyćmionym świetle znad okapu zaczął przyglądać się skrzydłom i ich kunsztownym, potwornym detalom. W normalnych okolicznościach mogłabym prawie całkiem zapomnieć, jak wyglądają. Ogrodnik dawał nam lustra, jeśli o nie prosiłyśmy, ale ja nigdy tego nie zrobiłam. Bliss jednak z uporem maniaka regularnie pokazywała wszystkim dziewczynom ich skrzydła.

Żebyśmy nie zapomniały, jak wyglądamy.

I żeby nam przypomnieć, że motyle żyją krótko.

Musnął koniuszkami palców ciemniejsze, brązowe żyłki, wyraźne na tle płowej, górnej części skrzydeł, rozchodzące się na zewnątrz delikatną jodełką. Stałam w całkowitym bezruchu, mimo dreszczy na plecach wywołanych jego nieśmiało oględzinami. Nie zapytał mnie o zgodę, ale z drugiej strony był synem swojego ojca. Zamknęłam

oczy, dłonie przy bokach zacisnęłam w pięści, podczas gdy jego palce przesunęły się niżej, na dół skrzydeł w odcieniach różu i fioletu. Nie dotarł do dolnych krawędzi, tylko zaczął przemieszczać się do wewnątrz, na środek moich pleców.

– Jest przepiękny – szepnął. – Dlaczego motyl?

– Zapytaj swojego ojca.

Nagle palce na mojej skórze zdrząły nad symbolem tego, czyją jestem własnością. Nie od razu je cofnął.

– On ci to zrobił?

Nie odpowiedziałam.

– Bardzo bolało?

Najbardziej bolało to, że leżąc na ławce, pozwalałam mu to robić, ale tego nie powiedziałam. Nie powiedziałam też, jak cholernie bolało, gdy widziałam, jak te linie pojawiają się na plecach każdej nowej dziewczyny, nie powiedziałam, że skóra była tak podrażniona, że całymi tygodniami nie spałam na plecach, nie powiedziałam, że nadal nie mogę spać na brzuchu, bo przypomina mi to o tym, jak po raz pierwszy zostałam zgwałcona na ławce do tatuowania, jak wszedł we mnie i nadał mi nowe imię.

Nic nie powiedziałam.

– Czy on... czy on to robi wam wszystkim? – zapytał niepewnym głosem.

Pokiwałam głową.

– O Boże.

Biegnij, krzyczałam w środku. Biegnij na policję i powiedz im albo otwórz drzwi i pozwól nam samym powiedzieć. Zrób coś – cokolwiek – tylko tak tu nie stój!

Ale niczego nie zrobił. Został za moimi plecami, z dłonią na mapie tuszu i blizn, aż cisza między nami wydawała się jak żywe, oddychające stworzenie. Więc to ja się odsunęłam, to ja znów otworzyłam lodówkę i udawałam, że w tej chwili nie ma nic dziwnego. Wyciągnęłam pomarańczę, zamknęłam drzwi biodrem i oparłam się o część blatu przypominającą wyspę kuchenną, która odgradzała kuchnię od jadalni.

Desmond próbował do mnie dołączyć, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa i poślizgnął się, padając na ziemię tuż przy moich stopach, po czym oparł się plecami o szafki. Ocierał się ramieniem o moje kolana, podczas gdy ja w skupieniu obierałam pomarańczę. Zawsze starałam się ściągnąć skórkę w jednym kawałku,

w formie idealnej spirali. Jak dotąd nigdy mi się to nie udało. Skórka zawsze przerywała się gdzieś w połowie.

– Dlaczego on to robi?

– A jak sądzisz?

– Cholera. – Podciągnął kolana do siebie i pochylił się nad nimi, splatając dłonie na karku.

Oddzieliłam pierwszą część pomarańczy i wyssałam miąższ, odkładając nasiona na skórcie.

A cisza narastała.

Kiedy w pierwszej części nie została już ani kropelka soku, włożyłam ją sobie do ust i pogryzłam. Hope dokuczała mi kiedyś, mówiąc, że gdy tak jem, chłopakom w moim towarzystwie robi się niezręcznie. Wystawiłam do niej wtedy język i odparłam, że chłopcy wcale nie muszą patrzeć. Zresztą Desmond na pewno nie patrzył. Przeszłam do drugiej części, trzeciej i czwartej.

– Wciąż nie śpisz, Mayu? – od strony drzwi dobiegł lekki głos Ogrodnika. – Dobrze się czujesz?

Desmond podniósł wzrok, twarz miał bladą i zszokowaną, ale nie wstał ani nie powiedział niczego, czym oznajmiłby swoją obecność. Siedząc na podłodze i opierając się o szafki, pozostałby niewidzialny dla Ogrodnika, chyba że ten wszedłby za blat i spojrzał w dół. Ale Ogrodnik nigdy nie wchodził do kuchni.

– Tak, czuję się dobrze – odpowiedziałam. – Postanowiłam tylko coś przekąsić po kąpieli pod wodospadem.

– I nie chciało ci się ubierać? – Zaśmiał się i wszedł do jadalni, po czym usiadł na dużym, tapicerowanym krześle, zarezerwowanym tylko dla niego. Z tego, co wiedziałam, nie zauważył jeszcze korony, którą Bliss wydrapała na oparciu. Musiałam się z nią zgodzić, obicia z czerwonego aksamitu i zdobienia z czarnego polerowanego drewna, które wywijają się na oparciu w zdobne fale, nadawały mu wygląd tronu. Ogrodnik odsunął je nieco i oparł łokieć o brzeg stołu, bo krzesło nie miało podłokietników.

Wzruszyłam ramionami i oderwałam od pomarańczy kolejną część.

– Uznałam, że nie muszę się tym przejmować.

Wyglądał dziwnie nieoficjalnie, siedząc w półmroku ubrany jedynie w jedwabne spodnie od piżamy. Jego prosta złota obrączka połyskiwała na palcu, odbijając światło znad kuchenki. Nie potrafiłam powiedzieć, czy spał w swoim apartamencie, czy odwiedzał jedną z dziewczyn, choć zwykle nie sypiał w naszych pokojach. O ile jego żona nie była w podróży, spędzał część każdej nocy w domu, którego nigdy nie widziałam i nie mogłam zobaczyć nawet z najwyższego drzewa w Ogrodzie.

– Usiądź ze mną.

Desmond u moich stóp zatkał sobie pięścią usta i zrobił zbolalą minę.

Pozostawiając resztę pomarańczy na blacie wraz ze skórką i nasionami, posłusznie obeszłam go i wkroczyłam do pogrążonej w półcieniu jadalni. Chciałam usiąść na najbliższej ławce, ale Ogrodnik przyciągnął mnie do siebie i posadził sobie na kolanach. Jedną dłonią gładził mnie po plecach i biodrze, co zwykle robił bez zastanowienia, drugą zaś uściśnął moje ręce spoczywające na udach.

– Jak inne dziewczyny reagują na to, że Desmond tu przebywa?

Gdyby tylko wiedział, w jakim stopniu Desmond właśnie tu przebywał, wątpię, czy prowadzilibyśmy tę rozmowę.

– Są... nieufne – odpowiedziałam w końcu. – Chyba wszystkie czekamy, aby się przekonać, czy jest bardziej jak ty, czy bardziej jak Avery.

– A na co mają nadzieję? – Rzuciłam mu spojrzenie z ukosa, na co on się roześmiał i pocałował mnie w obojczyk. – Przecież się go nie boją, prawda? Desmond nigdy nie zrobiłby nikomu krzywdy.

– Jestem pewna, że przyzwyczajają się do jego obecności.

– A ty, Mayu? Co sądzisz o moim młodszym synu?

Prawie spojrzałam w stronę kuchni, ale skoro Desmond nie chciał ujawnić się ojcu, nie miałam zamiaru go wydać.

– Wydaje mi się lekko skołowany. Nie wie właściwie, co o tym wszystkim myśleć. – Zaczerpnęłam głęboko powietrza i dałam sobie chwilę, aby przekonać samą siebie, że kolejne pytanie zadaję ze względu na Desmonda, by dać mu kolejny wgląd w rzeczywistość Ogrodu.

– Po co są gabloty?

– To znaczy?

– Po tym, jak nas tu przetrzymujesz, po co trzymać nas dalej?

Przez jakiś czas nie odpowiedział i kreślił nic nieznaczące symbole na mojej skórze.

– Mój ojciec kolekcjonował motyle – powiedział w końcu. – Polował na nie, a jeśli nie mógł złapać właściwych okazów, płacił za nie innym i przypinał je w gablotach, gdy wciąż jeszcze żyły. Każdy z nich miał tło z czarnego aksamitu i małą tabliczkę z brązu z nazwą pospolitą i łacińską. W ten sposób stworzył prawdziwe muzeum na ścianach swojego gabinetu. Czasem wieszał pomiędzy nimi hafty mojej matki. Były to pojedyncze motyle wyszywane na płótnie za pomocą pięknych kolorów.

Jego dłoń opuściła moje udo i zaczęła wędrować po moich plecach, śledząc kształt skrzydeł. Nie musiał na nie patrzeć, aby doskonale znać ich wzór.

– Czuł się najszczęśliwszy w swoim gabinecie i kiedy przeszedł na emeryturę, spędzał tam prawie każdy dzień. Ale w tamtej części domu w wyniku zwarcia wybuchł pożar i wszystkie motyle zostały zniszczone. Każdy eksponat, kolekcja, nad której zgromadzeniem i przygotowaniem pracował przez dziesięciolecia. Po tym ojciec już nigdy nie doszedł do siebie i umarł niedługo

później. Podejrzewam, że czuł się tak, jakby w tamtym pożarze spłonęło całe jego życie.

Dzień po pogrzebie matka i ja musieliśmy wziąć udział w jarmarku organizowanym w mieście z okazji Dnia Niepodległości. Matka miała otrzymać nagrodę za swoją pracę charytatywną i nie chciała nikogo rozczarować swoją nieobecnością na ceremonii. Zostawiłem ją w towarzystwie życzliwych przyjaciół i poszedłem się przejść po małym jarmarku. I wtedy ją zobaczyłem: dziewczynę w masce motyla wykonanej z piór, rozdającą dzieciom, które przeszły przez jedwabny labirynt, małe motyle z piórek i satynowych płatków róży. Tryskała energią, była taka ekscytująca i pełna życia, że trudno było uwierzyć, iż motyle mogą w ogóle kiedyś umrzeć.

Kiedy uśmiechnąłem się do niej i wszedłem do labiryntu, podążyła za mną. Stamtąd nie było trudno zwabić ją do domu. Na początku trzymałem ją w piwnicy, aż mogłem zbudować ogród, który stał się jej prawdziwym domem. Byłem na studiach i dopiero co przejąłem firmę ojca, a niedługo potem się ożeniłem, wydawało mi się więc, że musiała być bardzo samotna, nawet kiedy przeniósłem ją do ogrodu. Sprowadziłem dla niej zatem Lorraine i inne, aby miała przyjaciółki. – Był pogrążony we wspomnieniach, ale w jego odczuciu nie były one bolesne. Dla niego to była jedyna rzecz, która miała sens, jedyna słuszna rzecz. Zamiast sprowadzić swoją Ewę do ogrodu, zbudował ogród wokół niej i strzegł jej w nim jak anioł z ognistym mieczem. Poprawił mnie sobie na kolanach i przyciągnął do piersi, aż położyłam mu głowę w zgięciu szyi. – Jej śmierć złamała mi serce i nie mogłem znieść myśli, że to krótkie życie było wszystkim, co kiedykolwiek ją czekało. Nie chciałem jej zapomnieć. Tak długo, jak o niej pamiętałem, część niej nadal żyła. Zbudowałem gabloty, dowiedziałem się, jakie są sposoby uchronienia ciała przed rozkładem.

– Żywica – szepnęłam, na co on pokiwał głową.

– Ale najpierw balsamowanie. Moja firma potrzebuje dużych ilości formaliny i żywic fenolowo-formaldehydowych, które, jeśli dasz wiarę, potrzebne są do produkcji ubrań. Można łatwo zamówić więcej, niż potrzeba, i resztę przywieźć tutaj. Wymiana krwi na formalinę na tyle opóźnia rozkład ciała, że żywica konserwuje resztę. Nawet kiedy odejdziesz, Mayu, nie zostaniesz zapomniana.

To było chore, ale on naprawdę uważał, że mnie pociesza. O ile nie zdarzy mi się wypadek albo go nie wkurzę, za trzy i pół roku przetoczy mi do żył formalinę. Wiedziałam też równie dobrze, że będzie przy mnie przez cały ten czas, może nawet czesząc mi włosy i układając je w ostatnią fryzurę. A kiedy już upuści mi całą krew, umieści mnie w szklanej gablocie i zaleje przezroczystą syntetyczną żywicą, aby dać mi drugie życie, którego nie zakończy byle pożar wywołany zwarcieniem. Będzie dotykać szkła i szeptać moje imię za każdym razem, gdy będzie

je mijać. I tak mnie zapamięta.

A siedząc mu na kolanach, nie miałam żadnych złudzeń co do tego, jakie wzbudza to w nim emocje.

Delikatnie zepchnął mnie sobie z kolan i rozstawił nogi tak, że bym mogła pomiędzy nimi uklęknąć, jedną dłonią trzymając mnie za włosy.

– Pokaż mi, że mnie nie zapomnisz, Mayu. Przyciągnął moją głowę bliżej, drugą dłonią rozwiązując sznurek u spodni. – Nawet wtedy.

Nawet wtedy, kiedy od dawna nie będę już żyć, mój widok wciąż wystarczy, żeby mu stanął.

Zrobiłam więc to, czego chciał, bo zawsze tak robiłam, bo nadal chciałam tych trzech i pół roku, nawet jeśli to oznaczało, że będzie wyznawał mi miłość. Zrobiłam, czego chciał, choć prawie mnie przy tym udusił, zrobiłam, czego chciał, gdy znów posadził mnie sobie na kolanach i kazał mi obiecać, że nigdy o nim nie zapomnę.

I tym razem, zamiast wypisywać cudze wiersze i opowiadania na ścianach więzienia własnej głowy, myślałam o chłopcu po drugiej stronie kuchennego blatu, który tego wszystkiego słuchał.

Tym, co przekonało mnie, że mój sąsiad sprzed lat jest pedofilem, było coś więcej niż spojrzenia, jakie mi rzucał. To były spojrzenia, które wymieniały między sobą dzieci będące pod jego opieką, krzywdząca, chora świadomość, którą dzieliły. Wszystkie wiedziały, co się dzieje nie tylko im samym, ale i innym. Żadne z nich nic by nie powiedziało. Widziałam te zbolale spojrzenia i nie miałam wątpliwości, że to tylko kwestia czasu, aż włoży mi dłoń pod sukienkę, aż weźmie mnie za rękę, położy ją sobie na kolanie i zacznie szeptać o tym, jakie ma dla mnie prezenty.

Ogrodnik pocałował mnie, kiedy już ze mną skończył, i kazał odpocząć. Nadal naciągał sobie spodnie, kiedy wychodził z jadalni. Wróciłam na drugą stronę blatu, wzięłam resztę pomarańczy i usiadłam obok Desmond, którego twarz była mokra i błyszcząca od łez. Patrzył na mnie mętными oczami.

Oczami pełnymi krzywdy.

Zjadłam resztę pomarańczy, czekając, aż się odezwie, ale on nic nie powiedział, tylko podał mi swój sweter. Założyłam go i kiedy dotknął mojej ręki, pozwoliłam mu ją potrzymać.

On nigdy nie pójdzie na policję.

Oboje o tym wiedzieliśmy.

Jedynym, co zmieniło ostatnie pół godziny, było to, że teraz trochę siebie za to nienawidził.





- Nie zapytałaś jak dotąd, które dziewczyny przeżyły.
- Nie pozwolicie mi się z nimi zobaczyć, aż powiem wam wszystko, co chcecie wiedzieć.
- Zgadza się.
- No to się dowiem, kiedy skończymy i kiedy będę mogła spędzić z nimi czas. Zresztą gdybym tam teraz była, to i tak nic by to nie zmieniło.
- Zaczynam wierzyć, że nie płakałaś od szóstego roku życia. Przez jej usta przebiega niemrawy uśmiech.
- Pieprzona karuzela – zgadza się ze nim.



Wspominałam, że Bliss zrobiła mi karuzelę?

Potrafiła zrobić prawie wszystko z gliny polimerowej i wypalała w piekarniku blachę za blachą, choć Lorraine cały czas ją nadzorowała, obserwując wszystko krzywym okiem. Tylko Bliss miała pozwolenie na korzystanie z piekarnika. Była też jedyną, która odważyła się o nie poprosić.

W noc przed swoją śmiercią, podczas tych długich godzin, które spędziłyśmy skulone razem na jej łóżku, Lyonette opowiedziała nam różne historie z dzieciństwa. Mówiła, nie podając nazwisk ani miejsc, a wspomnienie, na które uśmiechnęła się najszerzej i które kochała najbardziej, dotyczyło karuzeli.

Jej ojciec wykonywał figury na najróżniejsze karuzele i czasem, gdy mała Cassidy Lawrence rysowała to czy tamto, ojciec wkomponowywał jej projekty w swoje kolejne dzieła. Pozwalał jej też wybierać kolory albo miny. Pewnego razu zabrał ją ze sobą, gdy pojechał dostarczyć konie i sanie do wesołego miasteczka. Umieścili postaci na kole i siedząc na poręczy, Cassidy patrzyła, jak ojciec przeprowadza kable przez złote pręty, aby konie poruszały się w górę i w dół. Kiedy wszystko było gotowe, biegała wkoło karuzeli, głaskała konie i szeptała im do uszu ich imiona, żeby ich nie zapomniwały. Znała każdego z nich i kochała je wszystkie.

Najwyraźniej cechy Ogrodnika nie są czymś niespotykanym, istnieją tylko w różnym natężeniu.

Ale konie nie należały do niej i kiedy nadeszła pora, aby wrócić do domu, Cassidy musiała je pożegnać. Pewnie nigdy w życiu ich już nie widziała. Nie mogła płakać, bo obiecała ojcu, że nie zrobi sceny, kiedy będą musieli odjeżdżać.

Wtedy właśnie zrobiła swojego pierwszego konia origami.

W szoferce ciężarówki, kiedy wracali do domu, wykonała pierwsze dwa tuziny koników, używając do tego papieru i paragonów z fast foodów, i kiedy dojechała do domu, przerzuciła się na papier do drukarki. Robiła konika za konikiem i kolorowała je tak, by wyglądały jak te, które musiała opuścić, i wyszeptywała przy tym ich imiona, tak samo jak wtedy. Kiedy skończyła, ostrożnie pomalowała cienkie patyczki i przymocowała je za pomocą odrobiny kleju.

Narysowała i pokolorowała wzory na podeście, odtworzyła malowidła na pochylonym suficie, a nawet złożone obrazki otoczone misternymi zawijaszami pod szczytem namiotu, które mama pomogła jej poskładać w całość. Tata pomógł jej nawet przymocować małą korbkę u dołu, żeby wszystko mogło się delikatnie obracać. Rodzice byli z niej tacy dumni.

Tego dnia, w którym została porwana, gdy wyszła z domu do szkoły, karuzela nadal stała w najważniejszym miejscu na kominku.

Po śmierci Lyonette czas wypełniła mi nowa, nieposiadająca imienia dziewczyna.

Bliss miała swoją polimerową glinę.

Nie pokazała nikomu, nad czym pracuje, i żadna z nas o to nie pytała, pozwalając jej przez pracę uporać się z żalobą. Była nietypowo wręcz skupiona na tym projekcie. Szczerze mówiąc, póki nie robiła figurki *Lycaena cupreus*, nie martwiłam się za bardzo. Wykonała motyle kilku innych martwych dziewczyn i w

jakiś sposób te pięciocentymetrowe figurki były dla mnie bardziej niepokojące i makabryczne niż dziewczyny w szkle.

Ale wtedy infekcja nowej dziewczyny osiągnęła punkt krytyczny – nie było szans na to, by jej tatuaż prawidłowo się wygoił. Nawet gdyby nie umarła, jej skrzydła byłyby niedoskonałe, a czegoś takiego Ogrodnik nie mógł przyjąć. Nie, kiedy uroda była powodem, dla którego nas wybierał.

Nic jej nie pozostało.

Nie miała niczego, nawet imienia.

Bliss była w moim pokoju, kiedy wróciłam od Nowej, i siedziała na moim łóżku, zasłaniając kolana zakładaną spódnicą. Na bladej skórze pod jej oczami rysowały się ciemne cienie i zastanawiałam się, czy w ogóle spała, odkąd Lyonette nas opuściła.

Usiadłam obok niej na łóżku, podwijając pod siebie jedną nogę, i oparłam się o ścianę.

– Czy ona nie żyje?

– Żyje, ale już niedługo – westchnęłam.

– A potem będziesz czuć, gdy pojawi się kolejna dziewczyna?

– Pewnie tak.

– Dlaczego?

Przez ostatni tydzień sama się nad tym zastanawiałam.

– Bo Lyonette uważała, że to ważne.

Bliss ściągnęła materiał z kolan i pokazała mi karuzelę.

Lyonette zrobiła kolejną karuzelę origami, kiedy pojawiła się w Ogrodzie. Od jej śmierci stała nad łóżkiem Bliss. Lyonette odtworzyła wszystkie wzory, kształty i kolory, a Bliss zrobiła to samo w swojej technice. Zrobiła nawet spiralne żłobienia na złotych rurkach. Delikatnie dotknęłam czerwonego proporczyka i całość lekko się obróciła.

– Musiałam ją zrobić – szepnęła. – Ale nie mogę jej zatrzymać.

Bliss ogarnęła nagłą, niepoohamowaną i pełną rozpaczczą falą łez. Nie wiedziała o mojej karuzeli. Nie wiedziała, że siedziałam na czarno-czerwonym koniu, kiedy w końcu zrozumiałam, że moi rodzice nie kochają mnie wystarczająco mocno. Tego dnia, kiedy w końcu zrozumiałam – i pogodziłam się z tym – że nie byłam chciana.

Delikatnie podniosłam karuzelę z jej ud i szturchnęłam ją w kolano palcem stopy.

– Pysznic.

Bliss czknęła i posłusznie zeszła z łóżka. Podczas gdy zmywała z siebie dwa tygodnie żalu i wściekłości, ja patrzyłam, czy któryś z glinianych koników wygląda jak ten skąpany moimi ostatnimi łzami przed dziesięcioma laty.

Odpowiedź brzmiała – prawie. Ten koń miał srebrne zdobienia zamiast

złotych, a w jego czarną grzywę wplecione były czerwone wstążki, ale pomijając te dwa szczegóły, był bardzo, bardzo podobny. Przyklęknęłam na łóżku i postawiłam karuzelę na półce obok Simby, menażerii origami i innych polimerowych figurek, obok kamieni, które pomalowała Evita, i wiersza napisanego przez Danelle, i innych rzeczy, które udało mi się zebrać przez pierwsze sześć miesięcy w Ogrodzie. Zastanawiałam się, czy Bliss mogłaby dla mnie zrobić małą dziewczynkę o ciemnych włosach i oliwkowej skórze, która siedziałaby na tym czarno-czerwonym koniu i kręciła się w kółko na karuzeli, patrząc, jak reszta świata się od niej oddala.

Ale gdybym ją o to poprosiła, zapytałaby dlaczego, a ta mała dziewczynka nie potrzebowała współczucia tak bardzo, jak potrzebowała tego, by o niej zapomnieć.

Bliss wyszła spod prysznic, owinęła włosy i ciało w fioletowe i różowe ręczniki, aż w końcu wtuliła się we mnie jak jedna z córek Sophii. Włożyłam rękę pod głowę, oparłam się o ścianę i od czasu do czasu lekko popychałam karuzelę, żeby popatrzeć, jak czarno-czerwony koń znów odrobinę się oddala.



Victor chciałby pozwolić jej odpływać myślami w różne strony. Pozwolić rozmowie zboczyć na inny tor, dać jej uniknąć katastrofy, z którą będzie musiała się zmierzyć.

Nachyla się na krzesło i odchrząkuje, a kiedy dziewczyna zwraca ku niemu swoje nieszczęśliwe oczy, powoli kiwa głową.  
Wzdycha i składa dłonie na kolanach.



Przez kolejny tydzień Desmond nie zbliżał się do Ogrodu. Nie używał swoich kodów, nie przychodził z ojcem, po prostu trzymał się z daleka. Bliss zapytała o to Ogrodnika ze swoją zwyczajową, oburzająco bezpośrednią manierą, ale on się roześmiał i powiedział, byśmy się o to nie martwiły. Jego syn skupiał się jedynie na swoich nadchodzących egzaminach.

Nie przeszkadzało mi to.

Czy się chował, trzymał na dystans, czy tylko próbował sobie przemyśleć pewne sprawy, nie tęskniłam za obecnością kolejnego mężczyzny, którego miałabym zabawiać. Cieszyłam się, że mam przestrzeń na własne myśli.

W końcu do Ogrodu wrócił przecież Avery, co oznaczało, że musiałam bez przerwy subtelnie wtrącać się i mieszać w różne sprawy, aby chronić co bardziej wrażliwe dziewczyny przed jego zainteresowaniem. Kierowanie całym procederem z pokoju Simone tylko wszystko komplikowało.

Zauważalnie straciła na wadze w ciągu ostatniego półtora tygodnia, gdyż nie mogła zatrzymać w sobie żadnego pokarmu dłużej niż pół godziny. Podczas dnia zostawałam przy niej, a nocami, kiedy Danelle przychodziła mnie odciążyć, szłam

do Ogrodu i spałam na Słonecznej Skale, gdzie mogłam przynajmniej udawać, że ściany nie próbują mnie zmiążyć, a czas wcale się nie kończy.

Lubiłam Simone. Była zabawna i miała cierpkie poczucie humoru, nigdy nie dała się nabrać na cały ten cyrk, ale przynajmniej starała się wyciągnąć z sytuacji jak najwięcej dla siebie. Pomagałam jej wrócić na łóżko po kolejnej sesji nad muszlą, kiedy chwyciła mnie mocno za rękę.

– Będę musiała zrobić sobie test, co?

Bliss powiedziała, że Lorraine zaczęła zadawać pytania przy śniadaniu.

– Tak – odpowiedziałam powoli. – Myślę, że będziesz musiała.

– Wyjdzie pozytywny, co?

– Tak mi się wydaje.

Zamknęła oczy i jedną dłonią odgarnęła z czoła mokre od potu włosy.

– Powinnam była się wcześniej zorientować. Widziałam przecież, jak przebiegała ciąża u mojej mamy i siostry. Obie wymiotowały przez pierwsze dwa miesiące.

– Mam nasikać na test za ciebie?

– To trochę porębana deklaracja przyjaźni i oddania, co? – Ale powoli pokręciła głową. – Nie chcę, żebyśmy obie trafiły do szpitala, a dobrze wiemy, że tak to by się właśnie skończyło.

Przez chwilę siedziałyśmy w ciszy, bo na pewne rzeczy nie ma co powiedzieć.

– Możesz coś dla mnie zrobić? – zapytała w końcu.

– Mów.

– Poczytasz mi coś, jeśli mamy to w bibliotece?

Kiedy powiedziała mi, na co ma ochotę, prawie zaczęłam się śmiać. Prawie. Nie żeby to było zabawne, ale poczułam ulgę, gdy okazało się, że tylko o to chodzi. Przyniosłam książkę z biblioteki, usiadłam wygodnie na łóżku obok Simone, wzięłam ją za rękę i zaczęłam czytać:

Zimno było, śnieg padał, ściemniało się coraz bardziej, wieczór się zbliżał. Ostatni dzień roku skończy się niedługo. Zima. Przez ulice zasypane śniegiem, w zmroku idzie dziewczynka bosa, z gołą głową i coś niesie w fartuszkach[5].



– Co to była za powieść?

– Opowiadanie – poprawia go dziewczyna. – To *Dziewczynka z zapalkami* Hansa Christiana Andersena.

Victor prawie jest w stanie je sobie przypomnieć, z baletu, w którym występowała jego córka Brittany, kiedy była o wiele młodsza, ale gubi się pomiędzy wspomnieniami *Dziadka do orzechów* i *Dzielnego ołowianego żołnierzyka*.

– W Ogrodzie ma więcej sensu niż w prawdziwym świecie.





Zaczęłam czytać inne bajki, kiedy tę skończyłam, ale zamilkłam, gdy do środka weszła Lorraine. Trzymała w rękach tacę z lunchem dla dwóch osób, na której leżał także test ciążowy.

– Muszę tu być, kiedy będziesz go robić – powiedziała.

– Co ty powiesz.

Simone usiadła z westchnieniem, opierając się o wezglowie łóżka, i sięgnęła po szklankę wody, którą wypija duszkiem. Podałam jej kolejną szklankę z tacy, tym razem soku owocowego, który też wypija. Starła się zjeść lunch – zupę z grzankami – ale nie tknęła większości swojej porcji. Kiedy woda w końcu przeszła przez ciało, wzięła test z tacy, poczłapała do swojej małej toalety i odgrodziła się zasłoną.

Lorraine kręciła się w drzwiach jak sęp, garbiąc ramiona i wlepiając oczy w materiałową zasłonę.

Simone nachyliła się, aby pochwycić mój wzrok, po czym skinęła na sukę w drzwiach. Potaknęłam, zrobiłam głęboki wdech i zaczęłam czytać *Dzielnego ołowianego żołnierzyka*.

Na cały głos.

Zasłużyłam tym na wściekły grymas od siostry-kucharki, ale przynajmniej Simone mogła sikać w spokoju. Usłyszałyśmy spuszczaną wodę, a chwilę później Simone wyszła zza zasłony i rzuciła testem w starszą kobietę.

– Baw się dobrze. Idź wypaplać. Po prostu się wynoś.

– Nie chcesz wiedzieć, czy...

– Nie. Wynoś się. – Simone rzuciła się na łóżko i położyła na brzuchu na moich kolanach. – Będziesz czytać dalej?

Zasłaniając książką burobrązowe skrzydła *Neonympha mitchellii* na jej plecach, wróciłam do czytania. Simone przespała większość popołudnia, od czasu do czasu wstając, żeby zwymiotować do toalety. Danelle dołączyła do nas nieco później i upięła włosy Simone w elegancki kok. Bliss przyniosła nam obiad i wpięła jej we fryzurę małe polimerowe kwiaty ostróżki, a kiedy zjadłam, a Simone tylko rozgrzebała widelcem posiłek, Bliss odniosła tace Lorraine.

Kiedy zapadający wieczór sprawił, że w korytarzu zaczęły tańczyć cienie, w drzwiach pojawił się Ogrodnik.

Z sukienką.

Była to wielowarstwowa kreacja z przezroczystych jedwabów w kolorach brązu i écru, które miały uwydatnić skrzydła i podkreślać jej śniadą cerę. Simone podniosła głowę, słysząc nasze milczenie, zobaczyła sukienkę i szybko odwróciła twarz, zanim Ogrodnik mógł zobaczyć jej łzy.

– Panie pozwolą?

Szybko mrugając powiekami, Danelle ucałowała łuk ucha Simone, najbliższe twarzy miejsce, jakiego udało się jej dosięgnąć, i cicho wyszła z pokoju. Simone powoli podepchnęła się do siadu i objęła mnie, chowając nos w moim ramieniu. Ucisnęłam ją tak mocno, jak tylko potrafiłam, czując zaczynające się dreszcze.

– Nazywam się Rachel – wyszeptała mi do skóry. – Rachel Young. Zapamiętasz?

– Zapamiętam. – Ucałowałam ją w policzek i niechętnie wypuściłam z objęć. Z książką baśni w dłoni podeszłam do drzwi, gdzie Ogrodnik delikatnie mnie ucałował.

– Nie będzie cierpieć – powiedział pod nosem.

Będzie martwa.

Powinłam wtedy wrócić do swojego pokoju albo pójść do pokoju Bliss lub Danelle. Powinnyśmy zebrać się w grupki i udawać, że wcale nie jesteśmy tym, czym jesteśmy, i oplakiwać śmierć, która jeszcze się nie wydarzyła. Powinnyśmy teraz czekać, aż Simone umrze.

I po raz pierwszy nie potrafiłam tego zrobić.

Po prostu nie mogłam.

Zaczęły migotać ostrzegawcze lampki, nakazując nam powrót do naszych pokoi, zanim ściany zasłonią wejścia. Wyszłam na piaskową ścieżkę, świadoma jakiegoś ruchu pośród cieni w odległej części Ogrodu. Nie byłam pewna, czy to Avery, Desmond, czy inna dziewczyna, ale w tym momencie mnie to nie obchodziło. Światła zgasły i za moimi plecami rozległ się stukot ścian lądujących ciężko w swoich zagłębieniach, który rozniósł się głucho w panującej ciszy.

Idąc brzegiem strumienia, dotarłam do wodospadu. Odłożyłam książkę na kamień w bezpiecznej odległości od wodnej mgiełki i skrzyżowałam ręce na brzuchu, łapiąc się za łokcie, by powstrzymać przytłaczający ciężar narastający mi w piersi. Odchyliłam głowę do góry i opierając się o klif, utkwiałam wzrok w taflach szkła nad nami. W oddali migotały gwiazdy na tle ciemniejącego nieba. Niektóre były jasne i srebrne, inne blade i niebieskie lub żółte, a gdzieś tam mrugnęło pojedyncze czerwone światełko, pochodzące pewnie z przelatującego samolotu.

Na niebie nagle coś zabłysło i choć znałam się na nauce – wiedziałam, że to były tylko szczątki z kosmosu, skały albo metal, albo element satelity spalający się w atmosferze – jedyną rzeczą, o której mogłam myśleć, była ta głupia bajka.

Ktoś umarł – cicho szepnęła dziewczynka, bo słyszała od babki, którą kochała bardzo, że kiedy gwiazda spada, to dusza człowieka odlatuje z ziemi do nieba[6].

Ta mała głupia dziewczynka stała na zimnie, żeby popatrzeć na rodziny, które nie były jej rodzinami i nigdy nie mogły być, i zamarzyła na śmierć w tych ciężkich, rzeczywistych momentach, pomiędzy jedną zapalką a drugą. Bo nawet jeśli zapalki płoną, to dają światło, nie ciepło.

Przygniatający pierś ciężar odciął mi powietrze. Nie mogłam zrobić wdechu ani wydechu, czułam tylko węzeł stęchłego powietrza, który mnie dusił. Padłam na kolana,

słyszając w oddali szelest liści i gałęzi, i próbowałam złapać oddech, który nie chciał się przebić. Zacisnęłam dłoń i pięścią uderzyłam się w pierś, ale poza chwilowym, pulsującym bólem nic się nie zmieniło. Dlaczego nie mogłam oddychać?

Czyjaś dłoń dotknęła mojego ramienia i gdy odwróciłam się gwałtownie, odganiając ją od siebie, prawie się przewróciłam.

Desmond.

Przeszłam na czworakach, podniosłam się na nogi i weszłam do jaskini przez wodospad. Desmond ruszył za mną, złapał mnie, kiedy potknęłam się o wyrwę w ziemi i znów straciłam równowagę. Delikatnie opuścił mnie na ziemię i uklęknął przede mną, przyglądając się mojej twarzy.

– Wiem, że nie masz powodu, żeby mi ufać, ale posłuchaj mnie choć przez chwilę.

Zbliżył dłoń do mojej twarzy, a ja znów ją odtrąciłam. Kręcąc głową, szybko mnie obrócił i jedną ręką skrzepował dłonie, a drugą zasłonił mi nos i usta.

– Zrób wdech – szepnął mi do ucha. – Nie ma znaczenia, czy jest głęboki, i tak wpuścisz do płuc trochę powietrza. Wdech.

Spróbowałam i może miał rację, może trochę tlenu dostało się do środka, ale nie mogłam go poczuć. Jedyne, co czułam, to jego dłoń odcinająca mnie od tego, czego potrzebowałam do życia.

– W ten sposób zmuszam cię, żebyś wciągnęła w płuca wysokie stężenie dwutlenku węgla – powiedział spokojnie. – Wdech. Dwutlenek węgla dostaje się do krwiobiegu zamiast tlenu i spowalnia reakcje ciała. Wdech. Kiedy twoje ciało osiągnie moment krytyczny, kiedy będziesz o krok od omdlenia, naturalne odruchy zwyciężą nad czynnikami psychologicznymi. Wdech.

Za każdym razem, kiedy podawał mi instrukcje, próbowałam zrobić, co mówi, naprawdę próbowałam, ale wciąż brakowało mi powietrza. Przestałam się szarpać, moje kończyny zrobiły się jak z ołowiu i zaczęły zwisać ciężko przy jego piersi. Nie cofnął dłoni, którą zatykał mi nos i usta. Czując taką ociężałość, ledwie byłam świadoma ucisku w piersi i powoli, podczas gdy on co jakiś czas powtarzał swoje instrukcje, moje płuca zaczęły napełniać się tlenem. Poczulałam, jak nagle kręci mi się w głowie, ale oddychałam. Desmond przełożył dłoń na moje ramię i zaczął je rozmasowywać, wciąż szepcząc.

– Wdech.

W końcu oddychanie znów stało się moim nawykiem, czymś, co robiłam bez zastanowienia. Zamknęłam oczy, czując paralizujące poczucie wstydu. Nigdy wcześniej nie miałam ataku paniki, choć wielokrotnie widziałam go u innych, i moja własna nieumiejętność radzenia sobie z nim była upokarzająca. Tym bardziej że jego świadkiem był ktoś inny. Kiedy miałam już sporą pewność, że nie padnę na ziemię jak kłoda, spróbowałam się podnieść.

Ręce Desmonda zacisnęły się wokół mnie. Nie boleśnie, ale wystarczająco bym wiedziała, że nie będę mogła się ruszyć bez walki.

– Jestem tchórzem – powiedział cicho. – A co gorsza, wydaje mi się, że mogę być jak mój ojciec. Ale jeśli mogę ci w ten sposób pomóc, to proszę, pozwól mi.

Gdyby dziewczynka z zapalkami miała kogoś, kto otuliłby ją w ten sposób swoim ciałem, kogoś ciepłego i silnego, czy miałyby szansę przetrwać?

Czy oboje by zamarzli?

Desmond przesunął się pod ścianę i delikatnie pociągnął mnie do siebie, tak że siedziałam mu bokiem na kolanach i z policzkiem przyciśniętym do jego torsu prawie słyszałam, jak bije mu serce. Dopasowałam do tego rytmu mój wciąż niepewny oddech, czując, jak przeskakuje i przyspiesza z każdym moim ruchem. Desmond nie miał krępej, budzącej lęk sylwetki brata ani muskularnej siły ojca. Był szczupły jak biegacz, złożony ze smukłych kątów i długich płaszczyzn. Nucił coś, czego nie byłam w stanie rozpoznać i nie słyszałam wyraźnie, wtulona w jego pierś, ale muskał palcami moją skórę, jakby wygrywał akordy na pianinie.

Siedzieliśmy w wilgotnej, ciemnej jaskini w ubraniach przemoczonych przez

wodospad, tuląc się do siebie jak dzieci, którym przyśnił się koszmar. Wiedziała jednak, że gdy tylko zasnę, ten koszmar powróci. I że kiedy się obudzę, wciąż tu będzie. Codziennie, przez trzy i pół roku, koszmar zawsze – *zawsze* – tu będzie i nie ma na to żadnego pocieszenia.

Pomyślałam, że przez kilka godzin mogę udawać.

Mogę być dziewczynką z zapałkami i rzucać na ścianę złudzenia, zatracona w ciepłe, aż luna światła zgaśnie i znów znajdę się w Ogrodzie.



– To nie były tylko twoje współwięźniarki, prawda? – pyta Victor po chwili milczenia, którą dał jej na to, by się opanowała. – To twoje przyjaciółki.

– Niektóre z nich są przyjaciółkami. A wszystkie były moją rodziną. Tak się po prostu dzieje.



Czasem trudno było mi zmusić samą siebie do poznawania nowych osób. Ich śmierć tylko by mnie zraniła, tak jak moja zraniłaby je. Chwilami sądziłam, że to nie jest warte tego bólu. Jednak samotność i przemijanie były nieodłącznym elementem Ogrodu, więc nawiązanie z kimś znajomości wydawało się bezpieczniejszym złem. Niekoniecznie mniejszym, ale bezpieczniejszym.

Wiedziałam więc, że Nazira jeszcze bardziej martwi się zapominaniem niż Bliss. Notes po notesie wypełniała rysunkami rodziny i przyjaciół. Rysowała ubrania, które lubiła, swój dom i szkołę, huśtawki w miejskim parku, na których po raz pierwszy się całowała. Rysowała je w kółko i panikowała, kiedy obrazki zaczynały różnić się od siebie albo kiedy nie mogła sobie przypomnieć jakichś szczegółów.

Była też Zara-Sucz, a kiedy *Bliss* nadaje ci taką ksywkę, to wiesz, że jesteś ucieleśnieniem zła. Bliss reagowała na wszelkie farmazony uszczypliwością i brakiem tolerancji, Zara zaś była z natury złośliwa. Doceniałam fakt, że nie kupiła całej tej iluzji, ale potwornie utrudniała życie tym, które musiały się jej trzymać. Na przykład Nazirze, która wierzyła, że tak długo, jak niczego nie zapomni, ma szansę jeszcze kiedyś to wszystko zobaczyć. Nie minął choć jeden tydzień, żebym nie musiała rozdzielać ich podczas kłótni. Zwykle ciągnęłam Zarę do strumienia i przytrzymałam ją w wodzie, aż ochłonęła. Nie była moją przyjaciółką, ale kiedy nie sprawiała kłopotów, nie miałam nic przeciwko niej. Uwielbiała książki tak samo jak ja.

Glenys biegła, robiła niekończące się okrężenia po korytarzach, że aż

Ogrodnik kazał Lorraine dawać jej dwa razy więcej jedzenia niż nam. Ravenna była jedną z niewielu, które dostały odtwarzacz MP3 i głośniki, i godzinami tańczyła. Balet, hip-hop, walc, stepowanie bez odpowiednich butów – wszystkie style, których pewnie uczyła się całymi latami. Wciągała do tańca każdą, która się na nią natknęła. Hailee uwielbiała nas czesać i potrafiła robić fantastyczne upięcia, Pia chciała wiedzieć, jak wszystko działa, a Marenka pięknie wyszywała tkaniny. Miała nawet parę bardzo ostrych nożyczek, które Ogrodnik kazał jej nosić na wstążce na szyi, by nie wpadły w ręce któregoś z nas w jakimś niecnym celu. Adara pisała opowiadania, a Eleni malowała, i czasem Adara prosiła Eleni albo Nazirę, aby zilustrowały dla niej jakąś scenę.

I była też Sirvat. Sirvat była... Sirvat.

Trudno ją było poznać.

Nie chodziło tylko o to, że trzymała się na dystans albo że była z natury milcząca. Chodziło o to, że nigdy nie można było przewidzieć, co wyjdzie z jej ust. Była ostatnią osobą, którą Lyonette wprowadziła do Ogrodu. Lyonette prosiła mnie, bym jej w tym nie pomagała, bo Sirvat była po prostu tak dziwna, że ani Lyonette, ani ja nie byliśmy w stanie przewidzieć, jak bym zareagowała. Poznałam ją więc, kiedy jej skrzydła były już skończone. Leżała rozłożona nad strumieniem z twarzą w błocie, podczas gdy Lyonette gapiała się na nią ze zmieszaną miną.

– Co robisz? – zapytałam.

Nie mogła nawet na mnie spojrzeć, a jej brązowe włosy były do połowy oblepione błotem.

– Woda może być śmiertelna na wiele sposobów. Wypicie zbyt dużej ilości może być równie groźne jak odwodnienie.

Zerknęłam na skonsternowaną Lyonette.

– Czy ona naprawdę chce popełnić samobójstwo?

– Nie sądzę.

I rzeczywiście, zwykle nie chciała. Nauczyłyśmy się, że Sirvat taka po prostu jest. Rozpoznawała kwiaty, które teoretycznie mogłyśmy zjeść, żeby się zabić, ale sama nigdy ich nie próbowała. Znała tysiące różnych sposobów, w jakie można umrzeć, i fascynowała się dziewczynami w szkole, czego żadna z nas nie potrafiła zrozumieć. Odwiedzała je niemal tak często jak Ogrodnik.

Sirvat była dziwolągiem. Przyznaję szczerze, że nie spędzałam z nią zbyt wiele czasu, a ona zdawała się tego nie zauważać, a co dopiero mieć coś przeciw.

Ale większość z nas dobrze się znała. Mimo że postanawiałyśmy nie dzielić się szczegółami z życia sprzed Ogrodu, naszą grupę łączyło coś osobistego. Na dobre i złe – niemal zawsze na złe – byliśmy Motylami. Łączący nas element, którego nie mogłyśmy się pozbyć.



– I opłakiwałyście siebie nawzajem. – To nie jest pytanie.

Jej usta się wykrzywiają. Nie jest to uśmiech ani nawet grymas, ale jedynie potwierdzenie, że w tym miejscu powinna się pojawić jakaś mina.

– Zawsze. W gablotach cały czas pojawiały się nowe dziewczyny. Opłakiwało się je każdego dnia, tak jak one opłakiwały ciebie, bo umierałyśmy każdego dnia.

– Czy Desmond zbliżył się do którejkolwiek z dziewczyn?

– Tak i nie. Z czasem. To było... – Waha się i kilka razy przerzuca wzrok pomiędzy Victorem a swoimi zniszczonymi dłońmi, po czym wzdycha i składa je razem na kolanach, poza zasięgiem wzroku. – To było dość skomplikowane.

Victor kiwa głową.

– Co myślał o tym jego ojciec?





Następnego dnia po tym, jak Simone znalazła się w szkle – nie żebyśmy ją widziały, bo ściany wciąż były opuszczone – Ogrodnik wezwał mnie do swojego pokoju na elegancki obiad we dwoje. Z tego, co wiedziałam, nie pytając o nic bezpośrednio, byłam jedyną osobą, którą tu przyprowadzał. Pewnie powinnam się czuć wyróżniona, ale dla mnie było to raczej niepokojące. Prowadziliśmy lekką rozmowę. Ani słowem nie wspomniał o Simone, a ja nie podjęłam tematu, bo nie chciałam słyszeć o najgorszym. Jedyną tajemnicą, jaką jeszcze posiadało to miejsce, było to, *jak* nas zabijał.

Po deserze powiedział mi, abym usiadła ze świeżym kieliszkiem szampana i się odprężyła, podczas gdy on posprząta ze stołu. Wybrałam rozkładany fotel zamiast kanapy i podniosłam sobie podnózek, tak aby długa spódnica zakrywała mi nawet stopy. Mogłabym być prezenterką na gali rozdania nagród w tej sukience i zastanawiałam się, ile pieniędzy Ogrodnik utopił w szklarni i na nasze utrzymanie. Puścił muzykę klasyczną na starym gramofonie, więc zamknęłam oczy i oparłam głowę o miękkie obicie.

Gruby dywan w jego apartamencie tłumził kroki, ale mimo to słyszałam, jak wraca. Stał nade mną przez pewien czas, tylko mnie obserwując. Wiedziałam, że czasem lubi patrzeć, jak śpimy, ale kiedy nie spałam, było to w jakiś sposób znacznie bardziej upiorne.

– Czy Desmond czymś cię zdenerwował minionej nocy?

Gwałtownie otworzyłam oczy, co on uznał za znak, aby przysiąść na oparciu fotela.

– Zdenerwował?

– Przeglądałem nagrania z Ogrodu i zobaczyłem, że go odpychasz. Poszedł za tobą do jaskini, ale tam nie ma kamer. Zrobił ci jakąś przykrość albo krzywdę?

– Nie.

– Mayu.

Zdołałam nieco się uśmiechnąć, nie byłam jednak pewna, czy zrobiłam to ze względu na niego, czy na siebie.

– Owszem, byłam zdenerwowana, ale jeszcze zanim pojawił się Desmond. Miałam napad paniki. Nigdy wcześniej nie doznałam czegoś takiego, więc nie wiedziałam, co mam robić, i z początku źle odczytałam jego intencje. Ale pomógł mi sobie z tym poradzić.

– Napad paniki?

– Jeśli po półtora roku w zamknięciu to moja najsilniejsza reakcja, to chyba nie jest to nic szczególnie alarmującego, nie sądzisz?

Odwzajemnił uśmiech, ciepły i szczery.

– I Desmond ci pomógł?

– Tak. I został ze mną, aż się uspokoiłam.

Został ze mną całą noc, nawet kiedy usłyszeliśmy, jak otwierają się dwie pary drzwi i jego ojciec idzie korytarzami z zapłakaną Simone. Ogrodnik czasem lubił zerznąć dziewczynę po raz ostatni, zanim ją zabił, lepiej w jej pokoju niż w jednym ze swoich tajemniczych pomieszczeń. Des został ze mną do samego rana, kiedy uniosły się wszystkie ściany i do Ogrodu wyszły pozostałe dziewczyny, by wspólnie uporać się z bolesną stratą, której on nie rozumiał, bo nie wiedział, że Simone jest lub wkrótce będzie martwa. Czy sądził, że Ogrodnik tylko ją wyrzucił? Albo zabrał na aborcję?

– Mojego syna czasem trudno rozgryźć.

– To znaczy nie możesz odczytać, jak on na nas reaguje?

Roześmiał się i pokiwał głową, po czym zsunął się z oparcia na siedzenie. Objął mnie, położył sobie na torsie moją głowę i przez chwilę mogliśmy się komuś wydać zwykłą parą, która tuli się do siebie, oglądając film.

Tylko że gdybyśmy byli taką parą, pewnie po plecach nie przechodziłyby mi ciarki.

Nie czułam ciarek w obecności Tophera albo kiedy wszyscy siedzieliśmy na kanapie u Jasona, Kega czy któregośkolwiek z chłopaków z pracy. Intymność z Ogrodnikiem była taką samą iluzją jak skrzydła, które wyrzył nam na plecach. Nie sprawiały, że cokolwiek stało się prawdziwe.

– Nie lubi ze mną o tym rozmawiać.

– Biorąc pod uwagę, że jesteśmy pewnego rodzaju haremem, podejrzewam, że większość młodych mężczyzn nie czułaby się swobodnie, rozmawiając na ten temat ze swoimi ojcami. Można pytać rodziców o wskazówki, jak do kogoś

zagadać albo co robić na pierwszej randce, ale seks zwykle pozostaje w niedopowiedzeniu, nawet jeśli intencje nie pozostawiają wątpliwości.

To było kolejne przypomnienie, że nie byliśmy zwykłą parą ludzi, bo on jedynie się roześmiał i odwrócił moją głowę, by mnie pocałować. Przyszło mi na myśl, że mogłabym pójść do jego prywatnej kuchni, wyciągnąć nóż i wbić mu go w serce. Mogłabym zabić go tu i teraz, ale jedyne, co mnie powstrzymało, to myśl, że Ogród przejąłby Avery.

– Avery był taki podekscytowany, kiedy po raz pierwszy pokazałem mu to miejsce. Mówił o nim za każdym razem, gdy byliśmy sami. Być może ojciec nie musi wiedzieć tylu szczegółów o swoim synu. Ale nie widzę, aby Desmond robił coś więcej prócz tego, że się rozgląda.

– Czy jesteś tym rozczarowany? – zapytałam neutralnym tonem.

– Raczej mnie to zastanawia. – Jego dłoń powędrowała po moim ramieniu do nasady karku, gdzie rozplątał wiązanie mojej sukienki. Patrzył, jak czarny jedwab zsuwa mi się z obojczyków do talii, odsłaniając moje piersi. Delikatnie śledził kształt sutka, jednocześnie odpowiadając:

– To zdrowy, młody mężczyzna, otoczony pięknymi kobietami. Wiem, że nie jest prawiczką, a mimo to nie korzysta z okazji.

– Może próbuje się przystosować.

– Być może. A może różnorodność nie jest dla niego atrakcyjna. – Lekko uniósł mnie na fotelu, żeby się pode mnie wsunąć, dając sobie w ten sposób lepszy dostęp do moich piersi, i jednocześnie zsunął mi sukienkę z bioder na uda. – Szuka ciebie, kiedy tu przychodzi, nawet gdy cię nie znajduje.

– Najwyraźniej jestem bardzo bezpośrednią osobą – powiedziałam oschle, na co on zaczął rechotać.

– Tak, rozumiem, dlaczego mógłbyś chcieć pytać cię o różne rzeczy. Co byś zrobiła, gdyby przyszedł do ciebie tak jak ja?

– Sądziłam, że mamy być mu posłuszne tak samo jak tobie i Avery'emu. Myliłam się?

– Więc pozwoliłabyś mu się dotknąć? – Nachylił głowę do moich piersi, przesuając usta po delikatnej skórze. – Pozwoliłabyś mu zaznać z sobą rozkoszy?

Desmond nie był swoim ojcem.

Ale był też synem swojego ojca.

– O ile nie każesz inaczej, robię to, czego się ode mnie wymaga.

Stęknął, całkowicie zdarł ze mnie sukienkę i rzucił ją obok fotela, a jego usta i dłonie uczyniły z mojego ciała zdrajcę. Nie padło żadne słowo z wyjątkiem mojego imienia, powtarzanego bez końca, oraz ostrych jęków przerywających ciszę.

Są takie bezcielesne rzeczy, są zjawiska,

Co mają być podwójny, jak bliźnięca owa

Moc...

Tak dwulice Milczenie: naraz brzeg i morze,

Ciało i duch; pustynne kocha rumowiska...[7]

Tamtej nocy brał mnie jeszcze wiele razy, na fotelu, na podłodze, w wielkim łóżku, a ja recytowałam wszystko, co pamiętałam, nawet przepisy na drinki, ale wersy skończyły mi się, na długo zanim nadszedł poranek, i poczułam, jak przez szczeliny do mojej duszy zaczyna sączyć się trucizna. Zaczynałam się przyzwyczajać do obrzydliwego uczucia, które pojawiało się, gdy pozwalałam Ogrodnikowi mnie pieprzyć, ale nigdy nie mogłabym przywyknąć do przyprawiającego o mdłości bólu, który wynikał z tego, że pozwalałam mu wierzyć, że mnie kocha.

Kiedy w końcu odprowadził mnie z powrotem do mojego pokoju, usiadł na brzegu mojego wąskiego łóżka i owinał mnie kocem, po czym odgarnął mi włosy z twarzy i pocałował przeciągle.

– Mam nadzieję, że Desmond zda sobie sprawę, jaką jesteś wyjątkową młodą kobietą – szepnął, ledwie odrywając usta od moich. – Mogłabyś dać mu tyle szczęścia.

Kiedy wyszedł, wstałam z łóżka, poszłam pod prysznic i szorowałam się aż do bólu, bo chciałam udawać, że mogę

z siebie zdrzeć uczucie jego dotyku. Bliss zastała mnie tak i z nietypowym dla siebie taktem zupełnie tego nie skomentowała. Pomogła mi splukać resztki mydła i odżywki, zakręciła wodę, wytarła mi włosy ręcznikiem, podczas gdy ja osuszałam resztę swojego ciała, i kiedy moje włosy były już rozczesane i splecione w gładki warkocz, zwinęłyśmy się razem w kłębek pod kocem.

Po raz pierwszy zrozumiałam, dlaczego myślała o tym, żeby skoczyć.

Po raz pierwszy te dodatkowe lata nie wydawały mi się warte znikomych szans na ucieczkę.

Po raz pierwszy od półtora roku poczułam każde ukłucie igły na mojej skórze, gdy tatuowano mi na plecach moje więzienie. Nigdy nie żywiłam wielkich nadziei ani też wielce nie rozpaczałam, ale to dusiło mnie z każdym wspomnieniem. Przypominając sobie słowa Desmonda z jaskini, wzięłam głęboki wdech, żeby nawet Bliss, która widziała mnie w stanach, o jakie reszta dziewczyn nawet mnie nie podejrzewała, nie zorientowała się, jak kurewsko jestem przerażona.

W bólu mówi i skrzydeł swych pierze

Spuszcza w dół, aż sunęły się w pyle.

W zgrozie mówi – i białe swe pierze

Spuszcza w dół, aż tarzały się w pyle.  
Aż rozpacznie tarzały się w pyle[8].

Ale moje skrzydła nie mogły się poruszyć, nie mogłam ulecieć i nie mogłam nawet płakać.

Jedyne, co mi pozostało, to przerażenie, agonia i smutek.



Victor bez słowa wychodzi z pokoju przesłuchań.

Chwilę później Yvonne dołącza do niego na korytarzu i podaje mu dwie butelki wody.

– Ramirez dzwoniła z nowymi informacjami – powiadamia go. – Dziewczyny w gorszym stanie się ustabilizowały. Wciąż chcą porozmawiać z Mayą, zanim zaczną odpowiadać na pytania. Senator Kingsley zaczyna naciskać na Ramirez, bo chce dostać się do Mai.

– Cholera. – Victor drapie się po policzku. – Czy Ramirez może ją przytrzymać w szpitalu?

– Przez krótki czas. Próbuje negocjować pomiędzy senator a jej córką. Myśli, że przy wszystkim, co się teraz dzieje, zyska kilka godzin.

– Dzięki. Daj znać Eddisonowi, kiedy wróci, dobrze?

– Jasne.

Politycy są jak opieka społeczna, myśli sobie. Ostatecznie się przydają, ale przez cały proces są jak wrzód na dupie.

Wraca do pokoju przesłuchań i podaje Inarze jedną z butelek.

Dziewczyna kiwa głową w podziękowaniu i odkręca nakrętkę zębami, żeby oszczędzić obolałe dłonie. Opróżnia pół butelki, zanim odstawia ją na stół z przymkniętymi

oczami. Jednym palcem kreśli wzory na metalowej powierzchni stołu i szykuje się na kolejne pytanie.

Victor obserwuje ten ruch i kiedy zdaje sobie sprawę, że to, co uważał za nonsensowne wzorki, jest tak naprawdę obrysem skrzydeł motyla, które Inara w kółko rysowała jak gdyby dla przypomnienia, co ich tu wszystkich sprowadziło, czuje nagły ucisk w żołądku.

– Kończy mi się czas, w którym mogłem cię chronić – mówi w końcu.

Dziewczyna tylko na niego spogląda.

– Wpływowi ludzie chcą wiedzieć, co się stało. Nie będą mieli tyle cierpliwości co ja, Inaro, a byłem bardzo cierpliwy.

– Wiem.

– Musisz przestać krążyć wokół tematu. Powiedz mi wszystko, co muszę wiedzieć.



Jeszcze przez pewien czas Ogrodnik był skonsternowany zachowaniem syna. Desmond regularnie przychodził do Ogrodu, ale jeśli chodziło o kontakt fizyczny, to co najwyżej podał komuś dłoń, by pomóc wstać.

I przynosił ze sobą podręczniki.

Podczas tych dni czuwałam nad nowo przybyłą dziewczyną, wyjątkowej urody istotą o japońskich korzeniach. W nocy zostawała z nią Danelle, a ja siadywałam na klifie, który dawał mi złudzenie przestrzeni. Desmond często do mnie dołączał i pierwszych kilka razy przebywaliśmy ze sobą w ciszy, każde z nas pochłonięte swoją lekturą. Minęło sporo czasu, odkąd ostatnio siedziałam w towarzystwie mężczyzny i nie czułam z jego strony zagrożenia. Czasem rozmawialiśmy o jego studiach. Nigdy o Ogrodzie. Nigdy o jego ojcu.

Wydaje mi się, że nienawidziłam go za to, że tak bardzo się broni przed poskładaniem w całość elementów układanki, ale tego nie okazywałam. Ogrodnik nigdy by nas nie wypuścił, a Avery był zbyt niebezpieczny, by próbować na niego wpłynąć. Nie byłam pewna, czy Desmond był moją nadzieją, ale był najbliższą nadziei rzeczą, jaką wokół siebie widziałam.

Chciałam żyć, chciałam, by pozostałe dziewczyny także przeżyły, i po raz pierwszy chciałam, by mit Motyla, któremu udało się wymknąć, był prawdziwy. Chciałam wierzyć, że mogę się stąd uwolnić i nie skończyć ani w szkole, ani na brzegu rzeki.

I wtedy pewnej nocy Desmond przyniósł skrzypce.

Ogrodnik wspominał, że jego syn jest muzykiem, i widziałam, jak jego palce po cichu odgrywają akordy na książkach, skałach, kolanach i jakiegokolwiek dostępnej powierzchni, kiedy nad czymś myślał. Jakby tłumaczył swoje myśli na muzykę, tak by nabrały sensu.

Leżałam na brzuchu z książką i jabłkiem, zerkając na trzy dziewczyny na dole, w głównej części Ogrodu. Były zanurzone po szyję w naszym małym jeziorku i pryskały się wodą. Wiedziałam, że czujniki na pewno powiadomiły Ogrodnika o tym, że ktoś jest w wodzie, wystarczyło jednak, by posiedziały w niej spokojnie przez jakiś czas, a przestawał być czujny i zajmował czymś innym. Tego wieczoru nie przebywał w Ogrodzie – wspomniał mi coś o gali dobroczynnej, na którą wybiera się z żoną, kiedy przyszłam odprowadzić dziewczynę z powrotem do jej pokoju po pierwszej sesji w studiu tatuażu – nie wątpiłam jednak, że miał sposób na to, by obserwować nas zdalnie, jeśli chciał. Eleni i Isara były tutaj odpowiednio trzy i cztery lata i przekroczyły już granicę niemądrych wygłupów, ale Andara pojawiła się zaledwie dwa miesiące przede mną. Ogólnie dobrze się trzymała, ale od czasu do czasu popadała w stany głębokiej depresji, które całkowicie ją paraliżowały. Miały podłoże kliniczne, a że Andara nie dostawała tu swoich leków, byłam zaskoczona, że nie zdarzały się częściej. Staraliśmy się pilnować, by podczas tych epizodów nie przebywała sama. Prawie już uporała się

z ostatnim, ale jej nastrój wciąż był chwiejny.

Desmond przyszedł na górę z futerałem w dłoni i zatrzymał się przy skale.

– Cześć.

– Cześć – odpowiedziałam.

Normalność była w Ogrodzie rzeczą zmienną.

Zmierzyłam wzrokiem futerał w jego ręce. Czy gdybym poprosiła o to, żeby dla mnie zagrał, połechtałabym jego ego? Czy uznałby raczej, że jestem mu za to winna przysługę? Potrafiłam świetnie odgadywać intencje Ogrodnika i Avery’ego. Z Desmondem nie było tak prosto. W przeciwieństwie do swojego ojca i brata nie wiedział, czego chce.

Byłam dobra w uciekaniu przed ludźmi, a nie manipulowaniu nimi. To było dla mnie nowe terytorium.

– Zagrasz dla mnie? – zapytałam w końcu.

– Mógłbym? Mam jutro egzamin, a nie chciałem budzić matki. Miałem zamiar poćwiczyć na zewnątrz, ale... – Pokazał na niebo.

Nie musiałam patrzeć w górę. Słyszałam deszcz uderzający o szkło. Tęskniłam za uczuciem deszczu.

W mieszkaniu niemal zawsze grała muzyka. Kathryn lubiła klasyczną, ale Whitney wolała szwedzki rap, a Noémie bluegrass, zaś Amber preferowała country i koniec końców gwarantowałyśmy sobie najbardziej eklektyczne muzyczne doświadczenie, jakie można sobie wyobrazić. Tutaj niektóre dziewczyny miały w swoich pokojach radia albo odtwarzacze, ale dla większości z nas muzyka była rzadką przyjemnością.

Zamknęłam książkę i usiadłam prosto, podczas gdy Desmond smarował smyczek kalafonią i rozciągał palce. Z fascynacją przyglądałam się wszystkim drobnym rytuałom, z jakich składała się rozgrzewka, ale kiedy w końcu przyłożył smyczek do strun, aby naprawdę zagrać, zdałam sobie sprawę, dlaczego ojciec nazywał go muzykiem.

To było więcej niż tylko gra. Choć nie byłam żadną znawczynią, jak na moje ucho miał duże techniczne umiejętności, ale potrafił sprawić, że nuty łkały lub śmiały się na strunach. Nasycił każdy utwór emocjami. Na dole trzy dziewczyny przestały się ochlapywać i położyły się na wodzie tak, by mogły posłuchać. Zamknęłam oczy i dałam się otulić muzyką.

Czasem, kiedy razem z Kathryn siedziałyśmy po skończeniu pracy o trzeciej lub czwartej nad ranem na schodach przeciwpożarowych lub na dachu, na dach sąsiedniego budynku wychodził jakiś gość, żeby poćwiczyć grę na skrzypcach. Mieszały mu się palce i nie zawsze rytmicznie operował smyczkiem, ale mimo to gdy tak siedziałam w półmroku miasta, miałam wrażenie, że skrzypce są jego kochanką. Nigdy chyba nie zauważył, że ma publiczność, i całą swoją uwagę skupiał na instrumencie i dźwiękach, które razem tworzyli. Była to właściwie



jedyna rzecz, jaką Kathryn i ja regularnie robiłyśmy razem. Nawet jeśli miałyśmy wolny wieczór, wstawaliśmy nad ranem, żeby pójść na zewnątrz i posłuchać gry na skrzypcach.

Desmond był lepszy.

Gładko przechodził od utworu do utworu i kiedy w końcu opuścił smyczek, ostatnie nuty wybrzmiły w powietrzu.

– Wydaje mi się, że nie będziesz miał problemu ze zdaniem tego egzaminu – szepnęłam.

– Dzięki. – Sprawdził instrument, delikatnie go obejmując, i kiedy się upewnił, że wszystko jest tak, jak być powinno, odłożył go do wyścielonego aksamitem futerału. – Kiedy byłem młodszy, marzyłem o byciu profesjonalnym muzykiem.

– „Marzyłem”?

– Ojciec zabierał mnie do Nowego Jorku i załatwiał mi kilkudniowe warsztaty z profesjonalnymi skrzypkami, żebym zobaczył, jak by to wyglądało. Nie znosiłem tego. To wszystko wydawało się takie... cóż, chyba pozbawione duszy. Gdybym miał tak pracować, to zacząłbym nienawidzić muzyki. Kiedy powiedziałem ojcu, że wolałbym robić coś, co pozwoli mi wciąż kochać tę sztukę, powiedział, że jest ze mnie dumny.

– Często wydaje się z ciebie dumny – mruknęłam, a on spojrzał na mnie z ukosa.

– Rozmawia z tobą o mnie?

– Trochę.

– Yyy...

– Jesteś jego synem. Kocha cię.

– Tak, ale...

– Ale?

– Nie uważasz, że to dziwne, że rozmawia o swoim synu z osobami, które przetrzymuje wbrew ich woli?

Postanowiłam, że nie powiem mu wszystkiego, co jego ojciec mi o nim opowiedział.

– Dziwniejsze niż samo przetrzymywanie ludzi wbrew ich woli?

– Masz rację.

I tak oto końcu przyznał, że jesteśmy tu uwięzione, ale nie był w stanie choćby spróbować czegoś z tym zrobić.

Strumień, który łączył wodospad i jezioro, miał niespełna metr głębokości, ale Elani udało się dopłynąć aż pod skały, zanim wstała.

– Mayu, my już idziemy. Potrzebujesz czegoś?

– Nic nie przychodzi mi do głowy, ale dzięki.

Desmond pokręcił głową.

- Czasem wygląda to tak, jakbyś była ich opiekunką.
- Trochę zwichrowany jest ten nasz żeński akademik.
- Nienawidzisz mnie?
- Za to, że jesteś synem swojego ojca?

– Zaczynam zdawać sobie sprawę, jak bardzo – powiedział cicho. Usiadł obok mnie na kamieniu i położył ręce na zgiętych kolanach. – Jedna z dziewczyn, koleżanka z zajęć o Freudzie i Jungu, ma motyla wytatuowanego na ramieniu. Jest brzydki i kiepsko narysowany, to taka jakby wróżka w typie motyla, z buźką, która wygląda jak u stopionej lalki. Ale miała na sobie sukienkę bez ramiączek, więc go zobaczyłem i przez resztę zajęć mogłem myśleć tylko o twoich skrzydłach i o tym, jakie są piękne. Są okropne, ale też piękne.

– Postrzegamy je podobnie – odpowiedziałam neutralnym tonem, ciekawa, dokąd on zmierza.

- Wątpię, żeby widok twoich skrzydeł cię podniecał.

Aha.

Tak, zdecydowanie jest synem swojego ojca.

Ale w przeciwieństwie do swojego ojca wstydzi się tego.

– Podczas innych zajęć rozmawialiśmy o patologicznym zbieractwie i przypomniałem sobie, jak ojciec opowiadał o kolekcji motyli dziadka, ale potem oczywiście pomyślałem o tym, w jakiej wersji robi to ojciec, i nagle znowu myślałem o tobie i o tym, jak naga, z samym tatuażem i bliznami, potrafisz mieć więcej godności niż większość ludzi w pełnym ubraniu. Od tygodni miewam różne... różne *sny* i budzę się spocony, mam wzwód i nie wiem, czy to był koszmar, czy nie. – Odgarnął włosy z twarzy i przytrzymał dłoń za głowę. – Nie chcę wierzyć, że jestem typem osoby, która mogłaby coś takiego zrobić.

– Może nie jesteś. – Wzruszyłam ramionami, widząc, jak ukradkowo na mnie spogląda. – Godzenie się na coś takiego jest skomplikowane, ale nie oznacza, że sam byś coś takiego zrobił.

- Ale nadal się na to godzę.
- Dobro i zło nie oznaczają, że wybór jest prosty.
- Dlaczego mnie nie nienawidzisz?

Przez ostatnie tygodnie dużo się nad tym zastanawiałam i wciąż nie byłam pewna, czy znalazłam odpowiedź.

– Może jesteś tu tak samo uwięziony jak ja – powiedziałam powoli. Tylko że w głębi ducha naprawdę trochę go nienawidziłam, tak samo jak jego ojca i brata, choć w inny sposób.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę. Staralam się odczytać emocje przebiegające po jego twarzy. Miał oczy swojego ojca, ale był bardziej samokrytyczny niż on. Ogrodnik kurczowo trzymał się swoich urojeń. Desmond ostatecznie skonfrontował się z trudną prawdą, a przynajmniej jej początkami. Nie

wiedział, co z nią zrobić, ale nie starał się jej bagatelizować.

– Dlaczego nie próbujesz uciec?

– Bo próbowały już dziewczyny przede mną.

– A uciekły?

– Próbowały.

Skrzywił się.

– Można stąd wyjść tylko jednymi drzwiami, które są cały czas zamknięte i wymagają odpowiedniego kodu. Trzeba go wstukać przy wejściu i przy wyjściu. Kiedy przychodzą ogrodnicy, pokoje stają się dźwiękoszczelne. Możemy krzyczeć i walić w ściany do woli, a nikt nas nigdy nie usłyszy. Możemy zostać na zewnątrz, kiedy do Ogrodu wchodzi pracownicy, ale któraś tego próbowała około dziesięciu lat temu i nic się nie wydarzyło poza tym, że dziewczyna zniknęła. – I pojawiła się ponownie w oprawie ze szkła i żywicy, ale Desmond nadal jeszcze nie widział tych Motyli. Jakby zapomniał, co jego ojciec powiedział o zatrzymywaniu nas po śmierci. – Nie jestem pewna, czy twój ojciec zatrudnia ludzi, którzy nie zadają pytań, czy może całą sytuację przedstawił tak, żeby nie wydawała się podejrzana. Tak czy inaczej, nikt nie przybył nam na ratunek. A gdy przychodzi co do czego, boimy się.

– Wolności?

– Tego, co się stanie, jeśli *prawie* nam się uda. – Spojrzałam w górę na nocne niebo za szklanymi szybami. – Nie oszukujmy się, on może nas bardzo szybko zabić, gdyby zaszła taka potrzeba. A gdyby jedna z nas podjęła próbę i poniosła porażkę, to kto zagwarantuje, że twój ojciec nie ukarałby nas wszystkie?

A przynajmniej tę, która by spróbowała, oraz mnie, bo Ogródnik myśli, że Motyle o wszystkim mi mówią. Jak miałabym nie wiedzieć o takim planie?

– Tak mi przykro.

Co za idiotyczne słowa w tych okolicznościach.

Kręcę głową.

– A mnie jest przykro, że w ogóle się tutaj pojawiłeś.

Kolejne spojrzenie z ukosa, na wpół urażone, na wpół rozbawione.

– Tylko przykro i nic więcej? – zapytał po minucie.

Przyglądałam się jego twarzy w świetle księżyca. Dwa razy pomógł mi podczas napadów paniki, nawet jeśli wiedział tylko o jednym. Miał w sobie wrażliwość, której nie posiadali ani jego ojciec, ani brat. Był kimś, kto chciał być dobry i czynić dobro, ale nie wiedział jak.

– Nie – mówię ostatecznie. – Nie tylko. – Nie, jeśli wymyślę jakiś sposób, żeby go dobrze wykorzystać.

– Jesteś bardzo skomplikowaną osobą.

– A ty jesteś komplikacją.

Roześmiał się i podał mi dłoń, którą bez wahania przyjąłam i splotłam swoje

palce z jego palcami. Nachyliłam się do niego i oparłam mu głowę na ramieniu, a między nami zapadła komfortowa cisza. Odrobinę przypominał mi Tophera, choć był bardziej złożony, i przez chwilę chciałam udawać, że ten chłopak nie był synem swojego ojca, tylko moim przyjacielem.

Zasnęliśmy w takiej pozycji i kiedy poranne słońce zaświeciło mi w oczy, powoli wstałam i zobaczyłam, że podczas snu wtuliliśmy się w siebie. Jedna jego dłoń znajdowała się na moim biodrze, a druga osłaniała mój policzek przed twardym kamieniem. Nowa dziewczyna powinna przespać jeszcze kilka godzin, ale Desmond miał zajęcia i egzamin skrzypcowy, który zda bez wysiłku.

Z wahaniem wyciągnęłam dłoń i odgarnęłam mu z czoła przecinek czarnych włosów. Poruszył się i nieprzytomnie powtórzył ten gest, czym bardzo mnie rozbawił.

– Obudź się.

– Nie – mruknął i chwycił mnie za rękę, żeby osłonić swoje oczy przed słońcem.

– Masz zajęcia.

– Nie pójdę.

– Masz egzamin z gry.

– Umiem grać.

– W przyszłym tygodniu masz egzaminy końcowe.

Wydał z siebie westchnienie, które przerodziło się w ogromne ziewnięcie, po czym niechętnie usiadł i potarł zaspane oczy.

– Jesteś gderliwa, ale miło się przy tobie obudzić.

Odwróciłam twarz, bo nie byłam pewna, co wyraża. Koniuszki jego palców, delikatnie stwardniałe od strun, dotknęły mojego podbródka i skierowały go ku jego twarzy, na której malował się jedynie delikatny uśmiech.

Nachylił się w moją stronę, ale po chwili zatrzymał się i cofnął. Zbliżyłam się do niego i dotknęłam wargami jego miękkich ust. Delikatny dotyk na moim policzku cofnął się, aż jego dłonie w pełni obejmowały moją twarz, i Des pogłębił pocałunek, aż zakręciło mi się w głowie. Minęło tyle czasu, odkąd sama kogoś pocałowałam, a nie tylko dałam na sobie wymusić pocałunek. Ogrodnik sądził, że jego syn może mnie kochać, a ja byłam skłonna się z tym zgodzić. Pomyślałam także, że miłość inaczej zmotywuje ojca, a inaczej syna. A przynajmniej taką miałam nadzieję.

Kiedy Desmond się odsunął, ucałował mnie w policzek.

– Możemy się zobaczyć, gdy wrócę z zajęć?

Potaknęłam w duchu, zdając sobie sprawę, że moje życie osiągnęło nowy poziom popierdolenia.



– I Ogrodnik był z tego zadowolony?

– O dziwo, tak. To znaczy, jestem przekonana, że był w tym pewien poziom interesowności, bo koniec końców, jeśli Desmond był emocjonalnie przywiązany do którejś z nas, to istniały małe szanse, że zaryzykuje naszą utratę. To na pewno był jeden z czynników, ale myślę, że przede wszystkim cieszył się, że jego syn jest szczęśliwy.

Victor wzdycha.

– A ja myślałem, że ta historia nie może się zrobić bardziej pokręcona.

– Zawsze może się stać bardziej pokręcona – uśmiecha się, wypowiadając te słowa, ale Victor nie od razu w to wierzy. Nie jest to wcale miły uśmiech i agent myśli sobie, że nie powinien on z taką łatwością przychodzić dziewczynie w tym wieku. – Takie jest życie, prawda?

– Nie – cicho odpowiada Victor. – Życie takie nie jest. A przynajmniej nie powinno.

– Ale to nie to samo. „Jest” a „nie powinno” to zupełnie inne rzeczy.

Victor zaczyna się obawiać, że Eddison już nie wróci.

Wcale się mu nie dziwi.

Jeśli do takich rzeczy jest się skłonna przyznać, to o ile gorsze są te, które wciąż ukrywa?

– Jak się wszystko zmieniło po jego egzaminach końcowych?



Latem więcej przebywał w Ogrodzie, z wyjątkiem popołudni, kiedy przechadzał się z rodzicami w zewnętrznej szklarni. Jeśli przychodził rano, to siedział na klifie albo w bibliotece, szanując prywatność moich rozmów z dziewczynami w jaskini. Danelle zastąpiła mi Lyonette podczas rozmów wymagających więcej delikatności i zaczęła brać nocne zmiany przy nowych dziewczynach.

Na nocnej zmianie nie było zbyt wiele do roboty, biorąc pod uwagę, że nowe były pod wpływem środków nasennych, ale mimo wszystko. Doceniałam fakt, że mogę na chwilę zająć się czymś innym.

I mimo skrzydeł, które rozpościerały się na jej policzkach aż po czoło, Danelle można było całkowicie ufać. Przyzwyczaiałam się do podwójnego zestawu *Limenitis arthemis*, z ich kontrastowymi, ciemnymi, nasyconymi kolorami i przełamaniem wzoru. Nie powiem, żeby pasowało jej to bardziej, niż skrzydła na moich plecach pasowały mnie, ale uczyniła je częścią siebie i wyciągnęła z tego wnioski. Ona i Marenka były ostatnimi dwiema, które otrzymały skrzydła na twarzy. Po tym fakcie zniechęcały wszystkie pozostałe dziewczyny, by do tego stopnia podlizywać się Ogrodnikowi. Niektóre Motyle były bardzo blisko, ale jeszcze nie przekroczyły tej granicy.

Brałam na siebie najwcześniejsze rozmowy z nowymi, a ona zamieniała się ze mną, kiedy dziewczyny zaczynały chodzić. Danelle nie czekała z ich poznaniem

do momentu, aż były mniej więcej przystosowane, w przeciwieństwie do innych.

Po pierwszej sesji zaczęłam towarzyszyć najnowszej Nowej, gdy Ogrodnik pracował nad jej tatuażem. Nienawidziła igieł, ale jeśli w tym czasie jej czytałam – i pozwoliłam ścisnąć sobie rękę tak mocno, że prawie ochuchałam z bólu – była w stanie leżeć nieruchomo. Przebywałam tam na jej prośbę, nie Ogrodnika, choć wydaje mi się, że nawet mu się to podobało. Kiedy czytałam na głos *Hrabiego Monte Christo* i zastanawiałam się, czy to się liczy jako ironia, obserwowałam, jak na porcelanowej skórze Nowej jasne, lodowato niebieskie skrzydła rozpościera *Celastrina ladon*, przełamywane miejscami żyłkami lub brzegami w kolorze srebrnej bieli i wąską obręczą granatu na koniuszkach górnych skrzydeł.

Bliss przyniosła mi lunch oraz zimny kompres, żebym przyłożyła go sobie na swoją nieustannie posiniaczoną rękę.

Ogrodnik nie dotykał mnie, jeśli w Ogrodzie był Desmond, ale zainteresowanie jego syna moją osobą wzniecało w nim proporcjonalne podniecenie. Nie było to żadną tajemnicą dla pozostałych dziewczyn, że Ogrodnik lubił mnie najbardziej – szczerze mówiąc, wydaje mi się, że czuły ulgę – ale zamiast przychodzić do mnie dwa lub trzy razy w tygodniu, przychodził teraz prawie codziennie.

Nadal odwiedzał inne dziewczyny, ale kiedy był z nimi, nie przejmował się już, czy jego młodszy syn jest w Ogrodzie, czy nie. No i nadal był Avery, ale po zlikwidowaniu jego prywatnego pokoju tortur i w obliczu nieskrępowanej dumy, jaką ojciec okazywał Desmondowi, jego pazury zostały mocno stępione. Przy młodszym bracie, który dawał wyraźny przykład tego, jakiego taktowania nas życzy sobie ojciec, trudno mu było oddawać się rzeczom sprawiającym mu przyjemność.

Zaczęłam nienawidzić lunchów, bo każdego dnia, kiedy Desmond szedł do domu, aby zjeść posiłek i spędzić wczesne popołudnie z matką, Ogrodnik przychodził do mnie z potrzebą, z powodu której trzęsły mu się ręce. Zaczęłam jeść posiłki w swoim pokoju, żeby uniknąć upokorzenia, kiedy wchodził do jadalni i wołał mnie po imieniu, czym uciszał wszelkie rozmowy. Wiedział, że Desmond nie posunął się dalej niż pocałunek, ale już sama myśl, że mógłby zrobić coś więcej, sprawiała, że Ogrodnik prawie spuszczał się w spodnie.

I do chuja pana, już sama myśl, że przeglądał nagrania z monitoringu w nadziei, że zobaczy mnie ze swoim synem, była dla mnie nie do zniesienia.

Te wizyty miały przynajmniej swój limit czasowy, bo Ogrodnik musiał być z powrotem w domu kwadrans przed drugą, żeby pójść z żoną na spacer. Podczas gdy rodzina przechadzała się po zewnętrznej szklarni, ja spędzałam tę godzinę z dziewczyną, którą przechrzczył na Terezę. Miała niespełna siedemnaście lat, była córką dwojga prawników i nigdy nie mówiła głośniejszym niż szeptem. A kiedy mówiła, zawsze było to coś ważnego, jak prośba, żebym jej poczytała, kiedy Ogrodnik

tatuował jej skrzydła. Można ją też było wciągnąć w rozmowy o muzyce. Dowiedzieliśmy się, że gra na pianinie i chciała zostać zawodową pianistką. Ona i Ravenna potrafiły godzinami rozmawiać o utworach baletowych. Była bardzo spostrzegawcza, potrafiła czytać między wierszami, wydawała się więc rozumieć naszą nietypową sytuację, zanim jeszcze w pierwszym tygodniu pokazałam jej gabloty.

Ze względu na nią, aby miała jakąś odskocznię, poprosiłam Ogrodnika, żeby sprezentował jej keyboard.

Wstawił pianino w miejsce łóżka do jednego z pustych pokoi oraz ogromny na całą ścianę regał zeszytów z nutami. Z wyjątkiem posiłków, snu i wizyt Ogrodnika – licznych, bo była nowa – siedziała tam tak długo i grała na pianinie, aż dostała skurczów palców.

Pewnego dnia Desmond czekał na mnie w korytarzu i opierał się o ścianę wyglądającą na Ogród. Wsłuchiwał się w muzykę z głową przechyloną na bok.

– Co się dzieje, jeśli ktoś dozna załamania? – zapytał cicho.

– To znaczy?

Skinął głową w stronę wejścia.

– Słysząc to po jej muzyce. Dziewczyna jest w rozsypce. Robi się wzburzona, zmienia tempo, mocno wali w klawisze... Może nic nie mówi, nie oznacza to jednak, że się przyzwyczajają.

Trudno było zapomnieć, że robi magisterkę z psychologii.

– Albo się załamie, albo nie. Istnieją ograniczenia co do tego, co mogę zrobić, aby temu zapobiec.

– Ale co się stanie, jeśli się załamie?

– Wiesz, co się stanie. Tylko nie chcesz tego przyznać. – Nigdy nie zapytał, dlaczego Simone nie wróciła. Przybycie Terezy spotkało się z konsternacją, po której nastąpił oczywisty skoncentrowany wysiłek, aby zbyt głęboko się nad tym wszystkim nie zastanawiać.

Desmond pokiwał głową na znak, że rozumie. A wtedy natychmiast zmienił temat. Bo jeśli nie patrzy się na coś złego, to to coś cię nie widzi, prawda?

– Bliss pracowała nad czymś na skalach. Powiedziała mi, że jeśli siądę na jej glinie, wepchnie mi ją do nosa.

– Wiesz nad czym?

– Nie mam pojęcia. Nadal zmiękczała glinę.

Letnie popołudnia w Ogrodzie były wręcz nieznośnie upalne, bo żar sączył się do środka przez szkło. Większość dziewczyn spędzała popołudnia w wodzie, kryjąc się w cieniu albo w swoich pokojach, gdzie mogły poczuć podmuch klimatyzowanego powietrza. Nie miałam zamiaru przeszkadzać Bliss, skoro nad czymś pracowała, zwłaszcza jeśli robiła to w najgorętszej części Ogrodu, wzięłam



więc Desmonda za rękę i poprowadziłam korytarzem. Było chłodniej w tylnym rogu, gdzie podstawa klifu stykała się ze szkłem, blokując promienie słońca.

Skręciłam do swojego pokoju i Desmond od razu zaczął przyglądać się półce nad moim łóżkiem. Obrócił karuzelą.

– Z jakiegoś powodu nie wyglądasz mi na osobę, która lubi karuzele.

– Bo nie lubię.

– To dlaczego...

– Ktoś inny lubił.

Znów spojrział na karuzelę i nic nie powiedział. Nie mógł zapytać o więcej, nie zahaczając o sprawy, o których tak bardzo próbował nie myśleć.

– Prezenty, które ofiarowujemy, dużo o nas mówią, podobnie jak prezenty, które otrzymujemy i postanawiamy zachować – wymamrotał w końcu. Dotknął chrap małego smutnego smoka, który teraz miał do towarzystwa małego misia ubranego w piżamę. – To rzeczy mają tu znaczenie czy ludzie?

– Myślałam, że latem nie ma wykładów.

Uśmiechnął się do mnie potulnie.

– To nawyk?

– Jasne.

Mój pokój nieco się zmienił od tego pierwszego dnia. Miałam pościel w nasyconym różowym kolorze, koc w równie intensywnym odcieniu fioletu oraz stertę beżowo-brązowych poduszek. Toaletę i prysznic oddzielały pasujące brązowe zasłony, a od ścian zwisały luźno różowe i fioletowe paski, na wypadek gdybym z jakiegoś powodu chciała je spać. Na ścianie znajdowały się dwie krótkie półki z różnymi książkami, które Ogrodnik dał mi w prezencie. Stały też na nich różne bibeloty, z czego te najważniejsze – a przynajmniej te najbardziej osobiste – na półce nad łóżkiem.

Z pominięciem bibelotów trudno było stwierdzić, że pokój cokolwiek o mnie zdradzał, bo sama nie wybrałam żadnej z tych rzeczy. Nawet drobiazgi były trudne do rozszyfrowania. Evita namalowała mi kiedyś na kamyku piękną chryzantemę, ale ona odzwierciedlała jej słoneczną osobowość, nie moją. To, że ją zatrzymałam, oznaczało jedynie, że miała dla mnie znaczenie.

No i była jeszcze rzecz, która zawsze przypominała mi, jak bardzo ta przestrzeń nie należała do mnie: migające czerwone światelko kamery nad wejściem.

Usiadłam na łóżku, opierając się plecami o ścianę, i patrzyłam, jak Desmond wygina się na boki, aby odczytać tytuły na grzbietach książek.

– Ile z nich wybrał mój ojciec?

– Może połowę?

– *Bracia Karamazow*?

– To akurat wybrałam ja.

– Naprawdę? – Uśmiechnął się przez ramię. – Ciężkie, co?

– Pozornie. Ale ciekawie się o tym rozmawia.

Wiele książek omawiałam z Zarą, ale nie klasykę literatury. To robiłam zwykle z Noémie: rozkładałyśmy ją na czynniki pierwsze, wdawałyśmy się w dyskusje, które trwały całymi dniami, a nawet tygodniami, właściwie nigdy nie dochodząc do wspólnych wniosków. Czytanie Dostojewskiego przypominało mi o Noémie w sposób znacznie mniej bolesny niż wspomnianie innych dziewczyn z Nowego Jorku. Miałam książkę, która reprezentowała każdą z moich współlokatorek. Mój sposób zapamiętywania był subtelniejszy niż rysunki Naziry albo figurki Bliss, ale efekt był ten sam.

– Dlaczego nie jestem zaskoczony, że lubisz złożone powieści? – Dokończył swoje oględziny i stanął obok łóżka z rękoma w kieszeniach.

– Możesz usiąść na łóżku, wiesz?

– Ale... to twoja przestrzeń – powiedział niezręcznie. – Nie chcę się narzucać.

– Możesz usiąść na łóżku, wiesz?

Tym razem się uśmiechnął i ściągnął buty, po czym usiadł ze mną na pościeli. Całowaliśmy się kilka razy od tego pierwszego pocałunku, za każdym razem niepewnie i nieco namiętnie. Jego ojciec, a rzadziej brat zawsze nam przerywali, kiedy wyglądało na to, że być może posuniemy się nieco dalej. Nie byłam pewna, co o tym myśleć.

Szczerze mówiąc, jeśli chodziło o Desmonda, to niczego nie byłam szczególnie pewna.

Rozmawialiśmy nieco o jego przyjaciółach i uczelni, ale nawet to było czasem trudne. Przebywałam w Ogrodzie na tyle długo, że świat zewnętrzny stał się dla mnie trochę jak legenda, która częściowo wydaje się prawdziwa. W końcu nadeszła pora obiadu i Desmond musiał wrócić na jakiś czas do domu, żeby matka nie zastanawiała się, gdzie przepadł na tyle godzin, ruszyliśmy więc korytarzem, trzymając się za ręce. Gdybym odprowadziła go do wyjścia, to czy odprawiłby mnie, zanim wbiłby kod w klawiaturę? Zastanawiałam się, czy ojciec zdołał mu już wpoić ten środek ostrożności. Gdybym wybiegła przez drzwi, to czy ulitowałby się nade mną i puścił mnie wolno?

Czy zdołałabym sprowadzić tutaj policję, zanim cokolwiek stałoby się pozostałym dziewczynom?

Gdybym tyle nie myślała o drzwiach i ucieczce, być może od razu zauważyłabym, jaka dziwna otaczała nas cisza, ale dopiero po minucie zdałam sobie sprawę, że powinnam słyszeć pianino na całej długości korytarza. Puściłam jego dłoń, nie myśląc o tym, czy Desmond pobiegnie za mną, i wpadłam do pokoju muzycznego, obawiając się tego, co zobaczę.

Tereza była cała i żywa.

Ale załamana.

Siedziała na ławce przed pianinem, wyprostowana i idealna. Trzymała nawet dłonie na klawiszach. Wyglądała, jak gdyby w każdej chwili miała zacząć grać.

Wystarczyło jednak spojrzeć na jej twarz, na łzy, które cicho spływały po jej policzkach, na absolutnie puste spojrzenie w jej oczach, by zrozumieć, że tego, co czyniło z niej Terezę, już nie ma. Czasem działo się to szybko jak mrugnięcie oka, uderzenie serca – w jednej chwili było normalnie, a w następnej już nie.

Usiadłam okrakiem obok niej na ławeczce, kładąc jej dłoń na ramionach. Wzdrygnęła się, wciąż wpatrując przed siebie prosto w nicłość.

– Jeśli możesz wrócić, to proszę, spróbuj – szepnęłam. – Wiem, że jest źle, ale po tym nic cię nie czeka. Gorzej niż nic.

– Myślisz, że pogorszymy sprawę, jeśli czegoś spróbujemy? – ostrożnie zapytał Desmond.

– Czego?

– Zejdź z ławki i przesunij Terezę na samą krawędź. – Usiadł na przeciwnym końcu i ostrożnie się przysunął, aż miał w zasięgu wszystkie klawisze. Tereza nie stawiała oporu, kiedy odsunęłam jej dłonie od klawiatury. Desmond zrobił głęboki wdech i zaczął grać coś delikatnego, łagodnego i przepełnionego bólem.

Tereza zrobiła nagły wdech, jedyny znak, że usłyszała.

Przymknęłam oczy, wsłuchując się w melodię. Czułam, jak w piersi wzbierają mi łzy, których nie umiałam uronić. On nie tylko grał, on roztaczał wokół siebie muzykę, a im dłużej to robił, tym bardziej Tereza drżała w moich ramionach, aż w końcu wybuchnęła ciężkim płaczem i schowała twarz w mojej piersi. Desmond grał dalej, ale jego muzyka zmieniła ton na łżejszy i pogodniejszy, nie tyle radosny, ile pocieszający. Tereza płakała, ale przynajmniej była obecna, nieco załamana, niekompletna, ale reagująca. Mocno ją przytuliłam i przez jedną bolesną chwilę zastanawiałam się, czy okazałabym jej większą litość, gdybym pozwoliła jej pozostać w rozsypce. Pozwoliła jej umrzeć.

Kiedy nie pojawiłyśmy się na obiedzie ani nie kazałyśmy przynieść nam tac, Lorraine zgłosiła to Ogrodnikowi. Nadal byliśmy w pokoju muzycznym i namawialiśmy Terezę, żeby coś nam zagrała, kiedy stanął w drzwiach. Zauważyłam go, ale nie poświęciłam mu zbyt wiele uwagi, skupiona na dziewczynie, która dalej trzęsła się jak liść. Desmond wciąż mówił cichym tonem i nie wykonywał gwałtownych ruchów, aż w końcu Tereza z powrotem położyła dłonie na klawiszach i wygrała pojedynczą, przygnębiającą nutę.

Desmond przycisnął niższy klawisz.

Tereza nacisnęła kolejny, a on odpowiedział i stopniowo nuty przerodziły się w akordy i sekwencje, aż w końcu zaczęli grać duet, który prawie rozpoznałam. Kiedy skończyli, Tereza wykonała głęboki, powolny wdech, wypuściła powietrze, po czym jeszcze raz westchnęła.

– Muszę się do tego przyzwyczaić – powiedziała ledwie słyszalnym szeptem.

– Tak, musisz się przyzwyczaić.

Pokiwała głową, użyła swojej spódnicy, aby wytrzeć twarz oraz szyję, i zaczęła grać kolejny utwór.

– Dziękuję.

Wysłuchaliśmy jeszcze kilku melodii w jej wykonaniu, aż Ogrodnik wszedł do środka, żeby zaskarbić sobie pełną uwagę. Kiwnął na mnie palcem, a ja zdusiłam w sobie westchnienie i wyszłam z nim na korytarz. Desmond za mną.

Desmond ją uratował, ale nie chciał przed sobą przyznać, przed czym.

– Lorraine powiedziała, że nie przyszyście na obiad – zaczął cicho Ogrodnik.

– Tereza przechodzi ciężkie chwile – odpowiedziałam. – Była ważniejsza niż obiad.

– Wyjdzie z tego?

Musi, bo inaczej skończy w szkle. Spojrzałam na Desmonda, który wziął mnie za rękę i lekko uściśnął.

– Nie sądzę, żeby to był ostatni raz, ale podejrzewam, że najgorsze już za nią. To chyba spóźniony wstrząs. Desmond sprawił, że znów zaczęła grać, a to dobry znak.

– Desmondzie? – Ogrodnik uśmiechnął się, a w miejsce troski pojawiła się duma, z którą uściśnął ramię syna. – Cieszę się, że to słyszę. Czy mogę jakoś pomóc? – Przygryzłam wargę, na co on pogroził mi palcem. – Mayu, powiedz prawdę. Natychmiast.

– Najlepiej byłoby, gdybyś przez jakiś czas nie uprawiał z nią seksu – odparłam z westchnieniem. – Spędzanie z nią czasu to nie problem, ale sądzę, że seks będzie dla niej wyzwaniem, któremu nie sprosta.

Ogrodnik spojrzał na mnie z zaskoczeniem, mrugając powiekami, ale Desmond pokiwał głową.

– I nie dopuszczaj do niej Avery’ego – dodał. – Zawsze lubił wszystko niszczyć.

– Jak długo?

– Może przez kilka tygodni? Musimy ją obserwować i zobaczyć, jak sobie radzi.

Zbyt świadomy obecności syna, by poddać się żądzy, która migotała w jego oczach, Ogrodnik ucałował mnie w czoło.

– Tak wspaniale się nimi zajmujesz, Mayu. Dziękuję.

Pokiwałam głową, bo wydało mi się to bezpieczniejsze od mówienia.

Ominął nas i wszedł dalej do pokoju, na co muzyka Terezy przycichła, ale na powrót nabrała siły, kiedy jedynie przysiadł na krześle z boku, żeby posłuchać, jak gra.

Staliśmy razem z Desmondem w korytarzu przez kilka kolejnych utworów, czekając na to, czy jej gra znów zrobi się nierówna, ale brzmiała tak, jakby to był recital – z wdziękiem i w pełnym skupieniu. Kiedy wydało się nam, że bezpośrednio zagrożenie kolejnego załamania minęło, Desmond delikatnie wziął mnie za rękę i poprowadził korytarzem.

– Jesteś głodna?

– Ani trochę.

Jego ojciec uparłby się, bym i tak zjadła, bo omijanie posiłków nie jest zdrowe. Jego brat uparłby się, żebym zjadła, bo miałby rozrywkę z patrzenia, jak wmuszam w siebie jedzenie mimo mdłości. Ale Desmond pokiwał tylko głową i poprowadził mnie do jaskini.

Była pusta, pozostałe dziewczyny wciąż przebywały w jadalni. Kiedy znaleźliśmy się na środku wilgotnej jamy, Desmond odwrócił się do mnie, objął mnie i przyciągnął bliżej.

– On ma rację co do jednego – wyszeptał mi we włosy. – Naprawdę dobrze się nimi zajmujesz.

Wiedziałam, jak to robić, bo Sophia matkowała nam wszystkim w nieco spaczony sposób. I dzięki Lyonette. Sophia zajmowała się dziewczynami, ale Lyonette nauczyła mnie, jak zajmować się Motylami.

– Musi być trudno przystosować się do takiego miejsca, jeśli mieszkało się na ulicy – powiedział. – Być bezpiecznym, ale nie móc stąd wyjść.

Nie pochodziłyśmy z ulicy i nie byłyśmy bezpieczne. Nie wiedziałam tylko, jak sprawić, żeby zrozumiał to, mimo że dziewczyny w gablotach wciąż były zasłonięte.

W końcu poszliśmy do kuchni, kiedy panika na tyle we mnie przycichła, że do głosu mógł dojść apetyt. Kiedy jedliśmy banany i biszkopty, zza progu wyjrzała Adara i obiecała zostać z Terezą na noc. Depresja Adary dawała jej inną perspektywę niż nasza, a sama musiała kilka razy ostrożnie pozbierać się do kupy.

Pocałowałam ją w policzek, bo nie potrafiłam znaleźć słów, aby odpowiednio jej podziękować.

Danelle także poświęciła się dla sprawy, zapraszając Ogrodnika do swojego pokoju, jak miała w zwyczaju robić w czasach, kiedy zasłużyła sobie na drugie skrzydła. Nie sądzę, żeby nie zorientował się, jakie są tego powody, ale mimo to był wzruszony tym gestem, bo nawet jeśli nie było to dla jego dobra, to na pewno dla dobra Terezy. Dobry uczynek wobec innego Motyla równał się dobremu uczynkowi wobec niego.

Desmond nalał nam wspólną szklankę mleka i przysiadł obok mnie na blacie.

– Czy myślisz, że gdybym miał zrobić coś naprawdę żalostnego, mogłabyś udać, że ci się to podoba, żeby nie zranić mojego ego?

Rzuciłam mu ostrożne spojrzenie.

– Bardzo bym chciała, ale nie mogę tego zrobić, nie wiedząc, o co chodzi.

Jednym haustem opróżnił szklankę do połowy.

– Chodź. Pokażę ci.

– Czy to nadal jest okej, jeśli powiem, że się boję, ale pójdę z tobą?

– Musi mi to wystarczyć. – Ściągnął mnie z blatu, wziął za rękę i poprowadził z kuchni do Ogrodu. Na zewnątrz wciąż było jeszcze odrobinę jasno, na niebie malowały się światła zmierzchu i obserwowałam zmieniające się na nim kolory. Poprowadził mnie za wodospad do jaskini, po czym puścił moją dłoń.

– Poczekaj tutaj.

Wrócił niecałą minutę później.

– Zamknij oczy.

Kiedy Desmond kazał mi coś zrobić – a konkretniej, kiedy rzeczywiście to zrobiłam – nie czułam się, jak gdybym jedynie się podporządkowywała. Podporządkowywałam się Ogrodnikowi, podporządkowywałam się Avery’emu.

Desmond bardziej uważał, o co mnie prosi.

Wodospad zagłuszył odgłosy jego ruchów, ale po chwili usłyszałam muzykę. Muzykę, którą znałam. *Sway* była ulubioną piosenką Sophii, tą, do której tańczyła z dziewczynkami pod koniec każdej ich wizyty i której nie potrafiła

wysłuchać do końca, żeby się nie rozplakać. Desmond wziął mnie za rękę, jedną z nich położył na swoim biodrze i zrobił krok w moją stronę.

– Otwórz oczy.

Na suchym fragmencie skalnej podłogi, niedaleko korytarza leżał iPod z głośnikami. Uśmiechnął się do mnie nieco niepewnie i krzywo wzruszył ramionami.

– Zatańczysz ze mną?

– Ja nigdy... ja nie... – Zrobiłam głęboki wdech i w jakiś sposób jego nerwowy uśmiech znalazł się na moich ustach. – Nie umiem tańczyć.

– Nie szkodzi. Ja umiem tylko walca.

– Umiesz walca?

– Charytatywne imprezy mamy.

– No tak. – Przyciągnął mnie jeszcze bliżej, aż dotykałam policzkiem jego ramienia, i kiwał się ze mną to w przód, to w tył. Trzymał nasze złączone dłonie przy swojej piersi, a drugą dłonią zjechał do nasady moich pleców. Cicho, na początku prawie niesłyszalnie zaczął śpiewać wraz z piosenką. Pozwoliłam mu prowadzić i wtuliłam twarz w jego ramię, aby ukryć to, co mogła wyrażać moja twarz.

Jest taki moment, kiedy wiesz, że nagle wszystko się zmienia. Większość ludzi czuje to w życiu wiele razy.

Doznałam tego, kiedy miałam trzy lata i zdałam sobie sprawę, że mój tata nie

jest jak reszta jego rodziny.

Doznałam tego, gdy miałam sześć lat i siedziałam na tej pieprzonej karuzeli, podczas gdy wszyscy ode mnie odchodzili.

Doznałam tego, kiedy musiałam pojechać taksówką do babci, kiedy babcia umarła, kiedy Noémie nalała mi w mieszkaniu pierwszego drinka.

Doznałam tego, kiedy obudziłam się w Ogrodzie, kiedy dostałam nowe imię, które miało unicestwić to, kim byłam wcześniej.

I teraz, w ramionach tego dziwnego, uchylającego się od odpowiedzialności chłopaka wiedziałam, że nawet jeśli nic innego się nie zmieniło, to wszystko jest inaczej.

Może mogłabym go zmienić. Przekonać albo przechytryć, albo zmanipulować tak, by pomógł mi uzyskać wolność, której chciałam dla wszystkich nas – ale to też miało swoją cenę.

– Des...

Czułam, jak uśmiecha się przy mojej skroni.

– Tak?

– Mogłabym cię teraz nieco nienawidzić.

Nie przestał tańczyć, ale uśmiech trochę przygasł.

– Dlaczego?

– Dlatego że to jest poważnie pojebane. – Zrobiłam powolny, głęboki wdech i zaczęłam się zastanawiać, co powiedzieć dalej. – I dlatego że to mi złamie serce.

– Czy to znaczy, że ty też mnie kochasz?

– Moja matka nauczyła mnie, że to mężczyzna musi to wyznać pierwszy.

Nieco odchylił się do tyłu, tylko na tyle, aby móc dostrzec moją minę.

– Naprawdę?

– Tak.

Nie sądzę, by był w stanie stwierdzić, czy mówiłam poważnie, czy nie.

Piosenka się skończyła i zmieniła na coś, co pewnie powinnam umieć rozpoznać, a on odsunął się ode mnie.

– A komu to wyznaję? Bo może odpowiadasz na imię Maya, ale nią nie jesteś.

Pokręciłam głową.

– Nie mogę tak myśleć. Nie, kiedy nie mam szans znów być tą osobą.

Zrobił ponurą minę, ale szczerze mówiąc, czego się spodziewał? Wtedy uklęknął na jedno kolano, trzymając mnie za obie dłonie, i uśmiechnął się do mnie.

– Kocham cię, Mayu, i przyrzekam, że nigdy cię nie skrzywdzę.

Wierzyłam tylko w część tego wyznania.

Nie chciałam jednak czuć się winna z tego powodu.

Ale tak się czułam, przykucnęłam więc na jego kolanie i pocałowałam go, a on tak się wczuł w ten pocałunek, że stracił równowagę i oboje przewróciliśmy

się na wilgotny kamień. Roześmiał się i dalej mnie całował, i wiedziałam, że nigdy nie uwierzę w resztę. Desmond nie był dobry, nieważne, jak bardzo chciał taki być, a bycie lepszym od reszty jego rodziny nie wystarczało. Dzień w dzień, kiedy pomagał nas tu przetrzymać, wyrządzał mi krzywdę.



– Tamtym razem nie recytowałam Poe'go, na wypadek gdybyś się zastanawiał.

– Nie mam wątpliwości, że byłaś wtedy w pełni skoncentrowana – Victor odpowiada oschle. – Mówiłaś poważnie?

– Z czym? Ze mną i Desem?

– To też, ale bardziej z tym, co powiedziałaś o swojej matce.

– Szczerze mówiąc, tak.

Zastanawia się nad tym przez chwilę, próbuje dostrzec w tym sens.

Nie udaje mu się.

– Nadal chcesz się dowiedzieć, kim jestem i skąd pochodzę?

– Tak.

– Dlaczego?

Victor wzdycha i kręci głową.

– Bo nie mogę zrobić świadka z pozorantki.

– Nie jestem pozorantką. Jestem starannym i autentycznym tworem.



Nie powinien się roześmiać. Naprawdę nie powinien się roześmiać, ale się śmieje i nie może przestać, aż opiera się o stół, próbując przynajmniej stłumić odgłosy. Kiedy w końcu spogląda w górę, Inara uśmiecha się do niego, tym razem prawdziwym uśmiechem, który on z wdzięcznością odwzajemnia.

– Prawdziwe życie wszystko utrudnia, co? – pyta delikatnie i jego śmiech milknie.

– Pytasz mnie szczerze?

– Zadawanie mi pytań boli, słuchanie odpowiedzi boli, nawet jeśli w życiu nasłuchałeś się już o tylu strasznych rzeczach. Lubię cię, agencie specjalny Victorze Hanoverianie. Twoje córki mają szczęście. To już zresztą prawie koniec tej historii. Już nie będzie długo boleć.



Koniec lata przyniósł zmianę w Ogrodzie. Desmond spędzał z nami tyle czasu, że stał się stałym elementem tego miejsca i choć byłam jedyną dziewczyną, której dotykał, nie byłam jedyną, która lepiej go poznała. Tereza rozmawiała z nim więcej niż ze mną, bo muzyka przekraczała granice naszej klatki i sprawiała, że zapominała o swoim nieszczęściu, nawet jeśli tylko na chwilę. Bliss zdawała się lubić Desmonda, choć nie założyłabym się o to, ile z tej sympatii miało związek ze mną.

Stopniowo dziewczyny zaczęły się przy nim czuć tak swobodnie, jak nigdy

nie mogłyby się czuć przy jego ojcu lub bracie, bo on niczego od nich nie chciał. Większość z nich straciła nadzieję, że kiedykolwiek zostaną uratowane, nie czuły więc wielkiego żalu, że niczego nie zgłosił policji.

A Ogrodnik był wniebowzięty.

Kiedy po raz pierwszy rozmawialiśmy o Desie, powiedział, że matka jest z niego dumna. Wcześniej sądziłam, że on nie jest, ale teraz zmieniłam zdanie. On zawsze był dumny z Desmonda, ale przed dziewczyną znającą tylko Avery'ego musiał wyróżnić syna, który otwarcie dzielił tę samą fascynację przetrzymywaniem kobiet wbrew ich woli. Teraz, skoro Desmond stał się częścią Ogrodu, jego ojciec osiągnął pełnię szczęścia. Tereza przeszła tego lata tylko jedno załamanie. Nie było żadnych wypadków, żadnych dwudziestych pierwszych urodzin, niczego, co zmusiłoby nas, by pamiętać, że nie możemy przynajmniej odrobinę dobrze się bawić.

No, może z wyjątkiem tego, że Ogrodnik i Avery wciąż gwałcili nas, kiedy chcieli. To trochę psuło nastroje.

Ogrodnik zaczął mnie jednak inaczej traktować. Po tym, jak przespałam się z Desmondem, Ogrodnik już nigdy nie dotknął mnie w ten sposób. Traktował mnie jak... cóż, jak opiekunkę. Albo córkę. Nie byłam jak Lorraine, nie przestał żywić do mnie uczuć, ale postanowił, że teraz należę do Desmonda. Z Averym mógł się dzielić. Desmondowi oddawał.

Popierdalone, co nie?

Ale przez jakiś czas byłam skłonna zaakceptować to bez sprzeciwu. Jeśli miałam mieć jakąkolwiek nadzieję na zrobienie pożytku z Desmonda, to jego uczucie nie mogło być tylko fascynacją. Musiałam sprawić, żeby naprawdę mnie pokochał, by był skłonny o mnie walczyć, a to by się nie wydarzyło, gdyby wciąż dzielił mnie z ojcem i bratem.

Ogrodnik wyłączył nawet kamery w moim pokoju, bo Desmond go o to poprosił. Powiedział, że czuje się skrępowany myślą, że jego ojciec ogląda to, jak uprawia ze mną seks, zresztą czy nie można było mu zaufać, że nie robi mi krzywdy, skoro tak mnie kocha?

Zgoda, w ich wykonaniu ta rozmowa była pewnie bardziej elegancka i męska, ale gdy Bliss opowiedziała dziewczynom swoją wymyśloną wersję, prawie posikały się ze śmiechu.

Desmond wciąż był jednak synem Ogrodnika. Za każdym razem, kiedy próbowałam odprowadzić go do drzwi, grzecznie, ale stanowczo mnie odprawiał, żebym nie mogła zobaczyć, jak wprowadza kod.

– To by zniszczyło moją matkę – powiedział, kiedy w końcu o tym wspomniałam. Rozumiałam: podjęcie działań przeciw ojcu byłoby skomplikowane, ale czemu nie dać nam szansy, żebyśmy uratowały się same? – Nazwisko naszej rodziny, nasza reputacja, nasza firma... Nie mogę tego wszystkiego zniszczyć.

Bo nazwisko jest ważniejsze niż życie. Niż życie nas wszystkich.

W weekend przed rozpoczęciem jesiennego semestru w Ogrodzie odbył się koncert. Desmond przyniósł lepsze głośniki, ustawił je na klifie i tylko na jeden wieczór Ogrodnik dał nam kolorowe sukienki, słodycze i przekąski, i kurwa mać, to było żałosne, jak tamtego wieczoru byliśmy szczęśliwe. Nadal byliśmy więźniarkami, nadal śmierć siedziała nam na ramieniu i odliczała dni do naszych dwudziestych pierwszych urodzin, ale tamten wieczór i tak był magiczny. Wszystkie się śmiałyśmy, tańczyłyśmy i śpiewałyśmy, nieważne, jak okropnie tańczyli z nami Ogrodnik i Desmond.

Avery siedział na uboczu z naburmuszoną miną, bo całe to wydarzenie było pomysłem Desmonda.

Kiedy wszystko posprzątałyśmy i dziewczyny rozeszły się do swoich pokoi na noc, Des przyniósł do mnie maleńki głośniczek, więc tańczyliśmy dalej, bujaliśmy się w miejscu i całowaliśmy. Intymność z Desem, tak samo jak intymność z jego ojcem, nie była prawdziwa, ale nie zdawał sobie z tego sprawy. Nigdy mu tego nie wyznałam, a on myślał, że ja też go kocham. Sądził, że tak wygląda szczęście, że w jakiś sposób tworzymy zdrowy i stabilny związek, że łączy nas uczucie, wokół którego buduje się życie. Albo nie zauważał, albo puszczał mimo uszu moje częste powtórzenia, że zwierzęta w klatce żyją o wiele krócej.

Des strasznie chciał być dobry i czynić dobro, ale nasze okoliczności się nie zmieniły i nic nie zapowiadało tego, by miało stać się inaczej.

Kiedy w końcu padliśmy na łóżko, od jego pocałunków prawie kręciło mi się w głowie, a on nie mógł przestać się śmiać. Jego dłonie błądziły wszędzie i podążał za nimi ustami, jego śmiech łaskotał moją skórę. Seks z Desem nie był intymnym doznaniem, ale dobrze się przy tym bawiłam. Droczył się ze mną, aż dostałam szału i w końcu przetoczyłam się na niego, skrępowałam mu ruchy, przygryzając wargę, gdy go dosiadałam. Stękał i poruszał biodrami, po czym roześmiał się, kiedy zaczęła lecieć naprawdę niestosowna piosenka. Kiedy klepnęłam go po brzuchu, usiadł, aby znów zacząłować mnie do nieprzytomności, po czym popchnął mnie na plecy.

I wtedy właśnie zobaczyłam, jak w wejściu stoi Avery i wykrzywając twarz, robi sobie dobrze.

Jęknęłam z zaskoczenia – nie jestem z tego dumna – i Desmond podniósł głowę, żeby zobaczyć, co mnie przestraszyło.

– Avery! Wynoś się!

– Mam do niej takie samo prawo jak ty – warknął starszy z braci.

– Wynoś się!

Jakaś mała cząstka mnie prawie umarła ze śmiechu. Całe szczęście tkwiła ściśnięta przez ogólne poczucie wściekłości i zażenowania. Chciałam sięgnąć po

koc, ale Avery już wcześniej widział mnie całą, a Desmond... cóż, jego intymne miejsca nie były w tym momencie na wierzchu. Przymknęłam oczy, podczas gdy oni klócili się nade mną, bo nie chciałam wiedzieć, czy Avery nie przerwał zabawy w trakcie rozmowy z bratem.

I ponieważ śmiech prawie we mnie wygrywał.

Wtedy wszedł Ogrodnik. No przecież.

– Co tu się, do cholery, wyprawia? Avery, schowaj to.

Otworzyłam oczy i zobaczyłam, jak Avery zasuwa spodnie, a Ogrodnik próbuje zapiąć koszulę. No proszę, rodzina w komplecie z wyjątkiem Eleanor. Przeklinając pod nosem, Desmond wyszedł ze mnie i podał mi sukienkę, zanim sięgnął po spodnie.

Czasem diabeł tkwi w szczegółach.

– Możecie mi wyjaśnić, dlaczego awanturujecie się na cały Ogród? – Ogrodnik domagał się wyjaśnień niskim i niebezpiecznym tonem.

Bracia zaczęli mówić jeden przez drugiego, ale ojciec przerwał im ostrym gestem.

– Mayu?

– Des i ja uprawialiśmy seks, a Avery postanowił się wprosić na imprezę. Stał w wejściu i walił konia.

Ogrodnik skrzywił się na mój ordynarny język, po czym utkwiał spojrzenie w swoim pierworodnym i do jego złości dołączyło obrzydzenie i groza.

– Coś ty sobie myślał?

– Dlaczego on może ją mieć? Nigdy nie pomógł ci tu nikogo sprowadzić, nigdy nie pojechał z tobą ich szukać, ale dajesz mu ją jak jakąś pieprzoną żonkę, a mnie nie wolno jej tknąć?

Minęła chwila, zanim Ogrodnik zebrał się, by coś powiedzieć.

– Wybaczysz nam, Mayu?

– Oczywiście – odpowiedziałam grzecznie. Bo grzeczność to taka sama suka jak pogarda. – Mam wyjść?

– Ależ skąd, to twój pokój. Desmondzie, dołącz do nas, proszę. Avery. Idziemy.

Zostałam na łóżku do chwili, aż nie mogłam już dosłyszeć ich kroków, po czym szybko wciągnęłam na siebie sukienkę i pobiegłam do pokoju Bliss. Siedziała na podłodze z bryłą gliny, a na kartce pergaminu przed sobą miała coś, co wyglądało jak rzeź misiów.

– O co tyle krzyku?

Rozłożyłam się na łóżku, opowiadając jej o całym zajściu, na co Bliss prawie pękła ze śmiechu.

– Jak myślisz, ile to jeszcze potrwa, zanim Ogrodnik całkowicie zakaze Avery'emu tu przychodzić?

– Nie wiem, czy mógłby to kiedykolwiek zrobić – odparłam z żalem. – Avery’ego trudno kontrolować, kiedy tu jest. Pomyśl, o ile to trudniejsze, kiedy jest na zewnątrz?

– Nigdy się nie dowiemy.

– To prawda.

Podawała mi kulkę gliny do ugniatania.

– Mogę ci zadać osobiste pytanie?

– W jakim sensie osobiste?

– Kochasz go?

Prawie zapytałam którego – zwłaszcza że przed chwilą rozmawialiśmy o Averym – ale zdałam sobie sprawę, co miała na myśli, na pół sekundy zanim zrobiłam z siebie idiotkę. Podniosłam wzrok na migającą, czerwoną lampkę kamery i zesłam z łóżka, żebyśmy siedziały czoło w czoło.

– Nie.

– To po co to wszystko robisz?

– Wierzysz, że jakiś Motyl uciekł?

– Nie. Może. W pewnym sensie. Czeka... o kurwa. Nagle świat znów ma sens. Myślisz, że się uda?

– Nie wiem – odpowiedziałam, ugniatając kulkę gliny. – Przeraza go to, że jest jak ojciec, ale czuje też... dumę? Po raz pierwszy w życiu ma pewność, że ojciec jest z niego dumny. A to wciąż znaczy dla niego więcej niż ja. Jest zbyt przestraszony, by odróżnić dobro od zła.

– Gdyby Ogród nie istniał, gdybyś poznała go w bibliotece czy coś, myślisz, że byś go pokochała?

– Szczerze? Chyba nie znam takiej miłości. Widziałam ją u innych ludzi, ale dla mnie? Może po prostu nie jestem do niej zdolna.

– Nie potrafię zdecydować, czy to smutne, czy bezpieczne.

– Nie widzę powodu, żeby nie mogło być takie i takie.

Para po drugiej stronie ulicy kochała się niemal do nieprzytomności, a pojawienie się dziecka jakoś jeszcze bardziej ich dopełniło, zamiast zakłócić tę pierwotną relację. Rebekah, kierowniczką sali w Gwieździe Wieczornej, do szaleństwa kochała swojego męża, który tak na marginesie był bratankiem Guiliana, i czasem, gdy widziałam ich razem, robiło mi się ciepło na sercu.

Oczywiście nawet wtedy, gdy robiliśmy sobie z nich żarty.

Łączyło to też Takiego i Karen, ich córkę i jej żonę też.

Ale za każdym razem, kiedy widziałam takie uczucie, wiedziałam, że mam do czynienia z czymś wyjątkowym, czymś, co nie wszyscy mogą znaleźć, co nie wszyscy potrafią rozpoznać i podtrzymać.

A ja szczerze przyznaję, że jestem nieźle pojebanym człowiekiem.

– Szczera odpowiedź. I uczciwa. – Bliss wzięła ode mnie glinę i podała mi

kolejny kawałek w kolorze fuksji, który pozostawił mi na skórze jaskrawe zacieki.  
– Nigdy ci tak naprawdę nie dziękujemy.

– Co?

– Opiekujesz się nami – powiedziała po cichu, wlepiając błyszczące niebieskie oczy w misia, który powstawał w jej dłoniach. – Nie że masz matczyne instynkty czy coś, bo naprawdę, w cholerę z tym. Ale mówisz, jak jest, słuchasz i mieszasz się w różne sprawy z Ogrodnikiem w tym jego prywatnym apartamencie.

– Nie musimy o tym rozmawiać.

– Dobra. Daj mi glinę i idź umyć ręce.

Speszona zrobiłam to, co kazała, i zmyłam ze skóry fuksjowe ślady. Podała mi turkusową kulkę. Tym razem, kiedy usiadłam obok niej, lepiej przyjrzałam się wszystkim elementom. Połowa rozrzuconych części misiów – głowy, łapki i ogonki – była czarna, a reszta biała. Niektóre z nich były już poskładane i w mundurkach – czarne w odcieniach czerwieni, a białe w odcieniach niebieskiego. Połowa figurek z każdego koloru była nieco większa, a ich mundury bardziej zdobne. Kilka misiów miało też swoje pary.

– Robisz szachy?

– Za kilka tygodni Nazira będzie obchodzić dwudzieste urodziny.

Moje osiemnaste urodziny wypadły kilka miesięcy później, ale w Ogrodzie zwykle nie świętowało się urodzin. To zakrawałoby na kpinę, jak gdybyśmy świętowały to, że mało czasu zostało nam do śmierci. Inni ludzie patrzyli na urodziny i mówili: „Hurra! Rok do przodu!”. My w dzień urodzin mówiłyśmy: „Kurwa, został mi rok mniej”.

– To nie jest prezent urodzinowy – powiedziała z kwaśną miną. – To raczej prezent pod tytułem „Przykro mi, że twoje życie jest do bani”.

– Dobry prezent.

– I beznadziejna okazja – przyznała. Rozwałkowała w dłoniach złotą kulkę gliny, uformowała ją w linę, złożyła w pół, skręciła i czerwony król dostał naramienny sznur. – Nienawidzisz go choć odrobinę?

– Więcej niż odrobinę.

– Sprzeciwiłby się całej rodzinie.

– Teraz sprzeciwia się ludzkiej przyzwoitości i prawu – westchnęłam. Rzuciłam jej zmiękczoną glinę, a ona podała mi niebieską. Wiedziałam, że nie powinnam jej pytać, czy mogę zrobić jednego misia. Moje dzieła były do dupy. – Bliss, zapewniam cię, że nie ma w tej sytuacji ani jednej rzeczy, nad którą się porządnie nie zastanowiłam. To wszystko już dawno przestało mieć sens, jeśli w ogóle kiedykolwiek go miało.

– No to rób, co uważasz, i zobaczymy, co się stanie.

– Właśnie.

– Uwaga, idzie.

W korytarzu rozległ się odgłos kroków i po chwili do pokoju wszedł Desmond. Usiadł na podłodze obok mnie i podał każdej z nas po pomarańczy.

– Czy to szachy?

Bliss przewróciła oczami i nie odpowiedziała, więc gdy ona robiła misie-żołnierzyki, ja ugniatałam glinę, a Desmond bawił się swoim iPodem i przenośnymi głośnikami.

A pomarańcza? Pierwszy i jedyny raz udało mi się obrać skórkę w idealną spiralę.



Eddison w końcu wraca, trzymając w dłoniach dwie torby. W jednej znajdują się butelki z wodą i napojami, w drugiej coś, co okazuje się kanapkami z klopsikami. Kiedy podaje jedną dziewczynie, wyciąga też z kieszeni małą torebkę i kładzie ją przed nią na stole.

Dziewczyna podnosi ją i wpatruje się w jej zawartość.

– Mój mały niebieski smok!

– Pogadałem z technikami na miejscu zdarzenia. Powiedzieli, że twój pokój ochronił klif. – Siada naprzeciw niej i zajmuje dłonie odwijaniem kanapki. Z grzeczności Victor udaje, że nie widzi jego rumieńców. – Wszystko spakują do pudeł i oddadzą ci po przeanalizowaniu dowodów, ale byli na tyle mili, że to dali

mi w ramach zaliczki.

Inara otwiera torebkę i zaciska w dłoniach małą figurkę z gliny, gładząc kciukiem maleńkiego, ubranego w pizamę misia, którego smok trzyma pod pachą.

– Dziękuję – szepcze.

– Zrobiłaś się bardziej otwarta. W pewnym sensie.

Dziewczyna się uśmiecha.

– Vic, technicy na miejscu przeszukują dom. Dadzą nam znać, jeśli znajdą zdjęcia.

Na czas jedzenia rozmowa cichnie. Inara musi owinać swoje poranione dłonie w serwetki, żeby móc utrzymać w nich gorącą kanapkę. Gdy kończą jeść i sprzątają śmieci, podnosi małego smutnego smoka i zamyka go w dłoniach.

Victor postanawia, że teraz jego kolej na bycie odważnym.

– Co się stało z Averym?

– To znaczy?

– Czy ojciec go ukarał?

– Nie, odbyli tylko długą rozmowę o szanowaniu cudzej prywatności i o tym, jak to Motyle to nie rzeczy, które przechodzą z rąk do rąk, lecz istoty, które należy czcić. Kiedy Des o tym opowiadał, wypłynęło też, że Avery'emu w ogóle nie wolno było mnie dotykać przez incydent z wypalaniem znamion. Ale przy nim określano to enigmatycznie jako „wcześniejszy wypadek”, a Des nigdy nie zapytał o bliznę na moim biodrze. Kiedy się nie pyta, można trzymać głowę w piasku.

– Więc wszystko wróciło do normy.

– Do tego, jak było.

– Ale coś musiało się zmienić.

– Coś się zmieniło. To coś miało na imię Keely.





Albo dokładniej na imię miało Avery, którego ofiarą była Keely.

Kiedy znów rozpoczął się rok akademicki, widywałam Desmonda o wiele rzadziej. To był jego ostatni rok i miał harmonogram pełen zajęć, ale przychodził wieczorami z podręcznikami, żeby się uczyć, i tak jak kiedyś w mieszkaniu pomagałam się uczyć Whitney, Amber i Noémie, tak pomagałam i jemu. Bez alkoholu. Bliss też pomagała, nabijając się z niego za każdym razem, gdy udzielił złej odpowiedzi.

A nawet nie w pełni poprawnej.

Tak naprawdę Bliss szukała każdej możliwej okazji, żeby się z niego pośmiać.

Nastrój Avery'ego z paskudnego zrobił się jeszcze gorszy, im dłużej obserwował, jak jego brat staje się taką ważną osobą w Ogrodzie. Jak wspominałam, większość Motyli bardzo lubiła Desmonda. O nic ich nie prosił. Co najwyżej zadawał im pytania, na które mogły odpowiedzieć lub nie.

Czasem pytał o ich imiona, ale to się stało w Ogrodzie pewnego rodzaju tradycją, że swoje prawdziwe imię i nazwisko podawało się na pożegnanie. Ale powiedziałyśmy mu, że Simone kiedyś nazywała się Rachel Young, a Lyonette – Cassidy Lawrence. Podałyśmy mu wszystkie znane nam nazwiska, których wyjawienie nie mogło już zagrozić ich właścicielkom. Desmond nie stanowił dla nich zagrożenia.

Za to Avery tak mocno poturbował Zarę podczas seksu, że ojciec zakazał mu przychodzenia do Ogrodu na cały miesiąc, a nawet podrzucił mu leki nasenne, żeby

uniknąć spowodowanej tym awantury. Zara ledwo mogła po tym chodzić i każda część jej ciała była posiniaczona. Któraś z nas zawsze przy niej czuwała, żeby pomóc jej w podstawowych czynnościach, takich jak kąpiel, korzystanie z toalety czy jedzenie.

Lorraine była całkiem kompetentną pielęgniarką – nawet jeśli nie miała w sobie za grosz współczucia – ale nie cudotwórczynią.

W biodro Zary wdała się infekcja i albo trzeba było zabrać ją do szpitala, albo umieścić w szkle.

Można się chyba domyślić, co wybrał Ogrodnik.

Po raz pierwszy poinformował nas o tym rano, żebyśmy mogły spędzić z Zarą jej ostatni dzień i się z nią pożegnać.

Spojrzałam na niego z ukosa, gdy to ogłosił, na co on uśmiechnął się półgębkiem i ucałował mnie w skroń.

– Nawet jeśli to tylko przelotny uścisk lub skradziony szept, w takich chwilach dzielicie się z sobą różnymi emocjami. Jeśli mogę zaoferować Zarze i pozostałym Motylom jakiegokolwiek pocieszenie, to chcę, żebyście je otrzymały.

Podziękowałam mu, bo zdawał się tego oczekiwać, ale część mnie zastanawiała się, czy nie lepiej by było, żeby to wszystko zdarzyło się niespodziewanie, zamiast rozciągać sytuację na cały dzień.

Przed zajęciami Desmond przyniósł nam taczkę, żebyśmy mogły przetransportować Zarę do Ogrodu. Uśmiechnął się i pocałował mnie w policzek, po czym poszedł na uczelnię, a Bliss przeklęła tak siarczyście, że Tereza aż się zarumieniła.

– On nie wie, prawda? – wydyszała, kiedy w końcu mogła użyć innego języka niż wulgaryzmów. – On naprawdę nie ma zielonego pojęcia.

– Wie, że Zara jest chora. Wydaje mu się, że robi coś miłego...

– To... to...

Niektóre rzeczy nie potrzebują tłumaczenia.

Tego popołudnia Ogrodnik spacerował z żoną po zewnętrznej szklarni, która znajdowała się o wiele bliżej, niż się nam zdawało. Zara podciągnęła się, by usiąść na łóżku. Jej ognistorude włosy były matowe od potu.

– Mayu? Bliss? Możecie mnie trochę przewieźć?

Położyłyśmy w taczce złożony koc oraz kilka poduszek na dnie i po bokach, stabilizując jej biodro na tyle, na ile się dało. Nie była to jej jedyna połamana kość, ale zdecydowanie najbardziej bolesna.

– Tylko kółko po korytarzu – poinstruowała.

– A co, szukasz nowego mieszkania? – zapytała Bliss, a Zara pokiwała głową.

Nie dało się nad tym nie zastanawiać. W której gablocie się znajdziesz, kiedy umrzesz. Byłam prawie pewna, którą Ogrodnik wybrał dla mnie: znajdowała się

tuż obok Lyonette i widać ją było z jaskini. Bliss sądziła, że ją umieści po mojej drugiej stronie i będziemy już na zawsze stać we trzy razem w pieprzonej ścianie dla przyszłych pokoleń Motyli, które miały się tu przechadzać w strachu, gdy nas już nie będzie.

Szłyśmy powoli przez korytarz, ja popychałam taczkę, a Bliss starała się ustabilizować przód. Zara zatrzymała nas w pobliżu głównego wyjścia, gdzie powietrze wypełniał zapach kapryfolium i mieszał się z bardziej chemiczną wonią z jednego z pomieszczeń, którego wnętrza nigdy nie widziałyśmy. Tak samo jak w przypadku studia tatuażu, pokoju Lorraine i byłego pokoju zabaw Avery'ego, ściany były tam nieprzejryste, z panelem numerycznym przy solidnych drzwiach. Nie powinnyśmy tu być.

A ja nadal nie widziałam, jak Des wprowadza swój kod.

– Myślisz, że gdybym go poprosiła, to dałby mi tę gablotę?

– Przy kapryfolium?

– Wszystkie unikamy tej części. Wtedy nie byłabym taka widoczna.

– Zapytaj go. W najgorszym wypadku ci odmówi.

– Gdybym poprosiła was teraz, żebyście mnie zabiły, zrobiłybyście to?

Wpatrywałam się w pustą gablotę, bo nie chciałam widzieć, czy mówi poważnie, czy nie. Zara potrafiła być okrutna, dręczyć inne dziewczyny aż do łez, ale nie miała zbyt wybujałego poczucia humoru.

– To chyba znaczy, że nie jestem aż tak dobrą przyjaciółką – odezwałam się w końcu.

Bliss nic nie powiedziała.

– Myślisz, że to boli?

– On mówi, że nie.

– I ty mu wierzysz?

– Nie – odparłam z westchnieniem, opierając się o framugę drzwi prowadzących na zewnątrz. – Wydaje mi się, że on nie wie, jak to naprawdę jest. On chyba chce wierzyć, że nie ma bólu.

– Jak myślicie, jaka ona będzie?

– Kto?

– Następna Nowa. – Zara wyciągnęła szyję, żeby spojrzeć na mnie swoimi rozgorączkowanymi oczami. – Już dawno nie był na polowaniu. Od czasu Terezy. Zrobił się taki szczęśliwy, odkąd pojawił się tu Desmond, że nawet nie szukał następnej dziewczyny.

– Może już nie będzie.

Prychnęła.

W rzeczywistości nie zawsze to robił. Czasem jakaś dziewczyna umierała, a on nie szedł na polowanie. Do czasu aż umarła następna. Czasem przyprowadzał jedną, rzadziej dwie, choć nie zrobił tego ani razu podczas mojego pobytu tutaj.

Podjęmowanie prób zrozumienia motywów działania Ogrodnika było bezcelowym zajęciem.

Nadal tam stałyśmy, kiedy Lorraine wyszła ze swojego pokoju, by zacząć przygotowania do obiadu. Na początku się zlekła i jedna z jej dłoni poszybowwała do ciemnych, kasztanowych włosów, przetykanych tu i tam srebrnymi pasmami. Nie ścinała ich i upinała wysoko, tak jak lubił Ogrodnik. Mimo że nigdy na nią nie patrzył, nigdy tego nie komentował, nadal nosiła je w ten sposób. Spojrzała na zabandażowaną Zarę, na to, jaka była blada, jeśli nie liczyć dwóch jaskrawoczerwonych plam na policzkach, a potem na pustą gablotę.

Zara przymrużyła oczy.

– Chciałabyś tam być, co, Lorraine?

– Nie muszę z tobą rozmawiać – powiedziała kobieta.

– Wiem, jak możesz się tam znaleźć.

W gasnących niebieskich oczach pojawiła się podejrzliwość przemieszana z nadzieją.

– Naprawdę?

– Tak. Musisz tylko w magiczny sposób zrobić się o trzydzieści lat młodsza.

Wtedy na pewno Ogrodnik wsadziłby cię do gabloty.

Lorraine pociągnęła nosem i poszła dalej, po drodze uderzając Zarę w kostkę. Ten ruch uraził zakażone biodro i dziewczyna zdusiła w sobie krzyk.

Bliss podążyła wzrokiem za siostrą-kucharką.

– Przyślę Danelle, żeby wam pomogła.

– A co? Gdzie ty... – Raz jeszcze spojrzałam na jej minę. – Dobra.

Nieważne. Danelle.

Stękająca Zara i ja patrzyłyśmy, jak się oddala.

– Jak myślisz, co ona knuje? – zapytała po chwili.

– Nie pytam i nie chcę wiedzieć z wyprzedzeniem – powiedziałam z zapalem. – W zależności od tego, co to jest, mogę też nie chcieć wiedzieć po fakcie.

Kilka minut później nie tylko Danelle, ale i skołowana Marenka dołączyły do nas na korytarzu.

– Mam pytać o to, co robi Bliss?

– Nie – odpowiedziałyśmy chórem.

– Więc nie powinnam się zastanawiać, dlaczego pożyczyła moje nożyczki? – wymamrotała Marenka z dłonią przy szyi, gdzie zwykle zwisały na wstążce jej małe, hafciarskie nożyczki.

– Nie.

Danelle zamyśliła się nad tym przez moment, ale po chwili delikatnie dotknęła krawędzi taczki i zmieniła temat.

– Do Ogrodu? Czy z powrotem do twojego pokoju?

– Do pokoju – stęknęła Zara. – Chyba muszę wziąć kolejną pastylkę.

Razem z Danelle i Marenką usadowiłam ją z powrotem na łóżku ze szklanką wody i pastylką, która rozwiązuje wszystkie problemy. Wtedy do środka weszła Bliss, trzymając dłonie za plecami, z nadzwyczaj zadowoloną miną.

O Boże, nie chciałam wiedzieć.

– Mam dla ciebie prezent, Zaro – oznajmiła radośnie.

– Głowa Avery’ego na srebrnej tacy?

– Blisko. – Rzuciła jej coś na kolana.

Zara podniosła to do góry z niedowierzaniem, po czym wybuchnęła śmiechem. Prezent dyndał jej w garści, a jego luźne końce powoli wymykały się ze splotu.

– Warkocz Lorraine?

– Miłej zabawy!

– Myślisz, że mogłabym zabrać go ze sobą?

Danelle potarła końce włosów między palcami.

– Mogłybyśmy upleść z nich podwiązki.

– Albo wpleść ci je we włosy jak doczepy.

– I zrobić z nich koronę.

Wszystkie dziewczyny, które tamtego popołudnia i wieczoru pojawiły się w pokoju Zary, miały własne sugestie, jak to zrobić. Oznaką naszej wspólnej pogardy dla Lorraine było to, że żadna z nas nie wyraziła żalu ani współczucia wobec naszej siostry-kucharki. Kiedy nadeszła pora obiadu, wzięłyśmy swoje tace i zebrałyśmy się u Zary, wszystkie dwadzieścia parę, siedząc na łóżku, na podłodze, nawet pod prysznicem.

Adara uniosła szklankę soku jabłkowego.

– Za Zarę, która potrafi pluć nasionami najdalej w całym Ogrodzie.

Wszystkie się roześmiałyśmy, nawet Zara, która uniosła do toastu szklankę wody.

Nazira wstała następna, co chyba we wszystkich nas wzbudziło pewne obawy: Nazira i Zara dogadywały się mniej więcej tak samo dobrze jak Desmond i Avery.

– Za Zarę, która jest straszną suką, ale naszą suką.

Zara posłała jej buziaka.

To było chore. Nie sądzę, żeby choć jedna z nas miała co do tego wątpliwości. To było chore i złe, i głęboko nienormalne, a mimo to sprawiło, że wszystkie poczułyśmy się o wiele lepiej. Jedna po drugiej wstawiałyśmy i wznosiłyśmy toast za Zarę, niektóre prześmiewczym tonem, inne bardziej poważnie i oczywiście polało się mnóstwo łez, nawet jeśli nie moich. Może Ogrodnik miał rację, może to naprawdę pomagało.

Kiedy nadeszła moja kolej, wstałam i podniosłam swoją szklankę wody.

– Za Zarę, która opuszcza nas przedwcześnie, ale którą będziemy pamiętać, przymykając oko na makabryczne szczegóły do końca naszego życia.

– Bez względu na to, jak szybko to nastąpi – dodała Bliss.

Jak bardzo miałyśmy pojebane w głowach, że się roześmiałyśmy?

Kiedy każda z nas miała już okazję wznieść toast, Zara raz jeszcze uniosła szklankę.

– Za Zarę – powiedziała cicho. – Bo kiedy umrze, Felicity Farrington w końcu zazna spokoju.

– Za Zarę – mruknęłyśmy wszystkie i opróżniłyśmy szklanki.

Kiedy przyszedł Ogrodnik, nie przyniósł sukienki, za to przyprowadził Desmonda i uśmiechnął się, widząc nas wszystkie razem.

– Już czas, moje panie.

Powoli wszystkie ucałowałyśmy Zarę, zebrałyśmy tace i wyszłyśmy z pokoju, po drodze otrzymując od Ogrodnika pocałunek w policzek. Poczekalam do samego końca, przycupnąwszy na skraju łóżka, i po raz ostatni ujęłam lepką dłoń Zary. Przetykany siwizną warkocz Lorraine był przypięty jak tiara wokół jej własnego warkocza upiętego w wianek wokół jej głowy.

– Mogę coś dla ciebie zrobić? – szepnęłam.

Sięgnęła pod poduszkę i podała mi sfatygowany egzemplarz *Snu nocy letniej* z pozaginanymi oślimi uszami, zamazany zakreślaczem i z notatkami w każdym wolnym miejscu.

– W szkole bardzo interesowałam się teatrem – powiedziała cicho. – Kiedy zostałam porwana w parku, miałam się spotkać z koleżankami na próbie. Spędziłam trzy lata, planując inscenizację, której nigdy nie wystawię. Mogłybyście z Bliss odczytać ją razem ze wszystkimi? Żebyście... mogły mnie dzięki temu pamiętać?

Wzięłam książkę i przycisnęłam ją sobie do serca.

– Obiecuję.

– Opiekuj się kolejną dziewczyną i nie odwiedzaj mnie za często, dobrze?

– Dobrze.

Przytuliła mnie mocno, zagłębiając palce w moje ramiona. Mimo że wydawała się spokojna, widziałam, że się trzęsie. Pozwoliłam jej obejmować się tak długo, jak chciała, a kiedy w końcu wzięła długi wdech i mnie puściła, pocałowałam ją w policzek.

– Poznałam cię niedawno, Felicity Farrington, ale kocham cię i zawsze będę cię pamiętać.

– Nie mogę chyba prosić o więcej – powiedziała na wpół z uśmiechem. – Dziękuję, prawdziwie i szczerze, za wszystko. Dzięki tobie wszystko było łatwiejsze.

– Żałuję, że nie mogłam zrobić więcej.

– Rób to, co możesz. Reszta zależy od nich. – Skinęła głową na mężczyznę w drzwiach. – No to do zobaczenia za kilka dni.

– Przy kapryfolium, żebyśmy prawie nigdy cię nie widywały – przytaknęłam niemal niesłyszalnym tonem. Ucałowałam ją raz jeszcze i wyszłam z pokoju, trzymając książkę tak mocno, że zbiełały mi knykcie.

Ogrodnik spojrzał na warkocz, który wyraźnie nie należał do Zary, po czym znów na mnie.

– Lorraine płacze – mruknął. – Mówi, że Bliss ją zaatakowała.

– To tylko włosy – spojrzałam mu prosto w oczy. – Ona to nie ty ani twoi synowie. Nie musimy tolerować tego, że nas krzywdzi.

– Porozmawiam z nią. – Pocałował mnie w policzek i podszedł do Zary, ale Desmond pozostał z tyłu ze zmartwioną miną.

– Czy ja tu czegoś nie rozumiem? – zapytał mnie po cichu.

– Nawet nie wiesz ile.

– Wiem, że będziecie za nią tęsknić, ale zajmiemy się nią. Nic jej nie będzie.

– Przestań.

– Mayu...

– Nie. Nic nie rozumiesz. A powinieneś, wystarczająco dużo widziałeś. Ja wiem. Nie masz prawa mi mówić, że nic jej nie będzie. Dziś nie masz prawa mówić mi niczego.

Avery był pierwotnym synem Ogrodnika, ale w sprawach, które się liczyły, to Desmond był jego dziedzicem.

I niedługo dowiemy się, ile ma w sobie z ojca.

Obejrzałam się po raz ostatni na Zarę, ale Ogrodnik zasłaniał mi widok. Odeszłam, ignorując urażone spojrzenie Desmonda.

Gdy odniosłam tacę do kuchni – i spojrzałam ze złośliwą wyższością na przełykającą łzy Lorraine i jej niespełna trzycentymetrowego, poszarpanego jeża – odrzuciłam propozycję kilku dziewczyn, by zostać u nich na noc, i wróciłam sama do swojego pokoju. Po mniej więcej godzinie opadły ściany. Zara miała zbyt wiele obrażeń na ostatnią schadzkę, a poza tym był tam Desmond. Zwinęłam się w kłębek na łóżku ze sztuką, przeczytałam wszystkie notatki na marginesach i nieco lepiej poznałam Felicity Farrington.

Około trzeciej nad ranem uniosła się ściana, która blokowała wyjście na korytarz. Tylko ta jedna – ściany przez które można było zobaczyć gabloty, a jeśli przymrużyło się oczy, to także pokoje Marenki i Isary, pozostały na miejscu. Nie podnoszono ich od tygodni i było to dziwnie *cudowne* uczucie – nie widzieć martwych ciał za każdym razem, kiedy otworzyłam oczy. Zamknęłam książkę na palcu, szykując się na to, że w wejściu zobaczę Ogrodnika, z ręką na pasku od spodni i wzrokiem pełnym podekscytowania.

Ale stanął w nim Desmond. Od miesięcy nie widziałam, by jego

bladzielone oczy były równie udręczone i sine. Przytrzymał się szklanej ściany, żeby nie upaść. Ledwo trzymał się na nogach.

Całkowicie zamknęłam książkę, odłożyłam ją na półkę i usiadłam na łóżku.

Desmond zrobił kilka chwiejnych kroków do środka i z łoskotem upadł na kolana. Ukrył twarz w dłoniach, po czym wzdrygnął się gwałtownie, patrząc na swoje ręce, jakby w jakiś sposób były odseparowane od jego ciała. Wokół niego unosił się obrzydliwy, kwaśny zapach chemikaliów, ten sam, który wyczuwałam przy kapryfolium niedaleko wejścia do Ogrodu. Cały drżał i w pewnej chwili zgiął się w pół i przycisnął czoło do zimnej metalowej podłogi.

Minęło prawie dziesięć minut, zanim wydusił z siebie słowo, a nawet wtedy jego głos był ochrypły i niepewny.

– Powiedział, że się nią zajmie.

– I zajął.

– Ale on... on...

– Ulżył jej w bólu i uchronił ją przed rozkładem – powiedziałam obojętnym tonem.

– ...*zamordował* ją.

A więc jednak nie całkiem jak ojciec.

Ściągnęłam z siebie ubrania i uklęknęłam przed nim, po czym zaczęłam rozpinać mu koszulę. Spojrzał na mnie z obrzydzeniem i zaczął opędzać się od moich dłoni.

– Idziemy pod prysznic. Cały śmierdzisz.

– Formalina – wymamrotał. Tym razem pozwolił mi się rozebrać i poczłapał za mną przez pokój, żeby usiąść pod natryskiem. Odkręciłam kurek i połała się na niego ciepła woda.

W tym, co wydarzyło się dalej, nie było nic seksualnego. Czułam się, jakbym myła córki Sophii, kiedy były już na w pół śpiące. Kiedy powiedziałam mu, żeby podniósł ręce albo zamknął oczy, słuchał, ale w odrętwieniu. Mój szampon i żel pod prysznic miały bardzo kwiatowy, damski zapach, ale unyłam go nimi od stóp do głów, aż chemiczny swąd unosił się już tylko z jego ubrań.

Owinęłam Desmonda ręcznikami i użyłam jednego z jego butów, żeby wypchnąć ubrania na korytarz, a następnie wytarłam go. Cały czas musiałam ocierać mu twarz – pod prysznicem nie było widać, że po policzkach nieprzerwanie spływały mu łzy.

– Wstrzyknął jej coś, żeby zasnęła – szepnął. – Myślałem, że wyniesiemy ją do samochodu, ale on otworzył pokój, którego nigdy wcześniej nie widziałem. – Wstrząsnął nim silny dreszcz. – Kiedy zasnęła, ubrał ją w jakąś pomarańczowo-żółtą sukienkę i położył na stole prosektoryjnym, a potem... podłączył...

– Błagam, nie mówi mi – powiedziałam cicho.



– Nie, muszę ci powiedzieć, bo pewnego dnia on to samo zrobi z tobą, prawda? On właśnie tak was „zachowuje”: balsamując was żywcem. – Kolejny dreszcz, szloch łamiący mu głos, kolejne słowa. – Stał sobie i *wyjaśniał* mi wszystkie kroki po kolei. Żebym kiedyś mógł to zrobić sam. Powiedział, że miłość to coś więcej niż tylko przyjemność. Powiedział, że musimy być skłonni wykonywać też trudne rzeczy. Powiedział... powiedział...

– Spokojnie, nadal się trzęsiesz.

Pozwolił mi zaprowadzić się na łóżko i przykryć kołdrą. Usiadłam koło niego na kocu i położyłam dłonie na kolanach.

– Powiedział, że jeśli naprawdę cię Kocham, to nie pozwolę, by zajął się tobą ktokolwiek obcy.

– Des...

– Pokazał mi niektóre z pozostałych. Myślałem... myślałem, że on porzuci ją z powrotem na ulicy! Nie zdawałem sobie sprawy... – Załamał się kompletnie, płacząc z intensywnością, przez którą trzęsło się całe łóżko. Masowałam go po plecach kolistym ruchem, podczas gdy on dławił się łzami. Nie byłam w stanie pocieszyć go bardziej, bo on wciąż nie znał całej prawdy. ZARA miała infekcję kości, a on sądził, że załamane dziewczyny popełniają samobójstwo albo zaniedbują się tak, że umierają z wycieńczenia. Nie wiedział o granicy wieku.

Ale w tamtej chwili, kiedy sam był o krok od załamania, nie mogłam zdobyć się na to, by mu powiedzieć. Załamany na nic mi się nie przyda. Musiał być odważny.

Nie sądziłam, by kiedykolwiek mógł.

– Ona wybrała sobie gablotę. – Wydusił kilka minut później. – Kazał mi ją tam zamknąć, pokazał mi, jak ją ułożyć, jak dokładnie zamknąć szkło, żeby wlać żywicę. Zanim zamknął szkło... on...

– Pocałował ją na do widzenia.

Nerwowo pokiwał głową, dławiąc się płaczem.

– Powiedział jej, że ją Kocha!

– W jego rozumieniu tak właśnie jest.

– Jak możesz znieść moją obecność?

– Czasem nie mogę – przyznałam. – Powtarzam sobie, że nadal nie wiesz wszystkiego, że nadal jesteś nieświadomy tego, co robią twój ojciec i brat, i są takie dni, że to jedyny sposób, bym mogła na ciebie spojrzeć. Ale...

– Proszę, powiedz mi.

– Ale jesteś tchórzem – westchnęłam. – Wiesz, że trzymanie nas tutaj jest złe. Wiesz, że to wbrew prawu, wiesz, że on nas gwałci, a teraz wiesz także, że nas zabija. Niektórych z tych dziewczyn szukają rodziny. Wiesz, że to coś złego, a wciąż nikomu tego nie zgłosiłeś. Powiedziłeś, że nauczysz się dla mnie, jak być odważnym, ale się nie nauczyłeś. I szczerze mówiąc, nie wiem, czy potrafisz.

– To zabije moją matkę... jeśli ona się dowie... jeśli to się rozniesie.  
Wzruszyłam ramionami.

– Poczekaj jeszcze trochę, a to zabije i mnie. Tchórzostwo to może nasz naturalny stan, ale to nadal wybór. Każdego dnia, kiedy wiesz o Ogrodzie, a nie dzwonisz na policję ani nas nie wypuszczasz, dokonujesz w kółko tego samego wyboru. Nie można tego inaczej określić, Desmondzie. Teraz nie możesz już dłużej udawać.

Znów zaczął płakać, a może wciąż płakał, w skumulowanym szoku, który przekraczał jego wytrzymałość?

Resztę ciemnego poranka spędził, leżąc w łóżku, a kiedy w Ogrodzie wstało słońce, zabrał swoje cuchnące formaliną ubrania i wyszedł.

Nie rozmawiał ze mną przez całe tygodnie i przyszedł do Ogrodu tylko raz: zobaczyć Zarę po tym, jak żywica stężała i ściany wokół jej gabloty zostały podniesione. Podniesiono wtedy wszystkie ściany i rzeczywistość, która latem została nieco zapomniana, dopadła nas znowu z uderzającą siłą. Byliśmy Motylami i nasze krótkie życia miały się skończyć w szklanej gablocie.



– Czekaj, mówiłaś przecież, że wszystko zmieniło się od Keely – mówi Eddison.

– Tak, zgadza się. Do tego zmierzam.

– Aha.

Pociera kciukami szyję niebieskiego smoka i bierze głęboki wdech.

– Keely pojawiła się cztery dni temu.



Dotrzymanie obietnicy danej Zarze zajęło trochę czasu. Ogrodnik z chęcią zgodził się sprowadzić dla nas pełne dekoracje do *Snu nocy letniej*, gdy wyjaśniłam mu, dlaczego ich potrzebujemy, ale powiedział, że chce zrobić to „jak trzeba”. Zamówił różnego rodzaju kostiumy i dał Bliss karton gliny, który ważył tyle co ona, żeby zrobiła nam kwiatowe korony. Rozdzieliłyśmy role i przerobiłyśmy z dziewczynami język dramatu. Niektóre z nich przeczytały w życiu jedną lub dwie sztuki, ale większość nie miała z nimi zbyt wiele styczności.

Ja przez prawie dwa lata mieszkałam z Noémie, która chodziła po mieszkaniu w bieliźnie i czytała na głos solilokwia, szcztokując przy tym zęby.

Tak, szcztokując zęby, dlatego zajmowało jej to całą, kurwa, wieczność.

Kiedy nadszedł ten wieczór, Ogrodnik kazał Lorraine urządzić ucztę w Ogrodzie po obu stronach małego strumyka. Dostałyśmy dziwne krzesła, na wpół workowate pufy, na wpół otomany, wszystkie w jaskrawych kolorach, oraz półprzezroczyste jedwabne suknie w pięknych odcieniach, które przynajmniej raz nie miały nic wspólnego ze skrzydłami wytatuowanymi na naszych plecach. Czytałam rolę Heleny i Ogrodnik dał mi suknię w odcieniach leśnej, mchowej

zieleni z pojedynczą warstwą nasyconego różu. Był to kolor, do którego Bliss dopasowała moją koronę z kwiatów.

Większość z nas rozpuściła włosy pod koronami, zwyczajnie dlatego, że na ten jeden wieczór po prostu *mogłyśmy*.

Kiedy wszystkie się przygotowywałyśmy, w naszym śmiechu pobrzmiwała nerwowość. Robiliśmy to dla Zary, ale Ogrodnik urządził z tego wielką imprezę. Nawet znając nasze powody, jestem pewna, że uważał całą inscenizację za dowód tego, iż jesteśmy szczęśliwe pod jego czułą troską i w podziękowaniu urządzamy mu przedstawienie. Ten człowiek miał zadziwiający talent, by widzieć to, co chciał widzieć.

Nie zauważył nawet, że Lorraine kupiła perukę, by nadal wydawało się, że ma długie włosy, którymi mógłby się pobawić, gdyby tylko zechciał. Chora suka.

Namówił też Desmonda, aby przyszedł popatrzeć.

Był chyba zaskoczony reakcją syna na śmierć Zary. Des miał w sobie krew ojca, ale nie jego perspektywę. Nie potrafił postrzegać tego inaczej niż jako morderstwa, ale to i tak nie zmobilizowało go do działania.

Pod koniec pierwszego tygodnia milczenia i nieobecności swojego syna Ogrodnik przyszedł do mojego pokoju przed śniadaniem.

– Desmond wydaje się nie w humorze – oznajmił, kiedy ledwie otworzyłam oczy. – Pokłóciliście się?

Ziewnęłam.

– Ma problem z przyswojeniem tego, co stało się z Zarą.

– Ale Zarze nic nie jest. Już nie cierpi. – Zdawał się naprawdę nie rozumieć.

– Kiedy powiedziałaś, że się nią zajmiesz, myślał, że zabierzesz ją do szpitala.

– To byłoby głupie! Ktoś zacząłby zadawać pytania.

– Ja tylko tłumaczę jego reakcję.

– Tak, oczywiście. Dziękuję, Mayu.

Jestem przekonana, że w ciągu upływających tygodni odbyło się wiele rozmów pomiędzy ojcem a synem, w które nie zostałam wtajemniczona, ale Desmond pojawił się na odczytaniu sztuki. Wyglądał, jakby od dłuższego czasu nie zmrużył oka. Musiał mieć tego dnia jakąś prezentację na zajęciach, bo miał na sobie elegancką koszulę, krawat oraz spodnie w kant. Zgoda, koszula miała rozpięty kołnierzyk, krawat był rozluźniony, a rękawy podwinięte, ale nadal wyglądał bardziej oficjalnie niż zwykle, a ja poczułam do siebie pewnego rodzaju wstręt, kiedy przez głowę przebiegła mi myśl, że zielonkawy odcień koszuli podkreśla jego oczy.

Trudno mu było patrzeć nam w oczy, zwłaszcza mnie. Pokrótce przedstawiłam Bliss, jak wyglądała nasza ostatnia rozmowa, kiedy robiłyśmy sztuczne ciastka z kawałkami czekolady, na które chciałyśmy nabrać Lorraine.

Bliss wzruszyła ramionami i powiedziała, że ona nie byłaby dla niego taka miła.

Biorąc pod uwagę, że ciastka z gliny były jej pomysłem, nie sprzeciwiłam się.

Odczytanie zaczęło się naprawdę dobrze. Do czasu przejrzenia notatek Zary nigdy nie zwracałam uwagi na słowa – kiedy słyszy się „być albo nie być” spomiędzy spienionej pasty do zębów, trudno traktować je poważnie – ale sztuka była naprawdę zabawna i gdzie tylko mogliśmy, wczuwałyśmy się w role. Bliss grała Hermię i podczas jednej ze scen, kiedy się kłócimy, skoczyła na mnie, przesadzając strumień, na co Ogrodnik zaniósł się śmiechem.

W trakcie jednego z monologów Marenki, która grała Puka, frontowe drzwi otworzyły się z impetem i stanął w nich Avery z drobnym tobołkiem przerzuconym przez ramię. Marenka zamilkła i spojrzała na mnie, rozszerzając oczy otoczone maską skrzydeł motyla *Anartia jatrophae*. Podniosłam się i stanęłam przy niej, patrząc, jak Avery biegnie w głąb Ogrodu. Po chwili stanęli przy nas także Ogrodnik i Desmond.

– Przyniosłem Nową! – oznajmił Avery cały w uśmiechach. Zrzucił ciężar z ramion na piasek. – Wypatrzyłem ją i porwałem. Popatrz, tato! Popatrz, co dla nas znalazłem!

Ogrodnik był zbyt zajęty patrzeniem na swojego starszego syna, więc przykucnęłam przy tobołku i trzęsącymi się dłońmi odwinęłam koc. Kilka dziewczyn zaczęło krzyczeć. O kurwa, o kurwa, o kurwa jebana!

Dziewczyna w środku nie weszła jeszcze nawet w wiek dojrzewania. Jedną część twarzy pokrywały jej smugi zaschniętej krwi spływającej od skroni, wokół której jej jasna skóra zaczynała już sinieć. Inne sińce, zadrapania i ślady można było wyczytać z potarganego ubrania, kiedy odchyliłam resztę koca. Jeszcze więcej krwi sączyło się wokół jej ud i materiału wokół nich. Cholera, dziewczynka miała na sobie figi, na których różową i fioletową kursywą napisane było *sobota*. Chyba każdy wie, że takich majtek nie robi się w rozmiarach dla dorosłych. Jakaś bardzo niestosowna część mojego mózgu przypomniała mi, że jest dopiero czwartek.

Była drobna, miała długie nogi, przez co wyglądała, jakby z dnia na dzień przybyło jej wzrostu. Miała ładną, dziecięcą buzię i potargany kucyk niemal miedzianych włosów, ale była bardzo, bardzo młoda. Zawinęłam ją z powrotem w koc, aby ukryć krew, i wzięłam na ręce, kompletnie nie wiedząc, co powiedzieć.

– Avery – szepnął zaszokowany Ogrodnik. – Coś ty, do cholery, zrobił.

Zdecydowanie nie chciałam uczestniczyć w tej rozmowie. Danelle pomogła mi wstać z dziewczynką w objęciach, podtrzymując jej głowę.

– Bliss, dasz jej swoją sukienkę z plecami?

Pokiwała głową i pobiegła do swojego pokoju.

Danelle i ja szybko poszliśmy do mnie, gdzie ściągnęliśmy z dziewczynki ubrania i wrzuciliśmy je do zsypu na pranie, po czym ją umyliśmy. Musiałam

zmyć krew z jej ud i delikatnie wtrysnąć w nią więcej wody, aby wypłukać płyny i fragmenty porwanej tkanki. Danelle zajęła się wymiotowaniem do toalety. Wróciła, wycierając usta rozedrganą dłonią.

– Ona nie ma tam jeszcze nawet włosów – szepnęła.

Nie miała owłosienia w kroczu i pod pachami, zero piersi i bioder – tak, to zdecydowanie nadal było dziecko.

Danelle podtrzymała ją, żebym mogła umyć jej włosy. Do tego czasu pojawiła się już Bliss ze swoją sukienką – jedyną rzeczą, która mogła pasować na taką małą istotkę i całkowicie ją zasłonić, nawet jeśli była na nią odrobinę za luźna. Wytarłyśmy ją, ubrałyśmy i położyłyśmy w moim łóżku.

– Skoro już tu jest, myślisz... – Nawet Bliss nie była w stanie dokończyć tej myśli.

Pokręciłam głową, przyglądając się dłoni dziewczynki, na której widać było kilka zdartych paznokci. Pewnie próbowała walczyć.

– Nie dotkną jej.

– Mayu...

– Nie dotkną jej!

W Ogrodzie rozległ się pełen bólu ryk i wszystkie się wzdrygnęłyśmy.

Głos nie należał jednak do kobiety, więc nie ruszyłyśmy się z miejsc.

Inne dziewczyny uciekły na dźwięk tego odgłosu i zbiegły się do mojego pokoju, aż w końcu musiałam powiedzieć większości z nich, by wyszły. Nie miałyśmy pojęcia, kiedy dziecko się obudzi, a spodziewałyśmy się, że będzie przerażone i obolałe. Naprawdę nie potrzebowało, żeby gapiło się na nie dwadzieścia kilka osób. Zostały tylko Danelle i Bliss. Danelle ustawiła się za plecami dziewczynki, żeby nie od razu ją zobaczyła.

Tylko że półka z książkami na prawej ścianie nie całkiem zasłaniała Lyonette.

Bliss zaciągnęła zasłonę z mojej toalety tak daleko, jak się tylko dało, i wcisnęła ją pomiędzy kilka książek, żeby się lepiej trzymała. Jeśli wiedziało się, że coś tam jest, można było dostrzec włosy i wygięcie pleców, ale nie na pierwszy rzut oka.

Pozostało nam czekanie.

Bliss pobiegła na moment po butelki z wodą i wymusiła też od przestraszonej Lorraine kilka tabletek aspiryny. Na dłuższą metę aspiryna mogła niewiele zdziałać – była świetna przy bólach głowy po środkach nasennych, a nie to dolegało dziewczynce – ale to przynajmniej coś.

Wtedy w wejściu pojawił się Ogrodnik. Spojrzał na ścianę i upiętą na niej zasłonę, a potem na dziewczynkę na łóżku i pokiwał głową, sięgając do kieszeni. Wyciągnął małego pilota i mniej więcej po minucie operowania nim ściany opadły po wszystkich stronach z wyjątkiem wyjścia.

– Jak ona się czuje?  
– Jest nieprzytomna – powiedziałam zdawkowo. – Została zgwałcona, bardzo mocno uderzona w głowę i będzie miała jeszcze wiele innych dolegliwości.  
– Miała ze sobą coś, co wskazywałoby, jak się nazywa? Albo skąd jest?  
– Nie. – Przekazałam jej dłoń Bliss, żeby mogła podejść do progu i stanąć tuż przed bladym, nagle zmęczonym mężczyzną. – Nikt jej nie dotknie.  
– Mayu...  
– Nie, nikt jej nie dotknie. Żadnych skrzydeł, żadnego seksu, niczego. To *dziecko*.

Ku mojemu zaskoczeniu przytaknęła.  
– Oddaję ją pod twoją opiekę.  
Danelle odchrząknęła.  
– Przepraszam, ale ona jeszcze się nie obudziła. Nie można jej gdzieś odwieźć? Na przykład podrzucić do szpitala? Przecież ona nic nie wie.  
– Nie mogę ufać, że na pewno nie widziała Avery’ego – powiedział ciężkim tonem. – Musi zostać.

Danelle przygryzła wargę i odwróciła wzrok, gładząc dziewczynkę po włosach.

– Będzie najlepiej, jeśli sobie pójdiesz – powiedziałam miarowym tonem. – Nie wiemy, kiedy ona się obudzi. Najlepiej, gdyby nie byli przy tym obecni żadni mężczyźni.

– Oczywiście. Powiesz mi, jeśli... ona będzie czegoś potrzebować?  
– Ona potrzebuje swojej matki i dziewictwa – warknęła Bliss. – Potrzebuje bezpieczeństwa własnego domu.

– Bliss.  
Dziewczyna prychnęła, ale zamilkła, słysząc jego ostrzegawczy ton.  
– Powiesz mi – powtórzył i pokiwał głową. Nie patrzyłam, jak odchodził.  
Nie minęło wiele czasu, zanim pojawił się Desmond, z jeszcze wyraźniejszym niż zwykle skrzywdzonym spojrzeniem.

– Wyjdzie z tego jakoś?  
– Nie – powiedziałam sztywno. – Ale sądzę, że przeżyje.  
– Słyszałaś ten krzyk? Ojciec wychłostał Avery’ego.  
– Super, dzięki temu ona od razu poczuje się dużo lepiej – warknęła Bliss. – Pierdol się.

– Co on jej zrobił?  
– A jak myślisz? Uścisnął jej rękę?  
– Desmondzie. – Nie powiedziałam nic więcej, aż w końcu odwrócił się do mnie i spojrzał mi w oczy. – Taki jest twój brat, ale robicie to we trzech, więc teraz nie powinno cię tu być. Wiem, że strasznie się teraz nad sobą rozczulasz, ale nie pozwolę, żeby w pobliżu tego dziecka znalazł się choćby jeden mężczyzna. Musisz

stąd iść.

– To nie ja zrobiłem jej krzywdę!

– Właśnie że ty – warknęłam. – Mogłeś temu zapobiec! Gdybyś tylko poszedł na policję albo wypuścił jedną z nas, żebyśmy same mogły to zrobić, Avery nie chodziłby wolno i nie mógłby jej porwać, brutalnie pobić, zgwałcić i przyprowadzić tutaj, gdzie to się jej przydarzy jeszcze raz i jeszcze raz, i jeszcze raz, aż umrze w zbyt młodym wieku. Pozwoliłeś, żeby to się wydarzyło, Desmondzie, czynnie na to pozwoliłeś, więc tak, to ty zrobiłeś jej krzywdę. Jeśli nie masz zamiaru zrobić niczego, by jej pomóc, to musisz się wynieść jak najdalej od niej.

Wpatrywał się we mnie z bladą, zszokowaną twarzą. Następnie odwrócił się i wyszedł.

Jak dziecko mogło być mniej warte od nazwiska? Jak nasze życia mogły być mniej warte od reputacji?

Bliss odprowadziła go wzrokiem, po czym dotknęła mojej dłoni.

– Myślisz, że wróci?

– Mam to gdzieś.

Była to prawie całkowita prawda. Zmęczenie przeszywało mnie do szpiku kości, a nawet głębiej. Po prostu nie miałam siły, żeby myśleć o przedłużającej się bezużyteczności Desmonda.

Dziewczynka w końcu odzyskała przytomność około drugiej nad ranem, stękając, gdy zaczęła odczuwać różnego rodzaju bóle. Usiadłam przy niej na łóżku i delikatnie uściśnęłam jej dłoń.

– Nie otwieraj oczu – powiedziałam łagodnie, przybierając niski i kojący ton głosu, tak jak nauczyła mnie Lyonette. Chyba nigdy tego nie robiłam, ale ta dziewczynka potrzebowała, bym okazała jej więcej delikatności, bym była dla niej odważniejsza. Sophia, pomyślałam, zauważyłaby tę różnicę. – Położę ci na twarzy wilgotny ręcznik, żeby trochę ulżyć w bólu.

Danelle wycisnęła ręcznik i podała mi go.

– Gdzie... co?

– Przejdziemy do tego za chwilę, obiecuję. Jesteś w stanie przełknąć pastylki?

Dziewczynka zaczęła płakać.

– Proszę, nie dawaj mi już żadnych pastylek! Będę grzeczna, obiecuję. Nie będę już walczyć!

– To tylko aspiryna, nic więcej. Obiecuję ci. To po to, żeby trochę przestało boleć.

Pozwoliła mi podnieść się do siadu na tyle, żeby mogła popić pastylkę.

– Kim ty jesteś?

– Mam na imię Maya. Zostałam porwana przez tych samych ludzi co ty, ale



nie pozwolę im, żeby więcej cię skrzywdzili. Więcej cię już nie dotkną.

– Chcę wrócić do domu.

– Wiem – szepnęłam, poprawiając jej ręczniczek na oczach. – Wiem, że chcesz. Tak mi przykro.

– Nie chcę być już ślepa, pozwól mi popatrzeć!

Odsunęłam ręcznik i lekko osłoniłam jej oczy, obserwując, jak mruga powiekami nawet przy tak słabym świetle. Jej oczy były różnego koloru, jedno niebieskie, a drugie szare, i to niebieskie miało na źrenicy dwie plamki. Skuliłam dłoń, tak by mogła mnie widzieć, nie patrząc jednocześnie bezpośrednio w światło nad głową.

– Lepiej?

– Boli mnie – jęknęła. Z kąćków oczu spłynęły jej łzy i zniknęły we włosach.

Przekręciła się na bok, położyła głowę na moich kolanach i objęła mnie w tali.

– Chcę do mamy!

– Wiem, skarbie. – Nachyliłam się nad nią, a moje włosy rozsypały się wokół niej, jakby to była jakaś tarcza. Przytuliłam ją do siebie tak mocno, jak tylko potrafiłam, nie zadając jej bólu. – Bardzo mi przykro. – Jillie, córka Sophii, miała teraz jedenaście lat. Ta dziewczynka wydawała się w podobnym wieku, może o rok starsza. Myślenie o Jillie mnie wtedy zabolęło. To dziecko wyglądało na takie młode i kruche, takie skrzywdzone. Nie chciałam myśleć w ten sam sposób o małej, śmiałej Jillie.

Dziewczynka zasnęła cała we łzach i kiedy znów się obudziła kilka godzin później, Bliss przyniosła nam wszystkim owoce.

– Lorraine nie zrobiła śniadania – szepnęła do mnie i Danelle. – Zulema i Willa mówią, że siedzi w kuchni i gapi się w ścianę.

Pokiwałam głową, wzięłam banana i usiadłam koło dziecka.

– Masz, pewnie jesteś głodna.

– Nie bardzo – powiedziała dziewczynka żalosnym głosem.

– To po części efekt szoku, ale i tak spróbuj coś zjeść. Potas pomoże na mięśnie, nie będą takie zbite i obolałe.

Dziewczynka wydała z siebie niepewne westchnienie, ale wzięła banana i ugryzła kawałek.

– To Bliss – powiedziałam, pokazując na swoją drobniutką przyjaciółkę. – A to Danelle. Powiesz nam, jak się nazywasz?

– Keely Rudolph – odpowiedziała. – Mieszkam w Sharpsburgu w stanie Maryland.

Całe wieki temu Guilian wspomniał coś o Maryland.

– Keely, możesz być dzielna?

W jej oczach znów wezbrały łzy, ale – kochane dziecko – pokiwała głową.

– Keely, nazywamy to miejsce Ogrodem. Pewien człowiek i jego dwaj synowie porwają nas i tu przetrzymują. Upewniają się, że mamy co jeść, w co się ubrać i wszystko to, czego nam potrzeba, ale nas nie wypuszczają. Tak mi przykro, że zostałam porwana i tutaj przywieziona, ale nie mam na to wpływu. Nie mogę ci obiecać, że jeszcze kiedyś zobaczysz swój dom i swoją rodzinę.

Pociągnęła nosem, zarzuciła sobie swoją rękę na ramiona i przytuliła się do mojego boku.

– Wiem, że to trudne. I to nie tak, że tylko tak mówię, ja naprawdę wiem. Ale obiecuję ci, że się tobą zajmę. Nie pozwolę im cię skrzywdzić. Dziewczyny, które tu ze mną mieszkają, tworzą pewnego rodzaju rodzinę. Czasem się kłócimy, nie zawsze się lubimy, ale jesteśmy rodziną. A rodzina się sobą opiekuje.

Bliss uśmiechnęła się do mnie znacząco. Mimo że nie wiedziała o mnie zbyt wiele, przeczuwała, że nie tak mnie wychowano.

Ale miałam okazję skosztować tego w mieszkaniu, a reszty nauczyłam się tutaj. Byłyśmy popieprzoną rodziną, ale mimo to rodziną.

Keely spojrzała na Danelle i wtuliła się we mnie.

– Dlaczego ona ma tatuaż na twarzy? – szepnęła.

Danelle przyklękła przed łóżkiem i wzięła obie dłonie Keely w swoje.

– To kolejna rzecz, w związku z którą musisz być dzielna – powiedziała łagodnie. – Chcesz usłyszeć o tym teraz czy nieco poczekać?

Przygryzając wargę, dziewczynka spojrzała na mnie niepewnie.

– To twój wybór – powiedziałam jej. – Teraz albo później, możesz wybrać. Jeśli to ci ułatwi decyzję, to obiecuję, że coś takiego ci się nie przydarzy.

Z głębokim, drżącym westchnieniem dziewczynka pokiwała głową.

– No to teraz.

– Ten człowiek, który nas tu trzyma? Nazywamy go Ogrodnikiem – prosto wyjaśniła Danelle. – Lubi sobie wyobrazać, że jesteśmy motylami w jego ogrodzie, i tatuuje nam na plecach skrzydła, bo to mu pomaga udawać. Kiedy się tu znalazłam, myślałam, że jeśli polubi mnie bardziej niż inne dziewczyny, to mnie wypuści i będę mogła wrócić do domu. Byłam w błędzie, ale zbyt późno się

o tym przekonałam, i on zdążył narysować mi skrzydła na twarzy, by pokazać innym, że cieszę się, że tu mieszkam.

Keely znów na mnie spojrzała.

– Ty też masz skrzydła?

– Tak, na plecach.

Przerzuciła wzrok na Bliss, która pokiwała głową.

– Ale nie pozwolisz im, żeby mi je zrobili?

– W ogóle nie pozwolę im cię dotknąć.

Wczesnym popołudniem wyprowadziłyśmy ją do Ogrodu. Bliss poszła

przodem, żeby uprzedzić inne dziewczyny. Zwykle większość pozostałych trzymała się z dala od każdej nowej, do czasu aż się przyzwyczaiła. Keely była inna. Pojedynczo lub parami, w sposób tak łagodny, jak to tylko możliwe, każda dziewczyna z wyjątkiem Sirvat przychodziła, aby się przywitać, przedstawić, a może – co najważniejsze – obiecać Keely, że pomoże ją chronić. Nie miałam nic przeciw temu, że Sirvat się w to nie włączyła.

Marenka przykucnęła i pozwoliła Keely śledzić biel, brązy i czerń skrzydeł na swojej twarzy, żeby się już ich nie bała.

– Zabiorę swoje rzeczy, żebyś mogła zamieszkać zaraz obok Mai – powiedziała jej. – W ten sposób, jeśli się przestraszysz albo nie będziesz chciała być sama, nie zgubisz się, błędząc po korytarzach. Będziesz tuż obok niej.

– Dziękuję – wydusiła.

Lorraine na tyle zebrała się w sobie, że zrobiła nam lunch na zimno, choć płakała przez cały ten czas. Chciałam wierzyć, że może w końcu zda sobie sprawę, jaki naprawdę był Ogrodnik, że będzie przerażona tym, że porwano tak małe dziecko, że będzie zażenowana swoją zazdrością wobec martwych dziewczyn. Naprawdę chciałam wierzyć, że jest w niej choć odrobina dobra. Ale nie wierzyłam. Nie wiedziałam, dlaczego była taka zaszokowana i rozstrojona, nie sądziłam jednak, żeby chodziło o czyjąkolwiek sytuację poza jej własną. Może kupno peruki albo, co bardziej prawdopodobne, fakt, że Bliss nie została ukarana za atak na nią, w końcu sprawiły, że zdała sobie sprawę, iż Ogrodnik już nigdy jej nie pokocha.

Wzięłyśmy tace na klif, gdzie przygrzewało słońce i czuć było otwartą przestrzeń. Keely nadal nie miała apetytu, ale jadła ze względu na nas. Zobaczyła jednak, jak Desmond idzie po ścieżce, i wtuliła się we mnie, by się ukryć. Bliss i Danelle też przysunęły się bliżej, osłaniając ją ze wszystkich stron.

Desmond nie stanowił zagrożenia, ale był mężczyzną. Rozumiałam ten odruch.

Zatrzymał się w bezpiecznej odległości, przyklęknął i szeroko rozłożył ręce.

– Nie zrobię ci krzywdy – powiedział cicho. – Nie dotknę cię ani więcej się już nie zbliżę.

Pokręciłam głową.

– Po co przyszedłeś?

– By zapytać, jak ona się nazywa i skąd jest, żebym mógł postąpić słusznie.

Zaczęłam zsuwać się ze skały, ale ręce Keely mocniej zacisnęły się wokół mojej talii.

– Wszystko w porządku – szepnęłam jej i mocniej ją do siebie przytuliłam. – Ja z nim tylko porozmawiam. Zostań tu z Bliss i Danelle.

– A jeśli on ci zrobi krzywdę? – zaskamlała.

– Nie robi. Ten nie robi. Zaraz wrócę. Będziesz mnie cały czas widzieć.

Powoli mnie puściła i objęła Danelle. Bliss miała miękkie, bujne kształty, ale nie nadawała się do przytulania.

Minęłam Desmonda i podeszłam do samej krawędzi klifu, gdzie po chwili do mnie dołączył. Stał niespełna pół metra ode mnie, głęboko wciskając dłonie w kieszenie.

– Co ty robisz?

– To, co słuszne – odpowiedział. – Dzwonię na policję, ale muszę wiedzieć, jak się nazywa. Na pewno jest poszukiwana.

– Dlaczego teraz? Wiesz o Ogradzie od sześciu miesięcy.

– Ile ona ma lat?

Zerknęłam przez ramię.

– Wraz z koleżankami świętowała w centrum handlowym swoje dwunaste urodziny.

Przeklął pod nosem i spuścił wzrok na buty, których czubki wystawały nieco za krawędź skały.

– Tak bardzo się starałem przekonać samego siebie, że mój ojciec mówi prawdę, że nawet jeśli nie jesteście tu z wyboru, to przynajmniej pochodzicie z miejsc, z których mógłby was uratować.

I oto nadal, mimo obecności dwunastoletniej dziewczynki, on się oszukiwał.

– Z ulicy albo złych rodzin – ciągnął. – Z miejsc, w porównaniu z którymi Ogród wypadł korzystniej, ale nie potrafię... Wiem, że to Avery ją porwał, nie ojciec, ale to się musi skończyć. Masz rację: jestem tchórzem. I jestem samolubny, bo nie chcę zranić mojej rodziny i nie chcę pójść do więzienia, ale ta dziewczynka ma... – Zamilkł, dysząc od siły swoich słów i kryjących się za nimi emocji. – Wmawiałem sobie, że muszę się nauczyć, jak być odważniejszym, i Jezu, jaka to była głupota. Nie można się nauczyć odwagi. Trzeba po prostu zrobić to, co słuszne, nawet jeśli cię to przeraża. Więc zadzwonię na policję, podam im wszystkie nazwiska, jakie znam, i powiem im o Ogradzie.

– Naprawdę zadzwonisz? – zapytałam.

Rzucił mi wściekłe spojrzenie.

– Tak, pytam cię, bo nie mogę powiedzieć tej dziewczynce, że pomoc jest w drodze, jeśli masz zamiar się wycofać albo znów schować głowę w piasek. Na pewno to zrobisz?

Wziął głęboki oddech.

– Tak. Naprawdę to zrobię.

Wyciągnęłam rękę i delikatnie dotknęłam jego policzka, tak aby spojrzał mi w oczy.

– Nazywa się Keely Rudolph i mieszka w Sharpsburgu.

– Dziękuję. – Odwrócił się i odszedł na kilka kroków, ale zatrzymał się, wrócił i mocno mnie pocałował.

A potem odszedł bez kolejnego słowa.

Wróciłam na skałę.

– Resztę dnia musimy przesiedzieć w moim pokoju – powiedziałam dziewczynom. – Idźcie przodem, powiem reszcie.

– Naprawdę myślisz, że to zrobi? – zapytała Bliss.

– Myślę, że w końcu spróbuje, i niech go ręka boska broni, jeśli to się nie uda. Idźcie, szybko.

To było jak ostatnia zabawa w chowanego: namierzyć każdą dziewczynę i kazać jej zostać w pokoju. Nie obchodziło mnie, czy to będzie ich pokój, czy cudzy, byleby nie zostały na terenie właściwego Ogrodu, bo kiedy tylko Ogrodnik dowie się o telefonie, spuści ściany. Nie chciałam nawet myśleć, co by się stało z dziewczyną, która odważyłaby się zostać na zewnątrz. Każde słowo wypowiadałam szeptem, bo nie wiedziałam, jak czule są mikrofony i czy Ogrodnik nie zdołał już podsłuchać, co zamierza jego syn.

Znalazłam Eleni i Isarę w jaskini, Terezę w pokoju muzycznym, Marenkę w pokoju, który miał już nie być jej, z Ravenną i Nazirą pomagającymi jej spakować wszystkie hafciarskie akcesoria. Willa i Zulema siedziały w kuchni i przyglądały się, jak Lorraine płacze na tyle mocno, że przekrzywiła sobie perukę, a Pia stała przy jezioru i przyglądała się czujnikom poziomowi wody. Jedną po drugiej odnajdywałam je i przekazywałam im wiadomość, na co one szybko się oddalały.

Sirvat była ostatnią, którą znalazłam. Całym ciałem dociskała się do gabloty Zary. Misterne czarne, białe i pomarańczowo-żółte skrzydła *Anartia jatrophae* zakrywały jej plecy. Stała nieruchomo, zaciskając powieki.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz, Sirvat?

Otworzyła jedno oko.

– Próbuję sobie wyobrazić, jak to jest tam w środku.

– Ona nie żyje, więc chyba ci nie pomoże. Sama też nie wie.

– Czujesz to?

– Kapryfolium?

Pokręciła głową i odsunęła się od szkła.

– Formalinę. Mój nauczyciel od biologii używał jej do preparowania okazów do sekcji. Muszą mieć tego tonę w tamtym pomieszczeniu, skoro tak czuć.

– On nas tam przygotowuje do gablot – westchnęłam. – Sirvat, musimy zostać w pokojach. Szykuje się rozpiarducha.

– Z powodu Keely?

– I Desmonda.

Dotknęła zamkniętych drzwi chronionych kodem.

– Zawsze musieliśmy bardzo uważać z formaliną. Nawet rozcieńczona w alkoholu nie zawsze jest stabilna.

Nigdy nie było mi przykro, że nie jesteśmy z Sirvat bliżej. Była dziwolągą.

Ale dała mi się odciągnąć i wepchnąć do swojego pokoju. Pobiełam z powrotem na klif i wspierałam się na jedno z drzew, żeby spróbować zobaczyć, czy coś się dzieje. Nie widziałam jednak ani domu, ani frontowej części posiadłości. Ogrodnik miał mnóstwo pieniędzy i przestrzeni, a to dla psychopatów doskonałe okoliczności.

Światła zaczęły gwałtownie mrugać, więc rzuciłam się z klifu, haratając sobie skórę i obijając nogi, kiedy gramoliłam się w dół po ostrych skałach, i wbiegłam skrótem przez wodospad do swojego pokoju, zanim spuszczone ściany.

Bliss podała mi ręcznik.

– Przyszło mi na myśl o pół godziny za późno, że być może miałybyśmy większe szanse, gdybyśmy zebrały się w Ogrodzie w jednym miejscu. Jeśli Desmond powie glinom, że jesteśmy w wewnętrznej szklarni, będą nalegać, żeby do niej zajrzeć, prawda? Gdybyśmy tam byli, to by nas zobaczyli.

– Wierz mi lub nie, ale myślałam o tym. – Ściągnęłam przemoczoną sukienkę i założyłam tę, którą dostałam na wizyty Desmonda, z plecami. Ogrodnik za nią nie przepadał, bo zasłaniała skrzydła, ale teraz mi to nie przeszkadzało. Chciałam biec, walczyć, robić właściwie wszystko, tylko nie siedzieć w tym małym pokoju i czekać.

– Jeśli Ogrodnik zdoła przekonać policję, że nie muszą sprawdzać Ogrodu, albo jeśli ostatecznie nakłoni Desmonda, żeby nie dzwonił, to jak myślisz, co zrobi z tymi, które nie podporządkowały się wezwaniu do pokoi?

– Cholera.

– Bliss... boję się – szepnęłam. Usiadłam na łóżku i wzięłam Keely za rękę. Uścisnęła ją i wtuliła się we mnie, szukając pocieszenia. – Nie znoszę, kiedy nie mogę niczego usłyszeć.

Marenka i ja eksperymentowałyśmy kiedyś z krzyżeniem przez ściany podczas prowadzenia prac w ogrodzie. Nasze pokoje były tuż obok siebie, a i tak nic nie słyszałyśmy. Kiedy opuszczano ściany, zamykały się nawet otwory wentylacyjne.

Minęły godziny, zanim znów się uniosły. Na początku zostałyśmy w pokojach, zbyt przestraszone, żeby się ruszyć, choć nie mogłyśmy znieść bezczynności. A gdy nie potrafiłyśmy już dłużej wytrzymać, wyszłyśmy do Ogrodu, by zobaczyć, jak zmienił się nasz świat.

Może, w końcu, zmienił się na lepsze.



– A zmienił się na lepsze? – zapytał Eddison, kiedy było jasne, że dziewczyna nie powie nic więcej.

– Nie.

[3] Fragmenty wiersza *Annabel Lee* Edgara Allana Poeego w tłumaczeniu Barbary Beaupré. Zob. E.A. Poe, *Poezje*, Toruń 1996, s. 70–71.

[4] Fragment wiersza *Sen we śnie* Edgara Allana Poeego w tłumaczeniu Władysława Nawrockiego. Zob. E.A. Poe, *Poezje*, Toruń 1996, s. 61–61.

[5] H.Ch. Andersen, *Dziewczynka z zapalkami*, [w:] tegoż, *Baśnie*, tłum. C. Niewiadomska, Gebethner i Wolff, Kraków 1925, s. 108.

[6] H.Ch. Andersen, *Dziewczynka z zapalkami*, [w:] tegoż, *Baśnie*, tłum. C. Niewiadomska, Gebethner i Wolff, Kraków 1925, s. 110.

[7] Fragmenty wiersza *Milczenie* Edgara Allana Poeego w tłumaczeniu Antoniego Lange. Zob. E.A. Poe, *Poezje*, Toruń 1996, s. 23.

[8] Fragment wiersza *Ulalume* Edgara Allana Poeego w tłumaczeniu Antoniego Lange. Zob. E.A. Poe, *Poezje*, Toruń 1996, s. 46–47.

### III

Inara pociera kciukami małego smutnego smoka i zrywa sobie jeden ze strupów, zahaczając nim o sterczącą brew figurki.

Victor wymienia spojrzenie ze swoim partnerem.

– Bierz kurtkę – mówi, odsuwając się od stołu.

– Co?

– Jedziemy na małą przejażdżkę.

– Co takiego? – burczy Eddison.

Dziewczyna nie zadaje żadnych pytań, tylko się ubiera. Cały czas trzyma w dłoni małego niebieskiego smoka.

Victor prowadzi ich na podziemny parking i otwiera przed dziewczyną drzwi po stronie pasażera. Przez moment Inara patrzy na samochód z wykrzywionymi ustami, których kształt trudno właściwie nazwać uśmiechem.

– Coś nie tak?

– Pomijając jazdę tutaj i do szpitala, a także, jak mogę zakładać, z Nowego Jorku do Ogrodu, nie jechałam samochodem od czasu taksówki do domu babci.

– Czyli nie obrazisz się, jeśli nie dam ci prowadzić?

Usta jej drgają. Swobodny śmiech i swobodna atmosfera, którą w końcu udało im się osiągnąć w pokoju przesłuchań, znikają w obliczu tego, do czego cały czas zmierzali.



- Jest jakiś powód, dla którego muszę siedzieć z tyłu? – skarży się Eddison.
- Mam jakiś wymyślić?
- No dobra, ale to ja wybieram, czego będziemy słuchać.
- Nie.

Dziewczyna unosi brew, a Victor robi grymas.

- On lubi country.

– Błagam, nie pozwól mu wybierać – dziewczyna mówi potulnie i wsiada do środka.

Rechocząc, Victor czeka, aż dziewczyna zabierze nogi, i zamyka drzwi.

– No to gdzie jedziemy na tę małą wycieczkę? – pyta Eddison, kiedy obaj przechodzą na drugą stronę samochodu.

- Pierwszym przystankiem będzie kawa, a potem jedziemy do szpitala.

- Żeby mogła sprawdzić, jak się mają inne?

- To też.

Eddison przewraca oczami i siadając na tylnym siedzeniu, odpuszcza dalsze pytania.



Kiedy podjeżdżają pod szpital z kubkami kawy w dłoniach – Inara z kubkiem herbaty – cały budynek otoczony jest przez furgonetki stacji telewizyjnych i gapiów. Część niego, która wykonywała tę pracę zbyt długo,

zastanawia się, czy każdy rodzic, który kiedykolwiek stracił córkę pomiędzy szesnastym a osiemnastym rokiem życia, stoi tu ze świecą i zdjęciem w dużym powiększeniu i nie traci nadziei, a może nawet ją traci, byle tylko koszmar życia w ciągłej niepewności nareszcie się skończył. Niektórzy wpatrują się w swoje komórki, czekając na telefon, który w przypadku wielu nigdy nie zadzwoni.

– Czy pokoje dziewczyn są bezpieczne? – pyta Inara, odsuwając twarz od szyby po stronie pasażera i pozwalając włosom bardziej opaść jej na twarz.

– Tak. Drzwi pilnują strażnicy. – Victor przymruża oczy i wpatruje się we wjazd dla karettek, licząc, że może udałoby mu się wprowadzić ją tamtędy do środka, ale zatoczkę wypełniają cztery ambulanse, wokół których jest dużo zamieszania.

– Mogę przejść obok kilku reporterów, jeśli będzie trzeba. Przecież się nie spodziewają, że zacznę od razu o wszystkim opowiadać.

– Oglądasz czasem wiadomości z tego miasta?

– Od czasu do czasu oglądałyśmy je u Takiego, kiedy zamawiałyśmy jedzenie – odpowiada, wzruszając ramionami. – Nie miałyśmy telewizora, a większość ludzi, z którymi spędzałyśmy czas, miała podpięte tylko konsole do gier albo odtwarzacze DVD. A co?

– Bo oni naprawdę oczekują od ciebie, że będziesz mówić, nawet jeśli wiedzą, że ci nie wolno. Będą ci podtykać mikrofony pod nos, zadawać osobiste pytania bez żadnego wyczucia i rozpowszechnią twoją odpowiedź, gdzie się tylko da.

– Więc... są jak FBI?

– Najpierw Hitler, teraz dziennikarze – mówi Eddison. – Cieszę się, że masz o nas takie dobre zdanie.

– Najwyraźniej nie wiem aż tyle o dziennikarzach, by uznać ich za okropnych, więc to nie wydaje mi się takie straszne.

– Jeśli nie przeszkadza ci, że będziemy musieli się przez nich przedrzeć, to możemy ruszać – wtrąca się Victor, zanim ktorekolwiek z nich zdoła powiedzieć coś jeszcze. Parkuje samochód i obchodzi go, aby otworzyć jej drzwi. – Będą krzyczeć – ostrzega ją. – Będą głośni, agresywni i wszędzie będą błyskać flesze. Rodzice będą zadawać ci pytania o swoje córki i próbować się dowiedzieć, czy je widziałaś. Niektórzy ludzie będą cię też wyzywać.

– Wyzywać?

– Zawsze znajdą się tacy, którzy uważają, że ofiary sobie na to zasłużyły – tłumaczy. – To idioci, ale głośni. Oczywiście nie zasłużyłaś na to, nikt nie *zasługuje* na to, żeby go porwano, zgwałcono czy zamordowano, ale i tak plotą takie bzdury. Może w to wierzą, a może pragną kilku minut uwagi, a ponieważ chronimy wolność wypowiedzi, nie możemy z tym zbyt wiele zrobić.

– Chyba tak się przyzwyczaiłam do okropieństw Ogrodu, że zapomniałam,

jak okropny może być świat na zewnątrz.

Wiele by dał, żeby móc jej powiedzieć, że nie ma racji.

Ale to niestety prawda, więc milczy.

Wychodzą z parkingu do głównego wejścia. Agenci osłaniają Inarę dla bezpieczeństwa, a flesze i harmider osiągają apogeum. Dziewczyna ignoruje wszystko z godnością i patrzy prosto przed siebie, nie chcąc nawet słuchać pytań, a co dopiero na nie odpowiadać. Metalowe płyty oddzielają wszystkich od wejścia do szpitala, którego pilnują miejscowi policjanci. Victor, Eddison i Inara są już prawie przy drzwiach, kiedy jakaś niezwykle zaradna dziennikarka przeciska się między barierkami i nogami funkcjonariusza, ciągnąc za sobą jakiś kabel.

– Jak się nazywasz? Jesteś jedną z ofiar? – pyta, podtykając jej mikrofon pod sam nos.

Dziewczyna nie odpowiada i nawet na nią nie patrzy, a Victor daje znak funkcjonariuszowi, aby odciągnął kobietę.

– W obliczu takiej tragedii jesteś winna prawdę opinii publicznej!

Inara nadal gładzi w zamyśleniu małego niebieskiego smoka, ale odwraca się i spogląda na reporterkę, która próbuje wyrwać się policjantowi trzymającemu ją za ramię.

– Myślę, że gdyby wiedziała pani cokolwiek na temat tej sprawy – mówi delikatnie – lepiej by pani rozumiała, że nie jestem nikomu nic winna. – Kiwa głową do funkcjonariusza i idzie dalej w stronę rozsuwanych drzwi. Za jej plecami rozlegają się krzyki, a ludzie stojący najbliżej wypytyują o zaginione dziewczyny, ale dźwięki zamieniają się w stłumiony szum, kiedy drzwi zamykają się z sykiem.

Eddison szeroko uśmiecha się do dziewczyny.

– Spodziewałem się, że każesz jej się odpiardolić czy coś.

– Przyszło mi to do głowy – przyznała. – Ale potem pomyślałam sobie, że pewnie znajdziecie się w kadrze, a nie chciałam, żeby matka Hanoveriana musiała mu wyszorować uszy po takich bluźnierstwach, kiedy wróci do domu.

– Dobra, chodźcie już, dzieci.

Jak na szpital jest tu bardzo dużo policjantów, nawet w holu głównym. FBI, miejscowa policja, przedstawiciele innych komisariatów, wydział opieki nad dziećmi – wszyscy rozmawiają przez telefon albo stukają w laptopy i tablety. Ci, którzy nie siedzą z nosem w urządzeniach, zmagają się z czymś znacznie trudniejszym: rodzinami.

Podczas gdy Eddison idzie wyrzucić puste kubki do kosza przy drzwiach, Victor macha do trzeciego członka ich zespołu. Ramirez siedzi obok pary po trzydziestce, kiwa głową, ale nie przestaje obejmować ramieniem wyczerpanej kobiety.

– Inaro, to... – zaczyna Victor.

– Agentka Ramirez – kończy za niego dziewczyna. – Poznałyśmy się, zanim

zabrano mnie na przesłuchanie. Obiecała mi, że nie pozwoli, by lekarze zachowali się jak dupki.

Victor się krzywi.

– Apodyktycznie – poprawia ją z uśmiechem Ramirez. – Obiecałam dopilnować, żeby nie zachowywali się *apodyktycznie*. I wydaje mi się, że byłaś wtedy Mayą.

– Byłam. Jestem. – Kręci głową. – To skomplikowane.

– To rodzice Keely – mówi Ramirez, wskazując na parę.

– Ona cały czas o ciebie pyta – mówi ojciec dziewczynki. Jest blady, ma zaczerwienione oczy, ale podaje dłoń na powitanie. Inara wyciąga swoje poparzone, poranione ręce jakby na usprawiedliwienie. – Podobno chroniłaś ją, kiedy się tam znalazła.

– Próbowalam – wykręca się dziewczyna. – Na szczęście nie była tam długo.

– Chcieliśmy ją przenieść do oddzielnego pokoju – dodaje jego żona, pociągając nosem. Kurczowo trzyma w dłoniach plecak z Hello Kitty i garść chusteczek. – Jest taka mała, a pytania, które zadają jej lekarze, są takie osobiste. – Chowa twarz w chusteczkach, na co mąż podejmuje wątek.

– Spanikowała. Powiedziała, że jeśli nie ma ciebie, to chce zostać z... z...

– Danelle i Bliss?

– Tak. Nie mogę... nie mogę pojąć, dlaczego ona...

– Niełatwo to wszystko zrozumieć – łagodnie mówi im Inara. – To było straszne miejsce. Keely przebywała tam krótko, ale przez te kilka dni nie była sama. Nasza trójka nie zostawiła jej ani na moment, podobnie jak inne dziewczyny. Przebywanie z osobami, które dokładnie wiedzą, przez co się przeszło, daje pewnego rodzaju pocieszenie. To się zmieni. – Zerka na słońca w swojej dłoni. – Nie chodzi o to, że ona się nie cieszy, że was widzi, bo na pewno jest przeszczęśliwa. Strasznie za wami tęskniła. Ale przebywanie teraz samotnie w jakimś pokoju może... wywołać u niej panikę. Bądźcie wobec niej cierpliwi.

– Co oni zrobili naszej córeczce?

– Powie wam w stosownym czasie. Tylko bądźcie wobec niej cierpliwi – powtarza. – Bardzo przepraszam, wiem, że macie pewnie mnóstwo pytań i wątpliwości, ale muszę sprawdzić, jak się czują pozostałe dziewczyny. Keely też.

– Tak, tak, oczywiście. – Ojciec Keely kilka razy odchrząkuje. – Dziękujemy, że jej pomogłaś.

Jego żona wstaje i obejmuje zaskoczoną dziewczynę, która rzuca Victorowi niepewne spojrzenie. Kiedy on nie rusza jej z pomocą, krzywi się i delikatnie wyplątuje z objęć kobiety.

– Ilu rodziców tu jeszcze jest? – mruczy pod nosem, kiedy odchodzą.

– Około połowy tych, które przeżyły, a kilku następnych jest w drodze – odpowiada Ramirez, doganiając ich przy windach. – Nie powiadomiono jeszcze

rodziców żadnej z martwych dziewczyn. Chcą mieć całkowitą pewność, że to one.

– Słusznie.

– Agentko Ramirez! – woła natarczywy głos, po którym następuje stukanie obcasów.

Victor stęka. A już prawie udało im się przemknąć, nie zwracając na siebie uwagi.

Odwraca się jednak ze swoimi partnerami ku idącej do nich kobiecie. Inara dalej wpatruje się w ekran nad windą i obserwuje odliczanie pięter.

Senator Kingsley to elegancka kobieta po pięćdziesiątce. Jej ułożone wokół twarzy czarne włosy mają dodawać delikatności poważnej, surowej minie. Nadal wygląda świeżo, mimo że jest w szpitalu od poprzedniego wieczoru. Gładki czerwony kostium podkreśla jej ciemną cerę, a w klapie ma małą wpinkę z amerykańską flagą, która niemal gubi się na tle intensywnego koloru żakietu.

– Czy to ona? – pyta władczo, stając przed nimi. – To dziewczyna, którą ukrywacie?

– Przesłuchujemy, pani senator, a nie ukrywamy – Victor odpowiada łagodnie. Kładzie dłoń na ramieniu Inary i delikatnie, ale stanowczo odwraca ją do kobiety.

Inara mierzy ją wzrokiem i wymusza z siebie uśmiech, który tak trąci sztucznością, że Victor aż się krzywi.

– Jest pani pewnie matką Ravenny.

– Ma na imię Patrice – senator odpowiada cierpko.

– Miała – przyznaje Inara. – I będzie mieć. Ale na razie wciąż ma na imię Ravenna. Świat na zewnątrz nie jest jeszcze wystarczająco prawdziwy.

– A co to ma niby, do cholery, znaczyć?

Uśmiech znika. Inara pociera palcem smutnego smoka. Po chwili prostuje się i spogląda kobiecie prosto w oczy.

– To znaczy, jest pani dla niej zbyt prawdziwa, by mogła panią znieść. Ostatnie dwa dni to było dla niej zbyt wiele. Spędziłyśmy tyle czasu, żyjąc w koszmarnej fantazji kogoś innego, że nie wiemy, jak mamy znowu być prawdziwe. To się z czasem zmieni, ale pani prawdziwość... – Spogląda na grupę doradców i asystentów stojących o kilka kroków dalej. – Jest bardzo publiczna – kończy. – Gdyby pozbyła się pani tej świty, może byłoby jej łatwiej.

– My tylko próbujemy rozwiązać tę sprawę.

– Czy to nie zadanie FBI?

Senator wlepia w nią oczy.

– To moja córka. Nie mam zamiaru tylko siedzieć i wszystkiemu się przyglądać...

– Jakby była pani zwyczajnym rodzicem?

Victor znów się krzywi.

– Reprezentuje pani prawo. Czasem to oznacza, że trzeba usunąć się z drogi i pozwolić mu działać.

Eddison odwraca się na pięcie, żeby znów przycisnąć guzik przywołujący windę. Victor widzi, że od tłumionego śmiechu trzęsą mu się ramiona.

Ale Inara jeszcze nie skończyła.

– Czasem to oznacza bycie matką *albo* senator, nie jednym i drugim naraz. Myślę, że ona chciałaby zobaczyć swoją matkę, ale po tym, co przeszła, na co musiała się godzić, nie sądzę, by była w stanie znieść senator. A teraz, jeśli pani wybaczy, muszę sprawdzić, co z Ravenną i pozostałymi. – Drzwi windy wydają z siebie pojedynczy dzwonek i Inara wchodzi do środka. Dołączają do niej Ramirez i Eddison.

Victor macha na nich ręką, by jechali bez niego. Senator może i zatkało, ale to nie potrwa długo.

I rzeczywiście, nie trwa.

– Poinformowano mnie, że jakaś Lorraine miała swój udział w tym, co stało się mojej córce. Obiecuję, agencje, że jeśli usłyszę choćby najmniejszą wzmiankę o udziale i tej dziewczyny, to może mi pan wierzyć...

– Pani senator, proszę nam pozwolić wykonywać naszą pracę. Jeśli chce pani wiedzieć, co się stało pani córce, jeśli chce pani poznać prawdę, musi nam pani pozwolić robić, co do nas należy. – Dotyka dłonią jej łokcia. – Mam córkę tylko odrobinę młodszą od Patrice. Obiecuję pani, że nie jest to sprawa, którą traktowałbym lekko. To niesamowicie silne młode kobiety, które przeszły przez prawdziwe piekło, i zrobię w ich imieniu wszystko, co będę w stanie, ale musi się pani wycofać.

– A pan by potrafił? – pyta przebiegle.

– Mam nadzieję, że nigdy się nie przekonam.

– Jeśli coś pan schrzani, to nie chciałabym być w pana skórze.

Victor patrzy, jak senator odchodzi, po czym przywołuje kolejną windę. Kiedy na nią czeka, widzi, że kobieta dołącza do swojego personelu, wydaje polecenia i zadaje pytania, a młodszy podwładni nerwowo próbują udzielić na nie odpowiedzi. Starsi wydają się silniejsi, mniej przytłoczeni.

Jedzie na czwarte piętro i po wyjściu z windy wkracza w ciszę, która wyraźnie kontrastuje z tłoczną, gorączkową atmosferą lobby. Reszta zespołu i Inara czekają na niego. Przy stanowisku pielęgniarek rozmawia grupka lekarzy i sióstr, ale obecność uzbrojonego strażnika przy drzwiach sprawia, że starają się nie robić dużego szumu.

Jedna z pielęgniarek macha do Ramirez.

– Chce pani znowu porozmawiać z dziewczynami?

– Jest tu ktoś nowy, kto musi z nimi porozmawiać. – Pokazuje na Inarę, na co pielęgniarki odpowiadają miłym uśmiechem.

– O, tak, pamiętam cię. Jak tam twoje dłonie?

Inara podnosi je do inspekcji.

– Szwy nie są zakażone i nie ma opuchlizny – mówi pod nosem. – To dobrze. Zrywasz strupy z mniejszych ranek?

– Troszkę?

– No to już więcej tego nie rób. Chyba chcesz, żeby rany się wygoiły. Na wszelki wypadek założę ci bandaż.

Już po kilku minutach jej dłonie znów zawinięte są w gazę ostrożnie zaklejoną wokół palców, aby dziewczyna miała pewną swobodę ruchów. A skoro pielęgniarka już się nią zajmuje, to przy okazji sprawdza też mniejsze obrażenia na jej boku i ramieniu.

– Dobrze to wygląda, skarbie – mówi ostatecznie kobieta, kładąc jedną dłoń na jej ramieniu. – Może ją pan zabrać, agencie.

Dziewczyna jej saltuje, na co pielęgniarka z uśmiechem odgania ją ręką.

Kiedy podchodzą do pierwszych drzwi, Inara bierze powoli oddech i dla wsparcia znów wyciąga z kieszeni małego niebieskiego smoka.

– Nie mam bladego pojęcia, co tam zastanę – wyznaje.

Victor klepie ją po ramieniu.

– Wejź i się przekonaj.

Miejscowy policjant stojący na straży niezręcznie przestępuje z nogi na nogę.

– Wszystkie siedzą razem dwa pokoje dalej.

– Wszystkie? – ostro pyta Eddison.

– One mnie zmusiły.

– „One”, czyli skrzywdzone młode kobiety?

– Tak. – Ściąga czapkę, żeby podrapać się po cienkich blond włosach. – Jedna z nich nauczyła mnie kilku zwrotów, których nie słyszałem nawet przy nalotach na gangi narkotykowe.

– Pewnie Bliss – mamrocze dziewczyna i od razu idzie kilka pokoi dalej, a agenci podążają za nią. Kiwa głową do kolejnego strażnika na posterunku.

– Mogę wejść?

Spogląda na agentów, wszyscy kiwają głowami.

– Proszę bardzo.

Choć pojedyncze słowa i głosy są nie do rozróżnienia, słyszą szum rozmów zza ściany. Głosy milkną, gdy uchylają się drzwi, i znów narastają, kiedy osoby w pokoju widzą dziewczynę.

– Maya! – Biało-czarna, niemal zupełnie naga postać rzuca się przez pokój w objęcia dziewczyny. – Gdzieś ty, kurwa, była?

– Cześć, Bliss. – Klepiąc rozczochrane loki drobnej przyjaciółki, Inara rozgląda się po pokoju. Dwuosobowa może sala mieści teraz cztery łóżka.

Wszystkie sprawne dziewczyny siedzą na łózkach ciężej rannych i trzymają się za ręce albo obejmują za ramiona i w talii. Kilku odważniejszych rodziców siedzi na krzesłach, ale większość z nich stoi po drugiej stronie pokoju i rozmawia ze sobą, jednocześnie obserwując córki.

Victor opiera się o ścianę z uśmiechem, patrząc, jak spomiędzy dwóch łóżek wyłania się mały cień i wciska pomiędzy dwie młode kobiety. To radość zobaczyć łagodny uśmiech dziewczynki i to, jak mocno Inara przytula ją do siebie.

– Cześć, Keely. Poznałam twoich rodziców.

– Chyba zrobiłam im przykrość – szepcze Keely, ale Inara kręci głową.

– Oni są tylko przestraszeni. Bądź wobec nich cierpliwa, bądź cierpliwa wobec siebie.

Victor i jego partnerzy stoją w drzwiach przez niemal godzinę, obserwując, jak młode kobiety śmieją się, a od czasu do czasu żartują i docinają sobie pomiędzy wybuchami łez. Mimo swojego oczywistego niezadowolenia dziewczyna daje się przedstawić rodzicom. Słucha ich cierpliwie, podczas gdy oni opowiadają jej o poszukiwaniach córek, o tym, jak nigdy nie stracili nadziei, ale jedynym znakiem jej cynizmu jest uniesienie brwi, z którym od czasu do czasu patrzy na Danelle. Wywołuje to w niej takie napady śmiechu, że maszyna monitorująca jej serce zaczyna głośno pikać.

Victor rozpoznaje Ravennę – wygląda jak młodsza wersja swojej matki – i uważnie obserwuje ich krótką rozmowę, żałując, że nie słyszy, o czym mówią. Córka senator ma zabandażowaną prawie całą nogę. Z tego, co pamięta, Ravenna była tancerką. Kiedy Inara delikatnie dotyka opatrunku, Victor zastanawia się, czy dziewczynie uda się w pełni wyzdrowieć.

Potrafi wymienić imiona Motyli, o których opowiadała Inara. Co do pozostałych, nasłuchuje imion, które padają z ust innych, i próbuje dopasować je do właścicielek. Z wyjątkiem Keely, która nigdy nie dostała nowego imienia, żadna z nich nie używa tych prawdziwych. Na ich ustach, w ich głowach wciąż tkwią imiona z Ogrodu. Victor zauważa, jak rodzice wzdrygają się za każdym razem, gdy je słyszą. Inara powiedziała, że czasem lepiej było zapomnieć, i po raz pierwszy zastanawia się, czy któraś z nich naprawdę zapomniała. A może dziewczyna ma rację i Motyle nie są jeszcze gotowe, aby to wszystko stało się prawdziwe.

Kusi go, by zostać tu dłużej, napawać się ich widokiem, odepchnąć na bok okropności ostatnich kilku dni, ale nie może całkowicie się odprężyć. Ona nie widziała jeszcze wszystkiego i nie wszystko jeszcze im powiedziała.

Muszą wiedzieć więcej.

Victor zerka na zegarek i od razu czuje na sobie spojrzenie Inary. Kiwa głową. Dziewczyna wzdycha, przymykając na moment oczy, by zebrać się w sobie, po czym zapewnia wszystkich, że jeszcze wróci. Jest już prawie w drzwiach, kiedy Bliss łapie ją za rękę.



– Ile im powiedziałaś? – zapytała bezpośrednio.  
– Większość tego, co istotne.  
– A co oni ci powiedzieli?  
– Avery nie żyje. Ogrodnik prawdopodobnie się wyliże i stanie przed sądem.  
– Więc będziemy musiały mówić.  
– Już czas, zresztą spójrz na to w ten sposób: może opowiedzenie o wszystkim FBI będzie łatwiejsze niż opowiedzenie o tym rodzicom.

Bliss robi kwaśną minę.

– Jej rodzice są w drodze – Ramirez szepcze do Victora. – Lecą z Paryża, gdzie ojciec dostał etat naukowy. Trudno powiedzieć, czy poddali się i przestali szukać, czy po prostu musieli zrobić to, co najlepsze dla tych dzieci, które im zostały.

Po minie Bliss jasno widać, że nie potraktuje rodziców ulgowo.

Inara ściska Keely po raz ostatni i wychodzi z Victorem i Eddisonem. Ramirez zostaje w środku, aby porozmawiać z rodzicami. Mijają szereg pustych pokoi ze strażnikami przy drzwiach, w których miały znajdować się dziewczyny, a potem kolejne puste sale tworzące bufor pomiędzy dziewczynami a pacjentami w dalszej części korytarza, pilnowane przez innych strażników.

Kiedy się zatrzymują, Eddison zerka przez małe okienko w drzwiach i rzuca swojemu partnerowi docieklive spojrzenie. Victor tylko kiwa głową.

– Poczekam tutaj – mówi młodszy agent.

Victor otwiera drzwi i wprowadza dziewczynę do środka.

Mężczyzna na łóżku podpięty jest do skomplikowanej aparatury, która pika cicho w swoim rytmie. Tlen dostarcza mu rurka pod nosem, ale w pobliżu stoi zestaw do intubacji. Wygląda na to, że w każdej chwili może być potrzebny. Opatrunki pokrywają niemal całe ciało, tam gdzie nie zakrywa go koc, z czego część to bandaże, a część syntetyczne plastry, które odciągają ciepło z poparzeń i zapobiegają infekcji. Oparzenia pokrywają połowę czaszki, nabrzmiałej odbarwioną skórą i pęcherzami.

Dziewczyna wpatruje się w niego wielkimi oczyma, stojąc jak skamieniała zaledwie metr od drzwi.

– Nazywa się Geoffrey MacIntosh – łagodnie mówi Victor. – Już nie jest Ogrodnikiem. Ma imię i nazwisko oraz wiele oszpecających ran. Nie jest już bogiem w Ogrodzie i nigdy więcej nie będzie. Nazywa się Geoffrey MacIntosh i stanie przed sądem, by odpowiedzieć za wszystko, co zrobił. Ten człowiek *już nigdy cię nie skrzywdzi*.

– A co z Eleanor? Z jego żoną? – szepcze.

– Jest w pokoju obok, podpięta do kardiomonitora. W domu dostała zapaści. Z tego, co wiemy, nie miała o niczym pojęcia.

– A Lorraine?

– Znajduje się kilka pokoi dalej. Została przesłuchana, żebyśmy mogli ustalić, w jakim zakresie należy postawić jej zarzuty w związku z całą sprawą. Przejdzie wiele konsultacji psychologicznych, zanim decyzja zostanie podjęta.

Victor widzi, że czyjeś imię przyjmuje kształt na jej ustach, ale dziewczyna nie zadaje pytania. Siada na jednym z krzeseł przy ścianie, podpira łokcie na kolanach i wlepia wzrok w nieprzytomnego mężczyznę na szpitalnym łóżku.

– Żadna z nas nigdy nie widziała go tak wzburzonego – mówi ledwie słyszalnym głosem. – Nawet wtedy, gdy Avery robił nam najgorsze rzeczy. Wpadł w furję.

Victor podaje jej rękę i próbuje ukryć zaskoczenie, kiedy dziewczyna rzeczywiście ją przyjmuje, pocierając gazą o jego skórę.

– Nikt nigdy nie widział go w takim stanie.



Stali we trzech po przeciwnej stronie Ogrodu, blisko drzwi, i widać było, że Ogrodnik jest niesamowicie wkurwiony. Krzyczał na Desmonda, a Avery stał obok i patrzył na nich z zarożumiałą miną. Chyba uznał, że ojciec nie jest już na niego taki zły ze względu na Keely.

Zamiast podejść do nich bliżej, rozejrzałam się po Ogrodzie. Byli tu jacyś ludzie, przynajmniej tyle było jasne. Na piasku znajdowały się ślady butów, niektóre rośliny zostały stratowane. Ktoś zostawił nawet papierek po gumie do

zucia na brzegu strumyka. Czy funkcjonariusze byli po prostu mało dociekliwi? Czy Ogrodnik podał im jakieś sensowne wyjaśnienie?

– Wymiary – szepnęła Bliss. – Jeśli Ogrodnik spuścił *wszystkie* ściany, to policjanci mogli nie zauważyć, że tu są korytarze. Po obu stronach głównego wejścia znajdują się czyjeś ślady.

Więc może się jednak rozglądali, ale nie mogli nas znaleźć.

Desmond rzeczywiście zadzwonił.

Poczułam ból w sercu, bo naprawdę chciałam być z niego dumna, ale myślałam tylko, że to najwyższa, kurwa, pora. Świadomość, że jesteśmy porywane, gwałcone, mordowane i umieszczane w gablotach, to było dla niego za mało, ale zgwałcona i brutalnie pobita dziewczynka w końcu przeważała szalę.

– Tak nie można! – krzyknął, kiedy jego ojciec w końcu umilkł. – Nie możesz ich porywać, nie możesz ich tu trzymać i nie możesz zabijać!

– Nie ty o tym decydujesz!

– Właśnie, że tak! Bo to, co robisz, jest niezgodne z prawem!

Jego ojciec uderzył go w twarz tak mocno, że Des zatoczył się i upadł.

– To jest mój dom i mój ogród. Tutaj to ja stanowię prawo, a ty je złamałeś.

Chichocząc jak mały chłopiec odpakowujący świąteczne prezenty, Avery zniknął gdzieś na moment i wrócił z bambusową różgą w dłoni, pewnie tą samą, której użyto na nim wcześniej. Poważnie, różgą. Kto, do chuja pana, chłoszcze różgą swoje dorosłe dzieci? A właściwie kto chłoszcze swoje dzieci różgą, pomijając wiek? Ale Avery podał ojcu różgę i rzucił się na młodszego brata, by rozerwać mu ubrania i obnażyć plecy.

– To dla twojego własnego dobra, synu – powiedział Ogrodnik, jednocześnie podwijając rękawy. Desmond próbował się podnieść, ale Avery przytrzymał go za głowę.

Przytulając sobie do brzucha twarz Keely, tak aby nie patrzyła, stałyśmy i przyglądałyśmy się, jak Ogrodnik okłada Desmonda różgą. Pozostawiała jaskrawoczerwone szramy na jego plecach, które szybko zmieniły się w wypukłe pręgi, a Avery, ten pojeb, kibicował każdemu uderzeniu. Desmond próbował się wyrwać, ale nie krzyczał, mimo że bardzo go bolało. Ogrodnik odliczał i po dwudziestu uderzeniach odrzucił bambusową różgę.

Avery przerwał swoje radosne okrzyki.

– To wszystko? – zapytał. – Tyle razy uderzyłeś mnie, gdy wypaliłem bliznę tej szmacie!

Przyłożyłam dłoń do biodra i wyczułam zgrubiały ślad po rozżarzonej pieczęci. Czy dwadzieścia różg wystarczyło?

– Nie mieszaj się w to, Avery.

– Nie! Przez niego obaj mogliśmy skończyć w więzieniu albo nawet z karą śmierci, a ty mu wymierzasz dwadzieścia batów? – Odepchnął brata na piaszczystą

ścieżkę i zerwał się na nogi. – On niemal zniszczył wszystko, na co pracowałeś przez ostatnie trzydzieści lat. Odwrócił się od tego, co to znaczy być twoim synem. Odwrócił się od ciebie!

– Avery, kazałem ci...

Avery wyciągnął coś zza paska i nagle to, co kazał mu ojciec, przestało mieć znaczenie. Avery przejął kontrolę.

Tak już bywa, gdy trzymasz w ręku pistolet.

– Dałeś mu wszystko! – krzyknął, mierząc z broni do swojego brata. – Swojemu wspianiałemu Desmondowi, który nigdy nie kiwnął palcem, żeby ci pomóc zapęłnić Ogród. A ty i tak byłeś z niego taki dumny. „Motyle go lubią”. „Nie robi im krzywdy”. „Lepiej je rozumie”. Kogo to obchodzi? Ja też jestem twoim synem, twoim pierworodnym. To ze mnie powinienesz być dumny.

Jego ojciec uniósł dłonie, patrząc na pistolet.

– Avery, zawsze byłem z ciebie dumny...

– Nie, bałeś się mnie. Nawet ja potrafię zauważyć różnicę.

– Avery, proszę, odłóż pistolet. To nie miejsce na takie rzeczy.

– To nie miejsce na takie rzeczy – powtórzył pogardliwie. – Zawsze tak mówisz, gdy chodzi o to, czego ja chcę!

Z głębokim, pełnym bólu jękiem Desmond przekręcił się na plecy i podźwignął na łokciach.

Pistolet wystrzelił.

Desmond z krzykiem padł z powrotem na ścieżkę, a po jego postrzępionej koszuli zaczęła rozchodzić się krew. Ogrodnik rzucił się do niego z krzykiem i rozległ się drugi strzał. Ogrodnik padł na kolana, trzymając się za bok.

Pchnęłam Keely do Danelle i skryłam je obie za jednym z głazów.

– Zostańcie tu – syknęłam.

Bliss złapała mnie za rękę.

– Czy on jest tego warty?

– Pewnie nie – przyznałam. – Ale jednak zadzwonił.

Kiwnęła głową i puściła moją dłoń. Pobiegłam przed siebie, zostawiając dziewczyny w ukryciu. Prawie dobiegłam do Desmond, kiedy Avery złapał mnie za włosy i powalił na ziemię.

– A oto szmata we własnej osobie, mała królowa Ogrodu. – Przywalił mi pistoletem z taką siłą, że zadzwoniło mi w uszach. Rękojeść rozcięła mi policzek. Upuszczając pistolet, Avery kopnął mnie tak, że padłam na kolana, i zaczął rozpinąć sobie pasek u spodni. – Teraz to ja jestem królem Ogrodu, więc lepiej okaż mi szacunek.

– Tylko się zbliż, a odgryzę ci fiuta – warknęłam i usłyszałam jak Bliss kibicuje mi zza głazu.

Uderzył mnie raz jeszcze, i jeszcze raz, i uniósł dłoń, by zrobić to po raz

kolejny, kiedy powstrzymał go głos Naziry.

– Słyszę syreny!

Ja nie słyszałam niczego poza dzwonieniem w swojej czaszce, ale niektóre z dziewczyn zaczęły potakiwać. Nie byłam pewna, czy próbują odwrócić jego uwagę, czy syreny były prawdziwe.

Avery zostawił mnie i pobiegł ścieżką na klif, żeby samemu sprawdzić. Doczołgałam się do Desmond, który jedną dłonią próbował uciskać ranę w piersi. Odsunęłam jego ręce i przyłożyłam swoje, czując ciepło i lepkość jego krwi pulsującej mi pod dłonią.

– Proszę, nie umieraj – szepnęłam.

Niemrawo ścisnął moją rękę, ale nic nie odpowiedział.

Ogrodnik jęknął i podciągnął się do drugiego boku syna.

– Desmondzie! Desmondzie, odezwij się!

Des zatrzepotał powiekami i otworzył swoje bladozielone oczy – oczy swojego ojca.

– Jedyńm sposobem, by je przed nim chronić, jest je uwolnić – wydyszał. Na jego twarzy połyskiwały kropelki potu. – On je zabije i będą umierać w cierpieniu.

– Nie zamykaj oczu, Desmondzie – błagał dalej ojciec. – Zabierzemy cię do szpitala. Coś wymyślimy. Mayu, nie przestawaj uciskać!

Nie przestałam.

Ale teraz też słyszałam syreny.

Avery skakał i klął na szczycie klifu. Dziewczyny zbiegły na dół i otoczyły nas, pewnie dochodząc do wniosku, że Ogrodnik i Desmond to lepszy wybór niż Avery, któremu kompletnie odbiło. Nawet Lorraine stanęła z nami i nikt nie próbował jej odgonić. Bliss podniosła pistolet trzęsącymi się dłońmi, ale nie spuszczała wzroku z Avery'ego.

A syreny robiły się coraz głośniejsze.



– Nie rozumiem, dlaczego wrócili – szepcze Inara, ściskając dłoń Victora, jakby od tego zależało jej życie. – Przecież za pierwszym razem niczego nie znaleźli. Inaczej Ogrodnik nie podniósłby ścian.

– Jeden z funkcjonariuszy, który został na komisariacie, sprawdził nazwiska podane przez Desmonda przez telefon. Rozpoznali nazwisko Keely, bo ledwie co zaginęła, ale kiedy sprawdził pozostałe, wyświetliły mu się alerty FBI. Jego przełożony skontaktował się z nami i spotkaliśmy się tutaj. Na przykład Cassidy Lawrence. Zniknęła prawie siedem lat temu z Connecticut. Nie było powodu, żeby wymieniać jej nazwisko razem z Keely, o ile nie było między nimi prawdziwego związku.

– Więc Lyonette przyczyniła się do tego, że w końcu nas odnaleziono? – pyta Inara z cieniem uśmiechu na twarzy.

– Tak.

Przez kilka minut siedzą w ciszy i patrzą, jak mężczyzna na łóżku robi wdechy i wydechy.

– Inaro.

– Muszę opowiedzieć resztę.

– Miejmy nadzieję, że to ostatnia trudna rzecz, o jaką cię poproszę.

– Do czasu aż poprosisz mnie, żebym zeznawała – wzdycha.

– Przykro mi, naprawdę, ale co się zdarzyło dalej?



Pieprzona Sirvat.

Ogrodnik wyciągnął z kieszeni swojego pilota, wstukał serię cyfr na maleńkiej klawiaturze.

– Sirvat, pójdz, proszę, do pokoju przy drzwiach i przynieś ręczniki oraz gumowe rurki.

– Do pokoju przy Zarze? – zapytała.

– Tak, właśnie do tego.

Na jej twarzy powoli pojawił się uśmiech i odwróciła się na pięcie, chichocząc. Sirvat mieszkała w Ogrodzie od półtora roku i odkąd pamiętałam, była samotniczką i po prostu... dziwołagiem.

Ogrodnik zaciągnął mocniej pasek, aby ucisnąć ranę w swoim boku, i pogładził syna po włosach, powtarzając mu, aby nie tracił przytomności, zadając pytania i błagając o odpowiedź. Des w reakcji na niektóre z nich ścisnął moją dłoń i nadal oddychał, ale nie próbował mówić, i tak chyba było najlepiej.

– Kiedy obwiążemy go ręcznikami, pozwolisz nam wynieść go na zewnątrz? – zapytałam.

Ogrodnik spojrzał na mnie, prawie jakbym była niewidzialna, najwyraźniej kalkulując po cichu, czy Motyle są ważniejsze od syna – nawet teraz. W końcu pokiwał głową.

I wtedy poczułam zapach. I zamarłam.

Po chwili także i Danelle zmarszczyła nos.

- Co to?
- Formalina – syknęłam. – Musimy uciekać jak najdalej od tego pokoju.
- Jakiego pokoju?

Ogrodnik jeszcze bardziej zbladł.

- Nie ma czasu na pytania, idziemy.

Musiałśmy ciągnąć Desmonda po piasku, a Ogrodnik szedł za nami chwiejnym krokiem. Przeszliśmy przez strumień wodospadu – każdą, która próbowała go obejść, żeby się nie zmoczyć, Bliss wpychała do środka przez wodę – i skryliśmy się w jaskini.

Przez huk wody usłyszaliśmy śmiech Sirvat i wtedy...



Dziewczyna kręci głową.

– Nie wiem, jak opisać eksplozję – mówi mu. – Była ogromna. I ten huk, i żar. Z klifu spadło kilka kamieni, ale jaskinia się nie zapadła, mimo że trochę się o to obawiałam. Wszędzie były płomienie, szkło i te małe odpryski, które zamieniały się w parę, kiedy wpadały do strumienia. Przez roztrzaskany dach do środka wdarło się powietrze i płomienie poszybowały w górę. Dym zaczął ulatywać na zewnątrz, podobnie jak prawdziwe motyle, ale mimo to trudno nam było oddychać. Musiałśmy się stamtąd wydostać.

- Poszłyście przez strumień?



– Aż do jeziora. Mocno poraniłyśmy sobie stopy od szkła, ale ogień się rozprzestrzenił i woda wydawała się lepszym wyborem. Przód Ogródu wyglądał jak jedno wielkie ognisko. Zapytałam Ogrodnika... – Z trudem przelyka ślinę i spogląda na człowieka na łóżku. – Zapytałam pana MacIntosha, czy jest tu jakieś wyjście ewakuacyjne, inna droga na zewnątrz, ale powiedział... że nigdy nie sądził, by coś mogło się tu stać.

Obraca dłoń w jego uścisku, aż drugą jest w stanie sięgnąć pod bandażę i dotknąć strupów. Victor delikatnie odsuwa jej palce.



Płomienie tak szybko się rozprzestrzeniały. Nad naszymi głowami pękały szklane szyby i spadały na nas wielkimi kawałami. Willa zdołała zrobić unik przed jednym z nich, ale trafił ją następny, który prawie rozciął jej głowę na pół. Widziałyśmy, że płomienie wydostają się poza Ogród i pożerają zewnętrzną szklarnię.

Ogrodnik pokręcił głową i wsparł się o Hailee.

– Jeśli pożar dosięgnie pomieszczenia z nawozami, dojdzie do kolejnej eksplozji – powiedział, zanosząc się kaszlem.

Do tego czasu większość dziewczyn zdążyła się już rozplakać.

Próbowałam wymyślić choć jedno wyjście z tej przejebanej sytuacji.

– Klif – powiedziałam. – Jeśli wybijemy szyby na ścianie, mogłybyśmy

wyjsć na dach korytarzy.

– I co? Ześlizgnąć się po pękających lub już popękanych szybach do zewnętrznej szklarni? – burknęła Bliss. – I na dodatek połamać sobie kostki, nogi, *kręgosłupy* przy upadku?

– Dobra. To ty coś wymyśl.

– Nie mam, kurwa, pojęcia. Teraz ty.

Desmond zarechotał i jęknął.

Nagle Pia krzyknęła i gdy się odwróciliśmy, zobaczyliśmy, że stoi za nią Avery i przydusza ją oparzoną, pokrytą pęcherzami przedramieniem. W jego ręce drgał wielki kawałek szkła, a brudne od sadzy policzki pokryte miał licznymi ranami.

– Puść ją, Avery – stęknął Ogrodnik.

Mimo szelestu płomieni wszyscy usłyszeliśmy, jak pęka jej kark.

Odrzucił ciało Pii na bok i niemal w tej samej chwili odskoczył z ostrym hukiem. Gdy się odwróciłam, zobaczyłam, jak Bliss z uniesionym pistoletem i stopami mocno wbitymi w ziemię mierzy do niego raz jeszcze. Zawył z bólu i rzucił się przed siebie. Bliss posłała mu kolejne dwie kule, zanim padł twarzą w kwiaty.

Jedno z większych drzew, całe w płomieniach, złamało się blisko korzeni i przewróciło, rozbijając szklaną ścianę z okrutnym trzaskiem. Szkło rozlatywało się na kawałki, metalowe płyty ugięły pod jego ciężarem i czarny dach, który biegł pomiędzy dwiema częściami szklarni, runął. Widziałyśmy zewnętrzną szklarnię poprzez tańczące płomienie.

– Nadal nic nie wymyśliłam – powiedziała Bliss i zakrztusiła się dymem. – Poważnie, teraz twoja kolej.

– Odpierdol się – burknęłam, na co ona lekko się uśmiechnęła.

Zahaczyłam kostką o kolano Ravenny i przyciągnęłam ją, żeby zajęła moje miejsce i uciskała pierś Desmonda. Zdawałam sobie sprawę, że tak dużo ruchu nie wpływa na niego najlepiej, ale nie mogłam znieść myśli, że miałabym go tak po prostu porzucić. On spróbował nas uratować, nawet jeśli mu się nie udało. My też mogłyśmy.

I nie chciałam, żeby umarł. Nie, kiedy w końcu dał nam szansę, by przeżyć.

Pobiegłam do powalonego drzewa, odrzucając co większe kawałki szkła i poszarpane gałęzie. Dłonie przeszywał mi ból, ale jeśli istniał choć cień szansy, że to będzie nasza droga ucieczki, to musiałam spróbować. Glenys i Marenka zaczęły mi pomagać, po chwili dołączyła do nas Isra i wspólnie starałyśmy się utworzyć sobie drogę wokół pnia. Gdy oczyściłyśmy jedną jego stronę, wspólnie zaczęłyśmy pchać pień z drugiej, aż zdołałyśmy go wypchnąć do zewnętrznej szklarni.

Marenka wyciągnęła mi z ramienia kawałek szkła i odrzuciła go na bok.

– Chyba wiem, jak go stąd wyniesiemy.

– Spróbujmy.

Uniosła Desmonda za ramiona, wkładając mu ręce pod pachy. Stałam między jego nogami i włożyłam ręce pod kolana. Nie była to elegancka poza i zdecydowanie nie było to łatwe, ale mogłyśmy przynajmniej iść gęsiego.

Bliss poprowadziła nas przodem, za nią podążały Danelle i Keely. Isra trzymała się za nami i odpychała kolejne spadające odłamki, Ogrodnik szedł obok niej. Nie pomagał, bo właściwie nie mógł, ale pilnował, by te bardziej przestraszone dziewczyny – a właściwie sparaliżowane strachem – szły za nami. Dym robił się coraz gęstszy i wszyscy się nim dusiliśmy. Za ścianami zewnętrznej szklarni poruszały się jakieś sylwetki i nagle w jednej z niespełna dwumetrowych ścian ze szkła otaczających podłogę dał się słyszeć trzask. Ktoś walił w nią siekierą. Zatrzymaliśmy się, chcąc zobaczyć, czy uda mu się przebić, i po kilku kolejnych uderzeniach szyba się roztrzaskała. Za pomocą obucha strażak strącił resztę odłamków, po czym zarzucił na nią grubą plandekę.

– Chodźcie – krzyknął strażak, a może strażaczka, w masce.

Po chwili do środka wbiegło ich więcej i dwóch przejęło od nas Desmonda. Choć nie było szczególnie pachnące, po raz pierwszy od nie wiem jak dawna poczułyśmy świeże powietrze. Nieliczne dziewczyny, które jeszcze nie zaczęły płakać, zalały się łzami, kiedy stanęły na rześkiej jesiennej trawie i poczuły, jak omiata nas zimne powietrze. Kilka z nich padło na kolana i musiały zostać odciągnięte siłą.

Próbowałam nas przeliczyć, kiedy zabrali Desmonda, i widziałam, że Isra robi to samo w zewnętrznej szklarni. Obie starałyśmy się ustalić, ile dziewczyn straciłyśmy, nim udało się nam wyjść. I wtedy rozległo się wielkie... *boom*, i kolejne pomieszczenie eksplodowało. Kiedy zobaczyłam Isrę po raz ostatni, leciała odrzucona siłą wybuchu w kłęb ognia wraz z trzema trzymającymi się jej dziewczynami, a Ogrodnik leżał na podłodze cały w płomieniach. Próbowałam pobiec do dziewczyn, ale jeden ze strażaków złapał mnie za nadgarstki i wyciągnął na zewnątrz.



– A potem była karetka, szpital i pokój, w którym poznałam ciebie –  
wzdycha. – I to wszystko. Cała historia.

– Nie do końca.

Dziewczyna zamyka oczy i przykłada do policzka dłoń, w której trzyma  
małego niebieskiego smoka.

– Jak się nazywam.

– Ogrodnik ma już imię i nazwisko. Czy twoje jest takie straszne?

Nie odpowiada.

Victor wstaje i pomaga się jej podnieść.

– Chodź. Musisz jeszcze coś zobaczyć.

Inara wychodzi za nim przez drzwi, mija Eddisona, z marsową miną  
rozmawiającego z technikiem ubranym w wiatrówkę, który przyjechał z miejsca  
zdarzenia, i wchodzi do pokoju po drugiej stronie korytarza. Tym razem Victor  
musi doprowadzić ją aż do skraju łóżka, by mogła rozpoznać, kto w nim leży.  
A kiedy w końcu orientuje się, kto to, przez chwilę nie może złapać tchu.

Desmond powoli otwiera rozkojarzone przez leki oczy. Kiedy ją widzi, unosi  
kąciki ust w lekkim uśmiechu.

– Hej – szepcze.

Dziewczyna kilka razy porusza wargami, zanim wraca jej głos.

– Hej.

– Przepraszam.

– Nie... nie... postąpiłeś słusznie.

– Ale powinienem był to zrobić o wiele wcześniej. – Przesuwa dłoń leżącą na kocu, plastikowe rurki przekręcają się pod taśmą, która przytrzymuje igłę wbity w skórę.

Inara wyciąga dłoń, by wziąć go za rękę, ale jej palce zaciskają się w pięść. Wpatruje się w niego z lekko rozchylonymi ustami, jej dolna warga drży z emocji.

Desmond powoli zamyka oczy i nieruchomieje. Trudno powiedzieć, czy śpi, czy stracił przytomność.

– Nadal jest słaby – cicho mówi Victor. – Przed nim długa rekonwalescencja, ale lekarze mówią, że najgorsze już za nim.

– Przeżyje? – szepcze dziewczyna. Jej oczy błyszczą, ale nie spływają z nich łzy. Zaciska w dłoni małego niebieskiego smoka i obejmuje brzuch rękoma w obronnym geście, którego nie powinna już potrzebować. – Zostanie oskarżony o współudział – mówi w końcu.

– To już nie od nas zależy. Może w jego przypadku w grę wchodzi jakaś ugoda, ale...

– Ale powinien był zadzwonić sześć miesięcy wcześniej i niedługo wszyscy się o tym dowiedzą.

Victor drapie się po głowie.

– Przyznaję, sądziłem, że poczujesz większą ulgę, widząc go żywego.

– Czuję ulgę. Tylko że to...

– Nie takie proste?

Kiwa głową.

– Może wyświadczyłabym mu większą przysługę, zostawiając go w pożarze, bez konsekwencji wobec jego tchórzostwa. Zrobił to o wiele za późno, ale w końcu postąpił słusznie i teraz zostanie ukarany za to, że tyle zwlekał. Mógł umrzeć bohatersko, ale będzie żył jako tchórz.

– Więc to uczucie nigdy nie stało się prawdziwe?

– Prawdziwe na tyle, by pozostawić blizny. Czyli właściwie zupełnie nieprawdziwe. Przecież to nie mogło stać się czymś więcej.

– Bardzo prawdopodobne, że on też stanie przed sądem. Pewnie będziesz wezwana na świadka, by zeznawać przeciwko niemu.

Dziewczyna dalej patrzy na chłopaka w łóżku i nie odpowiada.

Victor nie jest pewien, czy można tu coś powiedzieć.

– Inaro...

– Inara! – Z korytarza rozlega się kobiecy głos. – *Ina...* tak, widzę twoją odznakę, ty arogancki bucu, ale to moja rodzina! Inara! – Słychać odgłosy przepychanki, po czym drzwi otwierają się z impetem i staje w nich kobieta średniego wzrostu, około trzydziestoletnia, o spłowiałych kasztanowych włosach wysypujących się z niedbałego koczka.

Inara nieruchomieje, odwracając się do intruza, i oczy o mało nie wyskakują

jej z orbit. Głos, który się z niej wydobywa, jest niewiele głośniejszy od oddechu.

– Sophia?

Sophia wbiega do pokoju, a Inara rusza jej naprzeciw. Padają sobie w objęcia i ściskają się tak mocno, że bieleją im knykcie. Bujają się z boku na bok od siły uścisku.

Czy to ta Sophia? Matkująca współlokatorka? Skąd w ogóle wiedziała, że Inara tu jest?

Do pokoju wchodzi Eddison z zachmurzoną miną i mierzy kobietę wzrokiem w momencie, w którym ją mija. Rzuci Victorowi zwykły, czarny album, gruby od zdjęć.

– Był w ukrytej szufladzie biurka w jego gabinecie. Technicy sprawdzali nazwiska, kiedy znaleźli coś ciekawego.

Victor prawie nie chce wiedzieć, ale to jego praca. Odrywa wzrok od dwóch kobiet i zauważa zieloną karteczkę samoprzylepną wetkniętą jakieś dwie trzecie od początku albumu. Otwiera go kilka stron wcześniej.

Ze zdjęcia patrzy na niego młoda kobieta o przerażonych, zapłakanych oczach, ramiona ma zgarbione, ręce częściowo uniesione, jak gdyby została przyłapana, gdy próbowała zakryć swoje nagie piersi przed obiektywem. Obok tego zdjęcie zrobione od tyłu, ukazujące świeżo wytatuowane skrzydła. Pod spodem te same skrzydła w gablocie, ich wyraźne krawędzie rozmyte przez szkło i bezbarwną żywicę. W pustym miejscu znajdują się dwa imiona: na górze Lydia Anderson, pod spodem Siobhan, napisane pewną męską ręką, a dalej *Agraulis vanillae* oraz dwie daty, między którymi upłynęły cztery lata.

Na następnej stronie znajduje się kolejna dziewczyna, a jeszcze na następnej, tej, do której przyklejono karteczkę, widnieją tylko dwa zdjęcia. I tylko jedna data. Pod zdjęciem piękności o kasztanowych włosach i nieufnych orzechowych oczach napisane jest...

– Sophia Madsen – Victor czyta na głos w całkowitym zaskoczeniu.

Kobieta spogląda na niego przez ramię Inary. Następną linijkę wypowiada za Victora.

– Lara.

– Jak...

– Nikt nie mówiłby o Motylu, któremu udało się uciec, gdyby żaden nigdy nie uciekł – mamrocze Inara we włosy Sophii. – To by za bardzo bolało.

– Ucieczka była prawdziwa. Ty... naprawdę uciekłaś?

Obie kiwają głowami.

Eddison marszczy brew.

– Po wprowadzeniu do bazy danych nazwisko zdublowało się z listą pracowników Gwiazdy Wieczornej. Wysłali kogoś do restauracji i pod oba wymienione adresy, ale dziewczyny tam nie było.

– Oczywiście, że mnie nie było – prychna Sophia. – Jak mogłam tam być, skoro jechałam tutaj? – Odrywa się od Inary. Nie puszcza jej, tylko odsuwa na tyle, by mogła na nią popatrzeć. Bluzka Sophii jest znoszona i obszerna, jej górna część opada z jednego ramienia, ukazując ramiączko stanika oraz spłowiałą krawędź koniuszka skrzydła, rozciągniętego od nabranych kilogramów. – Taki zobaczył cię w wiadomościach, jak wchodzisz do szpitala, i przybiegł do mieszkania. Zadzwonili do mnie i... och, Inaro!

Inara sapie, znów ściskana przez Sophię, ale nie prosi jej, by ją puściła.

– Wszystko w porządku? – pyta Sophia.

– Prawie – Inara odpowiada cicho, niemal nieśmiało. – W najgorszym stanie są dłonie, ale jeśli będę uważać, powinny się zagoić.

– Wiesz, że nie tylko o to pytam. A naprawdę pytam. Mam teraz swoje lokum, mogę więc łamać zasady z mieszkania.

Twarz Inary się rozpromienia, a cała niepewność i zaskoczenie znikają.

– Odzyskałaś córki!

– Tak. Strasznie się ucieszą, kiedy cię zobaczą. Tęskniły za tobą, tak jak my wszystkie. Mówią, że nikt im tak dobrze nie czyta jak ty.

Eddisonowi kiepsko wychodzi zakamuflowanie śmiechu kaszlem.

Inara rzuca mu kwaśne spojrzenie.

Victor niemal czuje ulgę, kiedy Inara wykręca się od odpowiedzi na trudniejsze pytanie. Przynajmniej robi tak ze wszystkimi. Odchrząkuje, żeby zwrócić na siebie ich uwagę.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale nalegam na jakieś wyjaśnienia.

– Zwykle tak robi – Inara mówi pod nosem.

Sophia tylko się uśmiecha.

– Taką ma pracę. Ale może... – Zerka na chłopaka w łóżku, a Victor podąża za jej spojrzeniem. W całym tym zamieszaniu Desmond nawet nie drgnął. – Gdzie indziej?

Victor kiwa głową i wyprowadza ich z pokoju. W korytarzu zauważa senator Kingsley, która stoi sama przed drzwiami do sali Motyli i robi głębokie wdechy. Można by się spodziewać, że bez zakietu, w samej bluzce i spódnicy, będzie sprawiać łagodniejsze wrażenie, ale wygląda jedynie na przestraszoną. Victor zastanawia się, czy jej kostium jest jak błyszczący Inary, jak tarcza, którą osłania się przed światem.

– Myślisz, że wejdzie do środka? – pyta Inara.

– Ostatecznie tak – odpowiada. – Kiedy zda sobie sprawę, że na coś takiego nie można się przygotować.

Wprowadza wszystkich do jednego z pokoi w strefie buforowej pomiędzy Motylami a rodziną MacIntoshów. Przynajmniej będą tu sami. Jeden z funkcjonariuszy dodatkowo staje przed drzwiami dla pewności, że nikt im nie

przeszkodzi. Inara i Sophia siadają obok siebie na jednym z niezasałanych łóżek zwrócone do drzwi tak, by widziały każdego, kto spróbuje wejść do środka. Victor zajmuje miejsce na łóżku naprzeciwko. Nie jest zaskoczony tym, że Eddison woli chodzić z kąta w kąt, zamiast usiąść.

– Proszę zacząć, pani Madsen – zachęca Victor.

– Chciałby pan przejść do sedna, prawda? – Sophia kręci głową. – Przykro mi, ale nie, jeszcze nie. Czekałam na to dłużej niż pan.

Victor mruga z niedowierzaniem, ale kiwa głową.

Sophia bierze dłoń Inary, zamyka ją w swoich i mocno zaciska.

– Myśleliśmy, że dopadły cię jakieś sprawy z przeszłości. Myślałyśmy, że uciekłaś.

– To było logiczne założenie – łagodnie odpowiada Inara.

– Ale wszystkie twoje ubrania...

– To tylko ubrania.

Sophia znów kręci głową.

– Gdybyś miała zamiar uciec, zabrałabyś pieniądze. Tak przy okazji, razem z Whitney założyłyśmy ci konto w banku. Nie czułyśmy się komfortowo, wiedząc, że mamy w domu tyle gotówki.

– Sophio, jeśli szukasz jakiegoś powodu, by uznać, że to wszystko twoja wina, to ja ci go nie podam. Wszystkie przed czymś uciekałyśmy. Wszystkie miałyśmy tego świadomość. Wszystkie wiedziałyśmy, że jeśli któraś zniknie, to mamy nie zadawać pytań.

– A powinnyśmy. I okoliczności...

– Nie było jak się domyślić.

– Okoliczności? – pyta Victor.

– Przyjęcie, które Ogrodnik... pan MacIntosh...

Sophia wydaje z siebie gwałtowny śmiech.

– On się jakoś nazywa? To znaczy, oczywiście, że się nazywa, ale... jakie to dziwne.

– Przyjęcie w Gwieździe Wieczornej – Inara wraca do tematu. – Nie powiedziałam nic o upiornej rozmowie z panem MacIntoshem, tylko o strasznym spotkaniu z Averym. Ale potem wróciłyśmy do domu z tymi wszystkimi sukienkami i skrzydłami motyli.

– Upiłam się prawie do nieprzytomności – mówi Sophia ponurym tonem. – Jakbym znów wróciła do piekła.

– Wzięłam ją na schody przeciwpożarowe, żeby zaczerpnęła świeżego powietrza, i skończyło się na tym, że opowiedziała mi o Ogrodzie.

– A nigdy wcześniej nikomu o tym nie powiedziałam.

– Dlaczego nie? – pyta Victor. Kątem oka widzi, że Eddison przestał chodzić.



– Na początku nie było o czym mówić. Nie wiedziałam, jak on się nazywa, byłam tak spanikowana, że kiedy uciekłam, nie zwróciłam uwagi na to, co mnie otacza. Nie wiedziałam, gdzie znajduje się posiadłość. Miałam tylko tatuaż, rosnący we mnie płód i historię nie do uwierzenia. Doszłam do wniosku, że jeśli pójdę na policję, zachowają się tak samo jak moi rodzice: uznają, że byłam pijana, naćpana albo że się puszczałam i kłamię, żeby uniknąć konsekwencji.

– Wróciłaś do swoich rodziców?

Krzywi się.

– Wyrzucili mnie. Powiedzieli, że się mnie wstydzą. Nie miałam gdzie się podziać. Miałam dziewiętnaście lat, byłam w ciąży i nie znałam nikogo, kto chciałby mi pomóc.

Eddison przysiadła na samym końcu łóżka Victora.

– Więc Jillie jest córką Ogrodnika?

– Jillie jest *moja* – Sophia szczyrzy kły.

Eddison podnosi obie ręce, próbując ją udobruchać.

– Ale jest jej ojcem.

Sophia kuli się w sobie, a Inara nachyla się do niej, aby ją pocieszyć.

– To był kolejny powód, dla którego nic nie powiedziałam. Gdyby się o niej dowiedział, mogłabym ją stracić. Żaden sąd na świecie nie pozwoliłby jej zostać z uzależnioną od heroiny matką prostytutką, skoro mogłaby mieszkać z bogatą, szanowaną rodziną. Kiedy opieka społeczna zabrała mi dzieci, mogłam przynajmniej coś zrobić, żeby je odzyskać. Gdyby on odebrał mi Jillie, nigdy więcej bym jej nie zobaczyła i nie sądzę, żeby Lotte zdołała się z tym pogodzić. To są moje córki. Musiałam je chronić.

Victor spogląda na Inarę.

– Czy to nie to właśnie robił Desmond? Chronił swoją rodzinę? Nie miałaś o nim najlepszego zdania.

– To nie to samo.

– Nie?

– Wiesz, że nie – odpowiada oschle. – Sophia chroniła swoje dzieci. Niewinne dzieci, które nie zasłużyły na to, by ponieść konsekwencje cudzych czynów. Desmond chronił przestępców. Morderców.

– Jak uciekłaś? – zapytał Eddison.

– Miałam sobie zrobić test ciążowy – odpowiada Sophia. – Zaczęłam przybierać na wadze i czasem po lunchu robiło mi się niedobrze. Lor... nasza pielęgniarka przyniosła mi test, ale została wezwana do jakiegoś urazu, zanim zdążyła mnie przypilnować. Spanikowałam. Zaczęłam biegać, szukając wyjścia, które być może przegapiłam przez ostatnie dwa i pół roku. I zobaczyłam Avery'ego.

– Avery był już wtedy w Ogrodzie?

– Odkrył go kilka tygodni wcześniej. Ojciec dał mu kod, ale chłopak miał problemy z pamięcią. Bardzo powoli go wbijał. Tego dnia ukryłam się pośród kapryfolium i patrzyłam, jak z trudem go wprowadza. Nawet wypowiedział numery na głos, kiedy wciskał guziki. Poczekałam chwilę, po czym sama go wstukałam. Prawie zapomniałam, że drzwi można normalnie otworzyć.

Victor pociera policzek.

– Powiedziałaś którejs z innych dziewczyn?

Zaczyna się jeżyć, ale po chwili opuszcza ramiona.

– Chyba rozumiem, dlaczego o to w ogóle pytasz – przyznaje Sophia. – W końcu nie idąc na policję, zostawiłam je tam na śmierć, prawda? Ale naprawdę się starałam. – Stanowczo spogląda mu w oczy. – Przysięgam. Starałam się. Ale bały się spróbować uciec. A ja bałam się zostać.

– „Bałam”?

– Co się dzieje, jeśli prawie ci się uda? – pyta Inara, ale bardziej brzmi to jak przypomnienie, nie pytanie.

– Minął niespełna miesiąc, odkąd dziewczyna imieniem Emeline została na zewnątrz podczas prac w Ogrodzie – mówi Sophia. – Próbowała powiedzieć ogrodnikom, co się dzieje, ale pan MacIntosh pewnie wszystko jakoś wytłumaczył. Następnym razem, kiedy ją zobaczyłam, była w szkle. Trudno jest podjąć się ucieczki, kiedy widzisz, jaka grozi za nią kara. Ale wini mnie pan za to, że je zostawiłam.

– Nie – Victor kręci głową. – Dałaś im szansę. Nie można uratować kogoś wbrew jego woli.

– A skoro o tym mowa, Lorraine tu jest.

Sophia odwraca się do Inary z konsternacją.

– O, nie. Nadal?

Inara kiwa głową.

– Biedna kobieta – mamrocze pod nosem. Inara zerka na nią z ukosa, ale nic nie mówi. – Byłam na ulicy dłużej niż w Ogrodzie, ale w życiu nie widziałam nikogo tak skrzywionego jak Lorraine. On ją kochał, a potem przestał, i to nie była jej wina. Możesz ją nienawidzić, jeśli musisz, ale mnie jest jej zwyczajnie żal. Chyba miała w życiu najmniejsze szanse z nas wszystkich.

– Teraz już nigdy nie znajdzie się w szkle.

– Ona nie miała znaleźć się w szkle już za moich czasów. Czy to cokolwiek zmienia?

– Inaro? – Wszyscy odwracają się do Eddisona. Z tego, co pamięta Victor, to pierwszy raz, kiedy Eddison zwrócił się do dziewczyny po imieniu. – Czy celowo dałaś się porwać? Czy to przed nami ukrywałaś?

– *Celowo?* – dyszy Sophia i zrywa się z łóżka.

– Nie, ja...

– Zrobiłaś to celowo?

– Nie! Ja...

Victor stara się nie słyszeć całkiem imponującego wykładu Sophii i rzuca swojemu partnerowi spojrzenie spod byka.

– Jak przeszedłeś od współudziału do dobrowolnego uprowadzenia? – pyta, mając w głowie gonitwę myśli. Jeśli Eddison ma rację, to mogłoby to wszystko zmienić. Nie ocali jej wtedy przed senator ani przed sądem. Posunąć się tak daleko i nie pójść na policję? Działać z determinacją, gdy otacza cię tyle niebezpieczeństw, to jedno, ale dobrowolnie się tam udać? Świadomie narazić siebie i być może pozostałe dziewczyny?

– Jeśli nie ukrywała tego, że miała w tym wszystkim udział, to co takiego kryła?

– Kryłam Sophię! – Inara traci panowanie nad sobą i ciągnie przyjaciółkę za rękę. Zaskoczona Sophia z powrotem siada na łóżku. – Celowo? Poważnie, czy ja wyglądałam na taką głupią?

– Naprawdę chcesz, żebym odpowiedział na to pytanie? – Eddison pyta z szerokim uśmiechem.

Dziewczyna rzuca mu groźne spojrzenie.

– Kryłam Sophię – powtarza Inara, tym razem delikatniejszym tonem. Spogląda na Victora. – Rozumiem, że moje słowo może nie być wiele warte, ale przysięgam, że to prawda. Wiedziałam, że jeśli wspomnę o Sophii, na jaw wyjdzie prawda o Jillie, a nie mogłam... Sophia tak bardzo się starała, żeby odzyskać swoje życie. Nie mogłam być tą osobą, która wywróci wszystko do góry nogami. Nie mogłam być powodem, przez który straci córki. Potrzebowałam czasu, aby coś wymyślić.

– Ale co? – pyta Victor.

Wzrusza ramionami.

– Musiałam sprawdzić, czy uda mi się nie wspominać o jej związku z Ogrodem. Ukrycie przed wami albumu byłoby najprostsze, ale to... no cóż. Więc potem pomyślałam, że jeśli uda mi się wszystko wystarczająco przedłużyć, mogłabym do niej zadzwonić, ostrzec ją albo...

– Nie spodziewałaś się, że przyjedzie.

Inara kręci głową.

– Ale wiedziałaś wcześniej o Ogrodzie – upiera się Eddison.

– Ale nie, że to byli oni. – Inara trzyma małego smutnego smoka w obu dłoniach. – Kiedy jej wspomnienia o Ogrodzie zaczęły wypływać na powierzchnię, stało się tak na widok skrzydeł z naszych kostiumów, niczego więcej. Żadna z nas, która tego wieczoru pracowała w restauracji, nie powiedziała, jak wyglądali klienci. Bo niby dlaczego? A poza tym zbierali pieniądze na *Madame Butterfly*. Motyw przewodni miał sens. Ja nie wiedziałam.

Victor powoli kiwa głową.

– Ale wiedziałaś o Ogrodzie, więc kiedy się tam obudziłaś, nie spanikowałaś.

– Dokładnie. Próbowałam podglądać, jak Avery wprowadza kod, ale był bardziej ostrożny. W końcu minęło dziesięć lat. Szukałam wszędzie, ale nie mogłam znaleźć żadnego wyjścia. Próbowałam nawet rozbić szkło przy drzewach. Nie zrobiłam jednak nawet rysy.

– A potem pojawił się Desmond.

– Desmond? – pyta Sophia.

– Młodszy syn Ogrodnika. Próbowałam... – Inara kręci głową, odgarniając włosy z twarzy. – Pamiętasz, jak Hope potrafiła owinąć sobie wokół palca chłopaków, z którymi się pieprzyła? Żeby wskoczyli dla niej do płonącego budynku, bo zostawiła tam ulubiony wisiołek?

– Tak...

– Spróbowałam zrobić to samo.

– No nieźle. – Sophia trąca Inarę ramieniem, a uśmiech rozjaśnia jej rysy. – Trudno mi sobie wyobrazić, żeby w twoim wypadku poszło to dobrze.

– No i nie poszło.

– Ale ostatecznie zadzwonił – przypomina jej Victor.

– Nie sądzę, żebym to ja do tego doprowadziła – wyznaje Inara. – Myślę, że to głównie przez Avery'ego.

– Czekał, że co?

– Nie potrafili współistnieć ze sobą w Ogrodzie. Może nigdzie nie umieli, ale tam szczególnie, zwłaszcza że w grę wchodziła duma ich ojca. Konkurowali ze sobą o jego miłość. Avery zrobił coś drastycznego, więc w odpowiedzi Desmond postąpił podobnie. Obaj przegrali.

– Ale ty wygrałaś.

– Nie sądzę, żeby ktokolwiek tu wygrał – odpowiada. – Dwa dni temu było nas dwadzieścia trzy, w tym Keely. Teraz jest trzynaście. Jak myślisz, ile dziewczyn zdoła przyzwyczaić się do życia na zewnątrz?

– Myślisz, że będą samobójstwa?

– Myślę, że trauma nie kończy się, gdy ktoś cię uratuje.

Eddison wstaje i bierze album z rąk Victora.

– Muszę to oddać technikom. Potrzebujesz czegoś, skoro już wychodzę?

– Sprawdź, czy ktoś skontaktował się z prawnikiem rodziny MacIntoshów. Geoffrey i Desmond są w takim stanie, że jeszcze go nie potrzebują, ale Eleanor powinna mieć swojego reprezentanta. Sprawdź też, co z Lorraine. Dowiedz się, czy psychologowie wydali jakąś wstępną opinię.

– Jasne. – Kiwa głową do Inary i wychodzi z pokoju.

Dziewczyna unosi brew.

– Jeszcze kilka dni przebywania z nim w jednym pomieszczeniu i może nawet uznałabym go za przyjaciela. – Uśmiecha się do Victora, słodko i w jakiś sposób nieszczerze, ale nadal prawdziwie. Uśmiech jednak szybko znika. – o co dalej?

– Więcej przesłuchań. O wiele więcej przesłuchań. Zostanie w nich pani uwzględniona, pani Madsen.

– Domyśliłam się. Przywiozłam nam obu po walizce.

– Walizce? – powtarza za nią Inara.

– Są w bagażniku. Pożyczyłam samochód od Guiliana. – Uśmiecha się i delikatnie potrząsa Inarą. – Sądziłaś, że postawię na tobie krzyżyk? Zatrzymaliśmy wszystkie twoje rzeczy i twoje łóżko. Mówiłam ci, że razem z Whitney założyłyśmy ci konto i wpłaciłyśmy na nie tę furę pieniędzy, którą zostawiłaś. Powinnaś mieć z nich teraz niezłe odsetki. A Guilian mówi, że zawsze znajdziesz pracę w jego restauracji.

– Zatrzymałaś... zatrzymałaś moje rzeczy? – pyta słabym głosem.

Sophia lekko szczypie ją w nos.

– Ty też jesteś moją dziewczynką.

Inara szybko mruga powiekami i wtedy na jej rzęsach pojawiają się łzy, które spływają na policzki. Z niedowierzaniem dotyka wilgotnej skóry koniuszkami palców.

Victor odchrząkuje.

– Koniec tej karuzeli – mówi do niej cicho. – Tym razem czeka na ciebie rodzina.

Inara robi głęboki, rozedrgany wdech, próbując się opanować, ale Sophia bierze ją w objęcia i ostrożnie kładzie sobie na kolanach. Dziewczyna płacze cichutko, zdradzając ją jedynie przeszywające ciało dreszcze i nierówny oddech. Sophia nie gładzi jej po ciemnych, błyszczących włosach. Victor myśli sobie, że to pewnie za bardzo przypominałoby o Ogrodniku. W zamian śledzi palcem wygięcie ucha Inary, aż dziewczyna wydaje z siebie łzawy śmiech i znów siada na łóżku.

Victor podaje jej chusteczkę. Inara przyjmuje ją i wyciera twarz.

– Ludzie wracają? – sugeruje.

Jej głos jest pełen niedowierzania.

– I inni ludzie od nich tego oczekują.

– Wiesz, że jest jeszcze jedna rzecz.

Dziewczyna znów gładzi palcem małego, smutnego, niebieskiego smoka.

– Musisz zrozumieć, ona nie jest prawdziwa. Nigdy nie była. Nie byłam prawdziwym człowiekiem, dopóki nie stałam się Inarą.

– Inara może się stać prawdziwa. Jeśli mówisz prawdę, to masz już osiemnaście lat.

Posyła mu kpiące spojrzenie.

Ale on tylko się uśmiecha i mówi dalej.

– Możesz oficjalnie przyjąć nazwisko Inara Morrissey, ale tylko jeśli będziemy wiedzieć, co obecnie figuruje w twoim dowodzie.

– Przetrwałaś Ogrodnika i jego synów – zauważa Sophia. – Nawet jeśli twoi rodzice nagle się tu pojawią, nie jesteś im nic winna. Twoja prawdziwa rodzina jest w tym szpitalu i w Nowym Jorku. Rodzice się nie liczą.

Dziewczyna powoli nabiera powietrza i jeszcze wolniej wypuszcza je z płuc, po czym robi to raz jeszcze.

– Samira – mówi w końcu trzęsącym się głosem. – Na moim akcie urodzenia widnieje Samira Grantaire.

Victor wyciąga rękę. Dziewczyna patrzy na nią przez chwilę, po czym odkłada smoka z gliny na swoje udo i ściska agentowi dłoń. Za drugą trzyma ją Sophia.

– Dziękuję, Samiro Grantaire. Dziękuję, że powiedziałaś nam prawdę. Dziękuję, że zaopiekowałaś się tymi dziewczynami. Dziękuję, że byłaś taka niesamowicie odważna.

– I taka niesamowicie uparta – dodaje Sophia.

Dziewczyna zaczyna się śmiać, jej twarz jest pogodna, szczerą i mokra od łez, a Victor stwierdza, że to dobry dzień. Nie jest na tyle naiwny, aby myśleć, że teraz już wszystko będzie dobrze. Przed nimi ból i trauma, rozgrzebywanie ran podczas dochodzenia i procesu. Przed nimi opłakiwanie martwych dziewczyn i dziewczyn żywych, które przez lata będą próbować przystosować się do życia poza Ogrodem, jeśli to w ogóle jest możliwe.

Mimo to wciąż myśli, że to dobry dzień.

## Podziękowania

Czasem wydaje mi się, że ta część jest trudniejsza niż samo pisanie książki.

Istnieje jednak wielu ludzi, którym jestem głęboko wdzięczna za to, że ta książka mogła powstać. Dziękuję Mamie i Deb za to, że odpowiadały na niepokojące i nietypowe pytania medyczne w czasie zbierania przeze mnie materiałów, dzięki czemu nie wylądowałam na różnych listach najbardziej przerażających rzeczy wpisywanych w Google'a. Dziękuję Tacie i moim braciom, którzy nieustannie wspierali to moje dziwne i trudne marzenie. Dziękuję Sandy za to, że nie machnęła ręką na małe straszdyło, które zdawało się nie mieć domu. Dziękuję Isabel i Chelsea za to, że pierwsze przeczytały moją powieść i nie zareagowały okrzykiem: „Czy ty jesteś normalna?”. Dziękuję Teresie za to, że miała cierpliwość i talent do ratowania mnie za każdym razem, gdy chciałam skoczyć z wysokiego budynku. Na podziękowania zasługują też Alison i JoVon za to, że zaryzykowali, oraz Caitlin za to, że zadawała mi tyle świetnych pytań i kierowała mnie – bez względu na to, w jakie historyczne stany popadałam – na dobrą drogę ku temu, by ulepszyć tę książkę.

Dziękuję przyjaciółom, którzy wybaczyli mi, że zrobiłam się aspołeczna podczas jej pisania, współpracownikom, którzy pewnie mają już dość opowiadania o niej, oraz menedżerom, którzy nie mogą się doczekać, kiedy ją w końcu dostaną.

I tobie za to, że jeszcze tu ze mną jesteś.





